

*Susan Kay Law*

*Opowieść weselna*

Z angielskiego przełożyła  
Anna Boryna

POL  NORDICA

Otwock

# 1

*28 sierpnia, 1899*

*Przygotowania do bitwy*

Gdyby była mężczyzną, może raz jeszcze sprawdziłaby, czy pistolet jest nabity i zmrużywszy jedno oko, zajrzałaby w głąb lufy. Albo wydobyłaby z pochwy swój miecz i przyjrzała się, jak światło sunie po jego ostrej krawędzi, a potem wywinęłaby mieczem w powietrzu, by oswoić się znów z jego ciężarem. A może podskoczyłaby parę razy na palcach jak mistrz bokserski, sprawdzając niezbędną podczas meczu równowagę.

Była jednak tylko sobą: Kathryn Virginią Bright Goodale, i znajdowała się w komfortowo urządzonej sali hotelu „Waldorf-Astoria”, toteż dyskretnie zerknęła do lustra w ozdobnej złotej ramie, by ocenić swój wygląd z bezlitosną dokładnością. Poszczypała policzki, żeby poróżwiały, i przygryzła wargi, by odzyskały swą czerwień.

Czy to wystarczy? zastanawiała się. Minęło już dwanaście lat... Ale trzymam się znakomicie! stwierdziła.

Kate nie była zwolenniczką fałszywej skromności, zwłaszcza że w obecnej sytuacji nie mogła sobie na nią pozwolić. Ciekawe, czy jej przeciwnik, spojrzawszy na nią, ujrzy dojrzałą kobietę w pełnym rozkwicie, czy tylko spłowieły cień promiennej dziewczyny, która (być może) istniała tylko przez krótką chwilę w jego wyobraźni?

Ale odwlekanie sprawy nic by nie dało. A czasu i tak miała niewiele. Poprawiła więc jeszcze coś przy dekolcie, pogłębianym nieco na tę okazję, i uśmiechnęła się olśniewająco. Pierwszą barierą do pokonania była połyskliwa, gruba płyta z drzewa różanego. Drzwi do jego apartamentu. Zastukała w nie energicznie,

niemal władczo. Doskonale! Nie powinna sprawiać wrażenia złamanej błagalnicy... choć było to, niestety, bardzo bliskie prawdy.

- Wejść!

Głos dochodzący zza masywnych drzwi był stłumiony, niski i zachrypnięty.

Serce biło jej tak, że zagłuszało stukanie do drzwi. Ale „kto nie ryzykuje, ten nie ma”, nieprawdaż?

- Wchodzisz czy nie wchodzisz? Bo wstawać i zapraszać nie mam zamiaru!

No cóż... nie przyszła tu, by uczyć się od niego dobrych manier. Chociaż w przeszłości niewątpliwie je posiadał; pamiętała jego zręczny ukłon i wytworny pocałunek, złożony na jej idiotycznie drżących palcach.

Pchnęła drzwi, przekroczyła próg z głośnym szelestem kosztownego jedwabiu... i zaparło jej dech.

Straciła tyle czasu na niepokojące rozmyślania, jak James zareaguje na zmiany, które w niej zaszły, że nawet jej nie przyszło do głowy, że i on musiał się zmienić przez ten czas. Pozostał w jej pamięci wiecznie młody i zuchwały. To było cudowne wspomnienie, więc choć nie miała do niego prawa, hołubiła je w pamięci.

Był jeszcze bardziej ogorzały. Jego włosy - niegdyś ciemno-blond ze spłowiałymi od słońca pasemkami - wydawały się bujniejsze, ciemniejsze i wyjątkowo pociągające. Barki i ramiona, okryte jedwabnym szlafrokiem w kolorze czerwonego wina, rozrosły się i zmężniały. Siedział na fotelu w niedbałej pozie, wpatrując się w kieliszek z resztką wina. Szlafrok rozchyłał się niebezpiecznie z przodu. Widać było wyraźnie długą, owłosioną, muskularną nogę i potężną pierś; stanowczo zbyt wiele dla równowagi ducha pełnej temperamentu kobiety.

- Ręczniki? Ciśnij gdzie bądź.

Lata spędzone w obcych krajach osłabiły nieco typowo brytyjski, arystokratyczny akcent. Był jednak nadal rozpoznawalny i stanowił dziwaczny kontrast z jego niedbałym stylem i brakiem szacunku do gramatyki.

-Ja...

Kate starannie obmyśliła sobie ten dialog i wielokrotnie przećwiczyła swoje kwestie. Ale wszystkie uciekły jej z pamięci, gdy weszła do pokoju Jima.

- No, no! - Spojrzenie, przed chwilą nieco zamglone, skoncentrowało się teraz na rąbku jej spódnicy. - Coś mi się widzi, że to nie pokojówka.

Wystudiowany uśmiech Kate nabrał nieco szczerości.

- Istotnie. Ale przychodzę w misji pokojowej.

Nie zrobił najmniejszego wysiłku, by wstać z fotela. Podniósł tylko (bez pośpiechu) oczy do góry i zatrzymał wzrok na poziomie jej klatki piersiowej. Uśmiechnął się szerokim, leniwym, uwodzicielskim uśmiechem.

- Mówili mi, że obsługa tu jest pierwszorzędną, ale nawet mi się nie śniło, że tak wszechstronna.

I w tym momencie spojrzął jej prosto w twarz. Z jego własnej znikł wszelki ślad życzliwości do całego świata, charakterystycznej dla podchmielonych. Półprzymknięte oczy, zaciśnięte usta, nieodgadniona maska zamiast twarzy. Wyglądał dokładnie tak, jak podczas ich ostatniego spotkania, tuż przed odejściem Kathryn.

Odstawił kieliszek, ze zbędną pieczołowitością umieścił go pośrodku rzeźbionego stolika, który miał pod bokiem. Czyżby był zalany? O ile pamiętała, nie miał pociągu do butelki, ale przez dwanaście lat wiele rzeczy mogło ulec zmianie. I wiele istotnie zmieniło się.

- Wcześniej ciągnie cię do kieliszka, co? - spytała.

- Na to nigdy nie jest za wcześnie - rzucił szorstko, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że zaprawiłby się znacznie wcześniej, gdyby podejrzewał, kto wtargnie do jego pokoju. Podniósł się z fotela, nie zdając sobie widać sprawy z niestosowności swojego stroju; Kate czułaby się znacznie swobodniej, gdyby poprawił szlafrok, mający wyraźne tendencje do rozchylania się.

Jego ruchy wydawały się powolne, a jednak odległość między nimi zmniejszała się w niepokojącym tempie. Kiedy zatrzymał się przed Kate, górował nad nią jak skalne zbocze; nos Kate był na tym samym poziomie co jego klatka piersiowa. Naga klatka piersiowa.

W tej sytuacji wołała nie gapić się na niego, toteż zaczęła rozglądać się po jego pokoju. Był tak bogato i komfortowo urządzony, jak można się było spodziewać po obejrzeniu głównego hotelowego hallu. Połyskiwał różnymi odcieniami błękitu, złota i kości słoniowej. Panował w nim jednak okropny bałagan. Na

dywanie Aubusson leżały trzy skarpety, każda z innej pary, a wszystkie gryzły się ze sobą. Ktoś rzucił na oparcie fotela pogniecioną kurtkę koloru khaki. Na pięknym stole poniewierały się jakieś nieszczęsne wypchane stworki i garść pobłyskujących blaszkami miki próbek skalnych. W najgorszym stanie było łóżko, a raczej pościel splątana tak, że od razu nasuwała się myśl o nocnej orgii czy innych rozrywkach w podobnym stylu.

- Pani Goodale - odezwał się tak oficjalnie, sztywno i po brytyjsku, jakby był kimś zupełnie innym niż sympatyczny pijaczyna, który życzliwie zagadał do rzekomej pokojówki, zanim odkrył, z kim ma do czynienia. - Bardzo zmartwiła mnie wieść o śmierci pani męża.

- Nie wątpię.

Śmierć doktora była dla niego z pewnością większym ciosem niż zgon jakiegokolwiek innej istoty ludzkiej.

- Z pewnością wziąłbym udział w pogrzebie... - Urwał, odchrząknął i mówił dalej: - Ale byłem wtedy w Grenlandii i wiadomość dotarła do mnie zbyt późno.

- Rozumiem. - I dodała całkiem szczerze: - On też by to zrozumiał.

- To dobrze.

I tak prędzej czy później musiała na niego spojrzeć. W końcu zdobyła się więc na odwagę i zauważyła, że James unika jej spojrzenia. Wpatrywał się uparcie w coś ponad jej głową. Dostrzegła też, że zacisnął szczęki, pokryte jednodniowym (co najmniej!) zarostem.

- A teraz, gdy formalnościom stało się zadość, może zechcesz się stąd wynieść?

No cóż? Była na to przygotowana, że nie pójdzie z nim łatwo.

- Milordzie...

- Milordzie?! Na litość boską! Chyba stać cię na coś lepszego? Zdławiła odruch irytacji.

- Po prostu starałam się być uprzejma.

- Kiedyż to doszłaś do wniosku, że cenię sobie takie uprzejmości?

- Cóż... Ludzie się zmieniają.

- Doprawdy? - mruknął i wreszcie na nią spojrzął.

Uświadomiła sobie nagle, jak blisko siebie stoją. Pół kroku do

przodu i ciała ich zetkną się. Chętnie by się cofnęła, gdyby nie obawa, że w takim wypadku wyląduje na korytarzu, a jej rozmówca dla lepszego efektu zatrześnie jej drzwi przed nosem.

- Jakoś tego nie zauważyłem - dorzucił.

- Ten komplement wydaje mi się podejrzany... Jak myślisz, czemu?

- Nie mam pojęcia.

Mówiła sobie w duchu, że w każdej chwili może stąd wyjść. Po prostu opuścić hotel i zająć się... czymkolwiek. Nie miała wprawdzie pojęcia, co robić, ale to jeszcze nie powód do paniki. Nie należała jednak do tych, którzy wolą bezdroża od utartego szlaku. Jeśli obrała ścieżkę i uznała, że jej w pełni odpowiada, nie szukała innej.

- Wolałabym nie tkwić tak na progu... Pozwolisz mi wejść? - Proszę cię, Jim...

Z premedytacją użyła tego zdrobnienia, by uprzytomnić mu, że nie jest obcym natrętem.

Westchnął i odsunął się na bok, umożliwiając jej wejście.

- A usiąść też mogę?

- Wolałabym, żebyś się nie rozsiadała.

Zmiotła ruchem ręki długi pasiasty szal i zdefasonowany czarny melonik z fotela obitego szafirowym pluszem i przyglądziwszy spódnice, umościła się w nim.

- I po co było pytać?

- Zawsze, nim wyłamię drzwi, wolę sprawdzić, czy nie są Otwarte - odpowiedziała.

Jim opadł na najbliższe krzesło, nie zawracając sobie głowy parą czarnych skórkowych rękawiczek, pozostawionych na siedzeniu.

Kate była mężatką od prawie piętnastu lat, a nie młodą panienką, jednocześnie wystraszoną i zafascynowaną widokiem męskiego ciała. W tej chwili jednak musiała zebrać wszystkie siły, żeby nie uciec z jego pokoju w popłochu.

- Gdybyś chciał się ubrać, ja...

- Ten niekompletny strój zupełnie mi nie przeszkadza. Ale może ciebie to krępuje?

Duma nie pozwoliła jej przyznać się do tego.

- Oczywiście że nie!

- Miło mi to słyszeć.

Znów rozsiadł się jak basza; zachowywał się całkiem swobodnie, a przy tym był taki wielki i męski, że Kate zapierało dech. Jak mogła o tym zapomnieć? Czemu wmawiała w siebie, że przez te wszystkie lata Jim postarzał się, spłowił, osłabł? A on, jak na złość, stał się jeszcze bardziej pociągający!

Ale nie jestem już taka młoda i głupia, nie tak łatwo mi zaimponować! dodawała sobie odwagi Kate. I jeśli nawet przed laty nie mogła sobie z nim poradzić... tym razem będzie całkiem inaczej!

Byle tylko znaleźć odpowiednie słowa.

- Błąka się pani po hotelu samopas, pani Goodale... że już nie wspomnę o zakradaniu się do apartamentu osławionego awanturnika! - Pokiwał smętnie głową. - Po co narażać na szwank swą reputację?

- Jestem bardzo ostrożna.

- Zawsze byłaś, może nie?

*Zjednym wyjątkiem.* Tylko raz popełniła wielki i słodki błąd. Nagle to piękne wspomnienie rozkwitło w całej krasie. Rzadko pozwalała sobie na przywoływanie go i napawanie się nim w obawie, że mogłaby ulec pokusie. Toteż przywoływała je tylko w najtrudniejszych chwilach swego życia, kiedy najbardziej łaknęła takiej pociechy.

Koniec lata. Ciężkie, parne powietrze, przesiąknięte zapachem róż. Srebrna księżycowa poświata przenikająca przez ozdobną kratkę altanki. Uczucie pustki i bezsensownego żalu za wszystkim, czego się wyrzekła. Ból, który tylekroć pokonywała, zaatakował ją okrutnie tego wieczora i zmusił ją do wyjścia „po angielsku” z przyjęcia, które wydawał jej mąż. A młodzieniec, który wynurzył się z głębi ogrodu jak przywołana czarami zjawka z jej snów, wydał się jej symbolem tego wszystkiego, co ją ominęło, czego nigdy już nie zazna... W nagłym zauroczeniu poddała się wyobraźni...

Dość tego! Tylko głupiec nie uczy się na własnych błędach.

- Muszę z tobą pomówić.

- Jesteś tu od pięciu minut i nie dotarło do mnie nic godnego uwagi.

- Widzisz, ja... Po śmierci doktora...

- Jego prawnicy już mnie dopadli. Nie musisz się fatygować. Wiem, że zostawił mi swoje mapy i książki.

Ciągle wpatrywała się w niego, łudząc się, że dostrzeże choćby iskrę jakiegoś uczucia. Nie dostrzegła jednak nic. Czy zawsze był taki obojętny? Czyżby zrozumienie i serdeczność, które niegdyś ujrzała w jego oczach, okazały się złudzeniem?

- Był jeszcze list...

- Daj spokój, Kate! - Zerwał się raptownie z krzesła. - List dotarł do mnie, a prawnicy przechowują dla mnie dokumenty, więc nie udawaj, że masz dla mnie jakąś pamiątkę od doktora. - Usta Jima wykrzywiły się w szyderczym grymasie. - O co ci chodzi? Czyżbyś chciała sfinalizować wreszcie przerwany niegdyś roman-sik? -Jego spojrzenie, wyzywająco zmysłowe, ześlizgiwało się co-raz niżej. - Powinienem być chyba dumny, że po tylu latach...

- Nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego! - Ona również zerwa-ła się na równe nogi i poprawiła spódnicę. - Możesz mi 'wierzyć: w całej tej sprawie nie masz najmniejszego powodu do dumy.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Żałowała, że nie może wdrapać się na krzesło i pogadać sobie z nim nos w nos! - Wiesz do? Ściągnij wreszcie z gęby tę szyderczą maskę! Wcale ci w niej nie do twarzy. Myśla-łam, że wyrosłeś już z tej dziecinady. Większość młodzienasz-ków pozbywa się tego balastu, gdy dorośnie. Jak mogłam łudzić się choćby przez chwilę, że zdołam się z tobą po ludzku dogadać!

Był szybszy od niej i zagroził jej drogę przed samymi drzwia-mi, nie pozwalając, by się przez nie wyślizgnęła, i niweczając tym samym efektowne wyjście Kathryn.

- Odsuń się, jeśli łaska!

- O czym konkretnie chciałaś ze mną „po ludzku” pogadać?

- O, czyżby cię to nagle zainteresowało?

- Zainteresowało? To zbyt mocne słowo. - Pochylił głowę. - Powiedzmy, że obudziło we mnie przelotną ciekawość.

- A, prawda! Twoje zachcianki bywają zawsze przelotne.

No i pat! Kate była gotowa do skoku, byle tylko drzwi się lek-ko uchyliły. Jim - nieprzenikniony i nieustępliwy jak strzegący królewskiego pałacu gwardzista - skutecznie zagradszał jej drogę.

Wypuść ją! Nawet teraz, gdy jego umysł odzyskał władzę nad całym ciałem, Jim nie mógł odsunąć się na bok. Gdyby jej pozwo-



lił wymknąć się stąd i zniknąć na następne dwanaście lat, postąpiłby rozsądnie. Ale Jim zmarnował znacznie więcej lat, szukając odpowiedzi na nurtujące go pytania. Tym razem musi otrzymać ich tyle, by raz na zawsze zakończyć i pogrzebać tę sprawę. I wyłączenie z tego powodu nie wypuszczał stąd Kate. Tak sobie przynajmniej wmawiał. Kto wie, może to nawet była prawda?

Sięgnął za siebie i zamknął drzwi.

- Nie życzę sobie, by ktoś przypadkiem zobaczył cię w moim pokoju - wyjaśnił Kate. - Naprawdę mnie zaintrygowałaś. Jak zdołałaś mnie odnaleźć?

Odrężyła się nieco. Mięśnie ramion i pleców okrytych jedwabiem w kolorze barwinka rozluźniły się nieco. Zaciśnięte usta odzyskały pierwotny kształt. Znakomicie! Jeśli nie będzie przez cały czas miała się na baczności, tym razem może zdoła wyciągnąć z niej prawdę!

- O, to nie było nic trudnego! *Słynny lord James Bennett, odkrywca, poszukiwacz przygód, jedyny podróżnik z całego zespołu, który niemal cudem ocalał podczas ostatniej wyprawy do Arktyki...* - cytowała z patosem tekst z ulotki reklamowej.

Słowa padły, nim Bennett zdołał je powstrzymać. Omal się nimi nie udławił. Był nieskończenie rad, że nie dociera do niego dziewięćdziesiąt procent takich idiotycznych wycopin na jego temat.

- *Warto posłuchać błyskotliwych opowieści o szlachetnej pasji, nieustraszonej odwadze i ostatecznym zwycięstwie z ust najśmielszego odkrywcy naszych czasów.* - Mówiła wyraźnie kpiącym tonem, w jej oczach zapalały się szelmowskie błyski, ogromnie atrakcyjne. - Nie słyszeli o sir Stanleyu, czy co?! Jak ci się zdaje?

I wówczas jej urok poraził go jak celny cios, zaparł mu dech, zmusił go do pospiesznego wycofania się. A nuż zdoła wyrwać się z zaklętego kręgu i nie ulegnie pokusie?

- Lord Bennett, słynny podróżnik...

Prychnął pogardliwie. Lord Bennett! Nie był wcale lordem, przysługiwał mu zaledwie tytuł honorabla<sup>1</sup>. Ale Amerykanie nie potrafili dostrzec ogromnej różnicy między „lordem” a „honorablem”. Zresztą, on sam pożegnał się bez żalu z tym tytułikiem,

<sup>1</sup>Niezwiązany z żadnymi korzyściami materialnymi, tytuł nadawany młodszemu potomkom arystokratycznych rodów. „Honorable” lub „honourable” znaczy mniej więcej: „czcigodny”, „szlachetny”, „dostojny” (przyp. tłum. ).

gdy opuszczał Anglię. A mniej więcej dwanaście lat temu zrezygnował ostatecznie z wyjaśniania Amerykanom, kim jest, a kim nie jest. Mimo wiecznego podkreślania swego egalitaryzmu, mieli słabość do tytułów. Uznał zatem, że jeśli przypisywanie mu tytułu, do którego nie miał prawa, zapewni pełną frekwencję na jego odczytach oraz duże zapotrzebowanie na jego książki, niech go nazywają, jak chcą. Co mu to szkodzi?

- Nie jesteś ciekaw, co o tobie piszą? - spytała Kathryn. - A, już rozumiem! Wykułeś wszystko na pamięć? Co za tempo!

Postanowił, że nie uśmiechnie się do niej, choć bardzo go to kusiło. Kąciki ust drżały mu podejrzanie. Stanowiła poważne zagrożenie nawet wówczas, gdy był na nią wściekły. A co by się stało, gdyby Kate zdołała pobudzić go do śmiechu? Chwilka słabości mogła stać się pierwszym kamieniem milowym na drodze do ostatecznej kapitulacji.

- Jak trafiłaś do mego pokoju?

Nie zmieszała się ani trochę.

- Ten miły młody recepcjonista okazał się niezwykle pomocny.

- Nic dziwnego!

Bardzo wątpliwe, by znalazł się w pobliżu mężczyzna całkiem nieczuły na jej wdzięki, zwłaszcza gdyby ruszyła do ataku pełną parą. No, cóż... Przynajmniej on powinien okazać się chlubnym wyjątkiem.

- Czego ty właściwie chcesz, Kate?

Zaniemówiła. Pogodna pewność siebie, z której Kate była tak dumna, opuściła ją kompletnie. Na jej miejsce wkradł się paniczny strach, który niemal natychmiast zamaskowała.

- Oto jest pytanie - mruknęła. - Sama chciałabym to wiedzieć!

Mogło to być - rzecz jasna - starannie wyreżyserowane. Ledwo dosłyszalna żałosna nuta w jej głosie, cień niepewności w promiennych oczach - wszystko to mogło okazać się dokładnie przemyślanym trikiem, podobnie jak kokieterijny uśmiech, którym podbiła nieszczęsnego chłopaka z recepcji.

Chwila słabości - prawdziwej czy rzekomej - nie trwała długo. Kate pozbierała się w mgnieniu oka: ramiona znów były wyprostowane i mocne, broda wysunięta wojowniczo do przodu. Jakby w ogóle nie było tego momentu słabości.

- Najmocniej przepraszam, że zakłóciłam ci sen. Myślałam,

że... zresztą, wszystko jedno, co myślałam, prawda? Pomyliłam się. Bądź tak dobry i odsuń się od drzwi, wyjdę i oboje zapomniemy o tym, co się tu wydarzyło.

Nie ruszył się z miejsca. Ich oczy znajdowały się na równym poziomie. Jej były olśniewająco błękitne i zimne jak lód. Wpatrywał się w nie, chcąc uprzytomnić sobie, jak wygląda prawda. Żaden mężczyzna nie mógł bezkarnie przyglądać się Kate. Wszystkie te kuszące okrągłości, lśniące włosy i zapraszające uśmiechy budziły cielesne żądze. Ale spojrzenie Kate nie zachęcało do poufałości. Nie należała do kobiet skłonnych do brania i dawania. Odnosiło się to nie tylko do niego, ale do wszystkich.

- To był głupi pomysł - stwierdziła. - Zrodzony z desperacji, choć pewnie w to nie uwierzysz. Ale ponieważ widzę jak na dłoni, że nie wypuścisz mnie stąd, póki ci się nie wypowiadam ze wszystkiego, wolę mieć to już z głowy. Słyszałeś o Wyścigu Stulecia?

Wahanie Jamesa trwało bardzo krótko.

-Tak.

Ale nie dość krótko, bo Kate je dostrzegła.

- A, prawda... - Uśmiechnęła się kwaśno, rozbawiona własną naiwnością. - Oczywiście, że słyszałeś! Z pewnością także i ty przyjąłeś zaproszenie.

- Nie - odparł, zastanawiając się nad przypadkowym impulsem, który skłonił go do nieszkodliwego kłamstwa, by nie ranić jej uczuć. - Doktor też je dostał? Zdumiewające! Od wieków nie brał udziału w żadnej wyprawie.

- Mieli nadzieję, że uda im się go zwabić. Napisali niezwykle pochlebny list, zaklinając się, że lista uczestników nie byłaby kompletna, gdyby on nie zaszczycił imprezy swą obecnością.

Leciutki rumieniec zabarwił jej blade policzki, a twarz będąca dotąd maską bez wyrazu nabrała nieco życia.

- Z pewnością sprawiłoby mu to przyjemność.

- Tak - odparła cicho. - Byłby uradowany. Ale list dotarł dopiero po pogrzebie. Przepuszczenie takiej szansy wydało mi się marnotrawstwem.

- Chcesz zająć jego miejsce? - palnął bez zastanowienia.

Zadarła znów brodę i ten dziecinny, wyzywający gest nie wie-dzieć czemu zamiast zuchwałości Kate podkreślił jej bezbron-

ność. Ciekawe, czy wiedziała o tym? Czy ukartowała to sobie z góry?

- Na zaproszeniu nie ma żadnej wzmianki o tym, że może być wykorzystane jedynie przez adresata.

Jim wybuchnął śmiechem. Nie mógł się pohamować. Kate uniosła podbródek jeszcze wyżej. Jak tak dalej pójdzie, będzie sterczał pionowo!

- Wybacz mi! Ja po prostu... Po prostu nie mogę sobie wyobrazić ciebie w szalonym wyścigu dookoła świata. Zdobywanie górskich szczytów, pełzanie w mrocznych jaskiniach oraz inne atrakcje, na które się zdobędą organizatorzy... Jakie miałybyś szanse pokonania innych zawodników, doświadczonych profesjonalistów? I za czym właściwie miałybyś tak się uganiać, do diabła?!

- Za pięćdziesięcioma tysiącami dolarów - odparła żywo. - Otrzyma je pierwszy uczestnik, który zakończy wyścig przed Nowym Rokiem. Jeśli nikt tego nie dokona, nagroda zostanie wycofana.

- I wyobrażasz sobie, że ją zdobędziesz?

- W tej właśnie sprawie przyszedłem do ciebie.

## 2

- Nie jestem taka głupia - kontynuowała Kate - by sądzić, że zdołam dokonać tego sama. Co prawda, mam pewne kontakty oraz szereg pożytecznych umiejętności - zignorowała jego pomruk niedowierzania - oraz całkowitą pewność, że zdołam rozszyfrować informacje, na które będziemy się natykać podczas drogi; organizatorzy są jednak bardzo tajemniczy, zwłaszcza w kwestii trasy wyścigu i jego ostatecznego celu. Jeśli trasa będzie wiodła przez egzotyczne kraje o klimacie całkiem odmiennym od waszego obawiam się, że trudno mi będzie obejść się bez...

- Beze mnie?

Zaczerwieniła się. Delikatny rumieniec uwydatnił wdzięczny zarys kości policzkowych. Była to subtelna różowość młodych pączków różanych. Co za krzyżująca niesprawiedliwość! Jedna kobieta tak sownie obdarzona przez naturę, że wystarczyłoby tego na trzy!

- Czemu, na litość boską, chcesz się o to pokusić?

Musiał przyznać, że tym razem Kate pokazała klasę. Oczekiwał sprytnych wykrętów i zręcznych uników, ale odpowiedziała bez ogródek:

- Potrzebuję na gwałt pieniędzy. Chciałabym zdobyć ich jak najwięcej. Nie zamierzam dorabiać się majątku nieuczciwie, z krzywdą dla innych. Ale wiem, że byłabym okropną guwernantką, niewiele warta damą do towarzystwa, a próbowanie szczęścia w handlu wymaga znacznie większych zasobów gotówki niż te, którymi dysponuję. - Po czym dodała z niezwykłym żarem: - I nie zamierzam żerować na swoich siostrach! Ciotka stara panna miotająca się nieustannie między domami obu siostr, zależna od nich, tolerowana z dobroci serca i stanowiąca wieczną zawadę w ich życiu osobistym. Nigdy do tego nie dopuszczę!

Nie szukał bynajmniej płaszczyzny porozumienia, dzięki której prędzej by się dogadali. A jednak okazało się, że pod pewnym względem są doskonale zgodni: Jim nie cierpiał zależności od rodziny tak samo jak Kate. Była to jedna z przyczyn jego wyjazdu z Anglii, gdy miał szesnaście lat.

- Ależ doktor z pewnością lepiej cię zaopatrzył! Choćby nie zostawił ci nic innego, masz mnóstwo kosztownych toalet i biżuterii. Gdybyś je sprzedała, starczyłoby ci pieniędzy na wiele lat.

- Cała biżuteria przeszła na własność Norine - wyjaśniła rzeczowo, bez żalu i zawodu. - Zgodnie z tym, co ustaliliśmy na samym początku. A reszta również przypadła dzieciom. Ubrania oczywiście należą do mnie, ale nie dostałabym za nie wiele; starczyłoby najwyżej na rok czy dwa. - Machnęła ręką, odganiając trudny problem jak uprzykrzoną muchę. - Zrozum, że nie jest to dla mnie żadna tragedia. Mam jeszcze dość młodości i siły, by w razie potrzeby pracować jako szwaczka lub sklepowa. Ale, prawdę mówiąc, nie bardzo się do tego pałę.

- O Jezu... Niech to wszystko szlag! I jasna cholera! - Niemal już zapomniane przyrzeczenie wznosiło właśnie swą smoczą głowę i gotowało się do ukąszenia. - Wiedziałem, że... Doktor wspo-

mniał mi, że przed śmiercią Elaine obiecał jej, że choćby ożenił się po raz drugi, wszystko, co posiada, przypadnie jej dzieciom. Ale myślałem, że po tylu latach...

- Liczba lat nie miała na to żadnego wpływu. Zawarliśmy porozumienie i ani doktor, ani ja nie zamierzaliśmy od niego odstąpić - odpowiedziała żywo. - Gdybyśmy weszli z tobą w jakieś układy, jednego możesz być pewien: będę otwarcie, niezachwianie i dokładnie trzymać się warunków zawartej umowy.

Powinien rozważyć sprawę. A jego mózg nie funkcjonował jak należy, kiedy Kate znajdowała się tak blisko. Krążył nerwowo po pokoju, póki nie zderzył się z jakimś krzesłem. Pomieszczenie wydało mu się nagle tak małe, że ogarnęła go klaustrofobia. Uprzytomnił sobie ze zdziwieniem, że do tej pory uważał je za całkiem przestronne.

- Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że zechcę wziąć udział w przedsięwzięciu, w którym i ty maczasz palce?

Kathryn zbladła, na jej twarzy odbiło się zażenowanie, które okazywała niezwykle rzadko.

- Może liczyłam na to, że skusi cię perspektywa nowej przygody?

Czuł, że pułapka się zamyka. Po raz ostatni spróbował wydostać się z niej. Gdyby nie był ekspertem w wysłizgiwaniu się z największych opresji, niedługo by pociągnął.

- Bez urazy, pani Goodale, ale do tego, by przeżyć wielką przygodę, nie potrzebuję pani towarzystwa.

- W porządku - warknęła. - Zakładałam, że skłonią cię do tego motywy bardzo podobne do moich.

- Doprawdy?

Rozejrzał się po swoim luksusowym apartamencie.

- Czy to wnętrze świadczy o moim ubóstwie?

- Myślisz, że nie zasięgnęłam języka? Wynajem takiego apartamentu był jednym z punktów umowy w sprawie spotkań autorskich.

- Rozumiem. - Zmarszczył brwi. - Znów ten recepcjonista?

Brak odpowiedzi z jej strony był niezwykle wymowny.

- Jesteś bardzo przedsiębiorcza, co?

- Dość przedsiębiorcza, by nadawać się na partnera?

Nie zamierzał ułatwić jej sytuacji.

- Wymyśl coś lepszego - poradził.

- W porządku - odpowiedziała z takim żarem, że uprzytomniła sobie, iż pod jej pozorną obojętnością kryje się więcej emocji, niż można by przypuszczać. - Przyznałam się do moich kłopotów finansowych bez większych oporów. Ale kiedy wchodzi w grę męska duma, uczciwość zawsze przegrywa... Czy ty w ogóle nie czytujesz gazet? Wszyscy wiedzą, że po twojej wielkiej przegranej w Arktyce... - Pochwyciła przelotną zmianę w wyrazie jego twarzy i ugryzła się poniewczasie w język. - Nie chciałam przez to powiedzieć...

- Owszem, chciałaś - odparł, podchodząc tak blisko, że cofnęła się aż do drzwi i dotknęła plecami ich twardej, płaskiej, drewnianej tafli. Modliła się, by drewno wessało ją w siebie, ukryło w swym wnętrzu, albo przynajmniej żeby mogła przyłgnąć do niego tak, by odległość pomiędzy nią a Bennettem wzrosła o jeszcze jeden zbawczy cal. Zajmował zbyt wiele miejsca w pokoju, pochłaniał zbyt wiele powietrza.

Pamiętała go jako czarującego młodzieńca, przystojnego, beztroskiego, pełnego życia. Młodzieńca, któremu nie można się oprzeć. Czy ten drażliwy, pełen goryczy, niebezpieczny człowiek istniał już wówczas i tylko ona, młodzianka i olśniona, nie potrafiła go dostrzec? Czy też obecny James jest przerażającym rezultatem dwunastu lat rozłąki?

- Wypuść mnie stąd! Popełniłam błąd, przychodząc tu. Myślałam, że tak będzie łatwiej... o ile w ogóle będziesz mógł się zdobyć na wzięcie udziału w tym wyścigu...

- O ile będę mógł się na to zdobyć... ?

Jego wzrok powędrował w dół i zatrzymał się u podstawy szyi Kate, tam gdzie można zbadać puls. Czuła, jak gorączkowo bije teraz, w dzikim przerażeniu. James z równym prawdopodobieństwem mógł skrócić jej kark, jak ucałować ją namiętnie.

- Myślałem - mruknął lekkim tonem, jakby zastanawiał się nad menu w restauracji - że przybywając tu i zwracając się do mnie z prośbą o pomoc, pozbyłaś się własnej dumy, z którą było ci tak do twarzy. Ale widzę, że nawet ci jej przybyło, jeśli sądzisz, że sama twoja obecność może uniemożliwić mi wzięcie udziału w takiej czy innej wyprawie.

Wpatrywała się w niego podejrzliwie. Głowę miał nadal po-

chyloną, jakby liczył każde uderzenie jej serca; była wściekła na siebie, że nie pomyślała o zabraniu szala. Powieki nie pozwalały dojrzeć jego oczu... przynajmniej z miejsca, w którym stała. Widziała tylko półksiężyc gęstych rzęs - nieco ciemniejszych od jego włosów, przypominających barwą futro norki - i ostry zarys kości policzkowych. Rysy jego twarzy wyostrzyły się. Znikła miękkość, życzliwość i chłopiący wdzięk - zdarły się widocznie w trudach wypraw do dżungli czy wspinaczek na oblodzone szczyty. Nową twarz Jamesa Bennetta wymodelowały wichry, palące słońce i doświadczenia życiowe.

- Nie nosisz żałoby - zauważył, dotykając trzepoczącego skrawka koronki u nasady jej rękawa.

- Nie noszę - odparła nieco zdyszany głosem. - Jak wiesz, doktor nie miał cierpliwości do tego, co nazywał „bezsensownymi rytuałami środowiska”. Pomyślałam, że nie życzyłby sobie, żebym...

- Udawała żałobę?

Zaczerwieniła się.

-Tak.

- Zastanawiam się - powiedział - jak dalece ci zależy na tej wyprawie. Beze mnie nie masz szans. - Mówiąc to, podniósł na nią wzrok. - Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Sama być może nie miałabym żadnych szans. Ale „bez ciebie” niekoniecznie musi oznaczać „sama”.

- Ale zależy ci na wygranej. Jaki sens miałyby uczestnictwo w tym wyścigu bez nagrody? Potrzebujesz mojej pomocy, i tyle.

- Wyolbrzymiasz swoje możliwości - powiedziała ze sztuczną obojętnością, która nawet jej wydała się podejrzana.

- Czyżby? - Wypuścił powietrze z płuc i Kate poczuła jego gorący oddech. - Bardzo interesujące...

- Przestań!

- Razi cię to, że uważam naszą konwersację za interesującą? Naprawdę mnie interesuje. Zbyt ciekawość była zawsze moim przekleństwem. A teraz ciekawi mnie niezmiernie, jak daleko się posuniesz, by zapewnić sobie moją pomoc?

Gardło się jej ścisnęło.

- Moglibyśmy... omówić warunki.

- Doprawdy?



Mówił niskim, urzekającym głosem. A potem wyciągnął rękę i powiodł palcem po wyzywającym dekolcie Kate. Kiedy po raz pierwszy włożyła tak udoskonaloną kreację, przepastny dekolt wydawał się jej znakomitym pomysłem. Teraz jednak popadła niemal w panikę. Jim nie spieszył się; jego palec sunął powoli po jednym z pagórków, zanurzył się w rowku między piersiami, zaledwie o cal od atłasowego brzeżka dekoltu.

Kate skamieniała. Jej krew przestała wrzeć, oddech ścichł, serce i dusza zamarły. Była jak królik w paszczy wilka. Popełniła horrendalny błąd: nie doceniła przeciwnika. Nawet jej nie przyszło do głowy, że przetrwała w niej iskierka namiętności, którą niegdyś zdołał w niej rozbudzić. I nie tylko przetrwała w jakichś głębinach duszy, o których istnieniu świadomość Kate nie miała pojęcia, ale przez te wszystkie lata umacniała się, czekając na wyzwolenie.

- Pewien jestem, że dojdziemy do porozumienia - zamruczał, a jego leniwy, szelmowski uśmiech pełen był rozkosznych obiecanek.

Otworzyła usta, by zaprotestować. Ale w tym samym momencie jego palec zawędrował pod materiał, wkradając się na całkowicie zakazany teren. Z ust Kate wydobył się jedynie zdławiony jęk.

A potem, z przerażającą szybkością, Bennett przeobraził się. Cofnął rękę, jego uśmiech przestoczył się w szyderyczy grymas. Odsunął się nieco, jakby chciał umożliwić jej ucieczkę.

- Tak jak przypuszczałem - powiedział takim tonem, jak gdyby zdobył właśnie niezbity dowód, uzasadniający jego pogardę dla Kate. Odwrócił się i kompletnie ją ignorując, podszedł do zagraconego biurka.

Chwycił garść dokumentów i przeglądał je, jakby był sam w pokoju.

- Chwileczkę... - zaczęła, on zaś spojrzął na nią zdumiony.

- Możesz odejść. Wyścig rozpoczyna się pierwszego września, prawda? Nie bierz zbyt wiele bagażu.

- O, nie! Tak łatwo mi się nie wywiniesz!

Przed chwilą była zaprzątnięta jedynie planowaniem ucieczki. Teraz jednak łaknęła konfrontacji. Przemknęła przez pokój po jego śladach i zastanawiała się, czy nie lepiej schwycić go za ramię i obrócić tak, by musiał spojrzeć jej w twarz.

Lepiej nie.

- Wiem, jak lubisz wyciągać zbyt pochopnie wnioski, ale muszę cię rozczarować: nie miałam najmniejszego zamiaru zgodzić się na twoje sugestie.

- Oczywiście, że nie! - Zacisnąwszy usta, zaczął studiować z podejrzanym zainteresowaniem jakiś dokument, który akurat wpadł mu w ręce. - No i co? Warto było stroszyć piórka? Ani przez chwilę nie sądziłem, że to nieprzytomne spojrzenie i całkowity brak oporu z twojej strony oznaczają zgodę.

- To nie była oznaka uległości - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - To był szok spowodowany twoim zachowaniem: absolutny brak manier i zdumiewająca bezczelność.

- Mmm... hmmm... - Odłożył trzymany w ręku dokument i sięgnął po następny. Nadal nie zaszczycił jej nawet przelotnym spojrzeniem. - Wracamy zatem do pierwotnego planu? Kiedy dokładnie zaczyna się ta szopka?

- O, nie! Ze mną nie pojedziesz!

- Wycofujesz swoją ofertę? - zganił ją. - Oboje wiemy, że masz prawo do zmiany zdania, ale w tym wypadku jest na to za późno.

Kate nigdy nie wierzyła, że można kogoś udusić z gniewu. Ale w tej chwili sama się do tego paliła.

- Nic nie wskórasz! Choćbyś padła na kolana i błagał mnie, nie pojedę z tobą.

- Daj spokój tym pobożnym życzeniom! Ani się nie będę trzymał z boku, ani błagał na kolanach. Tego się nie doczekasz!

- Wezmę udział w tym wyścigu. I wygram. Prawdę mówiąc, wyraziłeś mi niechcący przysługę: po naszej uroczej konwersacji moje zainteresowanie Wyścigiem Stulecia wzrosło stokrotnie! - Pora na wielkie wyjście, pomyślała Kate. Wreszcie poczuła się pewnie. - A ty przez resztę życia powtarzaj w kółko te same zdezaktualizowane sensacje. Niebawem w całej Ameryce nie znajdzie się nikt, kto by ich nie słyszał.

Wyszła z pokoju z wyzywającym szelestem jedwabiu i z grymasem bezsilnego gniewu. Jim aż się wzdygnął, gdy drzwi trzasnęły. Doprawdy, damy nie powinny strzelać drzwiami z takim impetem! Przez chwilę obawiał się, że zaraz wpadnie boy hotelowy, by sprawdzić, co się tu dzieje. I nagle zmarszczył brwi: stwierdził ze zdumieniem, że się uśmiecha. Nic, co wiązało się

z osobą Kate, nie powinno budzić w nim rozbawienia: ani jej wybuchowy temperament, ani jej umiejętność odgryzania się rozmówcy, ani jej idiotyczne pomysły. A poza tym od rozbawienia do urzeczenia nie taka znów daleka droga!

Cisnął garść dokumentów - z których nie zrozumiał ani słowa - w kierunku stołu i wzruszył tylko ramionami, gdy połowa wylądowała na puszystym dywanie w orientalne wzory.

Kathryn Goodale. A niech ją wszyscy diabli!

Nieproszony. Niepotrzebny. Gdzieś w najgłębszych zakamarkach jego ja zbudziło się wspomnienie, które pogrzebał tam, pragnąc zniszczyć je kompletnie. Zdawało mu się, że tego dokonał. Niekiedy przez całe miesiące nie myślał o Kate ani razu. I nagle jakiejś pogodnej nocy, kiedy jego bariery ochronne słabły, Kathryn wślizgiwała się znowu do jego snów. Budził się zlany potem, spragniony i zbolały.

Chyba trafił do nieba... ? Tylko tam mógł doświadczyć tego promiennego cudu - ciepłych, rozkosznie ciekawskich ust spojonych z jego ustami, smukłego, pełnego ognia kobiecego ciała w swych ramionach. Jego powonienie rozkoszowało się czarującą kompozycją zapachową: woń rozkwitających w lecie kwiatów ogrodowych łączyła się z subtelniejszym, kuszącym zapachem schludnego kobiecego ciała. Jim czuł pod palcami włosy bardziej jedwabiste od najdroższych chińskich tkanin, miększych niż jagnięce runo z Kaszmiru. Doznał olśnienia, w chwili gdy wszedł do altanki, śmiertelnie zmęczony po dziewięciu miesiącach przebijania się przez dżunglę w poszukiwaniu legendarnej świątyni. Nie znalazł nic. I nagle ujrzał ją. Była taka śliczna, że pomyślał: ją też sobie wymarzyłem. Niezrównana piękność, ulotna zjawia ze starożytnych mitów, w które się wczytywał.

Odwrociła się do niego, uśmiechnęła się i wypowiedziała kilka banalnych słów, ale wyczytał w nich bezcenne przesłanie. Każde słowo, każdy uprzejmy frazes były celne jak strzały Kupidy. Trafiły prosto w ich serca i łączyły je ze sobą. James pojął, że przez te wszystkie lata poszukiwań, odkryć, triumfów w najodleglejszych zakątkach świata przez cały czas gonił za skarbem nad skarbami, który znajdował się tu, w jednym z ogrodów Filadelfii i tylko czekał, kiedy zostanie odkryty.

Ogarnął go spokój. Poczłł beztruską radość, jakiej nigdy do-  
tąd nie zaznał, nie wiedział nawet, że istnieje. I bez zastanowienia,  
pod wpływem nieodpartego impulsu pocałował nieznaomą  
dziewczynę. Pocałował, bo to było im sążone. Każdy jego krok  
prowadził go ku niej. Pocałował Kate, a ona - cud nad cudami! -  
odwzajemniła jego pocałunek.

Zatracił się kompletnie. Stokroć silniej niż wówczas, gdy stał  
na szczycie i podziwiał skarb, którego ludzkie oczy nie oglądały  
od tysiąca lat. Tak się zapamiętał, że w pierwszej chwili nie zo-  
rientował się, że dziewczyna wyrwa się z jego ramion, wali go  
pięściami w pierś i wydaje piski protestu.

Długo to trwało, ale wreszcie opamiętał się i puścił ją. Księ-  
życowa poświata przenikała do altanki przez ozdobną kratkę.  
Przedostając się przez tę drewnianą koronkę, światło księżyca  
kreśliło na ich twarzach - na jej twarzy - delikatne wzory. Oczy  
nieznajomej były szeroko otwarte, półprzytomne. Wargi, zbola-  
łe od pocałunków, rozchyłały się przy każdy wysilonym odde-  
chu. A jej skóra w księżycowym blasku lśniła jak biały marmur.

- Błagam o wybaczenie - mruknał, przypomniawszy sobie  
o obowiążujących w wielkim świecie konwenansach. - Ale to  
przecież nie grzech, a ja...

- Boże, zlituj się! To naprawdę grzech! - Cofnęła się pospiesz-  
nie, ale znajdująca się za jej plecami balustradka uniemożliwiła  
jej dalszą ucieczkę. - O Boże!

Do diabła! zaklął znów w duchu. Wyglądała na śmiertelnie  
przerażoną. To był całkiem odmienny świat od tego, w którym  
żył. I nie przypominał świata, w którym się wychowywał. Tam  
zmuszano do ożenku z powodu znacznie mniejszych grzeszków.  
Ale i tu, jeśli dziewczyna się nie uspokoi, Bóg wie, co może się  
wydarzyć!

- Przysięgam, nikt się o tym nie dowie, a ja...

- Cicho! - Pospiesznie, nieskoordynowanymi ruchami popra-  
wiła dekolł swej szafirowej sukni.

- Proszę pani... - urwał nie mając pojęcia, jak się do niej zwracać.  
Czemu, u licha, nie spytał jej, jak się nazywa?!

- Błagam pana! - Głos jej załamywał się, a w postawie, w ka-  
żdym ruchu także uwidoczniło się napięcie. - On zaraz tu będzie!  
Nie słyszy go pan?!

Ledwie to wyrzekła, rozległ się ryk, zagłuszając skutecznie wykonywany przez orkiestrę utwór.

- Gdzieś się podziała, do wszystkich diabłów?!

Jim uśmiechnął się mimo woli.

- Doktor nigdy nie przebiera w słowach...

Zamilkł nagle. Ciepła krew, płynąca w jego żyłach, zmieniła się w lód.

Córka doktora! Nora...? Nel...? Nieważne! Ile ona może mieć lat?

Nie, nie! Jakim cudem ta urocza istota mogłaby pochodzić od doktora? Te zachwycające, niepowtarzalne rysy... To niemożliwe!... A jednak... O Boże...

Zerknęła na niego przez ramię. Trzy platynowe loczki wymknęły się z kunsztownego upięcia: powinny opadać na lewe oko. Jej usta, jeszcze wilgotne od pocałunków, jej rumieńce... Gdyby ojciec - choćby nie nadopiekuńczy - ujrzał córkę w takim stanie, Jim miałby tylko dwa wyjścia: albo przespacerować się do ołtarza, albo zaszyć się znów w dżungli, i to do końca życia.

- Postaram się zatrzymać go. Proszę... - wykonał jakiś nieokreślony gest - poprawić co trzeba. Powiemy, że...

- Niech to szlag!

Wykrzyknik dobiegł z tak bliska, że Jim zdumiał się.

- Proszę odejść! - zaklinała.

- Ale...

- Natychmiast!

Jim zeskoczył ze schodków i niemal od razu natknął się na Goodale'a. Doktor pędził po kamienistej ścieżce z taką szybkością i determinacją jak wówczas, gdy wspinał się na zbocze Kili-mandżaro.

- Hej, ty tam! Nie widziałeś mojej... - zmarszczył brwi i mrużąc oczy, spojrzął na Jima. - To naprawdę ty, Bennett?

- Nie myślałem, że oczy cię aż tak zawodzą, doktorze!

- Ha, ha! - Doktor walnął go w ramię, znowu się zmarszczył i szczychnął go przez koszulę.

- Ufff!

- Nie ruszaj się! - Dotknął pospiesznie skóry za uszami Jima, uniósł jedną powiekę i zmierzył swego pupila dociekliwym wzrokiem. - Złapałeś amazońską febrę, co? - Cmoknął z ubolewaniem. - Nie mogłeś przywlec się tu wcześniej, żebym miał jesz-

cze kilka objawów do obserwacji? Przyszło mi do głowy, że to cholera można wyleczyć ekstraktem z orchidei, które przywiozłem z wyprawy na Branco.

- Czyżby ci brakowało zwierząt doświadczalnych, doktorze? Goodale westchnął.

- Niestety, to smutna prawda. - Skrzyżował ręce na plecach, Zakołysał się na obcasach i zacisnął i tak już wąskie wargi. - Do licha, ależ mi się cknę za jakąś wyprawą!

- No to wróć do kompanii włóczykiów! - zawołał Jim, licząc na to, że entuzjastycznym tonem odpowiedzi zamaskuje ogarniające go wątpliwości.

- Nie mogę. Przyrzekłem Elaine, zanim umarła, że zostanę tu z dziećmi. Diabli wiedzą po co, bo nie liczą się ze mną ani trochę. A teraz jeszcze... - Stuknął laską, której Jim dotąd nie zauważył, o kamienne płytki na ogrodowej ścieżce i potrząsnął głową. - Myślałem już, że nigdy nie przyjedziesz. Zapraszałem cię chyba z tuzin razy. - Bruzdy po obu stronach jego wąskich ust pogłębiły się. - Kiedyś byłeś na każde moje skinienie.

- I nadal jestem.

Goodale zachichotał.

- Więc po jakiego diabła bawiłeś się w chowanego w moim ogrodzie?!

- A, o to chodzi?

Obraz słodkiej, pełnej życia kobiety tulącej się do niego był tak wyraźny, że Jim poczuł zawrót głowy. Odchrząknął i kilka razy odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Wskazał na swój żałobny ubiór, który dawno już zapomniał o chwalebnych latach wiernej służby.

- Wygląda na to, że udało ci się zebrać tu całą śmietankę towarzyską Filadelfii. A ja niezbyt pasuję w tej chwili do eleganckiego towarzystwa.

- Psiakrew! Jakże to ma znaczenie?! Zresztą, damy mają szczególną słabość do oberwańców. Dostarczysz im miłej sensacji. Bóg świadkiem, że musimy wszelkimi sposobami zjednywać sobie przyszłych sponsorów. Ja...

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam ci w rozmowie, ale Summers twierdzi, że mnie szukałeś.

Przyszła od strony domu. Jak jej się udało w tak krótkim cza-

sie przemknąć przez ogród i dotrzeć tu inną drogą? zdumiewał się Jim. Zwłaszcza że nie było po niej znać pośpiechu. I ani śladu po niedawnych pocałunkach! dodał z pewnym rozczarowaniem. Włosy miała zaczesane do tyłu; każde pasemko na swoim miejscu. Dość surowa fryzura pasowała idealnie do jej czystych, klasycznych rysów. Ze strojem też nie było żadnych kłopotów: stanik leżał idealnie, dekolt był spory, ale nie szokujący; koronka wokół niego starannie udrapowana. W tym momencie Jim czuł nieprzepatą pokusę, by zburzyć tę doskonałość. Ta chłodna piękna kobieta nie miała nic wspólnego z gorącą, pełną życia dziewczyną, z którą rozstał się przed kilkoma minutami.

- Gdzieś ty się podziewała, do cholery? - warknął doktor Goodale.

Wyciągnęła rękę z wiązanką delikatnych białych lilii.

- Tu i tam dekoracja kwietna odrobinę przywidła, pomyślałam więc...

- Nieważne! - przerwał jej. - Kogo, do cholery, obchodzą kwiaty?! Norine znowu spazmuje, tym razem w damskiej ubikacji!

Nawet nie spojrzała na Jima. Cała jej uwaga koncentrowała się na doktorze. Nie mogło to być przypadkowe. Była zażenowana, zaniepokojona, urażona? Nie miał pojęcia. Irytowało go to. Uważał, że powinien czytać w niej jak w otwartej księdze... A potem rozśmieszyło go własne zuchwalstwo. Tylko dlatego, że poznał smak jej ust i dotyk jej piersi, że widział, jak namiętność zapiera jej dech... tylko dlatego miałyby ją znać na wylot?!

- O Boże! Znowu przez tego chłopca Meriwetherów?

Doktor wzruszył ramionami z absolutnym brakiem zainteresowania.

- Idź tam po prostu i coś z tym zrób! Nie pozwolę, by jej histerie zniszczyły moje przyjęcie.

- Oczywiście - mruknęła. Oczy miała spuszczone, ramiona nieco się przygarbiły.

Norine? Doktor powiedział: „Idź i zrób coś z Norine!” A więc ta dziewczyna nie była jego córką! Jim odetchnął z ulgą i zaraz zamaskował to głośnym kaszlnięciem. Zastanawiał się, czy trzy lata spędzone w cywilizowanym otoczeniu wpłynęły dodatnio na manieri doktora... przynajmniej na tyle, by zrozumieć jego bezsłowną prośbę?

- Coś ci utkwilo w gardle? Gdziez to ja mam swoja torbę... ?

- Nie, nie! - zaprotestował pospiesznie Jim. Nieznajoma zdążyła oddalić się trochę od nich. - Miałem nadzieję, że mnie przestawisz, doktorze!

- Tak? No to czemuś nie powiedział tego wyraźniej? - Kobieta zdążyła już dotrzeć do ścieżki. Niemal biegła, szafirowy jedwab unosił się za nią.

- Zaczekaj! - huknął na nią doktor Goodale.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła w ich stronę. Całe jej ciało było sprężone jak u kota, który zaraz skoczy na swą ofiarę.

Zwróciła się bezpośrednio do doktora, gdy podszedł do niej.

- Chciałeś, bym uporała się z tym problemem jak najszybciej, Więc...

Zbył jej słowa machnięciem ręki.

- To ci nie zabierze wiele czasu.

Nutka rozdrażnienia osłabiła nieco zbożny podziw Jima dla autorki tej zręcznej intrygi. Mógł zrozumieć, że była zaniepokojona tym, co między nimi zaszło (do diabła, przecież i on był wstrząśnięty!), ale czy nie mogła chociaż spojrzeć na niego?!

- Jim, to jest Kate. Kate, to Jim.

Jim popatrzył na doktora w osłupieniu.

- O co chodzi? Czyżbym ci nie wspomniał?

- O czym?

- O mojej żonie.

- Żonie... ? - Jim potrząsnął głową i wetknął palec do ucha, by lepiej słyszeć. - Co powiedziałaś?

- O mojej żonie, oczywiście!

Nic nie pomogło. Spojrzał więc na nią. Twarz miała białą jak papier. Była niezwykle spięta. Co odczuwała? Paniczny strach? Wyrzuty sumienia? To i tamto! zawyrokował w porywie gniewu. Ręce mu dygotały, dobrze, że zwiesił je po bokach. *Żona.*

- Dość tego! - Doktor Goodale machnął ręką, jakby odpędzał natrętne ptaszyska. - Prezentacja skończona. A teraz biegnij i zatkaj jakoś gębę Norine, bo mleczne koktajle skisną!

I wówczas na niego spojrzała. Przez jedną króciutką chwilę, gdy światło księżycy padło na jej oczy i zaślniły jakby od łez. Potem odwróciła się i pobiegła dalej. Gotów był przyciągnąć ją z powrotem i zażądać wyjaśnień. Zrobił krok w jej stronę, zanim się



opamiętał. Gotów był... Boże, nie miał pojęcia, co w tej chwili go-tów był uczynić! Wrząca krew pulsowała mu w żyłach.

- Ładniutka, nieprawdaż? - odezwał się doktor Goodale. - Nie-stety, nic poza tym. Myślałem, że przynajmniej wyręczy mnie w wychowywaniu dzieci, ale i z tym sobie nie radzi.

I wzruszył ramionami, zmieniając temat rozmowy z taką ła-twością, jak zmieniliby zabrudzoną kamizelkę.

Jim wpatrywał się w swego starego... jak to określić?... nieprzy-jaciela, mówiąc ściśle. Bardzo wątpliwe, czy doktor Goodale miał jakichś przyjaciół. Nie zależało mu na nich. Był jednak dla Jima kimś ważnym - mentorem, który otworzył przed nim świat. Do czego zobowiązywała Jamesa taka więź?

Jak daleko sięgają granice lojalności? Czy powiedzieć dokto-rowi, że jego żona omal nie przyprawiła mu rogów w altance? Bardzo prawdopodobne, że czyniła to już setki razy. Podejrza-nie łatwo uległa nieznanemu.

Gniew mącił mu umysł, nie potrafił myśleć jasno. Był wściekły na doktora Goodale'a i na samego siebie. Co będzie lepsze: oszczędzić doktorowi przykrości, czy niezwłocznie wyjawić mu prawdę? Reakcje doktora Goodale były nieprzewidywalne; trud-no przewidzieć, jak się zachowa w obliczu powikłań uczucio-wych. Może zresztą od dawna wie o grzeszkach swojej żony, ale niewiele go to obchodzi? Jim wyrządziłby mu niedźwiedzią przy-sługę, wywlekając na jaw wstydlivy sekret, zwłaszcza że duma doktora nie pozwoliłaby mu ignorować dłużej przykrych faktów.

- Ale dość o tym. - Doktor Goodale stuknął łaską, by przy-ciągnąć uwagę Jima. - Opowiedz mi o Brazylii. Odkryłeś tam no-wą rzekę, prawda?

I wówczas Jim powiedział sobie w duchu: Zapomnij o wszyst-kim! Wymaż z pamięci każde westchnienie, każdy cał skóry, któ-rym się zachwycałeś, każdy dreszcz!

A teraz, po dwunastu latach, gdy stał tak pośrodku pokoju hotelowego pełen napięcia, bez tchu, pojął, że nigdy niczego nie wymazał ani nie zapomniął.

Przerzucił pozostawioną na stole stertę korespondencji i zna-lażł zaproszenie do udziału w Wyścigu Stulecia. Podarł je na strzępy.

### 3

Niektórzy utrzymywali, że sala balowa „Grand Hotelu” w Rose Springs stanowi wierną kopię sali bankietowej w Wersalu. Inni twierdzili nawet, że francuski oryginał nie umywa się do tej kopii. Dziś jednak sala balowa nie przypominała królewskiej komnaty. Wyglądała tak, jakby cyrk, obozowisko Beduinów i wiejski jarmark stłoczyły się tu z niejakim trudem. Kate przycupnęła na niewielkiej walizce, z którą dwie godziny temu zdołała przedrzeć się przez tłum. Zaciskała swe bezcenne zaproszenie w palcach, które zaczęły jej drętwieć. Siedziała w samym środku sali jak w oku cyklonu, spoglądała na otaczający ją zewsząd chaos i miała wrażenie, że cały świat dostał cholernego kręćka.

Nigdy dotąd nie czuła się tak obco w nowym otoczeniu. Nawet wówczas, gdy była młodziutką dziewczyną, której tak wczesnie przypadła rola czcigodnej matrony, nie osłodzona nawet tradycyjnym miesiącem miodowym. Nawet wtedy, gdy odwiedzała swą najmłodszą siostrę, która żyła... co tu owijać w bawełnę? Po prostu w chlewie. I w dodatku chwaliła to sobie!

Z lewej strony docierał do niej niepojęty zgiełk i niezrozumiały szwargot. Pewnie jakiś azjatycki królik, pomyślała, otoczony świtą, która nie tylko zawłaszczyła cały kąt, ale panoszyła się po całej sali. Wszystko kręciło się wokół niskiego, ciemnoskórego mężczyzny w szafranowych szatach. Wystarczyło, że wrzasnął, a trzech jego przybocznych wypadało z sali na złamanie karku. W orszaku znajdowało się również co najmniej pół tuzina kobiet - młodych, egzotycznych i milczących. Kate nie próbowała nawet odgadnąć, czy były żonami, córkami, sługami, czy zupełnie czymś innym.

Wysoka, koścista kobieta w spodniach (pomyśleć tylko: w spodniach!) przeszła obok Kate. Skinęła jej głową, pozdrawiając przedstawicielkę tej samej płci, i szła dalej z twarzą wysmaganą wi-

chrem, w brązowym kapeluszu z rondem opadającym na czoło, z postawą pełną godności i pewności siebie.

Na sali znajdował się jeszcze jeden zawodnik równie samotny jak Kate. Raczej młody, choć - prawdę mówiąc - trudno się było tego domyślić, gdyż spowijało go od stóp do głów białe płótno. Ujrzała tylko skrawek jego twarzy. Głęboko osadzone ciemne oczy wędrowały po sali z żywym zainteresowaniem. Nie odezwał się ani razu.

W najbardziej odległym kącie sali zakotłowało się. Wrzaski, gwałtowne ruchy, ożywiona gestykulacja. Dwóch imponująco umięśnionych osiłków przepchało się przez ciżbę i wywlokło jakiegoś okrągłutkiego, łysiejącego faceta.

- Proszę tylko spojrzeć! - odezwał się do Kate mężczyzna w eleganckim tweedowym garniturze, który nagle zmaterializował się koło łokcia Kate. - Konkurencja! Założę się, że z „Journala” albo z „Worlda”. - Zachichotał. - Mieli twardy orzech do zgryzienia, gdy ogłosiliśmy oficjalnie wyścig. Czy zignorować kompletnie imprezę i stracić sensacyjny materiał, czy też odnotować to wydarzenie na swoich łamach i zrobić nam darmową reklamę? - Skinął głową nieszczęśnikowi, którego wywlekano właśnie z sali. - Joseph Kane przesądził sprawę, oświadczając publicznie, że żaden reporter z innej gazety nie będzie miał prawa wstępu. No, ale nie dziwię się, że spróbowali.

- Wybacz pan, nie rozmawiam z nieznanymi.

Uchylił lekko kapelusza.

- Pozwoli pani, że się przedstawię. Charlie Hobson, z „Daily Sentinela”. - Sprawdził godzinę na kieszonkowym zegarku, którego łańcuszek dyndał mu na kamizelce. - Jeszcze kwadrans... i bomba w górę! Sprawdzam tylko, czy wszyscy uczestnicy już się stawili. - Zerknął wymownie na jej zaproszenie. - Pani zapewne...

- Nie udzielę panu żadnych informacji, póki mi pan nie udowodni, że jest tym, za kogo się podaje.

W odpowiedzi uśmiechnął się od ucha do ucha; błysnęły równe, białe zęby pod czarnym imponującym wąsem.

- Wie pani, ile osób zażądało ode mnie świadectwa tożsamości? Tylko dwie. Pani... i ten tam! - Wskazał nieruchomą postać w fałdzistych białych szatach. - Podobno to syn emira. Ale zadał mi tylko to pytanie, a potem nic już nie zdołałem z niego

wycisnąć. - Znów uśmiechnął się do Kate. - Widzi pani... pomagałem przy sporządzaniu listy zawodników i jestem absolutnie pewny, że nie przeoczyłbym kogoś takiego jak pani. No, proszę powiedzieć: skąd ma pani to zaproszenie?

- Czy to istotne? - przerwała mu. - Przystudiowałam regulamin bardzo starannie i stało tam czarno na białym, że posiadacz zaproszenia ma prawo do udziału w wyścigu.

- Hmm... - Pogmerał w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął bloczek i ogryzek ołówka. - Chętnie bym się dowiedział, a moi czytelnicy również, jak pani zdobyła to zaproszenie.

- Mam nadzieję, że nie zebrało ci się na opowiadanie bajeczek, Katie, moje złotko! - Kate zeszywniała, zanim jeszcze Jim położył rękę na jej ramieniu. - A panu nie radzę wykorzystywać rewelacji, których z pewnością nie poskapi ta notoryczna kłamczucha. Lubi udawać damę z towarzystwa, wyobrażasz sobie, kolego?

- Doprawdy - odparł reporter doskonale obojętnym tonem - chyba nie miałem przyjemności... - Zmrużył oczy i przyjrzał się uważniej. - Lord Bennett?!

Jim skinął głową z godnością monarchy odbierającego należny mu hołd.

- We własnej osobie.

- Nie miałem pojęcia, że zgłosił pan swój udział w wyścigu, milordzie!

- Doprawdy? Trudno sobie wyobrazić, że przeoczył pan taką sensację. No, cóż... Zbyt wiele papierkowej roboty, człowiek nie ma kiedy powęszyć, co?

- Nie mogę w to uwierzyć! - Hobson wetknął bloczek do kieszeni. - Zawarłem właśnie przemiłą znajomość z pańską...

- Nie wątpię - przerwał mu gładko Jim. - Moja Katie potrafi być jeszcze miłsza.

- Wyobrażam sobie! Musimy jednak zdobyć dane o wszystkich uczestnikach wyścigu.

- To Katie Riley. Moja... asystentka.

Kate otwierała już usta, by zaprotestować, ale Jim ostrzegawczo ścisnął ją za ramię tak, że skrzywiła się z bólu.

- Już prawie południe. Najwyższy czas ruszać w drogę, nieprawdaż?

- Chyba tak. - Hobson zastanowił się przez chwilę. - Będę towarzyszył zawodnikom jako korespondent specjalny. Codzienne sprawozdanie z trasy wyścigu. Z pewnością nieraz się spotkamy.

- Czarująca perspektywa.

Oddalił się spacerowym krokiem, zmierzając ku podwyższeniu, które wzniesiono na drugim końcu sali. Raz tylko przystanął, by zamienić słówko z jakimś olbrzymem.

- Widzisz tego faceta, z którym rozmawia nasz pismak? To baron von Hussman. Pierwszy zdobywca Chimborazo. - Jim westchnął z żalem. - O jeden niedosiężny szczyt mniej.

Kate strąciła z ramienia rękę, którą Jim najwidoczniej zapomniał stamtąd zabrać.

- Katie Riley? Cóż to ma znaczyć?!

- Naprawdę sobie życzysz, by wydrukował w swoim piśmie, że Kathryn Goodale wędruje wokół świata w moim towarzystwie, i to bez żadnej przyzwoitki? Z twojej reputacji nie zostałyby nawet strzępy - oznajmił beztrasko. - Nie miałabyś już po co wracać do Filadelfii, gdyby się to rozniosło. Kto by się z tobą ożenił?

Zgrzytnęła zębami.

- Nie rozglądam się za kandydatem na męża.

- Może nie w tej chwili - ustąpił. - Ale jeśli ten wyścig zaprowadzi nas, powiedzmy, na pustynię Gobi... No, cóż... Powiem tylko, że nie miałbym ci za złe, gdybyś zdecydowała się na bezzwrotny powrót do domu. Byłaby to całkiem naturalna reakcja.

- Doprawdy? - Poczwała nagłą pokusę, by podejść dumnym krokiem do platformy i oznajmić całemu światu, że wdowa po doktorze Goodale postanowiła zastąpić go w tym wyścigu. Opanowała się jednak. Drażniło ją przede wszystkim to, że Jim prawdopodobnie miał rację. Oczywiście nie wtedy, gdy przypisywał jej chęć powtórnego zamażpójścia. Miała zdecydowanie dość małżeństwa. Do końca życia! Nikt jej na to nie namówi. Ale nieskalana reputacja to nie tylko przynęta dla ewentualnych konkurentów. Po co miałaby ją szargać? Wcale by się nie ucieszyła, gdyby jej zwariowana wyprawa z Jimem (bez przyzwoitki!!!) dostała się na pierwsze strony gazet i cały świat wziął ich na języki.

- Mówiłam ci, żebyś się nie fatygował! - stwierdziła lodowatym tonem, ignorując cichutki głos sumienia przypominającego jej, że na widok Jima poczuła wyraźną ulgę.

- Mówiłaś mi mnóstwo rzeczy - odparował. - Nie widzę powodu, by nagle uwierzyć w akurat te bzdury.

- Nie mogę jechać z tobą.

- Beze mnie też.

- Wkrótce się przekonamy. Ale z tobą nie pojedę, i już!

- Doskonale. Zostań tu. Tak czy owak, podzielę się z tobą nagrodą. Nie, nie! - Przyłożył palec do ust Kate, by uciszyć ją na dobre, a jej głupawe serce zaczęło bić na alarm. - Nie musisz mi dziękować. Wiem, że to bardzo ładnie z mojej strony. Ale czegoż bym nie zrobił dla wdowy po naszym doktorze!

- Nie zostanę tutaj! - zdołała wreszcie wykrztusić.

- Wobec tego jedziemy razem - powiedział. - Takeś się wystroiła na spotkanie z przygodą? - spytał Jim, oglądając ją ze wszystkich stron. Z trudem powstrzymywał śmiech. Spodziewał się, że Kate ubierze się niedbale w zgrzebne łachy... A tu spódnica koloru khaki o surowym niemal kroju, biała bluzka z jakiegoś połyskliwego materiału, ozdobiona dwiema wstawkami z koronki, zadziorny kapelusik, który tak przyciągał uwagę do jej twarzy, że nie można było potem oderwać od niej oczu. Wszystko to w polowych warunkach niebawem straci szyk. Musiał jednak przyznać, że w tej chwili wyglądała zachwycająco. Nic dziwnego, że ten piśmak kręcił się w pobliżu.

Kate spojrzała na niego wilkiem.

- Wolałbyś pewnie, żebym się ubrała jak to czupiradło! - machnęła pogardliwie ręką w stronę wysokiej kobiety w spodniach, pograżonej w rozmowie z Chińczykiem sięgającym jej zaledwie do nosa.

- Pani Latimore?

Kate błyskawicznie odwróciła głowę i przyjrzała się dokładniej.

- To naprawdę ona?

- Wyszłoby ci na dobre, gdybyś wzięła z niej przykład. Potrafiła przeżyć, zdana tylko na własne siły, w dżungli nad Amazonką, kiedy jej łódź wyrzuciła się do góry dnem. Ona jedna ocalała z całego zespołu.

- Czytałam o tym.

- Możesz sobie wyobrazić - ciągnął Jim - co to było za piekło? Jej przewodnicy padali jak muchy. Były za to owady wielkości pięści i węże grubsze niż twoje ramię. Podobno, gdy wy-

rwała się wreszcie z tej dżungli, okazało się, że zabrała stamtąd na pamiątkę trzy pasożyty, każdy innego gatunku. Jak...

- Przestań!

Kate nie tylko przebiegł dreszcz, ale trochę jakby pozieleniała.:

Długo tego nie wytrzyma, pomyślał optymistycznie Jim. Mimo wszelkich przeciwności losu udzielił mu się nastrój radosnego oczekiwania. Po tragedii w Arktyce nie było mu spieszno do następnej ekspedycji. Cena takiej przygody bywała niekiedy zbyt wysoka, a wspomnienia zbyt okrutne. Podczas wyprawy do bieguna północnego jego wspólnik i przyjaciel Matt stracił życie, a on radosną pewnością siebie, wiarę w to, że jest w stanie rozwiązać każdy problem i zapewnić bezpieczeństwo wszystkim, za których czuł się odpowiedzialny.

Tym razem, niestety, nie była to ekspedycja naukowa. Nie pociągała Jima również perspektywa gnieźdzenia się główka przy główce ze wszystkimi niemal podróżnikami, z którymi stawał nieraz w zawody.

- Tylko jedna walizka, Kate? Jestem pod wrażeniem! - trącił lekko noskiem buta jej bagaż. - Za duża, oczywiście. Sądzę jednak, że zdołasz bez trudu odsiać zbędny balast i zostawić tylko to, co niezbędne.

- Resztę bagażu pozostawiłam w stajni.

- Wobec tego lepiej sprawdź, czy nie zostało tam nic przydatnego w podróży, bo te walizy nie tylko są w stajni, ale w niej pozostaną.

- Mowy nie ma! Jak...

- Kto by pomyślał! Sprzeczką kochanków, co?

Przymilny ton i włoski akcent tego fałszywca Nobile nic a nic nie osłabły! pomyślał zde gustowany Jim, gdy niechętnie odwróciwszy się zobaczył, że Nobile nie tylko skłonił się wdzięcznie Kate, ale zdążył się już przypiąć do jej rączki. Kate uśmiechała się czarująco, kusząco i obiecująco do tego makaroniarza; wyraz jej twarzy był całkiem inny niż podczas ustawicznych sprzeczek z Jimem. A na dobitkę to Włoszysko miało czelność zwrócić się do niego:

- Bennett, stary druhu, nie przedstawiśz mnie swej uroczej...

- Asystentce.

- Asystentce? - Hrabia uniósł ciemną brew. - Wyobrażam sobie, jak bezcenne są jej usługi!

Nie puszczał ręki Kate i delikatnie wodził palcem po grzbiecie i wnętrzu dłoni, częściowo osłoniętej koronkowym mankietem.

- Od Wortha?

- Jest pan niezwykle spostrzegawczy, panie...

- Hrabio - odpowiedział. - Hrabia Basilio Nobile, do pani usług. - Złożył elegancki ukłon. - A na moje usługi nikt się jeszcze nie skarżył - dodał znacząco.

Jim skrzywił się niemiłosiernie, spróbował to ukryć, ale jakoś mu się nie udało.

- Ładnie z twojej strony, Nobile, żeś się z nami przywitał. Nie będziemy ci zabierać cennego czasu. Z pewnością chcesz się jak najlepiej przygotować do drogi.

- Skądże znowu! Przygotowałem wszystko, co trzeba, dawno temu - mruknął hrabia, nie odrywając gorącego spojrzenia od Kate. - Nie należę do tych, co zostawiają wszystko na ostatnią chwilę.

- Widziałem, jak któryś z pismaków dobierał się do twojego ekwipunku.

Hrabia Nobile westchnął.

- Obawiam się - zwrócił się bezpośrednio do Kate poufnym tonem - że powinienem zniknąć, nim nasz wspólny przyjaciel zapomni o swych dobrych manierach.

- Lord Bennett? - Kate rzuciła mu z ukosa chytre spojrzenie. - Nie wierzę, żeby był do tego zdolny!

Włoch raz jeszcze poklepał małą rączkę Kate i z wyraźnym żalem rozstał się z nią.

- Z pewnością nieraz się jeszcze spotkamy na trasie wyścigu. Gdyby w jakimś trudnym momencie doszła pani do wniosku, że lepiej byłoby... zmienić szefa, mam nadzieję, że zechce pani zwrócić się do mnie.

- Zachowam to w pamięci - obiecała.

Jim jakimś cudem powstrzymał się od wybuchu do chwili, gdy Nobile znalazł się poza zasięgiem głosu.

- Gdybym to ja wystąpił z taką propozycją, oberwałbym po gębie!

Uśmiechnęła się z wyraźną satysfakcją.

- Całkiem możliwe.

- Rozumiesz chyba, co on ci proponował?

- A niech proponuje, co mi to szkodzi? Gdybym tak reago-



wała na każdą dwuznaczną propozycję, którą otrzymałam przez te wszystkie lata, nie miałabym czasu na nic innego: prałabym po gębie od rana do nocy!

... A ile takich propozycji przyjęła łaskawie?

Ta myśl, niczym żrący kwas, wypaliła w umyśle Jima piętno nienawiści, które ograniczało zasięg jego wzroku i paliło go żywym ogniem.

Dobre i to, że nie oberwał jeszcze od Kate po gębie. Nie był taki zarozumiały, by sądzić, że znaczył dla niej więcej niż pozostali wielbiciele. Nie łudził się, że przez te wszystkie lata od chwili, gdy się spotkali, a zapewne i dobrych kilka lat przedtem, odrzucała hołdy innych wielbicieli z taką swobodą i naturalnością jak wredne umizgi tego makaroniarza!

- Bennett! Co za miła niespodzianka!

Boże święty! pomyślał Jim. Jeszcze jeden?!

Odwrocił się do kolejnego znajomka z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

- A, to pan, majorze?

Major Huddleston-Snell wyglądał tak, jakby nie przed dziesięcioma laty, ale dopiero co opuścił szeregi armii. Postawa dumnie wyprostowana, twarz rumiana i czerstwa, ubranie bez najmniejszej fałdki czy plamki.

- Dawno się nie widzieliśmy. Ile to już lat?

- Nie liczyłem.

- Doprawdy?

Major postukał delikatnie palcem w swój rumiany policzek i zamyślił się głęboko.

- Już mam! Szukaliśmy wtedy źródeł Zambezi, nieprawdaż? Przykro mi, że tak się to skończyło. Nie wyruszyłbym z pewnością, gdybym wiedział, że zmierzasz w tym samym kierunku. Nie było sensu, żebyśmy pojechali obaj i wchodzili sobie w drogę.

- Też tak uważam.

Jim dałby sobie głowę uciąć, że ten typek przekupił jednego z tubylczych przewodników pokaźną sumką, by zdradził mu, dokąd zmierza „lord Bennett”. Ale, oczywiście, nie był w stanie tego dowieść.

- I kto by pomyślał, że natknę się na kopalnię diamentów? Ale względy materialne nigdy nie były dla mnie najważniejsze.

Jak dobrze wiesz, motorem moich działań jest przede wszystkim dociekliwość naukowca. Ale sam przyznasz, że ogromnie ułatwia życie pewność, iż w najbliższej przyszłości nie zabraknie pieniędzy na wyprawy naukowe. - Zamrugnął oczyma, jakby nagle zdał sobie sprawę ze swego *faux-pas*. - Nie miałem zamiaru...

- Ma się rozumieć.

Nigdy, psia krewo, nie miał złych zamiarów, sprząając Jimowi sprzed nosa nagrody, do których dążył z najwyższym samozaparciem. Nie miał złych zamiarów nawet wtedy, gdy... - *Wybacz, staruszkule, naprawdę tego nie chciałem*] - napuścił rozwścieczone i łaknące krwi plemię na obóz Jima.

- Cóż to? Nie przedstawiś mnie swojej uroczej towarzysze?

- Jakbyś zgadł.

- Doskonale rozumiem, że wolisz zachować to cudo dla siebie, ale nie przypuszczałem, że aż tak boisz się konkurencji!

- Pożyjemy, zobaczymy.

- Niech i tak będzie. - Major Huddleston-Snell uchylił kapelusza i odezwał się do Kate, która obserwowała cały incydent z chłodnym zainteresowaniem: - Jestem pewien, że nie zabraknie nam sposobności do zawarcia przyjaźni.

Wyprężony jak struna oddalił się marszowym krokiem i wkrótce zniknął w tłumie.

- No, no! - odezwała się Kate. - Widzę, że zawarłeś mnóstwo przyjaźni w różnych stronach świata. Aż dziw bierze, że w ogóle wyściubiasz nos z dżungli!

- Tutaj też potrafią mnie dopaść. - Skrzyżował ramiona na piersi. - Wszystko powinno pójść gładko, jeśli od samego początku ustalimy pewne reguły i będziemy się ich trzymać. Każda wyprawa, bez względu na liczbę uczestników, powinna mieć dowódcę, który...

- Zgadzam się z tobą całkowicie.

Kate podniosła się wreszcie ze swego tronu i poprawiła fałdy spódnicy. Ułożyły się znów wdzięcznie na jej uroczych okrągłościach. Tragarz dźwigający trzy walizy tak się zagapił, że omal nie wywinął kozła. Jim doszedł do wniosku, że nazajutrz zdobędzie dla Kate coś, co bardziej zasługuje na nazwę „odzienie”. Już on ją odzieje od stóp do głów!

- I nie ulega wątpliwości, że w naszej sytuacji muszę nim być *ja*.

- Co takiego?! Nie znalazłabyś stodoły zaraz za chałupą!

- Jestem świadoma tego, że w pewnych sytuacjach należy korzystać z usług eksperta - powiedziała z takim opanowaniem, że miał ochotę potrząsnąć nią tak, by jej zimna krew wreszcie zakipiała. - I właśnie dlatego zwróciłam się do ciebie. Ale to ja wystarałam się o zaproszenie i ja zamierzam finansować całe przedsięwzięcie. Ty jesteś po prostu wynajętym...

Bardzo niemiły dla ucha głos gongu zagłuszył resztę jej oświadczenia i uniemożliwił Jimowi replikę.

Wszyscy obecni, co do jednego, zwrócili się w stronę podwyższenia wzniesionego w najodleglejszym kącie sali, by piątka zasiadających na nim dżentelmenów w ciemnych garniturach prezentowała się imponująco na tle wysokich okien.

Charlie Hobson wystąpił do przodu z kciukami zatkniętymi w kieszenie kamizelki.

- Witajcie! - huknął. - Mam nadzieję, że wszyscy wiedzą, po co, u licha, zwołaliśmy tu tyle luda. - Przerwał w oczekiwaniu na spontaniczny śmiech zebranych. Nie doczekał się i ciągnął dalej. - Choć papież, prezydent i królowa twierdzą zgodnym chórem, że nowe stulecie rozpocznie się dopiero za rok, my dobrze wiemy, co się dzieje, gdy na kalendarzu po dziewiętnastce mamy dwa zera. Może nie? - Tym razem dostał zasłużone brawa. Uśmiechnął się, bardzo z siebie rad, po czym kontynuował: - Reguły gry, którą właśnie rozpoczynamy, są bardzo proste. Zaraz otrzymacie pierwszą wskazówkę, która zaprowadzi was do następnej, ta zaś do trzeciej, i tak dalej. Ten uczestnik wyścigu, który jako pierwszy dotrze do mety, dostanie na rączkę pięćdziesiąt tysięcy dolarów. - W tłumie rozległy się podniecone szepty. Hobson gestem ręki przywrócił spokój. - Jeśli jednak nikt nie dotrze do celu przed północą, gdy stary rok odchodzi, a nowy przybywa, nagroda zostanie wycofana. - Zrobił przerwę, by wszyscy mogli to sobie przemyśleć. - Mówimy o północy czasu miejscowego. To znaczy czasu obowiązującego w rejonie, gdzie znajduje się meta.

Ku własnemu zdumieniu Kate uległa euforii, która ogarnęła wszystkich zebranych w tej sali. Uczucie to było jej tak obce, że nie od razu je zidentyfikowała. Nastrój oczekiwania... radosne podniecenie... Jej serce rozszalało się w niepokojący sposób.

- No, gdzie ta pierwsza wskazówka! - wrzasnął ktoś z tłumu niedaleko podwyższenia.

Hobson zachichotał. Był zachwycony, że uwaga wszystkich koncentruje się na jego osobie.

- Jeszcze jedna przestroga. Każdy zawodnik, bez wyjątku, przyłapany na utrudnianiu zadania innym lub na jakichś szacherkach ze wskazówkami, zostanie bezzwłocznie wyeliminowany z gry.

- Nie psuj ludziom frajdy, świętoszku! - burknął Jim i wrzasnął, gdy oberwał od Kate łokciem po żebrach.

- A teraz... - Reporter zawiesił głos i wyciągnął rękę.

Młoda dziewczyna o dziecięcej niemal buzi podeszła do niego szybkim krokiem, wdzięcznie dygnęła i złożyła na wyciągniętej dłoni żurnalisty ozdobny zwój. Bez pośpiechu rozwiązał szkarłatną wstążkę i rozwinął zwój.

- No, czytaj -wreszcie! - rozległo się znów wołanie, a po nim ogólny pomruk aprobaty.

- Dobrze, dobrze, już się robi! Życzę wszystkim powodzenia! Po czym zaczął recytować śpiewnym głosem:

*Wieje, wieje wiatr na wschód,  
Mknie na zachód rażno,  
Lecz zagląda często tu,  
Gdzie kukułcze gniazdo.*

*Czy cię zwabi srebrny nów,  
Czy poranku jasność?  
Czy przylecisz, wietrze, tu,  
Gdzie kukułcze gniazdo?*

Na sekundę zaległa cisza i wszyscy wstrzymali dech. I zaraz potem zapanował dziki zamęt. Ciżba ludzka wrzeszczała, przepychała się i gniotła, jakby ktoś zawołał: „Pali się!”, w wypełnionym po brzegi teatrze. Wszystko odbywało się w takim tempie, iż miało się wrażenie, że minęła tylko krótka chwila, nim Jim i Kate zostali sami w pustej sali. Niebieski szal z frędzelkami, strzępy papieru, rozsypana prażona kukurydza, przywiedły bukiecik i tym podobne odpadki zaśmiecały parkiet. Z jednego z kinkietów zwisała serpentyna.

Ciemnozielony płócienny plecak, który Jim zarzucił sobie na ramię, wylądował znów na podłodze, a właściciel poszedł za jego przykładem. Wyciągnął się na całą długość i oparł wygodnie głowę na poduszce z własnych splecionych ramion.

- No i co dalej, szefowo? - zagadnął beztróskim tonem.

## 4

### **Pierwszy raport Charliego Hobsona, specjalnego korespondenta „Daily Sentinelą”**

Ruszyli!

*Nigdy jeszcze świat nie oglądał czegoś podobnego: istna armia tytanów stłoczona w czterech ścianach!*

*Każdy z tych herosów dysponuje potężną bronią: doświadczeniem, żelazną wolą i niezwykłą determinacją. Każdy z nich koncentruje wszystkie swe siły: ciała, umysłu i charakteru, na jednym wspólnym dla wszystkich celu: wygrać wyścig Stulecia! Wspólnym, rzecz jasna, tylko na starcie. Na mecie stanie zwycięzca.*

*W ciągu najbliższych trzech miesięcy Wasz specjalny korespondent, Drodzy Czytelnicy, dołoży starań, by przekazywać na gorąco wszelkie informacje na temat tej unikalnej imprezy.*

*Chciałbym też umożliwić Wam oglądanie Wyścigu Stulecia niejako „od podszewki”: odmalować atmosferę panującą wśród naszych zawodników, podzielić się od czasu do czasu zabawnymi anegdotkami, ploteczkami, może nawet... skandalikami?*

*Otóż i pierwsza sensacyjna wiadomość!*

*Dosłownie w ostatniej chwili dołączył do naszego grona słynny podróżnik i angielski arystokrata, lord Jim Bennett. I to nie sam, lecz w towarzystwie czarującej... asystentki, panny Katie Riley.*

*Zainteresowanych tym - i nie tylko tym - tematem gorąco za-*

*chęcamy do nabywania następnych numerów naszej gazety!  
Znajdziecie w nich, Drodzy Czytelnicy, dalsze relacje Waszego  
specjalnego korespondenta!*

Kate krążyła niespokojnie po pustej sali.

Zapisała pieczołowicie słowa dziecinnego wierszyka, który miał stanowić pierwszą wskazówkę dla uczestników wyścigu. Rozłożyła tekst na wieku swojej walizki razem z dwiema mapami (jedna - Stanów Zjednoczonych, druga - całego świata). Była szalenie dumna z siebie, że pomyślała o zabraniu ich. Ale wpatrywała się w te mapy i wpatrywała, omal nie dostała oczopląsu, a żadne inteligentne rozwiązanie ani rusz nie przychodziło jej do głowy.

Od chwili gdy sala balowa opustoszała, Kate niejednokrotnie próbowała uspokoić się i zastanowić... Ale już w następnej chwili coś podrywało ją na nogi. Wyglądało na to, że od wielu tygodni zbierała zapasy energii na tę właśnie chwilę... i teraz owa energia dosłownie ją rozpierała. Pragnęła wyruszyć w drogę, dołączyć do wyprawy, ale pod ręką nie miała niczego, na czym mogłaby wyładować ten nadmiar energii. I właśnie to doprowadzało ją do szału.

Jim - w przeciwieństwie do niej - zdawał się nie mieć żadnych problemów tego rodzaju. Z plecakiem pod głową, na zaśmieconej podłodze, czuł się widać równie wygodnie jak wśród niezrównanych poduszek hotelowych w Rose Springs. Poprosił grzecznie Kate, by obudziła go natychmiast, gdy wykoncytuje, dokąd mają się udać, po czym zasnął tak spokojnie jak niemowlak po szczodrej porcji maminego mleka. Jeszcze jedna pozycja na długiej liście irytujących wad Jima Bennetta!

Kate przestała na chwilę krążyć po sali, gdyż omal nie wpadła na monstrualnie wielkie stopy Jima. Spiorunowała leżącego takim spojrzeniem, że powinien, należycie przypieczony, zerwać się z podłogi z dzikim wrzaskiem. Lista jego nieznośnych wad była wystarczająco długa, by zapełnić notatnik reportera od deski do deski. I jeszcze sporo by ich zostało! Wielka szkoda, że spis jego cnót byłby o wiele krótszy.

Kate potrzebowała jednak jego pomocy, jeśli chciała wygrać ten wyścig. A tymczasem pogrążony we śnie Jim wyzbył się całego napięcia i wylegiwał się w niedbałej pozie na podłodze sali

balowej, jakby to było jego własne łóżko. Z lekko rozchylonymi ustami i z brunatną szczecinką na policzkach i szczęce, był taki... taki... piękny, do wszystkich diabłów!

Ten przymiotnik wcale nie pasuje do mężczyzny, dumiała Kate. Zawsze była tego zdania. Ale cóż z tego? W zestawieniu tych słów, „Jim” i „piękny”, kryła się jakaś prastara, głęboka i bezsporna prawda. Na takie piękno można patrzeć przez całe życie i nigdy się nam nie znudzi.

- Pszepani?

Kate odwróciła się błyskawicznie. To tylko kolejna sprzątaczką ze ścierką w jednej ręce a wiaderkiem w drugiej, czekała potulnie na progu, aż goście raczą się wynieść, umożliwiając jej wymięnienie z sali wszelkich odpadków, pozostałych tu po wczorajszej inauguracji Wyścigu Stulecia. Kate przypominała sobie ze skruchością, że jeszcze przed północą zdążyła wyrzucić bez ceremonii trzy inne służące. I to tak brutalnie, że na samo wspomnienie robiło jej się głupio. Jednak widok tych kobiet kojarzył się Kate z bolesną świadomością własnej przegranej i przypominał, jak bardzo wyprzedzili ją współzawodnicy i jak szybko połapali się w treści wierszyka-wskazówki.

- Możesz już zabrać się do sprzątania, moje dziecko - oznajmiła, wskazując pokojówce szerokim gestem całe wnętrze.

- Och, nie! - odparła dziewczyna, robiąc wielkie oczy. Była zdumiona tą sugestią. - Nie wolno nam sprzątać pokoju, póki goście nie wyjdą. Chciałam tylko spytać: może pani w czymś pomóc?

Kate westchnęła.

- W niczym mi nie pomożesz, dziewczyno, chyba że znasz rozwiązanie pierwszej zagadki.

- Nie znam, pszepani - odparła służąca z wyraźnym żalem. - Ale może spróbuję popytać...

- Nie fatyguj się. Daj nam jeszcze dziesięć minut, to ci zejdziemy z drogi.

Od świtu minęła dopiero godzina, najwyżej dwie. Od dawna wygaszono gazowe oświetlenie, ale w sali nie było ciemno: księżycowa poświata wpływała do wnętrza przez wysokie okna, zakończone u góry łukiem. Srebrne błyski pełzały po złoconych ścianach i pokrywały nieskazitelne tafle luster, umieszczonych pomiędzy oknami. Cienie nocy i blask księżyca... Z tym właśnie

kojarzył się jej Jim przez te wszystkie lata. A teraz, gdy znów ujrziała go w podobnej scenerii i okazał się jeszcze przystojniejszy niż myślała, Kate poczuła nieznośny ucisk w piersi; nie mogła zaczerpnąć tchu.

Zbliżyła się do niego o dwa kroki.

- Auuu!

Jim błyskawicznie usiadł na swym legowisku, pocierając poszkodowany czubek głowy.

- O, przepraszam! Czyżbym na ciebie wpadła? - spytała słodko Kate. - Ogromnie mi przykro. Tak tu ciemno, a ja...

- Ciemno! - wykrzywił się paskudnie. - Pewnie, że ciemno jak u Murzyna w...

- Ale teraz, kiedy już się obudziłeś, ruszamy w drogę. Służba hotelowa chce jak najprędzej uprzątnąć tę salę.

Zamrugał kilkakrotnie oczyma, po czym zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- A ty wściekniesz się do reszty i zaczniesz chodzić po ścianach, jeśli zostaniemy tu chwilę dłużej, co?

- Ja... - Już miała zaprzeczyć, ale wzruszyła ramionami. Po co udawać? - Już jestem wściekła, bo wszyscy nas wyprzedzili, a my ciągle tu tkwimy!

- Hmm... - Jim ziewnął i potarł swój szczeciniasty podbródek. - To, że wypadli z hotelu i objijają się gdzieś w plenerze, nie świadczy jeszcze, że wiedzą, dokąd iść. Czym się tu irytować?

- Tym, że wygłupiliśmy się i zostaliśmy na szarym końcu!

- A może to oni się wygłupili, gnając na oślep, podczas gdy my, istoty rozumne, kierujemy się zasadą: „Spójrz, zanim skoczysz!”? Taki nierozważny skok nieraz trzeba przyplącić głową. Sam byłem tego świadkiem i naprawdę nie doradzam tej metody, Kate.

- Ale nie mamy pojęcia, co robić dalej!

Wzruszył ramionami z absolutną obojętnością.

- Odpadły nam dwie możliwości: nie jedziemy na północ, ani na południe.

- Stokrotne dzięki! Dużo nam to da! - Niepokój przebijał z całej postaci Kate. Jej ruchy były kanciaste, nieskoordynowane. - Z każdą sekundą oddaliśmy się od czołówki o całe mile! Czuję to, rozumiesz?!



Jim pogodził się z myślą, że nie ma już mowy o przyłożeniu się znów do poduszki i powrocie w krainę snu. Gdy podnosił się i prostował plecy, kości trzeszczały mu wyjątkowo paskudnie..

Dawniej mogłem się przespać na litej skale, a organizm ani myślał protestować! stwierdził gorzko. Jak tak dalej pójdzie, dołączy do zniewieściałych gogusiów, z których tak się wyśmiewał! Podróżowało toto z rodzowym serwisem do herbaty i sypiało w łożu z baldachimem, haftowanym w herby. Nie wspominając już o wszelkich innych wygodach, które taszczyła, rozstawiała i znów demontowała gromada wiernych sług.

- Zesztywniałeś na twardej podłodze, co?

Bez wątpienia Kate wolałaby podróżować z tamtymi delikacikami!

- Ani trochę! - odparł i aby udowodnić, że jest w znakomitej kondycji, zaczął z zapałem ćwiczyć podskoki. - Gimnastyka dobrze robi na postawę. I na charakter. Nie mam zamiaru dołączać do mięczaków. - Ziewnął potężnie. - Pozwól, że podzielę się z tobą tym, co podpowiada mi zdobyte w trudach życia doświadczenie.

- Bardzo proszę.

Zabrzmiało to słodko, ale wyczuł w jej tonie tyle sarkazmu, że sprawiło mu to niemal fizyczny ból.

- Po pierwsze: tylko ostatni głupiec miota się we wszystkie strony, jeśli nie jest pewien, dokąd i po co ma się udać. Cholerna strata energii i pieniędzy.

Kate zacisnęła wargi. Widocznie chciała zaprotestować, ale doszła do wniosku, że nie warto strzepić języka po próżnicy.

- Po drugie: wyniszczanie organizmu jest równie głupie. Może się też okazać tragiczne w skutkach.

- Tragiczne?

Kate zbladła.

- A tak. Tragiczne. Pomimo tego cyrku, który urządzone, wczoraj na otwarcie wyścigu, nie będzie on dziecinną zabawką. O wiele trafniejsze decyzje podejmuje się po odespaniu trudów. A co gorsza, niekiedy w trakcie wyprawy trudno przewidzieć, kiedy można się będzie trochę przespać. Pamiętam do dziś, co doktor wpoił mi podczas jednej z początkowych lekcji: jak można zapaść momentalnie w głęboki, krzepiący sen, gdy ma się kilka wolnych minut.

- Dajesz mi taktownie do zrozumienia, że powinnam się przespąć?

- Niczego nie daję do zrozumienia. Zwłaszcza taktownie.

Rzeczywiście, nie widział takiej potrzeby, gdy przyjrzał się bacznie Kate. Oczy zaczerwienione, smugi pod nimi fiołkowo-szare. Nie najlepszy dobór kolorów. Nie miał jednak zamiaru podnosić tej kwestii, chyba że konieczność by tego wymagała.

- Nie mogłam zasnąć - pożaliła się, przegarniając nerwowo palcami grzywę włosów, które wymknęły się z upięcia. Ciekawe, czy ta rozkoszna gęstwina loków, opadająca jej na ramiona w kuszącym nieładzie, to spontaniczny cud natury, czy przemyślane do ostatniego loczka dzieło sztuki?

- Następnym razem spróbuj się przymusić jak do niesmacznego lekarstwa - poradził.

- To niewykonalne - odparła, krzywiąc usta w pogardliwym uśmiechu, dostrzegłszy mnóstwo koców, z których umościł sobie legowisko.

- Taki z ciebie delikacik, że nie możesz się przespąć na podłodze sali balowej? Wyobrażam sobie, jakie będziesz wyprawiać brewerie podczas pierwszego noclegu w dżungli! To dopiero będzie widowisko!

Kate zeszytniała.

- Spałam już na podłodze! - oświadczyła wyzywająco.

- No, no!

- Właśnie że spałam!

- Z tuzinem dywanów pod pupcią?

- Nie było dywanu!

Zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

- Kiedy to było?

Znieruchomiała na sekundę; potem na jej ustach ukazał się uśmiech tak kokietyrny i zmysłowy, że minęła dobra chwila, nim umysł Jima przypomniał mu, jak niewiele znaczą podobne uśmiechy.

- Może kiedyś, jeśli będziesz wyjątkowo grzecznym chłopczykiem, opowiem ci o tym - odparła Kate, nadając swej uwadze najbardziej jaskrawy seksualny podtekst, na jaki mogła się zdobyć.

Jim doprawdy nie musiał wiedzieć, że ów jeden jedyny przypadek spania na podłodze miał miejsce podczas wizyty Kate

u siostry. Miała ogromną ochotę dać Jimowi do zrozumienia, że jej przeszłość była równie bogata jak jego.

- Nie możesz sobie przypomnieć ani jednej podobnej sytuacji, co?

- Zupełnie nie pojmuję, skąd ci się ubrdało, że znasz mnie na wylot. Spędziliśmy ze sobą najwyżej godzinę. To nie tak znów dużo w porównaniu z całym życiem!

- Niekiedy godzina wystarczy całkowicie na rozszyfrowania kogoś.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie ma co zgłębiać u osoby z ptasim mózdzkiem?

- Tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś. - Jeśli teraz, idąc za podszeptem serca, zamorduje tego typu, może się pożegnać z wygraną. A poza tym, taka nagła śmierć byłaby znacznie mniej bolesna od tortur, które z lubością obmyślała dla Jima. W ciągu kilku nadchodzących tygodni z pewnością będzie miała po temu jeszcze wiele okazji. Zdławiła więc w sobie gniew, do którego ten podlec potrafił ją doprowadzić z zatrwającą łatwością. Zmusiła się do słodkiego, bardzo kobiecego uśmiechu.

- Wiesz? Zmieniłam zdanie. Miałaś rzeczywiście rację.

- Ja miałem rację?! - zdumiał się niebotycznie.

Gdyby Kate wiedziała, że tylko tego brakowało, by wprawić go w kompletne osłupienie, przeprosiłaby się z nim dawno temu.

- Oczywiście! Powinna naprawdę wykorzystać na odpoczynek każdą wolną chwilę - zamruczała takim tonem, który każdą z jej sióstr przyprawiłby o mdłości. Jaki on zadowolony z siebie... Bodajby się udławił swoją pychą! Wślizgnęła się pomiędzy koce. Nadal zachowało się w nich coś z Jima: jego zapach, żar bijący z jego ciała... Poczuła, że wszystko w niej topnieje. - Jeszcze ciepłe - mruknęła. - Doprawdy nie pojmuję, czemu tak się przed tym broniłam!

Przeciagnęła się rozkosznie i wygięła grzbiet w łuk.

Jim wiedział doskonale, że sięgnęła po te wszystkie sztuczki, by ukarać go z rozmysłem, odpłacić mu za niepochlebne uwagi. Wiedział... a jednak zadziało się bezbłędnie, zgodnie z jej planem. W ustach mu wyschło, serce zaczęło galopować, a oczy przywarły na amen do jej apetycznych okrągłości. Dokładnie tak, jak Kate sobie tego życzyła. To był dla Jima prawdziwy cios, gdy od-

krył, że mimo wszelkich starań daje się równie łatwo wodzić za nos jak pierwszy lepszy samiec.

- To wcale nie musi być tradycyjne łóżko, prawda? - spytała miękko.

Zmysłowa jak wszyscy diabli, zawsze opanowana, podczas gdy on w szybkim tempie tracił resztki opanowania. Gapił się na Kate, choć dobrze wiedział, że z pewnością dostrzeże jego płomiennie spojrzenie i beznadziejną walkę o odzyskanie kontroli nad własnym ciałem i swymi popędami.

I wtedy właśnie Kate zarumieniła się niewinnie jak dziewczica, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, jak rażące były jej dwuznaczne wypowiedzi.

- Postaraj się zasnąć. Albo przynajmniej trochę odpocząć - dodał, widząc, że Kate chce gwałtownie zaprotestować. - Teraz ja poślęczę nad mapą i pierwszą wskazówką. Całkiem możliwe, że potknę się na nich tak samo jak ty.

Zdumiewające! Zamknęła buzię i ruchem głowy wyraziła swą zgodę.

Pospiesznie odwrócił się od niej. Zbyt często oglądał ją ostatnio na tle pościeli i wolał nie narażać się znów na pokusy. Jej powaby miały dla niego nadal urok nowości; ostatecznie spędził tylko godzinę w jej towarzystwie. A poza tym wspomnienia z lat wczesnej młodości, do których często wracał podczas pobytu w jakimś zakazanym kącie, gdy potrzebował jakiejś podpory, choćby tak mizernej. Z pewnością otrząśnie się z tej słabości na trasie wyścigu. Nawet najpiękniejszy widok z czasem spowszednieje i opatrzy się. Niewątpliwie brak doświadczenia Kate i jej wieczne skargi w krótkim czasie przesłonią jej uroki. Całkiem możliwe, że za dzień lub dwa, ilekroć na nią spojrzy, będzie odczuwał jedynie irytację.

Zabrał się do studiowania mapy, ale po chwili doszedł do wniosku, że nic mu to nie da. Rozwiązanie tej niemądrej wskazówki (czy w redakcji „Sentinela” nie było nikogo, kto zdobyłby się na coś więcej niż ten głupawy wierszyk?) nie wyskoczy samo ze złożonej mapy i nie wrzaśnie: „Nie przepuść mnie, to przecież ja!” A w dodatku on sam znalazł się na straconej pozycji. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że owo tajemnicze miejsce, w którym czekała na nich kolejna wskazówka, nie znajduje się na drugim końcu

świata. Prawdopodobnie można tam dojechać w ciągu paru dni. Jim wiedział znacznie mniej o terenach położonych w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych niż o państewkach Afryki Środkowej.

Ale z jego „asystentką” rzecz miała się całkiem odwrotnie.

- Kate, ja...

Ledwie to z siebie wyrzucił, zapomniał o dobrych intencjach i automatycznie zwrócił się twarzą do niej. Spała głęboko, z głową na jego zrolowanej kurtce, ze skotłowanymi kocami, które - podobnie jak spódnica - całkiem ją omotały. Po obudzeniu będzie musiała wyplątać się z nich. Zajmie jej to dobre pięć minut.

Z pewnością była w tym momencie mniej groźna, bardziej kobieca, odarta ze wszystkich oszukańczych sztuczek, uwodzicielskich uśmiechów i powierzchownego poluru.

Podszedł do niej, skrzyżował ręce na piersi i zapatrzył się na nią. Spała jak dziecko, z piąstką pod brodą. Rozplecione i odgarnięte za uszy loki spływały jej na kark i na plecy. Jim dostrzegał nieznaczne ślady, które pozostawiły po sobie przemijające lata. Kilka drobniutkich zmarszczek w kącikach oczu i po obu stronach ust; fałdka nad nosem, pomiędzy brwiami. Doszedł do wniosku, że te subtelne zmiany nie zmniejszają wcale jej atrakcyjności. Któż wolałby nie znającą jeszcze życia dziewczynę od pełnej sił witalnych, doświadczonej kobiety, obstającej przy swoim zdaniu, mogącej z powodzeniem wziąć udział w dyskusji, dzielić się własnymi przemyśleniami i poznawać cudze? Wybór między dziewczątkiem a kobietą równał się wyborowi pomiędzy czystym, dopiero co zagruntowanym płótnem, a namalowanym już przez artystę obrazem pełnym treści i życia, przyciągającym trafnym doбором barw.

Usta Kate otworzyły się. Wydobyło się z nich zgoła mało poetyczne chrapanie. Jim uśmiechnął się mimo woli.

- Śpij dobrze, Kate! - szepnął i zabrał się do roboty.

Odszedł!

Zajął jej to trzy pełne minuty (nie licząc bezmyślnego mrugania półprzytomnymi oczyma), nim prawda dotarła do jej świadomości. Było późno, znacznie później, niż budziła się zazwyczaj. Świadczyły o tym oślepiające promienie słońca, które wtargnęły

tu przez wysokie okna. W pustym pokoju odzywało się od czasu do czasu echo, a cała magia wczorajszego wieczoru ulotniła się gdzieś lub została wypędzona miotłą.

Przez chwilę Kate łudziła się, że Jim jest gdzieś w pobliżu; że wymknął się „na papieroska”. Ale rzeczy Jima znikły wraz z nim. Błyskawicznie ogarnęła Kate furia. Tuż za nią postępowała panika. Brakowało bagażu Jima i jego kurtki. Na szczęście, nie wyciągnął spod Kate koca, na którym spała, ale zabrał pled okrywający jej ramiona. Jeśli usiłowano kiedyś zaszcześcić w mózgu tego Angola zasady dobrego wychowania i rycerskiego wspierania dam będących w opresji, najwidoczniej zdążył o nich zapomnieć.

I na domiar złego zwędził jej mapy! Poza tym nie tknął palcem niczego, co do niej należało (włącznie z jej powłoką cielesną). Zupełnie jakby chciał dać do zrozumienia, że jedynie z map może być trochę pożytku.

- Po kiego licha mu...

Kate nie dokończyła. Wyprostowała się i jednym kopnięciem odrzuciła koc z energią, którą najchętniej wyładowała by na głowie tego niewdzięcznika.

Zawsze traktował ją bez należytego szacunku. Może nie?! Uważał ją za głupią, łatwą i do cna zdemoralizowaną. Niejeden mężczyzna drogo zapłacił za podobną pomyłkę. Niektórzy płacili, nie zdając sobie z tego sprawy.

Już ona go nauczy! Nie ma żadnych szans, biedaczek.

## 5

Nie musi czuć się winny z tego powodu.

Do wszystkich diabłów! Nie musi i nie będzie!

Ściągnął siodło z grzbietu konia, którego kupił kwadrans po tym, jak wymknął się z przeładowanej ozdobami i złoceniami, nieznośnie dusznej sali balowej. Poklepał Wodza w nagrodę za jego wysiłki. Miał szczęście: siwy wałach okazał się wyśmienitym

wierzchowcem; jednym z „końskiej elity”: dwóch tuzinów (czy coś koło tego) koni, przeznaczonych wyłącznie dla hotelowych gości. Zdobycie tego skarbu okazało się o wiele łatwiejsze niż przypuszczał. Główny stajenny nie namyślał się długo, zanim sprzedał siwka Bennettowi. Najwidoczniej kierownik hotelu doszedł do wniosku, że taki dobry uczynek może zaowocować przychylną wzmianką o ich hotelu na łamach „Sentinela”. Sława, skonstatował Jim, miewa czasem i dobre strony!

Naprawdę wyświadczył Kate przysługę, uwalniając ją od swej obecności. A poza tym sam poruszał się sto razy szybciej bez „szefowej”... i jej bagaży. Wystarczy zresztą rzucić okiem na walącą się szopę, w której zamierzał spędzić najbliższą noc. Tego rodzaju apartament nie był absolutnie w jej stylu.

Słońce opuszczało się coraz niżej, by w końcu zniknąć w gęstej dąbrowie, która rosła za... Psiakrew! Nie pamiętał nawet, co tam niegdyś stało. Stajnia? Szopa na ogrodnicze narzędzia? A może kur-nik? Wszystko jedno! Grunt, że nadal tu stało i mógł spędzić noc pod dachem, nie płacąc ani grosza. Sypiał już w znacznie gorszych warunkach.

Zresztą, nie miał wielkiego wyboru. Dotarł do celu w dobrym czasie, zmuszając Wodza do potężnego wysiłku. Chciał jak najprędzej dogonić pozostałych zawodników. Przejechał dwa razy dłuższy odcinek drogi, niż mógłby pokonać przy wydatnej „pomocy” Kate.

Podprowadził konia okrężną drogą i przywiązał go na tyłach chaty, obok imponującej kępy gęstej trawy.

- Wiem, że i ty wolałbyś znaleźć się pod dachem - szepnął - ale na razie musi ci wystarczyć to, co jest. Wyobrażasz sobie, co byśmy od niej usłyszeli, gdyby musiała spędzić noc w towarzystwie konia?

Siwek parsknął, wydmuchując energicznie powietrze przez nozdrza. Jim roześmiał się.

- Z ust mi to wyjąłeś, stary!

Wynurzył się zza węgła chaty i nagle skamieniał.

- Niech to szlag!

Kate wysiadła właśnie, wdzięcznie i elegancko, ze zgrabnego czarnego powoziku. Uśmiechała się przy tym promiennie do Charliego Hobsona, który pomagał jej zejść na ziemię. Tym razem miała na sobie ciemnoniebieski kostium podróży, a małe cacko

z ptasich piórek pyszniło się na czubku jej nieposkromionych złoty-  
ch loków. Całość robiła tak wytworne wrażenie, jakby Kate mia-  
ła właśnie wziąć udział w garden party.

Musiała energicznie wyciągnąć rękę spod jego ramienia, za-  
nim Hobson zaczął mrugać oczami i przewyciężył paralizujące  
go otepienie. Wyglądał tak, jakby za sprawą jakiegoś hipnotyze-  
ra Zapadł w sen. Puścił rękę swej towarzyszkii, Kate odwróciła się  
do Jima z idealnie uprzejmym uśmieszkiem, ale co wyczytał w jej  
oczach!... Nie wiedział - śmiać się czy płakać?

- Lord Bennett! Tak mi się zdawało! - powiedziała z ożywie-  
niem. - Co za szczęście, że od razu natknęliśmy się na siebie!

- Istotnie. Wielkie szczęście.

- Czy to nie uroczo ze strony pana Hobsona, że zechciał mnie  
podwieźć?

- Jest doprawdy wcieleniem dobroci.

- Witamy, witamy, milordzie! - powiedział Hobson pozornie  
niedbałym tonem, któremu zadawało kłam niespokojne spojrze-  
nie. Oczy mu biegały od Kate do Bennetta i z powrotem. - Sły-  
szałem, że zostawił pan w hotelu sporo swoich rzeczy.

- Kate dobrze wie, że lubię podróżować samotnie i bez zbęd-  
nego obciążenia.

- Dajże spokój, milordzie! - Zamknęła jedwabną parasolkę, któ-  
ra chroniła jej delikatną cerę przed słonecznym żarem, i stuknęła  
nią żartobliwie swego towarzysza po ramieniu - z taką energią, że  
omal nie zbiła go z nóg. - Po co udawać? To była bardzo długa  
przejażdżka i obawiam się, że opowiedziałam panu Hobsonowi  
o nas ze wszystkimi szczegółami.

- Doprawdy?

- Ależ oczywiście! - Tym razem oberwał po żebrach. Nim  
Kate cofnęła parasolkę, Jim zdążył złapać za koniec z metalo-  
wym czubkiem i szarpnął ku sobie. Odwrócona plecami do re-  
portera Kate przeszywała Jima morderczym spojrzeniem. Ale  
Jim wyszczerzył tylko zęby i wetknął swą zdobycz pod pachę.

Kate błyskawicznie się opanowała. W mgnieniu oka miała  
znów na twarzy maskę uprzejmej obojętności.

- Tak grzecznie mnie prosił! Jak mogłabym odmówić mu wy-  
jaśnień na temat naszej pasjonującej gry?

- Gry?!



- Pewnie! - wolną ręką poklepała Hobsona po ramieniu. - Po naszym pierwszym spotkaniu...

- W Peru, nieprawdaż?

Reporter wyciągnął swój bloczek i otworzył na czystej jeszcze kartce. Jego pióro zawisło nad nią jak sęp.

To była zbyt grubymi nićmi szyta zasadzka, toteż Kate wyminęła ją bez trudu.

- Skąd znów Peru?! Mówiłam przecież, że to się wydarzyło w Brazylii! - roześmiała się. Jej śmiech był niski i uwodzicielski. Jim zauważył, że Hobson z trudem przełyka ślinę. Ten dureń silił się na profesjonalny obiektywizm, ale nie bardzo mu się to udawało. Bennett założył się sam ze sobą, że Kate wystarczą trzy minuty, by zawojować Charliego kompletnie.

- Wybrałam się do Brazylii, by przyłączyć się do zespołu mojego ojca. Był botanikiem. Niestety... - Wargi jej zdrząły bardzo przekonująco. - Tatuś nie doczekał mego przyjazdu. Potrzebowałam pracy, a ekspedycja lorda Bennetta przedstawiała się tak fascynująco! On zaś oświadczył, że pracę mam zapewnioną, o ile zdołam go odnaleźć. Prawdę mówiąc, milordzie, wszystko byłoby jeszcze zabawniejsze, gdyby pan okazał się zwierzyną trudniejszą do upolowania - powiedziała z nutką urazy i rozczarowania w głosie.

- Poprawię się na przyszłość - wymamrotał, przyglądając się w osłupieniu Hobsonowi, który z tylnej części swego powozu wydobywał z trudem skrzynkę, wielkie pudło, a na ostatku kufer; wszystkie były wypełnione po brzegi. Jim nie zabierał tyle bagażu nawet na Arktykę!

- No i macie! - oznajmił spocony, czerwony na twarzy Charlie. - A teraz, jeśli można...

- To bardzo ładnie z pana strony, Charlie, że zechciał pan podwieźć nieznaną kobietę - wtrąciła Kate tak gładko, że Hobson prawie nie zauważył, iż przerwała jego wywody.

Hobson zmarszczył czoło, zbierając myśli.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Ale teraz, milordzie, chciałbym zadać panu jeszcze kilka pytań. - Znów wyciągnął bloczek i przeglądał zapisane kartki. - Gdybym tylko mógł znaleźć właściwe miejsce... O, mam je wreszcie! A więc, milordzie, gdy pan razem z tym nieszczęśnikiem, Mattem Wheelerem, czynił przygotowania do tej zrodzonej pod pechową gwiazdą, polarnej ekspedycji...

- Nie rozmawiam na ten temat - uciął Jim.

- Wiem, że dotychczas z nikim pan na ten temat nie rozmawiał, ale tym bardziej powinien pan zwierzyć się komuś godnemu zaufania. Im dłużej będzie się pan z tym ociągał, tym będzie to trudniejsze. Pewien jestem, że pan doskonale zdaje sobie sprawę z prostej zależności: ludzie w braku pierwszorzędnych źródeł informacji robią użytek ze swej wyobraźni, zapełniając puste miejsca tworam i własnej fantazji. Niekiedy zdumiewa mnie ich pomysłowość! Prawdę mówiąc, plotka głosi, że...

Kate zręcznie ujęła reportera pod ramię, zawsze gotowe służyć pięknym damom w rozterce. Przytuliła się do niego bardzo dyskretnie, więc, szczerze mówiąc, trudno byłoby dopatrzeć się w tym czegoś niestosownego.

- Drogi panie Hobson, jestem ogromnie wdzięczna za pomoc. Doprawdy nie wiem, jak panu dziękować!

-Ja...

Jim mógł się założyć, że ten wyga Charlie miał w zanadrzu kilka bardzo konkretnych wariantów tych podziękowań. Irytowało to Jima, choć nie bardzo wiedział, czemu. Cóż go to obchodzi, co Kate obiecywała i czego się dopuściła z kimś innym? Zły był jedynie o to, że siostrze udało się wyniuchać jej tymczasowe miejsce pobytu. A przynajmniej usiłował to sobie wmówić.

- Charl... Pan Hobson wspomniiał, że chce zdążyć do następnej gospody, nim zapadnie noc, nieprawdaż? I że powinien pan zabrać się od razu do swego artykułu i przekazać telefonicznie swoje sprawozdanie tak wcześnie, by można było je opublikować w następnym numerze? - Mówiąc te słowa, popychała Charliego powoli, lecz stanowczo w stronę powoziku. - Dalsze narzucanie się panu i odciąganie go od tak ważnego zadania byłoby niewybaczalnym grzechem.

- Jak pani może mówić o narzucaniu się? Albo o grzechu?!

Kate spojrzała na niego i Hobson nie wiedzieć jak znalazł się na stopniach swego powozu.

- Spotkamy się jeszcze nie raz na trasie wyścigu, prawda?

Delikatny uścisk jej paluszków sprawił, że reporter wyładował bez sprzeciwu na ławeczce swego powozu. W chwili gdy powozik zaczął zjeżdżać z górki, a Hobson zniknął ostatecznie z ich pola widzenia, Kate wykonała błyskawiczny obrót i zaata-

kowała Jima z furią nieoswojonego i nieustraszonego borsuka.

- Zostawiłeś mnie samą! - wypaliła prosto z mostu.

- A ty nie mogłaś usiedzieć na tyłku, aż wrócę?!

- Przecież zawarliśmy umowę!

- Którą od ręki musiałem dostosować do realiów życia... a mogłaby pozostać w wersji pierwotnej, gdybyś okazała choć odrobinę zdrowego rozsądku!

- Zdrowego rozsądku?! - z podniecenia jej głos stał się wyższy, niemal piskliwy. - A czym się ten zdrowy rozsądek miał objawić? Może powinnam ci pozwolić, żebyś wymykał się samopas, zagarniał dla siebie całą sławę i całą forszę?! Albo czekać na ciebie niczym głupie kobieciątko, zawsze gotowe na przyjęcie pana i władcy w nadziei, że kiedyś sobie przypomni o niej i rzuci jej parę groszy, kiedy już będzie po wszystkim?! Pięknie dziękuję! Wolę dorobić się pieniędzy własnym przemysłem!

- A to niby jak? - Nie miał teraz czasu ani energii na taką pyskówkę. Był już i tak spóźniony w porównaniu z innymi uczestnikami wyścigu przynajmniej o pół dnia. Jeśli Kate zacznie mu pomagać, tempo jeszcze osłabnie. Chcąc ją zniechęcić, z premedytacją mierzył ją obraźliwym i bezczelnym spojrzeniem od stóp do głów. Jakoś mu to nie szło. Jego brat przeważnie w ten właśnie sposób spoglądał na swe otoczenie. Jim z całym rozmysłem unikał takich wspomnień, podobnie jak wszystkiego, co utkwiało mu w pamięci, a wiązało się z osobą tego złośliwego i brutalnego egocentryka, jego ojca, oraz jego wiernej kopii, kochanego braciszka. Ale choć bardzo tego pragnął, nie mógł uwolnić się od tych wspomnień. A dziś, po raz pierwszy w życiu, na coś mu się przydały.

- Prawda, twoje talenty nie są... no cóż, nie chcę nikogo obrażać. Powiem więc tylko, że wolę po stokroć zachować swą energię na coś godniejszego.

- Tak, tak... a twoje talenty były nam nadzwyczaj pomocne... aż do tej chwili. - Zbyła sprawę pogardliwym machnięciem ręki. - Wiesz akurat tyle co ja, dokąd zmierzamy! Gdyby się okazało, że do Newport?\*, założę się, że tam dałabym sobie radę znacznie lepiej od ciebie.

\*Newport to port na Rhode Island, baza marynarki wojennej, a równocześnie bardzo elegancki kurort. Stąd uwaga Kate na temat śmietanki towarzyskiej (przyp. tłum. ).

- Newport? Istotnie, to byłoby ambitne wyzwanie.

- Och! Nie masz zielonego pojęcia, jak zdradzieckie i zawi-  
klane są pozornie czyste wody życia towarzyskiego. Łatwo ci lek-  
ceważyć coś, na czym się nie znasz!

Jim wyprostował się dumnie, wracając na chwilę do roli, któ-  
rą dawno temu pogardził i odrzucił.

- Czyżby twoi ziomkowie byli bardziej wybredni i pyszni od  
angielskiej arystokracji?

- A żebyś wiedział!

- Słucham?!

- Poznałam w swoim czasie kilku lordów i jednego czy dru-  
giego barona. Filadelfia to nie Dziki Zachód, wyobraź sobie!

- Wiem.

- Wszyscy, co do jednego, odznaczali się doskonałymi manie-  
rami i uprzejmością, która wydawała się wrodzona, podobnie jak  
ich wymowa. Że już nie wspomnę o naturalnej szlachetności.  
A żadnej z tych zalet nie dostrzegam u ciebie.

- Doprawdy?

Wiedział, że potrafi kłaniać się równie wytwornie jak każdy  
z tych gogusiów i w razie potrzeby nadskakiwać byle pannicy,  
jakby była królową we własnej osobie.

Nie wywróciła oczami.

- No cóż... To się od razu rzuca w oczy. Doszłam więc do  
wniosku, że wyolbrzymiłeś znaczenie swojej rodziny.

- Po co miałbym to robić?!

Spojrzała na niego niemal z litością. Oczy jej mówiły wyraź-  
nie, że tylko kretynowi trzeba wyjaśniać tak oczywiste sprawy.

- A po co ludzie kłamią? Bo upatrują w tym konkretny zysk.  
Czy te wszystkie książki albo twoje wykłady cieszyłyby się rów-  
nym powodzeniem, gdybyś był... powiedzmy, synem leśniczego?  
Albo lokaja?

Lokaja?! Gdzieś bezmiernie daleko jego ojciec przewraca się  
w grobie niczym pnie staczane po pochyłości do podnóża góry.  
Jim niemal pożałował, że jego ojciec już nie żyje i nie może sły-  
szyć tej zniewagi.

- No cóż... Nie sądzę, by tak się o nie rozbijano.

- Właśnie! Teraz już rozumiesz? - odpowiedziała, rada ze swej  
przewagi.

Bennett postanowił pozostawić ją w błędzie. Niech się cieszy swoim rzekomym triumfem.

- Za kogo mnie wobec tego uważasz? - Powstrzymał ją ruchem ręki. - Nie, nie! Poczekaj, sam zgadnę! Za kogoś, kto ma do czynienia ze stajnią. Oczywiście mężczyzna! Chłopak stajenny... masztalerz... a może nadzorca stajni?

Kate uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, gdy Hobson, niczym bohater opowieści z Dzikiego Zachodu, odjeżdżał prosto w zachodzące słońce.

- Nadzorca stajni, oczywiście! A propos, tutejszy stajenny był bardzo rad z interesu, jaki ubił, sprzedając ci konia. Wskazał mi nawet drogę, którą odjechaliście, ty i siwek. Coś ci poradzę, Bennett: jeśli chcesz wymknąć się po cichu, nie radzę stosować takich teatralnych efektów.

- Dzięki! Będę to miał na uwadze.

Nie zadał sobie wiele trudu z zacieraniem śladów, gdyż był przekonany, że kiedy się Kate obudzi i stwierdzi, iż została porzucona, zacznie szlochać i da za wygraną. W przyszłości trzeba będzie uwzględnić w planach poprawkę na jej ośli upór. Przez chwilę borykał się z myślą, że włączenie jej przemocą od jednej do drugiej zakazanej dziury, zanim się podda, byłoby prostszą i skuteczniejszą metodą niż ta desperacka próba pozbycia się jej.

- I wtedy samarytanin Hobson zaproponował, że cię podwiezie?

- Mam wrażenie, że pan Hobson po rozważeniu sprawy doszedł do wniosku, że Wyścig Stulecia oraz jego codzienne raporty z tej imprezy będą barwniejsze, jeśli pozostanę na scenie. Po prostu nie wiedział, jak mi dogodzić!

- Wcale mu się nie dziwię. Tragiczna śmierć początkującej zawodniczki to idealny temat: można o tym pisać całe tomy.

Nawet nie zbladła!

- Chyba nie chcesz, by wszyscy czytelnicy tego piśmidła doszli do wniosku, że widać się kończysz, skoro nie zdołałeś obronić swej podopiecznej? Jeżeli ci taka reklama nie w smak, zadbaj o to, by włos mi nie spadł z głowy. - Zmrużyła oczy i spojrzała na drogę. - Dowiedziałeś się, dokąd powinniśmy jechać? A może uznałeś, że wystarczy posuwać się po śladach reszty zawodników?

- Dobrze wiem, dokąd się teraz udamy.

Sięgnął po leżący na podłodze brudnozielony plecak, zarzucił go sobie na ramię i ruszył w kierunku szopy.

Kate czekała na dalsze wyjaśnienia. Kiedy Jim ich nie udzielił, wyprzedziła go i zagrodziła mu drogę do nieco sfatygowanych drzwi.

- No więc?

Przez chwilę spoglądał na nią niezbyt życzliwym okiem, potem westchnął Z rezygnacją.

- Na wybrzeżu Massachusetts, o dzień drogi na północ od Bostonu, znajduje się dość szczególna budowla. Mniej więcej osiemdziesiąt lat temu pewien magnat stoczniowy nabył w Anglii stary zamek i przetransportował go do Ameryki, kawałek po kawałku. A potem kazał złożyć go ponownie na najwyższym wzniesieniu terenu w promieniu stu mil. Kosztowała go ta zachcianka kupę forsy. Większość sąsiadów uznała, że zwariował. Miejsowa ludność nazywa ten wybryk architektoniczny „Kukułczym Gniazdem”.

- Hmm... - Kate zmrużyła oczy i przyjrzała się bacznie Bennettowi. - Jesteś zdumiewająco oblatany w historii Ameryki... a raczej w związanych z nią anegdotkach. Przyznam, że nigdy nie słyszałam o tym zamku.

- Bardzo mi przykro z powodu braków w twojej edukacji. - Cmoknął z ubolewaniem. - Tak się składa, że do personelu hotelowego w Rose Springs zalicza się pewna młoda, niezwykle interesująca dama. Zna na pamięć wszystkie osobliwości w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych. I ubóstwia długie poranne spacerki. Powiadam ci: fascynująca narratorka!

Spojrzała na Jima z nieukrywaniem gniewem. Komuś, kto lubi być przedmiotem zazdrości, pochlebiłaby niewątpliwie taka reakcja.

- Nie obiecałeś jej części nagrody w zamian za cenne informacje, mam nadzieję?

- Ani mi się śniło. Nie tylko twoje uroki bywają doceniane przez przedstawicieli płci przeciwnej.

- Hmm... - Zakołysała się na obcasach, aż jej spódnica za-furkotała. - Miałam wrażenie, że uważasz za niemoralne wykorzystywanie przeze mnie tak zwanych babskich sztuczek.

- Nic mnie nie obchodzi, jaki robisz użytek ze swoich... wdzię-

ków. Sam Jim do chwili, gdy wypowiedział te słowa, nie uświadamiał sobie, ile w nich fałszu. - Protestowałem jedynie przeciwko wypróbowywaniu ich na mnie!

- O to możesz być spokojny! - zapewniła go. Doświadczony lowelas dostrzegłby w jej oczach złowróżbne błyski i miałyby się na baczości. Ale ten prostaczek uznał jej słowa po prostu za prowokację. - Nie zamierzam marnować moich talentów na takie eksperymenty.

- Lepiej trwaj w tym zamierzeniu! Nie dlatego, że mogłyby zadziałać, broń Boże! Ale będzie to zwykła... - Przerwał na chwilę. -... strata czasu!

- Strata czasu - powtórzyła zgodnie.

- No właśnie! Pomyśl, ile mógłbym działać przez ostatnie pół godziny, gdy słuchałem twego paplania.

- I oczywiście nie dopuszczałam cię do głosu, nieprawdaż?

- Jasne! - odparł beztrosko. Zbyt beztrosko. Powinien wyrwać co sił w nogach w przeciwnym kierunku. Powinien ignorować ją kompletnie. Przygotować sobie plan ucieczki - tym razem na dobre.

A on zamiast tego wszystkiego stał jak kołek w gęstniejącym mroku i bawił się w szermierkę słowną z kobietą, która zdradziła ich obu: jego i doktora, a na dodatek z pewnością doprowadziła do zguby dziesiątki innych mężczyzn, którzy stanęli na jej drodze. Postąpił tak tylko dlatego, że dzięki pojedynkom słownym z Kate znowu był pełen życia, podniecony i czujny - podobnie jak w minionych latach, gdy coś mówiło mu, że stoi na progu wielkiego odkrycia.

- Wobec tego, czym się teraz zajmujemy, Jim?

- Spaniem.

## 6

Obserwował ją bacznie, gdy weszła do szopy. Dobrze wiedział, co ujrzała: kilka narzędzi ogrodniczych, przedziewiałyh na amen. Stos łamliwych desek, z których sterczały drzazgi, kupę zwietrzałego siana, w ścianach dziury na przestrzał, mniej więcej średnicy kobiecego nadgarstka. Każda z toalet Kate była warta dziesięć razy więcej niż ta smętna ruina.

Jak ślicznie Kate wyglądała o zmierzchu! Równie urzekająco jak w pełnym blasku słońca. Włosy połyskiwały metalicznie, oczy ciemniały, stawały się dziwnie zagadkowe, gdy zapadł zmrok. Niektóre kobiety rozkwitają w księżycowym blasku, inne zostały wyraźnie stworzone po to, by jaśnieć w bezchmurne, rozświetnione dni. Ale Kate nie była jedną ładną kobietą, tylko co najmniej dziesięcioma; zmieniała się w zależności od oświetlenia i sytuacji. Jak szlifowany graniasto klejnot miała mnóstwo faset, a każda z nich była piękna na swój sposób.

Może na tym właśnie polegał urok Kate? Wiecznie zmienna kusicielka, wszystkie barwy świata to zlewające się ze sobą, to znów urzekające przez chwilę jednym kolorem, jednym nastrojem... Czasem była naiwną, pełną czułości dziewczuszką, wzruszającym połączeniem czystości i niewinności... a zaraz potem bezwstydnie zmysłową i doświadczoną kusicielką.

Jim starał się odnaleźć choćby ślad, choćby cień tamtej dziewczyny sprzed lat. Wiedział, że odeszła na zawsze. Podejrzewał, że nigdy nie istniała w rzeczywistości, że była jedynie płodem jego zgłodniałej wyobraźni. Mimo to szukał jej uparcie, spragniony widoku tej, którą - jak sobie wmawiał - znał na wylot! Pragnął jej tak, jak zbłąkany na pustyni pragnie wody, marząc o tym, że dotrze wreszcie do niej przez niekończący się, groźny piach.

Skrzywiła usta w grymasie odrazy. Błyskawicznie jednak za-



panowała nad sobą. Na wypranej z wszelkich uczuć twarzy pojawił się chłodny uśmiech.

Zerknęła znów na Jima; tak szybko, że nie zdążył odwrócić wzroku. Czuł, że powietrze naładowane jest elektrycznością do tego stopnia, iż podsuszone siano zaraz buchnie płomieniem.

Usta Kate oczekiwały pocałunku. Lekko rozchylone, dojrzałe jak letnie owoce, pokryte mgiełką wilgoci. Kuszące. Jim mógł jedynie zgadywać, ilu miała kochanków od rozstania z nim. Tuzin? A może setkę?

Powinien czuć do niej wstręt. Przecież ta kobieta zdradziła nie tylko jego, ale i doktora Goodale'a. Ale te usta... Do czego były zdolne jej grzeszne usta?

Sama myśl o jej ustach stworzonych do pocałunków, o jej mistrzowskiej sztuce całowania wprawiała go w niezwykle podniecenie.

Od haniebnej kapitulacji ocalała go sama Kate. Odwróciła głowę, jakby nie mogła znieść jego spojrzenia. Z profilu była po prostu ładna. Może nawet śliczna. Delikatnie, ale wyraźnie zaznaczona linia szczęki. Idealny kształt nosa. Godne podziwu, nawet uwielbienia... Ale można się było temu oprzeć. Twarz jej jakby zastygła - ani śladu ożywienia. Oczy bez blasku. Tak, to była piękna kobieta. Jedna z wielu pięknych kobiet.

- Ściemnia się - szepnęła, wskazując otwarte okno. Tam, po drugiej stronie szyby, zmierzch przechodził w noc, niebo broczyło ciemnoczerwoną krwią.

- Tak - przytaknął Bennett.

- I chmurzy się.

- Tak - powtórzył.

Jej usta zacisnęły się z irytacji. Czyżby do tej pory zawsze jej szło jak po maśle? Wystarczyło kiwnąć palcem, a mężczyźni biegli na wypródkę? No, cóż... jeśli czegoś chce od niego, niech o to ładnie poprosi.

A on nawet wówczas może jej odmówić.

- Nie sądzisz, że to właściwa pora na przeniesienie moich bagaży do szopy?

Wzruszył ramionami.

- Jak ci potrzebne, to je przenieś.

- Słucham?! - wykrztusiła, nie wierząc własnym uszom.

Miała tak zdumioną minę, że boki *zrywać*.

- Słyszałaś, co powiedziałem.

- Ale...

- Czy ja wyglądam na tragarza?

Bez pośpiechu zmierzyła wzrokiem jego szerokie bary. Zaparło mu dech. Jasna cholera! Czy to kretyńskie zauroczenie kiedyś się skończy?! Był pewien, że nie wytrzyma trzech miesięcy, jeśli za każdym razem, gdy się na nią natknie, będzie się podniecał aż do bólu.

Ale spojrzenie Kate także uciekało jak oparzony kot. Wydawała się równie jak on zaniepokojona ich przymusowym sam na sam. Może to poczucie winy wytrąciło ją z równowagi? A może była po prostu na niego zła? Nie mogli zamienić ze sobą dwóch słów, bo zawsze się kończyło zażartą sprzeczką. A Kate była wyraźnie przyzwyczajona do tego, że każdego mężczyznę może sobie owinać wokół palca.

Duma podszeptowała Jimowi, że emocje, które targają nim z siłą huraganu, są po prostu inną formą żarliwej namiętności, płomiennej, ale w tej chwili raczej niepożądaney. Z pewnością nie dadzą się uporządkować czy zaszufłdkować. Ale jeśli tak właśnie przedstawiała się prawda, to rokowania na przyszłość były jak najgorsze. Uprzedzały o nadciągającym nieszczęściu. Jeśli potraktowałyby wszystkie te prognozyki poważnie, gdyby ośmielił się uwierzyć, iż w sercu Kate szaleje taka sama namiętność, nie wyszliby cało z pierwszej wspólnie spędzonej nocy, a co dopiero z całego wyścigu!

*Czy naprawdę byłoby to aż takie straszne?* odezwał się w jego mózgu kusicielski szept. Na chwilę pofolgował sobie i poddał się pokusie. Wkrótce jednak spostrzegł, że ćmi mu się w oczach, a w skroniach tętni.

Oczywiście, że takie rozwiązanie było złe, a w dodatku wyjątkowo głupie. Wspomnienie jednego pocałunku tej dziewczuchy prześladowało go przez całe lata. Bóg raczy wiedzieć, jakie mogły być skutki spędzonej wspólnie nocy!

Kate pokręciła głową.

- Naprawdę nie pomożesz mi przenieść mego bagażu do tej szopy?

- To by nie miało sensu. I tak musisz zostawić tutaj cały ten kram.

- Hmm... - Kate nie wydawała się przekonana. Zaciśnęła wargi, pomiędzy brwiami zarysowała się wyraźniejsza fałdka. - Z tym problemem można się wstrzymać do rana. Nie zanosi się na deszcz i nie ma chyba obawy, że jakiś złodziej wypatrzy nas po ciemku.

- Racja.

- Ale będzie mi potrzebne kilka drobiazgów...

- Więc je sobie weź!

Wróciła, wlokąc za sobą walizę, która ważyła z pewnością więcej niż ona. Zatrzymała się jak wryta na widok swego współnika, który pławił się w luksusach: umieścił swój śpiwór na stercie siana.

- Jakim prawem zawłaszczyłeś jedyne porządne łóżko?!

- Trudno to nazwać łóżkiem - odparł i obrócił się na bok, ostentacyjnie szeleszcząc podściółką.

- Najbardziej przypomina łóżko ze wszystkich gratów, które tu znieśliśmy.

- Wypraszam sobie to „my”! Niczego wspólnie nie przynieśliśmy. - Owinął się szczelnie kocem i zamknął oczy. - To ja znalazłem to pomieszczenie, wystarczająco duże i dość wygodne, by spędzić w nim noc. Nie moja wina, że i ty postanowiłaś wepchnąć się tutaj.

Słyszał szelest jej sukni, gdy zbliżała się do niego, a następnie niecierpliwe postukiwanie nogą, stanowczo za blisko jego własnych nóg.

- Czy twoja matka niczego cię nie nauczyła?!

- Nauczyła mnie mnóstwa pożytecznych rzeczy. Ale podczas wypraw naukowych też się sporo nauczyłem. A od twojego świętej pamięci męża jeszcze więcej.

- No cóż... To wiele wyjaśnia.

Ośmielił się uchylić jedno oko. Kate trzymała się pod boki - bardzo, bardzo urocze boki... Oczy miała zaczerwienione. Jim natychmiast przyciągnąłby ją do siebie, gdyby nie pewność, że pójdzie z nim na udry i będzie walczyć do upadłego.

Kate nagle odprężyła się.

- Zagram z tobą o to łóżko! - powiedziała takim tonem, jakby proponowała mu nie partyjkę kart czy kości, tylko coś całkiem innego.

Jim uniósł się na łokciach.

- Chcesz ze mną grać... ?

- I wygrać łóżko.

- Ale w co grać?

Wzruszyła ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

- W cokolwiek. Karty, kości... może w zgadywanki?

Nawet wszystkie piekielne hufce nie zmuszą go do gry w zgadywanki. W dodatku z nią!

- Nie uznaję gier hazardowych - oświadczył chłodno.

Uniosła jedną brew.

- Żadnych wyjątków od reguły?

- Żadnych. - Wiedział, że noc jest ciepła, ale szczerzej owinał się kocem. - Mój ojciec i starszy brat tak często grywali, że starczyłoby tego szczęścia na tuzin rodzin. A tych pieniędzy, które tak głupio przetracili, wystarczyłoby nie dla tuzina, tylko dla dziesięciu tuzinów rodzin! Grali w karty bez pojęcia! Za to nieźle im szło, kiedy odbijali sobie każdą przegraną na pierwszym lepszym, Bogu ducha winnym człeczynie, który nieopatrznie znalazł się na ich drodze.

- O! - Przechyliła głowę na bok, jakby nie pojmowała, co go skłoniło do podobnych zwierzeń. - Naprawdę nigdy nie wzięłeś kart do rąk?

- Owszem, zagrałem raz czy drugi przy ognisku. Ale zawsze na patyki czy kamyczki. Ot tak, dla zabicia czasu.

Uśmiechnęła się szeroko. Błysnęły równe, białe zęby. Wargi wygięły się w uwodzicielskim uśmiechu.

- Doskonale! To mi w zupełności odpowiada. Możliwość jednorazowego wykorzystania sterty siana w charakterze łóżka nie jest warta więcej niż garstka patyków.

- Nie byłbym tego aż tak pewien - odpowiedział. - Od rze-myczka do koniczka... Jeśli popchniesz mnie na drogę grzechu, kto wie, czym się to skończy!

- Naprawdę myślisz, że sprowadzę cię na manowce?

Rozmawiali lekkim, niemal żartobliwym tonem. Nagle się ściemniło. Mrok pulsował grzeszną namiętnością.

- Coś mi się zdaje, że niejednego już sprowadziłaś z drogi cnoty.

Przełknęła z trudem ślinę i cofnęła się o krok. Utkwiła wzrok w ścianie skleconej ze zmurszałych desek. Czyżby tych kilka głupich słów sprawiło jej przykrość? Niemożliwe! Nie była naiwną

panieneczką, chowaną pod kloszem, którą rani nie znacząca uwaga! Jim przypomniał swemu nadgorliwemu sumieniu, że Kate potrafi z równym talentem grać na uczuciach mężczyzn, jak podsycać ich namiętności.

- Gotowam się założyć - powiedziała zniżonym głosem - że i ty mógłbyś się pochwalić wieloma sukcesami na tym polu.

Niech to szlag.

- Doskonale! - Nie miał zamiaru leżeć ani chwili dłużej u jej nóg. Zerwał się z wyrka. - Zagrajmy w karty o to legowisko.

- Nie, nie! - Cofnęła się jeszcze bardziej, potrząsając głową. - To był niemądry pomysł. Ty pierwszy odkryłeś to schronienie. Z powodzeniem mogę się raz przespać na podłodze.

- Powiedziałem, że zagram z tobą o to łóżko! - warknął ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

- Ciesz się tym luksusem, póki możesz - odparła. - Bo drugim razem nie uda ci się wykurzyć mnie z upatrzonego miejsca. Możesz być tego pewien.

Tym razem uśmiech Kate pozbawiony był zwykłego czaru. Zdumiewające! Ani mu serce nie zabiło mocniej, ani z oddechem nie miał kłopotów.

- W tej chwili i tak bym nie usnął. Wszelka rozrywka będzie mile widziana.

Kate skinęła głową, szybko i stanowczo.

- Niech będzie.

- W co zagramy?

- W pokera.

- W pokera?!

Ku niebotycznemu zdumieniu Jima sztuczny uśmiech Kate przerodził się w szczere rozbawienie, a pod nim kolana same się ugięły. Wyprostowała się z niby to urażoną miną.

- Uważasz, że gra w pokera nie pasuje do osób w moim typie?

- Właśnie.

- A w jakim jestem według ciebie typie?

W moim!

Odchrząknął.

- Chyba wstrzymam się tym razem od komentarza.

- Tchórz! - syknęła. - Nie uważasz, że już za późno na taktowne milczenie?

- Bardzo mi przykro, ale nie mam przy sobie kart.
- Nic nie szkodzi, ja mam.
- Naprawdę?
- Chyba nie myślisz, że w moich walizach są tylko kiecki?

Podbiegła do pierwszej z brzegu i podniosła wieko. Pełno w niej było jakichś starannie opakowanych drobiazgów. Owinięto je i ułożono w równiutkich rzędach.

Kate nie grzebała w swoich rzeczach po omacku. Wyjęła dwa kwadratowe pudła, wyciągnęła spod spodu jakiś niewielki prostopadłościan, odstawiała pudła na poprzednie miejsce i opuściła wieko. Wszystkie te czynności zajęły jej tyle czasu, ile trwa gaszenie urodzinowej świeczki na torcie. Pomachała Jimowi pod nosem niewielkim pudełkiem.

- Widzisz?

- Skąd wiedziałaś, które otworzyć?

- Są oznaczone kolorami - odparła takim tonem, jakby wyjaśniała rzecz całkiem oczywistą beznadziejnemu matołkowi.

- Ach, tak... No jasne - wymamrotał.

Oznaczone kolorami. Rany Julek! Uważał się za dobrego organizatora. Starannie analizował wszelkie aspekty ekspedycji i wyciągał z nich wnioski co do niezbędnego bagażu. Potem sprawdzał je po raz drugi i trzeci, aż w końcu Matt groził, że zadusi go własnymi rękami... Ale znakowanie kolorami?!

Uniosła lekko spódnicę, jakby miała zamiar usiąść. Mignęła mu smukła kostka w białej pończosze. Ale Kate najwidoczniej rozmyśliła się. Pomknęła do legowiska Jima, sprawdziła, który z koców jest najcieńszy, i rozpostarła go w upatrzonym z góry miejscu, obok walizki. Potem usadowiła się na kocu; wygładziwszy spódnicę i umieściwszy kasetkę z kartami pośrodku walizy, spojrzała na Jima z wyraźnym oczekiwaniem.

- No więc... ?

Nie zawracał sobie głowy kocem, usiadł na twardo ubitej po-  
lepie, upewnił się, że oddziela go od Kate cała długość walizy. Nie było to wiele, ale nawet najkruchsza bariera jest lepsza niż żadna.

- Jak myślisz, starczy nam światełka? - zaniepokoiła się Kate.

Gęstniejący mrok jemu również odebrał ostrość widzenia.

- Tylko mi nie mów, że zabrałaś ze sobą lampę naftową!

- Nie, ale...

- To nie potrwa długo.

- Nie powinno - zgodziła się pospiesznie. - Chcesz potasować?

- Pewnie!

Pojemnik na karty okazał się szkatułką z drzewa różanego, ozdobioną inkrustacją; wyobrażała ona gwiazdę i złożona była z elementów metalowych w dwóch kolorach. Kasetkę wypolerowano na tak wysoki połysk, że lśniła jak włosy Kate. Jim musnął palcami połyskującą powierzchnię. Była tak niewiarygodnie gładka, że się 'wydawała śliska.

- Kto cię nauczył gry w karty?

- A jak ci się zdaje?

- Doktor?

- Wydajesz się zdziwiony... Czemu? On bardzo lubił grać, prawda? To nie było takie sobie hobby, dla zabicia czasu, gdy zrezygnował już z udziału w ekspedycjach. Odniosłam wrażenie, że zawsze lubił sobie pograć. Czyżbym się myliła?

- Owszem, lubił.

Otworzył szkatułkę. Znajdujące się w niej karty były mocno sfatygowane. Rogi się pozawijały, kolory wyblakły. Jim wysypał je ze szkatułki i zaczął tasować.

- No właśnie! Czym innym moglibyśmy sobie urozmaicać wolne godziny?

Karty wypadły mu z ręki.

- Nie mam pojęcia.

*Boże, zmiłuj się! Nie pozwól mi myśleć o tym, jak mogliby sobie wypełniać wolny czas!*

- Daj, ja to zrobię - zaferowała Kate, sięgając po rozsypane karty.

- Sam sobie poradzę! - obruszył się Bennett.

Noc zapadła przed godziną. Skłoniło to Kate do opuszczenia raz jeszcze szopy (mimo protestów Jima). Popędziła do stajni i wyjęła z jednej ze swoich waliz dwie świece. Jim zaproponował, by dali sobie spokój z kartami i po prostu położyli się spać. Kate się zaperzyła: takie wykorzystywanie własnej przewagi w trudnej sytuacji nie było godne Anglika i sportowca! Wyszała

z wprawy, bo od dawna nie miała kart w ręku, więc powinien w tej sytuacji dać jej szansę odegrania się!

I oto teraz, po ośmiu dalszych rozdaniach, siedział dokładnie na wprost niej, oświetlony łagodnym światłem świec. Leżało przed nim może piętnaście patyczków: istna miniaturka stosu pogrzebowego, czekającego na pochodnię, która go podpali. Kate miała przed sobą najwyżej pół tuzina patyków-żetonów; poukładała je z żołnierską dokładnością na wieku walizy. Teraz też nie mogła zostawić ich w spokoju. Ciągłe je poprawiała lub przesuwiała, usiłując doprowadzić do doskonałości coś, co było już doskonałością. Równocześnie przyglądała się kartom trzymanym w drugiej ręce.

Nieustanny ruch jej rąk sprawił, że Jim wreszcie zwrócił na nie uwagę. Chyba przedtem ani razu nie spojrzął na jej ręce. Nie dziwota! pomyślał cierpko. Było mnóstwo innych rzeczy do oglądania. Teraz jednak ręce Kate zauroczyły go kompletnie. Nie mógł myśleć o niczym innym. Palce miała długie, zwężające się ku czubkom. Paznokcie lśniły dyskretnie. Ręce Kate były w nieustannym ruchu, wszystkie gesty łączyły się w płynną, spójną, pełną uroku pantomimę. Przypominało to nieustanny trzepot skrzydeł kolibra.

Jim pamiętał dotyk ust Kate i ciepło bijące od jej ciała, po którym błądził rękami. Ale nie mógł sobie przypomnieć, by sama dotykała go i pieściła. Jeśli istotnie zachowywała się tak powściągliwie, był to z jej strony karygodny błąd. Wielka, czarna dziura w jego wspomnieniach, ogromna luka w zapisie ich wzajemnego poznawania się. Zapełnienie obu wyrw uznał teraz za swą misję życiową.

- No to chyba...

Kate zawahała się, studiując *swe* karty z takim zapamiętaniem, jak niegdyś mapę Rose Springs. Zaciśnięte usta, zmarszczone czoło... Jak bardzo różniło się to od jej zwykłej uprzejmej obojętności! Jim Bennett mógł się niemal założyć, że oprócz niego żaden mężczyzna nie był świadkiem takiej przemiany.

- ... Hmmm... - Wyciągnęła jeden patyczek z równiutkiego szeregu, by po chwili odłożyć go na dawne miejsce. - Wchodzę... i podwyższam. - Dołożyła dwa inne patyczki do leżącej między nią a Jimem puli.



- Sprawdzam! - odwarknął natychmiast.

Spojrzenie Kate pobiegło ku niemu i wróciło do kart. Mijały sekundy, a ona nie podejmowała decyzji. W starej szopie słychać było tylko zgrzyt patyczka o blat stołu, ilekroć Kate poprawiała pozycje żetonów. Pospieszne, delikatne ruchy, taniec cieni... Wszystko zamgliło się Jimowi przed oczyma... i znów wróciła ostrość widzenia.

- Przestań!

Podniósł rękę, jakby chciał zdzielić z całej siły leżącą pod spodem rączkę Kate, i w ostatniej chwili wstrzymał cios.

Kate spłoszyła się. Jej ręka drgnęła gwałtownie.

- O co ci chodzi?!

Pomyłka. Cholerna pomyłka! Miał wrażenie, że nie wytrzyma dłużej tej tortury. Nawet przez sekundę. Jej zwinne, delikatne ruchy wywoływały wyjątkowo lubieżne skojarzenia w jego nieszczęsnej głowie.

Gdyby teraz dotknął Kate, choćby grzbietu jej ręki, sytuacja jeszcze by się pogorszyła... Po stokroć! Jej skóra była taka ciepłutka, nieprawdopodobnie gładka i delikatna, przypominała w dotyku rozchylający swe płatki pąk. Kostki jej palców zderżyły się z jego dłonią... bardzo lekko... ale i sam dotyk, i związane z nim skojarzenia oblały go warem.

- C... co... - odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz: - Co ci się stało?!

Trzeba zmusić tę przeklętą rękę, żeby się cofnęła! Akurat! Chyba że postarasz się o lewarek i będziesz podważał każdy palec osobno!

- Bardzo mi przykro...

Do diabła z tą ręką! Waży toto chyba tysiąc funtów!

- To przez... przez to bębnienie palcami. Strasznie mi działa na nerwy.

Jej wojowniczy grymas okazał się nietrwały: objawił się i wkrótce znikł. Jim miał ochotę złapać Kate za ramię i tak nią potrząsnąć, żeby zapomniała wszystkich tych sztucznych minek. Czy ona naprawdę wierzy w to, że gładkie słówka i chłodna obojętność są lepsze od ożywienia i naturalności? Przecież nie musi już odgrywać szacownej pani doktorowej!

- Drażni cię bębnienie?

-Tak.

Z rozmysłem zaczęła wystukiwać rytm na wieku walizki. Pa-nzokcie stukały, na ustach pojawił się triumfalny uśmieszek.

- Powiedziałem: sprawdzam - syknął przez zęby.

Miała by za swoje, gdyby jej wypalił bez ogródek, czemu jej ustawiczna ruchliwość tak go niepokoi!

- Ach, tak. Oczywiście! - Rozłożyła swoje karty w wachlarzyk na wieku walizki. - Dwie pary.

Była urodzoną pokerzystką. Dzięki swemu opanowaniu mogła blefować ile wlezie. Oszukiwanie partnerów z pewnością nie przyprawiało jej o wyrzuty sumienia.

A jednak było coś, przed czym musiała skapitulować.

Jim Bennett miał szczęście do kart.

Zawsze mu dopisywało. Jego ojciec i brat wściekali się, że je-mu się zawsze szczęści, a im wręcz odwrotnie. Miał zaledwie dwanaście lat, kiedy próbowali wciągnąć go do gry w nadziei, że dzięki niemu odzyskają przynajmniej część fortuny, którą prze-tracili. Ale Jim już wtedy zorientował się, że to pułapka: gdy ktoś zbyt łatwo zaufa swemu szczęściu, ono natychmiast się od niego odwróci.

Rzucił na walizkę swoje karty.

- Ful.

Kate zamrugała oczyma i odwróciła się, by spojrzeć na karty. Mruknęła coś pod nosem. Sądząc z wyrazu twarzy, soczyste przekleństwo.

- No, no! Jak przegrywać, to z godnością! - rzucił kpiąco.

Krew napłynęła jej do twarzy; w mdłym świetle wydawała się buraczkowa.

- Oszukiwałeś!

- Ani mi się śniło.

- Ale... ale...

- Daj spokój! Pokaż, że masz sportowego ducha.

Oczy jej miotały piekielne ognie.

- Mam w nosie sportowego ducha! I godność też! - warknęła.

Nigdy dotąd nie widział Kate tak zirytowanej.

Usiadł i przez chwilę bacznie się jej przyglądał.

- Nie znosisz przegrywać, co?

- Ależ skąd! Ja tylko... - Urwała i zrobiła głęboki wydech. -

Nienawidzę przegrywać. Nienawidzę, słyszysz? Nienawidzę!!!... Teraz już znasz mój sekret. Zadowolony?! Wiem, że to w bardzo złym tonie i nie przystoi kobiecie... ale tak jest, i kwita! Kiedy byłam na pensji, żadna z dziewcząt nie chciała ze mną grać!

Oparł się na łokciu i nachylił ku niej. W blasku świecy wyglądali jak para spiskowców.

- Jakie największe świństwo popełniłaś, by zapewnić sobie zwycięstwo?

- Ja naprawdę...

- No, wyduś to z siebie!

- Podpiłowałam młotek do krokieta mojej najlepszej przyjaciółce. Złamał się w połowie meczu o mistrzostwo szkoły.

Ryknął śmiechem, równie szczerym jak donośnym. Niemal rozsadzał ciasne wnętrza szopy.

- O Boże! - Kate zakryła dłońmi rozpalone policzki. - Nie mogę wprost uwierzyć, że ci to wyznałam! Co też sobie o mnie pomyślisz!

Pogodny nastrój koleżeństwa diabli wzięli. Oboje wiedzieli doskonale, co Jim o niej myśli.

- No, cóż? - odezwał się w końcu Bennett. - Kładźmy się lepiej spać!

- Och, nie! - zawołała z rozczarowaniem. - Jeszcze tylko jeden jedyny raz! Musisz mi dać ostatnią szansę! Sprawiedliwość tego wymaga.

Powinien był odmówić. Należało wyciągnąć logiczne wnioski z rosnącego nadal pożądania, którego ani nie pragnął, ani nie potrafił opanować.

- Zgadzasz się, prawda?

Kate nawet się nie przymilała. Była zbyt pewna siebie, by uciekać się do takich marnych sztuczek. Po prostu uśmiechnęła się do niego i czekała. Jej skóra lśniła niczym perła w blasku świec. Kate spojrzała na Jima spod rzęs; jej oczy, tajemnicze i kuszące, wabiły go ku sobie.

- Niech ci będzie! - skapitulował i zabrał się do tasowania kart.

- Moja kolej! - okazała się szybsza i zmiotła karty ku sobie szerokim łukiem. Tylko jej migały w ręku. Taka zręczność świadczyła niezbitcie o długoletniej praktyce. - Uff! Ale tu duszno! - uniosła rękę do szyi i odpięła górny guzik bluzki. Kołnierzyk od razu roz-

łożył się, koronka zwisała luźno, przesłaniając intrygująco mleczną skórę, widoczną w trójkątnym wycięciu. Kate powachlowała się energicznie, koronka przestała zasłaniać dekolt, dzięki czemu od czasu do czasu można było dostrzec nieco więcej.

A, zmieniliśmy taktykę! Jima zdziwiło przede wszystkim to, że Kate dopiero teraz zniżyła się do takich sztuczek.

Nie zamierzał ulec pokusom ani popaść w roztargnienie. Ale czemu nie skorzystać przy okazji z darmowych atrakcji?

Kate wsparła się na łokciu i pochyliła ku niemu, ściskając biust z obu stron ramionami. Skutkiem tego zwiększył się napór wzbudzanych piersi i dekolt znów się powiększył. I w tym właśnie momencie mózg Jima odmówił posłuszeństwa.

- Gotowy? - spytała z ożywieniem.

- Co? Co takiego...? - Zamrugał oczyma i wrócił do rzeczywistości jak pływak, przemierzający jakieś mroczne wody. Kate rozdała karty, czego on po prostu nie zauważył. Swoje zebrała w wachlarzyk i trzymała przy piersi, kokieteryjnie zerkając znad kart na Bennetta. Schwycił więc swoje i odwrócił je licem ku sobie - wyjątkowo niezdarnie, za pomocą kciuka.

Wybraną rzucił na stół.

- Dobieram jedną - oznajmił.

- Tylko jedną? - Jakimś sposobem udało się jej rozpiąć kolejny guzik, Jim był tego pewien: przed chwilą nie miał przed oczyma takich połączeń rozkosznej golizny. Zaczął się zastanawiać, jak przeciągnąć grę... Ciekawe, do czego Kate się posunie?

- Myślałam, że masz ochotę na więcej - zamruczała jak kotka. Przełknął z trudem ślinę.

- Naprawdę?

Odpowiedziała coś po kociemu i leciutko przesunęła końcem palca po górnej krawędzi swego wachlarza kart.

- Ilekroć na ciebie spojrzę, mówię sobie w duchu: ten to lubi ryzyko! Idzie na całego. Sięga po wszystko, co w zasięgu ręki.

Podniosła wolną rękę do głowy i wyciągnęła spinki z włosów; opadały swobodnie na ramiona bogatą, lśniąca kaskadą.

- Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza - wyjaśniła. - Pod koniec długiego, męczącego dnia spinki strasznie mnie uwierają.

- Wcale mi to nie przeszkadza - powiedział i aż się wzdrygnął. Oblediał go strach, że kwiczy i piszczy jak w okresie muta-

cji. Nie był w stanie tego sprawdzić: w uszach huczała mu roz-  
tętniona krew.

- To dobrze!

By zrozumieć, co Kate do niego mówi, musiał patrzeć na jej  
usta. Co, oczywiście, jeszcze pogarszało sprawę. Usta miała lśni-  
ące, a wargi poruszały się tak, jakby smakowały każde słowo.

- Naprawdę tylko jedną? Możesz jeszcze zmienić zdanie!

Potrząsnął głową, nie tylko na znak odmowy. Próbował się  
otrząsnąć z otępienia.

- Jedna wystarczy.

Położyła kartę na płaskim wieku i popchnęła ją w stronę Ji-  
ma jednym palcem. Nie spieszyła się: karta sunęła po względnie  
gładkiej powierzchni prosto do Bennetta.

- Proszę! - Nie cofnęła ręki. - Nie weźmiesz swojej karty?

- No tak... oczywiście.

Chwycił kartę za róg i udało mu się ją ująć, nie dotykając pal-  
ców Kate.

Niech *to* wszyscy diabli!

Z nadaśaną miną przyjrzała się swoim kartom. Kąciki jej ust  
unosły się w górę w kokieterijnym uśmiechu.

- Ja wezmę chyba... trzy - szepnęła. - Jedna mi nie wystarczy!

Zdążył zapamiętać swoje karty w ułamku sekundy, który po-  
przedził wyłączenie mózgu. Teraz spoglądał na nie takim wzro-  
kiem, jakby od nich zależało jego życie. Nie obawiał się tego, co  
ma w kartach, ale lękał się spojrzeć znów na Kate. Przecenił swo-  
ją odporność. Zdawał sobie sprawę, że Kate nie chce go skokie-  
tować, tylko rozproszyc jego uwagę. Że każdy sposób jest dobry,  
każdy ruch przemyślany, a o jakichkolwiek uczuciach z jej stro-  
ny nie ma co marzyć. Kate była niezaangażowaną uczuciowo pro-  
fesjonalistką, podobnie jak gwiazdy Broadwayu.

Ale i to nie powstrzymało Jima. Po prostu nie mógł pozostać  
obojętny. Wpatrywał się więc w maleńkie serduszka biegnące po  
przekątnej każdej karty. Wpatrywał się z desperacją tonącego,  
który usiłuje osiągnąć ostatniej kruchej podpory.

Zgłosił swą odzywkę natychmiast po Kate. To nie było, rzecz  
jasna, w dobrym tonie, ale Jim myślał już tylko o tym, żeby to  
wszystko czym prędzej się skończyło. Ponieważ sen z każdą  
chwilą stawał się coraz bardziej wątpliwy, należało zadbać o to,

by odległość między nim a Kate nieco się powiększyła. Kto wie? Może zdoła wówczas utrzymać ręce przy sobie?

- Jim... - szepnęła miękko i czekała na odpowiedź.

Małe serduszka tańczyły mu przed oczami. Cisza stawała się coraz bardziej krępująca, coraz bardziej jednoznaczna.

- Jim... - powtórzyła i wtedy zrozumiał, że nie ma już dla niego ratunku.

Z żalem, strachem i nadzieją zwrócił na nią oczy.

Boże! Co tu się dzieje?! Kate odsłoniła sutek?! No, niezupełnie... ale prawie... Powiedzmy: cień sutka tuż przy wycięciu białej bawełnianej szaty. Zrobiło to na Jimie stokroć silniejsze wrażenie niż dwie całkiem nagie piersi. Tu pokusa przybrała podwójną postać: obietnicy i oczekiwania na jej spełnienie. Z zapartym tchem czekał, by tkanina opadła znów odrobinę.

O, nie! Żadnych dalszych podniet! postanowił nie bez żalu. Zdaży jeszcze obejrzeć Kate od góry do dołu, i to nie po kawałku. W całym majestacie jej nagości, o ile mu się poszczęści. Nadal było to cholernie...

- Cztery asy.

Jej głos wtargnął we wrzące kłębowisko jego myśli niczym strumień lodowatej wody.

- Co takiego?!

- Cztery asy.

Postukała palcem w wachlarzyk swoich kart, które ułożyła starannie na walizce.

- Naprawdę?

Jim czuł, że Kate spodziewa się jakiejś reakcji z jego strony. Przechyliła główkę na bok, uśmiecha się tak słodko i radośnie... Nie mógł tylko domyślić się, o co jej chodzi.

- Twoje karty! - przypomniała mu. A po chwili, gdy w odpowiedzi przełknął tylko ślinę, powtórzyła z naciskiem: - Twoje karty!

Rzucił karty na walizkę, nie odkrywając ich. Jedna z nich upadła na podłogę i odwróciła się. Dziesiątka kier.

- Wygrałaś. Łóżko jest twoje.

Zerwała się natychmiast na równe nogi, jakby się obawiała, że tym w ostatniej chwili zmieni zdanie i będzie nalegał na jakąś in-

- Muszę wyjść na minutkę... Tylko na minutkę!

Ruszyła rakiem do drzwi, nie spuszczać oczu z Jamesa. Wymachiwała mu groźnie palcem.

- Nie ukradniesz znowu łóżka pod moją nieobecność?

- Myślisz, że byłbym do tego zdolny? - spytał.

Odparowała z obraźliwym wręcz pośpiechem:

- Oczywiście!

- Masz rację. Byłbym zdolny. Ale nie dziś.

Przez chwilę spoglądała na niego podejrzliwie, potem wzruszyła ramionami.

- No to w porządku.

Nie wstał od razu; gapił się w pustkę, która powstała po wyjściu Kate. Dziura w przestrzeni. Potem schylił się po szkatułkę, by wrzucić do środka cztery pozostałe karty.

- Sekwens - mruknął i jednym machnięciem zmiotł z walizki karty, które przypadły mu w ostatnim rozdaniu. Zwycięskie i niewykorzystane.

- A niech tam! pomyślał. Zasłużyła sobie na to.

## 7

Kate wstała znacznie wcześniej niż Jim. Kilka godzin wcześniej, sądząc z jej wyglądu. Upięła włosy na czubku głowy w jakieś skomplikowane esy-floresy. Wymyślne uczesanie podkreślało jej łabędzią szyję i pozwalało podziwiać gładkie, różowe muszelki jej uszu. Jasna cera Kate dosłownie promieniała. Jim nie miał pojęcia, czy subtelna różowość policzków i soczysta czerwień ust były dziełem natury, czy też Kate pomogła nieco naturze.

Włożyła dziś inną białą bluzkę; miała surowszy krój i znacznie mniej falbanek, lecz była równie twarzowa. Jednakowoż, choć całość wydawała się nienaganna, jakby Kate dopiero co wstała od toalety, pozostał nieznacznym ślad po nocy spędzonej w opłakanych warunkach. Nie dająca się wygładzić zmarszczka na stani-

ku sukni (zawsze starannie odprasowanym) i analogiczne zgniecenie na granatowej wąskiej spódnicy.

W takim stroju stała teraz nad nim i tupała nóżką. Prędkiej czy później doprowadzi go tym bębnieniem do szaleństwa!

- Ocknąłeś się w końcu. Znakomicie! Miałam cię właśnie obudzić. Bolesnym kopniakiem, dośpiewałam sobie w duchu Bennett.

- Nie uważasz, że już najwyższy czas zbierać się stąd? - spytała,

- Jasne. - Ziewnął od ucha do ucha. Jakoś żadne się nie urwało. - Dobrze spałaś?

- Nie.

- Przykro mi to słyszeć. - Podrapał się, przetoczył z boku na bok i wstał. Wszystkie stawy po kolei protestowały przeciw takiemu traktowaniu. Jak tak dalej pójdzie, będzie jeździł w wózku inwalidzkim, nim dobiegnie pięćdziesiątki.

- Zawsze tak marudzisz?

- Zawsze.

Gdy nachylił się, by podnieść nieco zwilgotniały koc, zauważył, że Kate przesuwa energicznie dłońmi po ramionach - od barku do łokcia i z powrotem.

- Jakieś kłopoty?

- Nie!

Opuściła ramiona. Zwisły sztywno u jej boków.

- Żadnych? Tym lepiej! - Popatrzył przez chwilę w inną stronę i znieacka odwrócił się znów do Kate. Przyłapał ją na gorącym uczynku. Na jego ustach pojawił się uśmiech. - Absolutnie żadnych kłopotów, co?

- Coś było w tym sianie - przyznała zde gustowana do głębi. - Nie mam pojęcia... - Urwała nagle na widok jego uśmiechu. - Wiedziałeś o tym! - wrzasnęła oskarżycielskim tonem.

- Tylko podejrzewałem - uściślił. - Wystarczy spojrzeć na to siano. Bardzo bym się zdziwił, gdyby się okazało, że nie ma w nim lokatorów!

- Teraz już rozumiem, czemu tak łatwo skapitulowałaś! - Przesłała ukrywać swą bolączkę i zawzięcie drapała się w przedramię. Popatrzyła wilkiem na swego współnika. Dwie sekundy morderczej nienawiści... i twarz Kate przybrała znów niewinny wyraz. - Czemuś mnie nie uprzedził?



- Zawsze byłem zdania, że oszustwo powinno być ukarane.  
Drapała się zawzięcie i nagle skamieniała.

- Oszustwo? - powtórzyła nieufnym tonem. Całkowicie pa-  
nowała nad głosem. - Ja nie mam zwyczaju oszukiwać!

- A te dwa asy za podwiązką? - Potrząsnął smutnie głową, jak-  
by się na niej zawiodł. - Brak ci subtelności, Kate!

- Wiedziałaś...?

- Twój program rozrywkowy był wyjątkowo atrakcyjny,  
przyznaję! - Uśmiechnął się szeroko. - Chętnie wezmę udział  
w dalszych eksperymentach.

- Cóż za wielkoduszność!

- Nie doceniłaś przeciwnika, w tym sęk!

- Po czym niby miałam poznać, że taki z ciebie mądrała?!

- Taka pomyłka nigdy nie wychodzi na dobre.

Wygięła się w łuk, próbując bezskutecznie dotrzeć wykręco-  
nym do tyłu ramieniem do wyjątkowo śwędzącego zakamarka  
między łopatkami.

-Jeśli liczysz na moje przeprosiny, to będziemy tu tkwili przez  
całutki dzień!

- Byłbym rozczarowany, gdybyś zdobyła się na przeprosiny.

- Co takiego?!

- Dzięki temu po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że może  
być z ciebie jakiś pożytek. Jeśli byłaś gotowa oszukiwać (nie mó-  
wiąc już o wykorzystaniu hojnych darów natury), byk nie prze-  
grać, warto by to wykorzystać przy planowaniu nowej strategii.

- A żeby was, podlece!!! - Odwróciła się do niego plecami. -  
Podrap mnie, Jim! Błagam!

Stała bez ruchu, czekając na reakcję Jima. Jej nagi kark wyda-  
wał się taki bezbronny... Spływały po nim tylko cieniutkie złote  
pasemka. Przeciągnął paznokciami po jej plecach, od góry do do-  
łu. Wypreżyła się pod jego dotknięciem.

- Interesuje mnie tylko jedno... - Pochylił się niebezpiecznie  
blisko. Zapach jej ciała znów zamącił mu jasność myśli. -Jak da-  
leko zamierzałaś się posunąć?

Raptownie wciągnęła dech.

- No cóż... Poczekaj cierpliwie, to sam się przekonasz!

- Ach, tak?

Przyjacielskie drapanie po plecach niepokojąco zmieniło swój

charakter. Coraz bardziej przypominało drapieżną piaseczkę. Plecy Kate były silne, giętkie i smukłe. Jim uświadomił sobie, że jeśli natychmiast nie przerwie tych karesów, nigdy już się na to nie zdobędzie.

- Czy nie powinniśmy już wyruszyć w drogę? - spytała Kate.

- Wyruszyć... ? - wymamrotał. - A, prawda... Wyruszyć. - Odebrał rękę od jej pleców i skierował się ku drzwiom. - Trochę się uporządkę, ty przez ten czas spakujesz rzeczy, a potem w drogę!

- Jestem już spakowana.

Wykonał obrót o 180 stopni i powiedział, patrząc jej prosto w twarz:

- Jedna walizka! Nie obchodzi mnie, co do niej włożysz, ale ty dobrze się zastanów, bo zawartość tej walizki musi ci wystarczyć do końca wyścigu.

- Nie bądź śmieszny! - odparła.

- Jedna walizka.

- Znowu zaczynasz? - Potrząsnęła głową. - To po prostu niemożliwe!

- Jedna! - powtórzył.

Skrzyżował ręce na piersi, niezłomny jak przyboczna gwardia królewska.

- Rozumiem, że twoje grubiaństwo jest wrodzone i nieuleczalne, ale nie mogę znieść, kiedy ktoś mi ustawicznie przerywa! - warknęła. - Zbyt się przejmujesz rolą, którą sam obmyśliłeś. Możesz się zgrywać przed Hobsonem, bardzo proszę! Ale racz wreszcie przyjąć do wiadomości, że nie jestem i nie będę twoją „asystentką”, bo przypomnę ci o tym publicznie, bez najmniejszych oporów i na cały głos.

- Doskonale wiem, że nie jesteś moją asystentką. Kobieta, którą zatrudniłbym w tym charakterze, miałaby dość rozumu, by nie taszczyć na taką wyprawę połowy najnowszej kolekcji Wanamakera!

Kate kontynuowała swą perorę, jakby nie usłyszała ani słowa z ostatniej wypowiedzi Jima. Jeśli on musi jej przerywać, to ona może go ignorować.

- Doceniam ważność tego problemu i dlatego idę na kompromis. Będę traktować cię, ze względu na twoje doświadczenie w podobnych sprawach, jako równorzędnego partnera, mimo że

są to moje pieniądze i moje zaproszenie. Musisz po prostu przyjąć do wiadomości, kiedy ci mówię, że jedna walizka absolutnie nie wystarcza na moje potrzeby.

- Wobec tego ustal hierarchię tych potrzeb!

- Dajże spokój! Nigdy nie uwierzę, żeś kiedykolwiek wyruszał na wyprawę bez zapasu rzeczy pierwszej potrzeby. To, z czym przyjechałam, jest dla mnie tak samo niezbędne. Zapewniam cię!

Rzucił okiem na walizę, którą z takim trudem przytaszczyła ubiegłej nocy, i dwie pokaźne paczki, ustawione na jej wieku.

- Obciążanie się błahostkami jest równie idiotyczne jak przygotowanie niewystarczających zapasów. Weź też pod uwagę, że nie od razu wkroczymy na Saharę. Jeśli się okaże, że trzeba coś dokupić, kupimy to, co najlepiej pasuje do terenu i środowiska.

- Po co kupować po raz drugi, jeśli się już kupiło?!

- Kate!

Zbliżał się do niej bez pośpiechu, z rozwagą, jakby mieli do dyspozycji mnóstwo czasu. Wskazał na nią, potem na siebie, a na koniec podniósł dwa palce.

- Dwie osoby - powiedział powoli i dobitnie. - Jeden koń. Ile walizek możemy zabrać, twoim zdaniem?

- Nie musisz zwracać się do mnie jak do debilki! Wypraszam sobie!

Uśmiechnął się szeroko i nic nie odpowiedział. Niech sama to przemyśli i wyciągnie wnioski.

- Postaramy się o drugiego konia! - zaproponowała. - Ten twój, dźwigając codziennie podwójny ciężar na grzbiecie, długo by nie pociągnął. A chyba i wóz by się nam przydał!

- Stać cię na to?

Pomyślała o niewielkiej sumce, którą uciułała. Zastanowiła się nad niezliczonymi dodatkowymi wydatkami, które groziły im na trasie wyścigu. Z pewnością ani hrabia Nobile, ani ten niemiecki baron nie kłopotali się o to, czy ich budżet wytrzyma kolejne wydatki.

To było śmieszne, a raczej przerażająco groteskowe, ale poczuła palące łzy na myśl, że musi pozostawić tu wszystkie bagaże.

Przecież to tylko martwe przedmioty!

Tak, ale z iloma „martwymi przedmiotami” musiała się już pożegnać?!

- Chyba tak - odpowiedziała wreszcie na pytanie Jima, odwracając się od niego z całym rozmysłem.

-W porządku! - burknął.

Ledwie pomyślała, że trochę zmiękł, podszedł do jej walizki i jednym szarpnięciem otworzył wieko.

- Zobaczmy, co jest twoim zdaniem tak niezbędne, że warto Z tego powodu zaprzepaścić całą wyprawę!

- Chwileczkę! - podbiegła spiesźnie, równocześnie urażona i wdzięczna. O wiele łatwiej radziła sobie z Jimem, gdy zgrywał się na prostaczka z zakutym łbem. A jej zdecydowanie lepiej wypadały sceny, w których kipiała ze złości, a nie popłakiwała. - To są moje rzeczy osobiste!

- Osobiste? - rzucił jej gorące spojrzenie, tak pełne treści, że powinna Bogu dziękować za to, że trwało Zaledwie sekundę. Gdyby było dłuższe, kolana z pewnością ugięłyby się pod nią. - Sprawy osobiste, życie osobiste... to luksusy, o których musisz zapomnieć na czas tej wyprawy, Kate! Najwyższa pora, byś zaczęła się oswajać z tą perspektywą.

Sięgnął do wnętrza walizy i wyciągnął torebkę Z purpurowego jedwabiu. Trzymał ją z dala od siebie niczym gladiator prezentujący publiczności głowę swojego przeciwnika. Brzęknęło szkło.

- Mógłbyś być ostrożniejszy?!

- Po co? - Obniżył rękę z torbą. Udało mu się rozplatać złoty sznur. - Cóż my tu mamy? - Wysypał coś na swoją dłoń. Były to miniaturowe szklane pojemniczki, skrzące się jak klejnoty. Obrzucił je podejrziwym spojrzeniem. - Z pewnością masz ich całe tuziny!

- Nie bądź śmieszny! Nie więcej niż piętnaście czy szesnaście. (W tej torbie! - dodała w duchu).

Podniósł jedną z miniatuerek do nosa i powąchał ostrożnie, jakby w obawie, że poczuje amoniak. Uniósł brwi do góry. Tym razem wahał dłużej i w skupieniu.

- Nic dziwnego, że tak ładnie pachniesz!

Kate daremnie usiłowała wyrzucić z pamięci tę jego uwagę. Niech się nie płacze wśród bardziej naglących problemów! Wspomnienie jednak pozostało - ciepłe, niespieszne, niezmiennne. *Zauważył mój zapach i polubił go!*

- A reszta? - zajrzał do wnętrza jej torby.

- Tutaj mam krem do oczu. - Wskazała posrebrzany pojemniczek. - A to doskonały w suchym klimacie specyfik chroniący łokcie i stopy. W tym na końcu jest doskonały puder.

- A w tym? - wskazał kciukiem szafirowy, lśniący słoiczek.

- Krem do oczu.

- Mówiłaś, że krem do oczu jest w tamtym.

- Tamten na noc, a ten na dzień.

- Boże miłosierny! I ty się w tym wszystkim nie pogubisz?! - Wsypał cały kram z powrotem do walizki. - Naprawdę masz z tego jakiś pożytek, Kate?

- A cóż to ma znaczyć „jakiś pożytek”?! - spytała znów najezona, ująwszy się pod boki.

- Oszczędź mi tych morderczych spojrzeń, Kate! Chyba ani na sekundę nie zwątpiłaś w to, że jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem. - Chodzi mi tylko o to, że nie ma sensu, jak to mówią, „złocić szczerego złota”. A poza tym, kogo tu miałybyś czarować?! Nikt nie wie, kim naprawdę jesteś. Z wyjątkiem mnie.

- Nigdy się nie trzeba zarzekać - odparła raczej mętnie. - A poza tym, kobieta powinna być zawsze przygotowana na niespodzianki.

Potrząsnął głową.

- Nie wierzę, żebyś nie mogła obejść się bez tego paskudztwa!

Nawet nie próbowała mu wyjaśniać ani przymilać się do niego. Zacisnęła tylko wargi w twardą, nieustępliwą kreskę. Po chwili wzruszył ramionami i upuścił szkarłatną torbę na ziemię. Niech ją sobie sama podniesie, jeśli to taki skarb. Istotnie Kate podniosła ją błyskawicznym ruchem, nim łupnęła o ziemię. Wyprostowała się, gotowa do dalszej potyczki. Ale Jim ze spuszczoną głową buszował znów w walizce.

- Szale. - Wyprostował się, podnosząc cztery sztuki, starannie opakowane w cienką, szeleszczącą bibułkę. Końce dwóch szali nieco wystawały: jeden z najcieńszego jedwabiu, perłowy, a drugi z mięciutkiej puszystej wełny, błękitnej jak oczy Kate. - No, dobrze... Ale po co ci aż cztery?!

- Może chcę się zabezpieczyć przed kapryсами pogody?

Prychnął pogardliwie i odrzucił szale.

Jeden po drugim skarby Kate wylatywały z walizki, nim zdą-

żyła zaprotestować. Jim mierzył je srogim wzrokiem, dyskwalifikował i odrzucał. Wszystko w jednej sekundzie. Cztery pary luksusowych rękawiczek z cienkiej skórki, prześliczne wyszywane Cekinami torebki, para pantofelków utkanych ze srebrnych nitek...

- Dość tego!

Nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej protesty. Wyniuchał właśnie okrągłe pudło od modystki, owinięte w ozdobny papier w liliowe kwiatki.

- Odłóż to!

Zdarł pokrywę. Ukazały się pomalowane na fiołkowy kolor drobne piórka oraz imponujący stroik ze strusich piór, gęstych jak dorodny żywopłot.

- Boże wielki! Ile strusi zginęło męczeńską śmiercią, by mogło powstać to okropieństwo?!

- Straciły życie w dobrej sprawie! - warknęła.

Zbył to prychnięciem i rzucił pudło wraz z zawartością przez ramię. Kate rzuciła się ratować zbezczeszczonego skarbu - ale nie zdążyła. Spoglądała w nieutulonym żalu na arcydzieło, okrzykane tej wiosny za absolutny majstersztyk najlepszej modystki z Filadelfii. Opadło właśnie na trawę niczym zestrzelony bażant.

Kate odwróciła się błyskawicznie do Jima, gotowa do kolejnego starcia... i ujrzała, że stoi jak wryty, trzymając w wielkich, szorstkich łapach połyskliwą szmatkę z przezroczystego, jasnoblękitnego jedwabiu. Trzymał ją za rąbek palcem wskazującym i kciukiem tak delikatnie, jakby to był płatek śniegu zatopiony w najkruchszym kryształ. Rozwarł drugą pięść i nocna koszulka - cacko z jedwabistej mgiełki i śnieżnej koronki - spłynęła w dół po jego rękach. Kate poczuła gorący rumieniec na policzkach. Była to najbardziej wyzywająca cząstka jej garderoby, dzieło francuskiej krawcowej, zakupione podczas ostatniej wyprawy do Paryża, ani razu nienoszone. Wkładać takie coś przed pójściem do łóżka z doktorem?! Absurdalny pomysł. Nie była jednak w stanie przekonać o tym mistrzyni igły, która wcisnęła jej to arcydzieło.

Powinna była pozbyć się tego dawno temu. Nie miało dla niej żadnego znaczenia emocjonalnego, było absolutnie bezużyteczne. Nadawało się raczej dla panny młodej, pragnącej zachęcić nieśmiałego oblubieńca, lub dla kurtyzany wyruszającej na kolejny podbój. Ale było takie śliczne... Ostatnim razem, kiedy

przymierzała tę szmatkę, jedwab cichutko szeleścił w zetknięciu z jej skórą, piękny jak bajka. Potem wetknęła to coś na samo dno szuflady - jeszcze jeden grzeszny sekret na dodatek do tamtego pierwszego. Innych nie było.

A teraz ten drugi ciśnięto jej niemal w twarz.

Materiał był zwiewny jak smuga dymu. Widziała zarys podtrzymującej go ręki Jima tak wyraźnie, jakby nie przesłaniał jej jedwab. Dostrzegła, że przesunął dłonią po peniuarze, z góry do dołu, powoli, jakby rozkoszował się tym ruchem; jakby dotykał kobiecej skóry, a nie szmatki, która miała ją upiększyć.

Jim z trudem przełknął ślinę. Potem podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Poczzerwieniał jak uczeń przyłapany na kręceniu się koło damskiej toalety. Zmiał w garści delikatny materiał, jakby chciał ukryć, z jaką czcią dotykał go przed chwilą.

- Ja... - Głos go zawiódł, więc odchrząknął i spróbował jeszcze raz. - Zabierz to!

Wetknął jej w ręce peniuar tak spieszenie, jakby chciał pozbyć się dowodu przestępstwa. Kate schwyciła jedwab i ukryła ręce za plecami.

- Jedna walizka! - przypomniał, odwracając się nagle. - Jeśli ograniczysz się do jednej, możesz zabrać do niej, co chcesz. Nie będę kontrolował.

- Cóż za wielkoduszność!

- Nie zapomnij: tylko jedna! - Skierował się ku drzwiom z pochyloną głową, najwyraźniej chcąc czym prędzej stąd zwać.

Jedwab spływał jej po rękach, ulotny jak nitki babiego lata. Kate zadrżała na wspomnienie wyrazu twarzy Jima. Był równie zafascynowany jak ona. Słaba pociecha!

- Jim! - zawołała za odchodzącym.

Zatrzymał się z ręką na framudze.

Czekała, aż się odwróci do niej, a gdy tego nie zrobił, spróbowała raz jeszcze:

-Jim!

Wzdrygnął się i podniósł głowę. Przy odrobinie dobrej woli można było założyć, że spogląda w jej kierunku.

Z pozorną niedbałością machnęła bezwstydną szmatką niczym czerwoną płachtą na byka.

- Dwie walizki - powiedziała.

Oczy mu zabłyśły, potem pociemniały od wewnętrznego żaru. Kate dla lepszego efektu uniosła peniuar do góry i przyłgnęła do niego policzkiem. - Będzie mi go brakowało... Dwie walizki! - powtórzyła.

- Dwie walizki - ustąpił wreszcie i wypadł za drzwi, jakby go piekło goniło.

## 8

*Moje niegdyś ukochane siostry. Stop. Zgodnie z waszą radą przeżywam wielką przygodę. Stop. Mam nadzieję, że to was uszczęśliwi. Stop. Mnie jakoś nie uszczęśliwiło. Stop, Całuski Kate. Stop.*

Minęło dwa i pół dnia. Wierzchowiec Kate człapał po drodze biegnącej wzdłuż północnego wybrzeża stanu Massachusetts, ona zaś biła się z myślami, jak to czyniła niemal bez przerwy od dnia, gdy opuścili niepozorną szopę: zdumiewała się, jak mogła - choćby przez sekundę - uważać udział w tym kretyńskim wyścigu za doskonały pomysł!

Tamtego pierwszego ranka po przebyciu zaledwie mili (czy coś koło tego) zatrzymali się u wejścia na niewielką farmę. Jim pozostawił Kate na podwórzu, zapewne po to, by usmażyła się żywcem. Ustąpiwszy w sprawie dwóch walizek, dał jej niedwuznacznie do zrozumienia, że nie ma co liczyć na dalsze ustępstwa. Musi tu zostać, kiedy on będzie negocjował z farmerem. Bez dyskusji!

Zdecydowanie odmówił odpowiedzi, gdy później usiłowała dowiedzieć się, jakich użył argumentów. Ale tak czy owak, nie wydając ani grosza, zdobył nie tylko porządny kawał smacznego żółtego sera oraz pokaźny bochenek chleba na śniadanie, ale i niewielką klacz. Nie mogła się równać z tak dobrym koniem jak Wódz, ale Kate sto razy wolała jechać na niej, niż ustawicznie zmieniać się miejscami z Jimem lub jechać konno i przyglądać się,



jak Jim męczy się na piechotę. O trzeciej ewentualności: siedzeniu we dwójkę na jednym siodle, lepiej było w ogóle nie myśleć.

Tak więc jechali, każde na swoim koniu, aż Kate cierpły nogi i protestowała niezłe umięśniona pupa. Zdobywali żywność gdzie się dało i nocowali w miejscach, w porównaniu z którymi stara szopa z pchłami włącznie wydawała się luksusowym apartamentem hotelowym w Rose Springs. A Kate przeklinała chwilę, gdy w jej głowie zrodził się kretyński pomysł wzięcia udziału w tym cholernym wyścigu.

To prawda, że nie miała gdzie się podziać ani czym się zająć. Młodsze siostry, którym poświęciła większą część swego życia, dorosły i ustatkowały się. Mąż Kate zmarł. Po raz ostatni pomogła więc pasierbom, posuwając najlepsze według niej rozwiązanie spornych kwestii, związanych z podziałem spadku po ojcu.

Nikomu nie była potrzebna. Siostry radziły jej, by pomyślała wreszcie o sobie, by choć raz podjęła ryzyko, którego się obawiała. Ale co tu myśleć o własnych zachciankach, gdy nie ma się pieniędzy na ich zaspokojenie? Przesłane na nazwisko zmarłego męża zaproszenie do wzięcia udziału w tej koszarnej imprezie spadło jej jak z nieba w chwili wyjątkowej słabości.

Dziś jechali znacznie dłużej niż poprzednio. Dawno minęła pora, o której zwykle robili postój. Słońce już prawie zaszło, a głębokie cienie słały się w poprzek drogi. W powietrzu unosiła się słona woń oceanu, który mignął im dwukrotnie w ciągu ostatniej godziny, gdy droga przez jakiś czas biegła wzdłuż brzegu, nim znów skryła się w lasach. Ale i tam docierał do Kate huk rozbijających się o brzeg fal, co prawda odległy i stłumiony. To donośniejszy, to cichszy głos morza towarzyszył im przez cały czas.

Minęli zakręt i oto ukazała się ich oczom potężna budowla: przeklęte zamczysko z powieści grozy, wzniesione na występie skalnym. Stało tam jakoś niepewnie, jakby czuło, że znalazło się tu przypadkiem, że pochodzi z bardzo dalekich stron. Nawet ciepły beż importowanego piaskowca kłócił się z zimną szarością granitu, występującego naturalnie w tym regionie. Ściany zamku były nagie, ostre krawędzie nie zatartyły się - żadne z lokalnych pnączy nie wspięło się na mury.

Choć zamczysko świeciło pustką zaledwie od dziesięciu lat, gdy stoczniowego magnata odstawiono na dobre do zakładu dla

obłąkanych, wyglądało tak, jakby porzucono je co najmniej sto lat temu. Większość szyb została wybita. Gdzieś tam ktoś zabezpieczył okna deskami. Ocalała tylko jedna romboidalna szyba, wysoko na samotnej wieży. O zachodzie słońca płonąła złotym blaskiem.

Na trawniki wdarło się zielsko, głóg i krzaki jeżyn przywędrowały do zamkowego ogrodu z pobliskiego lasu. Wkrótce żaden jeździec nie przedrze się przez chaszczę. Znacznie łatwiej będzie uwiązać konie i resztę drogi odbyć na piechotę.

- Fosa! - roześmiał się ubawiony Bennett. - Dlaczego wy, Amerykanie, sądzicie, że zamek bez fosy nie ma szyku?

- Dlatego, że my, Amerykanie, nie tolerujemy niedoróbek.

Wyczuli obecność fosy znacznie wcześniej, niż do niej dotarli. Zjełczały, cuchnący odór stojącej wody i rozkładających się w niej trupków. Fosa miała co najmniej trzydzieści stóp szerokości. Znacznie trudniej było określić jej głębokość. Dobrych dziesięć stóp pokrytej jakimś paskudnym śluzem i algami ściany skalnej opadało pionowo w dół, nim zetknęło się z zieloną powierzchnią wody, tak zarośniętej rzęsą, że wyglądała, jakby można było po niej przejść suchą nogą na drugą stronę.

Ponieważ zaś to, co było niegdyś zwodzonym mostem, leżało teraz na samym dole, całkiem możliwe, że niektórzy próbowali chodzenia po wodzie.

Jim stał tak blisko brzegu fosy, że zbite noski jego butów wystawały co najmniej o cal poza krawędź.

- Cofnij się, Jim!

Ani drgnął. Wpatrywał się jak urzeczony w groteskową budowlę; ciężkie powieki osłaniały oczy, szczęki były zaciśnięte. Uniósł głowę, zmierzył wzrokiem krzywą wieżę i lekko się zakolysał na obcasach.

- Cofniesz się wreszcie, bałwanie?!

Najpierw zwrócił ku niej głowę, potem skierował się w jej stronę.

- Nie spadnę - zapewnił. - Ale to miło z twojej strony, że tak się o mnie niepokoisz.

- Wcale się nie martwiłam o ciebie! - warknęła. - Ale gdyby już w pierwszym tygodniu wyprawy szlag trafił mego współnika, nie zwiększyłyby to moich szans na wygraną, prawda?

Ból, który odbił się w jego oczach koloru sherry, uprzytomnił jej, jak straszliwie dwuznaczne były jej słowa.

- O Boże, Jim! Przepraszam! Ja wcale nie myślałam... Nie chciałam! - Bezwiednie położyła rękę na napiętym mięśniu jego przedramienia. - Ani przez sekundę nie chciałam przywoływać tych okropnych wspomnień! I nigdy, nigdy nie wierzyłam tym pismakom, co utrzymywali, że to twoja wina!

- To już nie ma znaczenia.

- Nie ma znaczenia, co ja o tym myślę?

- Nie ma znaczenia, co ktokolwiek o tym myśli - odpowiedział z absolutną obojętnością i strzepnął jej rękę ze swego ramienia.

Doprawdy? Kate wcale nie była tego pewna. Jeśli go to nic nie obchodzi, to skąd te zapadnięte oczy i ta bladeść?

- Już jesteśmy spóźnieni. - Przekroczył krawędź fosy i ześlizgnął się dwie stopy niżej, zapierając się obcasami w ziemię. Obejrwał przy tym grudę błota, która osunęła się na sam dół i wpadła do zielonej wody. Rozdarła grubą powłokę rzęsy, nim wir wodny ostatecznie ją pochłoniął. - Pora ruszać.

- Dokąd się wybierasz?

Spojrzenie, jakie jej rzucił, było Kate dobrze znane. Mówiło wyraźnie: *Ładna to ty jesteś, ale mózdziku Bozia poskapła, co?*

- A jak ci się wydaje?

- Przez to coś?!

- Znasz lepszą drogę?

- Myślisz, że wszyscy musieli tędy przełazić?

Kate ani rusz nie mogła wyobrazić sobie księcia tego całego Bal... Bol... (Wszystko jedno, jak to się nazywało, w każdym razie księcia!) brnącego w swych jedwabnych szatach przez zielone paskudztwo. Ale zapewne nie fatygował się osobiście, tylko posłał swoich sługusów, a sam mile wypoczywał pod namiotem w towarzystwie jednej z tych nieszczęsnych kobiet!

Jim wskazał palcem smutne resztki zwodzonego mostu.

- Myślę, że przeszli po tym. Ale nam się to chyba nie uda.

- Ale...

- Widzisz to poszarzałe drewno? I te jaśniejsze krawędzie? Runął całkiem niedawno.

- O!

Kate sama nie dostrzegła tych detali, ale teraz, po wyjaśnieniu Jima, wszystko stało się dla niej jasne.

- Zdumiewające! Ten most stoi tu od dziesiątków lat, a wali się akurat wtedy, gdy jest nam potrzebny!

I znów to spojrzenie, tym razem tak odpychające, że omal nie pomogła mu zjechać dalej po skarpie. Tęgim kopniakiem!

- Ktoś go umyślnie zwałił, gdy weszli tam i wyszli z kolejną wskazówką?

Bennett powoli i ostrożnie dotarł do polowy spadzistego zbocza.

- Jasne.

- Ale to nie fair!

Tak go to rozśmieszyło, że musiał chwycić za wystający korzeń, by odzyskać równowagę.

- Oto słowa godne naszej ostoji prawości... Nie, nie: naszego asa...

- Aluzja dotarła - poinformowała go Kate. - Ale reguły wyścigu...

- Przekonasz się niebawem, że reguły nie tyle są przestrzegane, ile naciągane, gdy toczy się gra o pięćdziesiąt tysięcy dolarów, nie wspominając już o sławie, cennej dla każdego zawodnika. Będziemy mieli szczęście, jeżeli nikt z konkurencji nie zastawił na nas jakiejś pułapki, na przykład w tej cholernej fosie.

- Pułapki? - Spojrzała podejrzliwie na oślizgłą wodę, jakby spodziewała się, że z głębi zaraz wynurzą się ostrza włóczni, dziurawiąc falujące, gesty kozuch rżęsy. - Zaczekaj!

- Na co? - Noskiem buta próbował wymacać krawędź fosy. Płynne obrzydlistwo zafalowało niemrawo, urażone widać tą poufałością.

- Jak myślisz, głęboko tam? - Zdenerwowanie odbiło się na jej żołądku, i tak już podrażnionym smrodem tego bajora.

- Co cię to obchodzi? Nikt nie wymaga, żebyś przez to laźła.

Powiedział to lekkim tonem, jakby nigdy mu nie przyszło do głowy, że Kate mogłaby poważnie się na coś takiego. Zrozumiała, że jeśli teraz się nie spręży, to do końca wyścigu będzie przesiadująca w cieniu, wachlując się liściem i czekając, aż Jim odwali całą robotę. Kuszająca perspektywa... ale zobowiązała się do wzięcia udziału w wyścigu... i weźmie w nim udział, psiakrew, żeby nie wiem co!

- Też coś! Jasne, że idę z tobą!

- Naprawdę bym ci nie radził.

- Ale ja chcę i pójdę! - oświadczyła tak entuzjastycznym tonem, że omal jej to kłamstwo nie zadławiło.

Chyba niezbyt mu zaimponowała, bo prychnął, ale potem skinął na nią palcem.

- No to chodź!

- Bardzo tu głęboko?

- Jakie to ma znaczenie? Umiem pływać.

- Ale ja nie! - skłamała.

Zniecierpliwiony Jim zmarszczył brwi i zmierzył wzrokiem błotnistą skarpe.

- Podaj mi tamten kij!

- Ten?

Gałąź długa na jakieś sześć stóp, grubości jej kciuka i ozdobiona kilkoma zwiędłymi liśćmi dębu, balansowała na samym brzegu kamiennej półki. Kate ujęła ją za sam koniuszek i wyciągnęła jak najdalej w stronę Jima, choć jej nos wyraźnie protestował przeciwko nachylaniu się nad fosą.

- Dzięki!

Jim wyrwał kijek z jej dłoni. Nie spodziewając się niczego podobnego, Kate zachwiała się na swej wysokiej grzędzie, a żołądek podszedł jej do gardła.

Jim wbił kij w mulistą breję. Patyk zanurzył się na dwie stopy i utknął, wibrując niczym kamerton.

- Dwie stopy. Odpowiada ci to?

- Jeszcze jak!

Gorzej już być nie mogło. Miała nadzieję, że cały ten przekłety kijek skryje się w błocie... Mogłaby wtedy jakoś się wykręcić... Ale kto utonie w dwóch stopach czegokolwiek?!

Jim wlaźł w chlupoczącą breję. Sięgała mu do goleni.

- No i co? Jaka woda? - spytała tak radosnym tonem, jakby byli na plaży w jakimś kurorcie, a on właśnie sprawdzał dużym palcem u nogi temperaturę spienionych fal oceanu.

- Śluzowata - odparł i ruszył dalej.

- Zaczekaj!

- Co znowu?! - spytał z wyraźną niecierpliwością.

Zdobyła się na wyjątkowo ujmujący uśmiech. Dziwna rzecz! Dotąd takie zachęcające uśmiechy przychodziły jej z łatwością,

teraz jednak trudno jej się było na nie zdobyć, a rezultat nie okazał się zbyt imponujący.

- Nie ma sensu, żebyśmy oboje zniszczyli sobie buty na amen!

- Już ci mówiłem: nie musisz wcale tam iść!

- Jest jeszcze... inne rozwiązanie.

Wziął się pod boki i stojąc po kolana w błocie, spoglądał na nią z niedowierzaniem.

- Miałbym cię wziąć na barana?!

- Och ty, niedobry! Gdybyś mi pozwolił zabrać tyle pantofli, ile chciałam, mogłabym odżałować jedną parę... - Już miała się nadać jak urażona siedemnastolatka, ale powstrzymała się w porę. Takie dąsy i kapryśne minki to dobre dla podfruwajek... Stać ją teraz na coś lepszego, może nie?! - I nigdy nie uwierzę, że miałbyś kłopot z przeniesieniem mnie! - wymruczała jak kotka, trzepocząc rzęsami i obrzucając prowokacyjnym spojrzeniem jego rosnącą postać.

- O, co to, to nie! - Wyprostował się i spojrzął na nią groźnie z wyżyn. - Nie próbuj na mnie takich sztuczek! - Przeszedł w jękliwy falset, przypominający bzykanie natrętnego komara: - O, jakiś ty wielki i silny! Na pewno się zlitujesz nad taką biedną kruszynką jak ja!

- Nigdy bym się tak do ciebie nie odezwała! - odparła, udając święte oburzenie. Za chwilę parsknie śmiechem i zdradzi się przed nim!

- Pewnie, bo nic by ci z tego nie przyszło. - Odwrócił się i podstawił jej szerokie plecy w bawełnianej koszuli. - Wskakuj!

- Powiedziałaś przecie...

- Nie pomagam ci dlatego, żeś się do mnie wdzięczyła - Zerknęła na nią przez ramię. - Tylko widzę, że miałaś rację: po jakiego diabła mielibyśmy oboje zniszczyć sobie buty?!

*Miałaś rację!* Takie słowa z jego ust podziały jak ożywczy balsam. Miała już podkasać spódnicę, ale oblała się gorącym rumieńcem: Jim nie odrywał od niej wzroku.

- Pewnie cię to krępuje...

- Nic a nic. Nie przeszkadzaj sobie.

Po dziesięciu sekundach stało się jasne, że ani prośbą, ani groźbą nie skłoni go do przyzwoitego zachowania. Nie odwrócił się i już! Zabrała się więc znowu do spódnicy. Czerwieniła się przy tym jak pensjonarka, choć powtarzała sobie: „Nie zachowuj się

jak pierwsza naiwna!". Tamtej nocy przy pokerze wabiła go swym dekoltem z premedytacją... Ale wówczas był to jedynie podstęp wojenny, tak starannie przemyślany i wyćwiczony, że zatracił (przynajmniej dla niej) swój erotyczny charakter. Ale teraz, gdy patrzył na nią z nieukrywanym podziwem, jakoś nie mogła pozostać obojętna.

Nie miewała takich napadów nieśmiałości z byle powodu od pensjonarskich czasów. Podkasała więc spódnicę i halki jednym energicznym ruchem prawie do kolan, prezentując przy tym nie tylko zgrabne kostki, ale i obciążone pończochą łydki.

- A teraz odwróć się plecami - poleciła Jimowi.

- Dłaczego?!

- Żebym mogła się na nie wdrapać.

Potrząsnął głową, jakby ubolewał nad swą tępotą.

Odwrócił się tak błyskawicznie, że w sięgającej mu teraz do kostek mazi powstał błotny wir.

Głowę miał pochyloną. Gęste fale ciemnych włosów zostały tak przystrzyżone z tyłu, że mniej więcej od połowy szyi wąski klin (a może strzała?) biegł w dół, by wreszcie zniknąć pod kołnierzem. Barki miał szerokie, a pod wilgotną bawełnianą koszulką grały mięśnie.

Kate z trudem przełknęła ślinę. Sztuczka pozwalająca jej uniknąć brodzenia w ohydnej mazi wydawała się z początku genialnym pomysłem. Ale ostatnio wszystkie jej genialne pomysły pociągały za sobą nieprzewidziane skutki.

- Hmm...

- Daję ci dwie sekundy, zaraz potem ruszam. Jeśli namyślisz się poniewczasie, możesz liczyć tylko na własne siły.

Niezwykle ostrożnie zbliżyła się do fosy, by nie zamoczyć nóg w cuchnącej brei. Potem wyprostowała się, położyła rękę na ramieniu Jima i odbiła się od ziemi. Spódnicę kłębiły się wokół niej i wokół niego, gdy dosiadła swego rumaka, obejmując ramionami jego szyję, a nogami boki.

- Rany boskie! - Aż się zatoczył do tyłu. - Nie taka z ciebie kruszynka, jakby się wydawało! - Pochylił się do przodu, by odzyskać równowagę, a potem pociągnął Kate za rękę, zaciśnięte wokół jego szyi. - Przestań mnie dusić!

- Strasznie mi przykro! - odparła i ścisnęła go jeszcze mocniej.

- Chciałem powiedzieć, że jesteś lekka jak ptak... Całkiem mały ptaszek. Albo jak piórko. Tylko skoczyłaś na mnie z taką... zdumiewającą energią. Nie spodziewałem się tego.

- No, to już brzmi trochę lepiej!

Rozluźniła chwyt, ale tylko troszkę. Po co ryzykować upadek?

Jim brnął przez wodę, a ich ciała ocierały się o siebie. W dodatku poza była bardzo intymna: piersi Kate były przyciśnięte do jego pleców, jej uda obejmowały mocno jego boki. Miała dosłownie pod nosem włosy Jima, ogrzane słońcem, jedwabiste. Mył głowę niemal za każdym razem, gdy mijali jakąś rzekę. A ilekroć rozłożyli obóz, Jim zniknął na kwadrans i wracał, ociekając wodą. A teraz zapach jego ciała dochodził do niej i zagłuszał obrzydliwy smród bijący z fosy. Jim pachniał źródlaną wodą, rozgrzanym czystym ciałem i sobą. Czemu mężczyźni mają taki cudowny, niezwykły zapach? Kate opuściła głowę, pozwalając nosowi zanurzyć się na sekundę we włosy Jima. Były dokładnie takie, jak przypuszczała: miękkie i jedwabiste.

Przy każdym kroku Bennetta mięśnie jego boków prężyły się i ocierały o wewnętrzną stronę jej ud. Nieustannie i rytmicznie. Czasem obijała się o jego plecy i doznawała wówczas rozkosznego wstrząsu.

- Dość tego!

Słowa Jima przedzierały się z trudem przez otaczającą Kate cudowną mgłę.

- Czego...? - wymamrotała.

- Dość tego wiercenia się, bo pójdziesz dalej pieszo! - Z tymi słowami wziął rozmach jedną ręką i klepnął Kate w zadek tak mocno, że wrzasnęła. - Strasznie mi przykro - dodał pospiesznie. - Nie celowałem specjalnie... To znaczy, chciałem cię tylko uchronić od upadku i... A niech to wszyscy diabli!

Puścił ją tak nagle, że była zmuszona wczepić się w niego jak małpka, i popędził galopem na przeciwległy brzeg fosy. Woda chlupotała, mocząc zwisający obrąbek spódnicy, ale Kate nie zwracała na to uwagi. Głównym problemem była dla niej teraz szybkość. Gdyby musiała tkwić tak przyklejona do jego pleców dłuższą chwilę, ich niezapomniany grzeszek w altance zostałyby przyćmiony przez znacznie poważniejszy skandal.

Skoro tylko Jim dotarł może nie do suchego, ale w każdym



razie mniej papkowatego ładu, Kate ześlizgnęła się z jego pleców niczym galaretką wyjętą z formy. Jim był tak zasapany, jakby przebył biegiem pięć mil, a nie trzydzieści stóp. Jego pierś wznosiła się i opadała jak kowalski miech.

- Dziękuję! - wymamrotała, unikając jego spojrzenia.

Dawno temu przekonała się z ogromnym żalem, że jej najlepsze intencje przeważnie biorą w łeb w obecności Jima Bennetta, zwłaszcza pod wpływem jego oczu.

- Za takie byle co? Wybij to sobie z głowy!

Omam się nie rozeźmiała na cały głos. „Wybij sobie z głowy!”

- Lepiej chodźmy stąd - powiedział i wyciągnął do niej rękę, wnętrzem dłoni do góry.

-Ja...

Kate zawahała się. Nie potrzebowała dalszych dowodów na to, że wszelki dotyk pomiędzy nimi zwiastuje wyłącznie kłopoty. Ale skarpa była stroma i śliska, ona zaś wcale nie miała ochoty zjechać po niej prosto w to bajoro. Odetchnęła głęboko, jakby to mogło ją uodpornić na dotknięcie Jima. W tym samym momencie, kiedy ich dłonie się zetknęły, uświadomiła sobie, że żadne uodpornienie nie było możliwe. Nie ma sposobu, ratunku ani zaklęcia, które osłabiłyby ten czar. Ręka Jima była ciepła, twarda i szorstka, a równocześnie niezwykle delikatna. Jego palce splotły się z jej palcami mocno i zaborczo.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał ją. - Myślisz, że pozwolę ci spaść, kiedy zadałem sobie tyle trudu, by cię przytaszczyć aż tu?

Dotrzymał słowa. Wdrapali się na skarpę bez przeszkód. Kate niemal zapomniała, jak zdradzieckie było to zbrocze; wszystkie jej myśli, wszystkie emocje koncentrowały się na czymś tak banalnym jak zetknięcie się dwojga dłoni. Jego ręka, silna i stwardniała od pracy fizycznej, w niczym nie przypominała wypielegnowanych rączek zniewieściałego arystokraty. Ręce Jima były zręczne, nie lękały się pracy i wykonywały ją znakomicie. Tymi rękoma mógł zaciągnąć mężczyznę dorównującego mu wzrostem po górskim zboczku aż na szczyt. Z pewnością więc nie dopuści, by właśnie ona wyślizgnęła mu się z rąk.

- Jesteśmy na miejscu! - Pociągnął ją po raz ostatni, przeniósł nad krawędzią i postawił na ziemi. Wszystko jednym płynnym ruchem. - Dobrze się czujesz?

- Doskonale! Czemu miałabym się źle czuć?

- Jesteś jakby... rozgorączkowana.

Wyrwała rękę z jego uścisku. Może się nie połapała, że zbyt długo pozostawiła ją w jego dłoni?

- Nic mi nie jest! - warknęła.

Zacisnął usta w twardą linię.

- Niech ci będzie.

Zwrócił się w stronę drzwi.

Wielkie, łukowate drzwi, które niegdyś wypełniały masywną futrynę, dawno już przestały istnieć. Weszli do wnętrza i temperatura od razu opadła o dobre dziesięć stopni, a światło zgasło, jakby słońce schowało się za horyzontem.

- Widzisz, jak tu przytulnie? - spytał Jim.

Ściany były ciemne i miały plamy od wilgoci. Wisały na nich strzępy jakichś niby to antycznych gobelinów. Dwa przeżarte rdzą skrzyżowane miecze wisały nad czarnym od sadzy kominkiem w towarzystwie dwóch butwiejących głów nieszczęsnych jeleni.

- Przypomina ci się rodzinny dom?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo! - Z widocznym wysiłkiem otrząsnął się z czarnych myśli. - Możemy startować? Została nam ledwie godzina dziennego światła.

- Czego będziemy szukać?

- Wszystkiego, co nie pasuje do otoczenia. - Trącił nogą butwiejący dywan, który rozpadł się od razu. - Na przykład czegoś, co się jeszcze nie rozpada.

- Tego zbyt wiele tu nie znajdziemy.

Kate zapuściła się w głąb sali, spoglądając na festony pajęczyn, zwisające z każdej belki.

- Nawet jeśli nie trafiliśmy do właściwej sali, chyba wszyscy inni popełnili ten sam błąd.

Na grubej warstwie kurzu, pokrywającej podłogę z łupku, widniały wyraźne ślady; najwięcej ciekawskich z zabłoconymi nogami skupiło się przy kominku.

- Wygląda na to, że największy ruch panował tam! - stwierdził Jim, zmierzając w stronę wejścia do pasażu, prowadzącego w lewo. Był to mroczny tunel przebiegający poniżej spiralnych schodów i wiodący do galerii na drugim piętrze.

Bennett przystanął w cieniu sklepionego przejścia i czekał na

swą towarzyszkę. Nie czekał na nią ani razu od początku wyścigu. Przeważnie ruszał pierwszy niecierpliwym krokiem, jakby miał nadzieję, że Kate nie będzie mu dłużej płatać się pod nogami. Teraz jednak stał i czekał, z rękami na wąskich biodrach, z miną może nie przyjazną, ale przynajmniej nie obwieszczającą wszem i wobec: „Im wcześniej się ode mnie odczepisz, im bardziej się oddalisz, tym lepiej!”

Kate żyła dotąd w przekonaniu, że zdecydowanie woli mężczyzn dobrze wychowanych, porządnie uczesanych i ubranych, zadbanych, a nade wszystko domytych.

Aż tu zjawia się on, zielony od rzęsy, mokry po kolana, fatalnie ostrzyżony, z dwudniową (co najmniej!) szczeciną zarostu. Mężczyzna, który - jak podejrzewała - urodził się do życia na salonach, ale zerwał z nim dawno temu, by włóczyć się po najdzikszych, najmniej cywilizowanych zakątkach świata. A jednak... właśnie on ją pociągał, nawet bardziej niż wówczas, gdy przed laty zawędrował do jej altanki i zostawił po sobie płomienisty ślad w jej wspomnieniach. Cały przód koszuli miał pognieciony; to ona wczepiła się w nią obiema rękami. Nagle odżyły w niej wszystkie wspomnienia i emocje: jego zapach, zetknięcie się - jakże niewinne! - ich ciał... Choć, prawdę mówiąc, nigdy nie było w ich kontaktach prawdziwej niewinności.

- Chyba pójdę tędy.

Niezręcznym gestem wskazała obrany kierunek i równie niezręcznie próbowała usprawiedliwić swoją decyzję.

- Chyba nie ma sensu, żebyśmy wszędzie chodzili razem, nieprawdaż?

Nie ma już żadnych przeszkód... ?

Natychmiast na jego twarzy pojawiło się znów gniewne spojrzenie; zbiegły się nad nosem brwi, rzucając taki cień na oczy, że wydawały się puste.

- Spotkamy się tutaj za pół godziny. Jeśli nie wrócisz do tej pory, zacznę cię szukać.

Na sekundę ożyła w niej nadzieja. Zbudziły ją słowa Jima: *Zacznę cię szukać*. Ale jego następne zdanie sprowadziło ją z powrotem na ziemię, i to boleśnie:

- I nie zachowuj się jak idiotka!

## 9

Bennett wrócił pierwszy do groteskowej paradnej sali. Gdy Kate wbiegła tam bez tchu, wyłoniwszy się z czeluści zamkowej kuchni (kompletna ruina, w dodatku cuchnąca), ujrzała Jima w postawie bojowej vis a vis pokrytej rdzą, jednoręką zbroi.

- Jestem pewna, że dałbyś mi rady!

Odwrócił się błyskawicznie. Chłopięca radość, malująca się na jego twarzy, zaskoczyła ją. Stanęła jak wryta.

- Najlepiej mi idzie z przeciwnikiem, który się nie rusza - odparł. - Odkryłaś coś ciekawego?

- Trzy mysie trupy, bibliotekę pełną starannie przetrawionych dzieł i wychodek dla nietoperzy. A ty?

- Jak ci się udało trafić na tyle osobliwości? To niesprawiedliwe!

- A ty niczego nie znalazłaś?

- Tylko izbę tortur. Pełny zestaw łańcuchów, kajdan i skórzanych pęt w stanie szczątkowym. Masz ochotę zwiedzić?

- Chyba sobie daruję.

- E tam! Co z tobą za zabawa!

- Może zmienisz zdanie, jak się bliżej poznamy - odparła. - No więc, co dalej?

- Nic już nie zostało... oprócz wieży.

- Wieży?

Miała nadzieję, że nie zauważył jej piskliwego głosu. Zawsze tak piszczała, gdy ją porządnie ścisnęło w gardle.

Jim wzruszył ramionami.

- Chyba należało od niej zacząć. We wskazówce stoi jak byk gniazdo".

- Ale... przecież cały dom był czymś gniazdem!

- Po mojemu, jeśli każą nam szukać gniazda, to chcą, żebyśmy się wdrapali jak najwyżej.

Kate od samego początku podejrzewała, że w jakimś momencie tej radosnej przygody zostanie zmuszona do zrobienia czegoś, co wykraczało poza granice jej umiejętności... i wytrzymałości. Ale organizatorom właśnie o to chodziło, prawda? Żeby zawodnicy wkroczyli na nieznany teren i musieli udowodnić, na co ich stać.

- Ściemnia się - zauważyła. - Może lepiej poczekać z tym do rana?

- Znalazłem w hallu dwie pochodnie. Światła nam nie zabraknie. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - I atmosfera będzie w sam raz!

- Sprytnie pomyślane. Myślisz, że to bardzo niebezpieczne?

Po raz pierwszy od rozpoczęcia wyścigu uśmiechnął się szczerze i wesoło. Jest w swoim żywiole! pomyślała z zazdrością.

- Zaraz się o tym przekonamy, prawda?

Nie ulegało wątpliwości: zajrzał już na własną rękę do tej wieży.

Bez wahania posuwał się naprzód w płataninie wąskich korytarzy, w których Kate zgubiłaby się od razu. Przypadkiem otarła się o ścianę i aż się wstrząsnęła na widok swojej ręki upapranej jakimś paskudztwem.

- Co się stało? - spytał Jim, gdy ukradkiem wytarła dłoń o jego plecy.

- O, przepraszam! - odparła pospiesznie. - Traciłam cię? To przez tego robaka... Strasznie natrętny. Próbowałam go odpędzić. Mam nadzieję, że cię nie ugryzł?

- Jakiego znów robaka?

- Nie wszystko ci jedno? Robak i tyle.

- Ja... Mniejsza z tym.

Pasaże stawały się coraz bardziej mroczne. Wąskie szczeliny, które zastępowały w nich okna i pozwalały ujrzeć kłębiące się gdzieś w dole morskie fale, stawały się coraz radsze. W końcu Jim zapalił jedną ze smolnych pochodni. W jej migotliwym świetle wszystko wokół nich wydawało się jeszcze bardziej mroczne. Kilka minut później dotarli do niewielkiego pomieszczenia zbudowanego na planie koła. Znajdowało się ono u podstawy wąskich i krętych schodów. Na dole owe schody trzymały się blisko ściany, wyżej zaś wznosiły się spiralnie... ku nicości.

- No, wreszcie coś mamy! Najwyższy czas. - Postawił z rozmachem nogę na dolnym stopniu. Tupnięcie odbiło się gromkim echem wysoko nad nimi. - Wygląda na całkiem solidny!

Kate odchyliła głowę do tyłu. W świetle pochodni widziała jedynie kilka pierwszych zakrętów wąskiej klatki schodowej. Reszta ginęła w otaczającej ich ciemności. Tylko na samej górze, na niedostępnych wyżynach świeciła gwiazda, maleńka jak łąpek szpilki. Kate poczuła zawrót głowy.

- Dach pewnie diabli wzięli - ciągnął Jim tak rzeczowym tonem, jakby sporządzał protokół inwentaryzacji. - Z poręczy też niewiele zostało, więc najlepiej trzymać się zewnętrznej ściany. Nie odejmuj od niej prawej ręki, to nie zbliżysz się do niebezpiecznej krawędzi na lewo.

- Naprawdę uważam, że lepiej by było poczekać do rana!

Odwrócił się do niej, trzymając wysoko w górze pochodnię. Błaski i cienie tańczyły na jego twarzy, wyostrowając, uwypuklając i pogłębiając rysy. Światło pochodni - jaskrawe, pomarańczowo-czerwone - odbijało się w jego oczach, zmieniając ich wyraz. W tym oświetleniu wydawał się groźnym, nieobliczalnym, niebezpiecznie atrakcyjnym nocnym drapieżnikiem.

Kate obawiała się niebezpieczeństwa. Jej serce, i tak już skore do szybkiego bicia, tłukło się teraz jak szalone., Ale rosnącej trwodze towarzyszyło podniecenie. Odczuwała je w całym ciele, nawet w koniuszkach palców rąk i nóg. Czuła, że żyje - ale takiego ożywienia jej dotychczasowy świat, bezpieczny, starannie Urządzony i wygodny, nigdy by nie zaakceptował.

- Nie widzę powodu do zwłoki - odparł Jim. - Pochodnia zapewnia dość światła, widać przy niej kilka następnych stopni. Gdyby zaczęły się chwiać, musielibyśmy zmienić taktykę, ale coś takiego może się zdarzyć równie dobrze rano jak wieczorem.

- Hmm - mruknęła Kate.

Doszła do wniosku, że znacznie łatwiej będzie zapamiętać o wąskich stopniach, napierających na nią ścianach, przytłaczającym gęstym mroku i pustej przestrzeni wysoko nad ich głowami, ku której pięły się spiralne schody, jeśli zajmie się czymś innym - na przykład zacznie myśleć o Jimie. I uczepiwszy się tego pretekstu, wpatrywała się w niego ile dusza zamarzy. Światło migotało w jego oczach, złocąc soczysty brąz tęczówek, i nieciło w ciemnych włosach setki iskier. Jego usta - jakże piękne, gdy z rozmysłem formowały każde słowo! I błysk równych białych zębów, na który czekała zapatrzona, zafascynowana, bez tchu.

- Winnaś iść tuż za mną - przykazywał. - Mówię poważnie, Kate! Nie pora na lekceważenie moich rad, choć bardzo to lubisz. I trzymaj się blisko ściany!

Mogę tego dokonać, wmawiała sobie Kate, czując ogarniającą ją panikę. I dokonam!

- Właściwie nie musisz tam iść - przekonywał ją Jim miękko, niemal serdecznie. I właśnie przez tę jego łagodność omal się nie załamała. Gdyby z niej szydził czy obrażał ją, wściekłość dodałaby jej skrzydeł, pomogła pokonać co najmniej pół tuzina stopni. Ale ta nieoczekiwana czułość sprawiła, że wszystko stało się jeszcze trudniejsze.

- Właśnie, że muszę! - odparła szeptem.

Rok temu zostałyby przezornie na pewnym gruncie i wykorzystowałyby wszystkie swoje sztuczki, by zmusić Jima do odwalenia całej roboty. Ale jej życie uległo zmianie. I wszystko - włącznie z nią - musiało się zmienić.

- Kate...

- Powinnaś iść pierwsza! - wyrzuciła z siebie tak szybko, by nie zmienić postanowienia przed końcem zdania. Skupiła całą uwagę na maleńkim jaśniejszym trójkącie widocznym na szyi Jima po rozpięciu górnego guzika. W ten sposób nie będzie okazji do przyglądania się schodom. - Jestem lżejsza od ciebie, więc jeśli stopień się załamie pode mną, to nie tak gwałtownie. Będziesz miał czas mnie złapać. - Ścisnęło ją w gardle. - Prawdopodobnie.

- Nigdy nie pozwoliłem żadnemu z moich współpracowników zapuszczać się na niesprawdzony teren.

- Jim! - Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. - Jeśli ty spadniesz, nie będę w stanie temu zapobiec. Ani zejść z tych przeklętych schodów. Zostanę tu, sparaliżowana strachem. I najwyżej po latach ktoś natknie się na Zakurzone kości.

No! Wreszcie wyznała prawdę. A Jim ani z niej nie szydził, ani nie żartował, ani nie zostawił jej własnemu losowi. Skinął tyłką głową i przesunął się, by mogła iść pierwsza.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła przodem. Ale zaraz musiała się zatrzymać, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Jim był tuż za nią. Tak blisko, że czuła jego ciepły oddech na szyi, gdy mówił. W pewnej chwili przyłożył dłoń Kate do zimnej, chropowatej ściany.

- Musisz ją zawsze czuć pod ręką - powiedział cicho. - Wtedy nie zbliżysz się ryzykownie do tej drugiej, niebezpiecznej krawędzi.

Kate skinęła głową, starając się złapać dech. Wolną ręką zebrała spódnice i halki i postanowiła skoncentrować się na obecności Jima, myśleć o tym, że ma go przy sobie, a nie o niezliczonych stopniach piętrzących się nad jej głową. Udało się jej zrobić krok. Wzdrygnęła się, stawiając nogę na stopniu; była niemal pewna, że drewno załamało się jej pod nogami.

- No i widzisz! - powiedział Jim. - Pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy!

- Hmm... - mruknęła Kate.

Była przekonana, że im wyżej, tym będzie im trudniej. Czują jednak wdzięczność do Jima za tę uwagę, która miała jej dodać ducha.

Pokonywała stopnie w takim tempie, że chyba tylko cudem dotarliby na szczyt o północy. Krok, potem nawrót paniki, oczekiwanie, czy stopień się nie zawali, westchnienie ulgi, chwilka na zebranie sił przed atakiem na następny schodek. I jeszcze raz to samo, od początku. I jeszcze. Jim nie mówił nic, ale bijące od niego ciepło i spokojny oddech działały na nią kojąco. Ale w miarę jak się wspinali w górę, schody wydawały się coraz węższe, a ściany wieży coraz bliższe i bardziej mroczne. Kate oddychała z wysiłkiem. Nie wiedziała, co bardziej ją przeraża: ciemności, zawężanie się otaczającej ją przestrzeni, czy przepaść otwierająca się tuż po jej lewej stronie?

- O Boże!

Na sekundę zapomniała o wszystkich tych zasadach. Oderwała dłoń od ściany i zaczęła wymachiwać nią jak szalona przed swoją twarzą, usiłując pozbyć się pajęczyny, w którą właśnie wpadła.

- Kate!

W ułamku sekundy znalazł się tuż przy niej, prawą ręką objął ją w talii; jego potężna postać stykała się z jej plecami, zapewniając jej solidne oparcie. Kate poczuła żar bijący od pochodni i uświadomiła sobie, że żadne z nich nie trzyma się ściany zewnętrznej. Uderzyła w nią pięścią.

- Trzymaj się tego, głupcze!

- Ty pierwsza odsunęłaś się od ściany - przypomniał jej spokojnie i rozsądnie. - Czy już wszystko w porządku?



- Przepraszam - powiedziała. - To była taka wielka pajęczyna. I pająk...

- Pająk?! - Jim wzdrygnął się gwałtownie. Czuła wibrację jego ciała. - Jak to dobrze, że nie na mnie trafiło!

- Brzydzisz się pająków? - Odważyła się na maleńki obrót i zerknęła na niego przez ramię.

- Brzydzę się? Skądże znowu! - Zmarszczył brwi. - Umieram ze strachu przed pająkami! A także karaluchami, muchami i całą resztą tych cholernych, pełzających, odrażających insektów!

- Naprawdę? - Zmrużyła oczy i próbowała wyczytać prawdę z jego twarzy. - Przecież w dżungli musi być ich całe mnóstwo!

- Po co miałbym ci opowiadać dyrdymałki? Wielkie, chrzęszczące czarne stwory z żyłkowanymi skrzydełkami; ruchliwy drobiazg z tysiącem nóżek, który uparcie włazi mi do butów... - Jego ramię odruchowo zacisnęło się wokół niej. Kate uświadomiła sobie nagle, że stoją jedno przy drugim, otuleni mrokiem, nieruchomi w niezbyt wygodnej i niepewnej pozycji. Usta Jima oddalone od jej ust zaledwie o parę centymetrów... -Jak myślisz, czemu ostatnim razem wybrałem się do Arktyki?

-Ja... - Kate nie była już taka pewna, co jest przyczyną jej trudności z oddychaniem. I nie umiałaby powiedzieć, która z przyczyn wydawała się jej bardziej niepokojąca. Czy lepiej zwalić wszystko na wieżę, czy przypisać winę Jimowi, który niewątpliwie stał zbyt blisko? - Wymyśliłeś to wszystko, i tyle!

- Oj, Kate, Kate! Myślisz, że tylko ty miewasz lęki? - Nie uśmiechał się. Mówił z całą powagą. - Sądzisz, że strach ma zawsze logiczną przyczynę, że zniknie, gdy wyjaśnimy, skąd się wziął? Że można go odegnać siłą woli? - Potrząsnął głową. - Nasze lęki rządzą się własnymi prawami. A my możemy stawić im czoła albo wiecznie przed nimi uciekać. Mamy tylko te dwie możliwości.

Nadal nie mogła dociec, czy Jim mówi prawdę. Nie dostrzegła u niego widomych oznak paniki. Głos mu się nie załamywał, obejmujące ją ramię było spokojne i pewne. A jeśli nawet miał jakieś trudności z oddechem, przyczyną mogła być równie dobrze ich wzajemna bliskość, jak resztki pajęczyny, którą przebiła głową.

- Nie chciałbym cię popędzać - odezwał się wreszcie. - Ale może jesteś już gotowa... ?

- Jestem gotowa - odparła bez większego entuzjazmu.

Natychmiast cofnął ramię, którym ją podtrzymywał, i zszedł na niższy stopień. Kate znów wysunęła się na czołową pozycję.

Jeszcze trzydzieści stopni. Wystarczająco dużo, by Kate poczuła znów rosnące napięcie. Brak tchu spowodowany był raczej fizycznym zmęczeniem. Ciemność osaczyła ją ze wszystkich stron. Nie była już pewna, jak daleko zaszli, i jak daleką drogę mają jeszcze przed sobą.

- Jak myślisz, czy jesteśmy już blisko celu?

- Jeszcze nie.

Odruchowo spojrzała w górę, szukając skrawka nieba, który pomógłby wyjaśnić tę sprawę. Równocześnie jej prawa stopa ześlizgnęła się ze stopnia i trafiła w próżnię.

Kate wrzasnęła, gdy zarzuciło ją do przodu. Małeńka rozmażana gwiazdka, którą właśnie dostrzegła w polu widzenia, znikła w chwili upadku. Ale Kate nie poleciała daleko; osunęła się najwyżej o kilka cali, gdy Jim ją pochwycił i zaciągnął w bezpieczne miejsce. Znowu opierała się o niego plecami.

- Kate... Kate?!

Głos Jima docierał do niej jak przez mgłę. Wołał ją po imieniu z daleka... Bardzo daleka. Oddech uwiązał jej w gardle. Nie tñoęła ani wciągnąć powietrza w płuca, ani go wypuścić. Serce jej biło jak u osaczonego królika.

- Kate?... - Usta Jima dotykały jej ucha. Udało się jej leciutko poruszyć głowę. Do niczego innego nie była zdolna. - Kate! - Jim mówił teraz ostro, jego głos przedzierał się przez gęsty mrok, otaczający ją zewsząd. - Kate, jesteś bezpieczna! Trzymam cię.

Jej ręce i nogi były sztywne. Całe ciało zastygło w bezruchu.

- Kate, czy wiesz, gdzie jesteś?

- Jim - zdołała wykrztusić. Jej głos brzmiał głucho i obco. Zupełnie jakby kto inny zawołał Jima po imieniu.

- No, nareszcie! Przepraszam, Kate! Powinienem być lepiej cię strzec. Te schody wydawały się takie solidne...

- Nic nie jesteś winien! To ja... nie uważałam.

Nie mogła pozwolić, by Jim obwinał się o ten wypadek.

- Ale...

- Nie!

Morze nadal huczało, waliło o brzeg. Wydawało się teraz znacz-

nie bliższe. Rytm fal brzmiał dziwnie kojąco, zlewał się z wysiłowym rytmem jej oddechu.

- Mamy teraz bliżej do szczytu niż do podnóża - powiedział w końcu. - Tylko ten jeden stopień był uszkodzony. Następny jest całutki, rozumiesz? Możemy ruszać dalej.

- Nie!

Histeria, która zaczęła ustępować, odezwała się z nową siłą.

- Dobrze już, dobrze... - mówił takim tonem jak stajenny, który uspokaja przerażonego konia.

- Jeśli ten się załamał, to skąd wiesz, że następny się nie załamie?

- To nie było takie zwyczajne załamanie. - Pochylił pochodnię tak, że jej migotliwe światło padało na schody tuż przed nimi. Na widok zionącej tam wyrwy Kate poczuła, że żółć napływa jej do ust; pospiesznie kilka razy przełknęła ślinę, by zapobiec mdłościom. - Widzisz? To nie próchno, które nie wytrzymało czyjegoś energicznego stąpania. To stopień, który ktoś z całą premedytacją wypiłował. Ot, taka nieszkodliwa dywersja dla zniechęcenia konkurencji. Reszta stopni jest w doskonałym stanie.

- Nieszkodliwa dywersja, powiadasz?!

Gdyby Kate była w stanie poruszyć się, dałaby mu w ucho za lekceważenie niebezpieczeństwa.

- Właśnie. Gdyby naprawdę chcieli nas zabić albo okaleczyć, obruszaliby tylko stopień, by nikt nie nabrał podejrzeń, stąpnął mocno i zleciał na złamanie karku. A tu taka spektakularna dziura! Nie sposób jej nie dostrzec. Chciano nas tylko nastraszyć, zniechęcić i spowolnić nasz pościg za czołówką.

- No i udało się im!

Próbował dodać jej odwagi szybkim, serdecznym uściskiem.

- Opowiadałem ci, jak nas - doktora i mnie - dzicy omal nie ugotowali na kolację w pobliżu Maranon?

- Nie opowiadałeś mi nigdy żadnych anegdotek, Jim. I szczerze mówiąc, w tej chwili mam wszystkie twoje historyjki w...

Roześmiał się serdecznie.

- Nie możemy tkwić tu przez całą noc, Kate.

- Dlaczego? Przywiązałam się już do tego schodka. Niesłychanie wygodny. Nie widzę powodu, by się z nim rozstawać.

- Te stopnie nie są zbyt szerokie. Możesz bez trudu przeskoczyć tę dziurę, podciągnij tylko spódnicę, żeby ci nie zawadzała.

- Nie.

- No, no... Przecież ci pomogę.

- Nie!

- W porządku. Rozumiem. Nie idziemy dalej.

Ręka obejmująca ją w pasie rozluźniła się. Kate uchwyciła się jej kurczowo.

- Nie odchodź!

- Założę się, że do tej pory nie błagałaś o to żadnego szczęściarza! - Westchnął. Oparł brodę o czubek jej głowy i przez chwilę stał tak przytulony do niej. Emanujące z niego ciepło i serdeczność pokonały częściowo jej paniczny strach.

- Jim?

- Hmm?

- Taki jesteś dobry... Dziękuję.

Uniósł głowę i powiedział coś takiego, że Kate pożałowała swych impulsywnych słów.

- Dawno temu przekonałem się, że jeśli się na kogoś wrzeszczy w krytycznej sytuacji, to pogarsza się tylko sprawę.

- Ach, tak?

A więc nie był to dowód serdecznej przyjaźni, tylko wyrachowania?! Kate wyprostowała się, odciążając nieco swego towarzysza. Kolana się jej trzęsły, ale utrzymała się na nogach.

- Możesz mnie już puścić.

- Naprawdę?

Jej pokaz brawury trwał tylko pół sekundy.

- Nie!

- Możesz się odwrócić?

- Z tym też będzie problem. I powiem ci od razu, nim o to spytasz: Każdy ruch sprawia mi trudność. Bądź łaskaw wziąć to pod uwagę.

- Jeśli zaczniemy schodzić, z każdym krokiem będziesz bliżej ziemi.

- Bliżej ziemi? To brzmi całkiem obiecująco.

- Czułem, że przypadnie ci to do gustu. W porządku, powiem ci, co wymyśliłem. Zejdę stopień niżej...

- Jim!!!

- Tylko jeden stopień, słowo honoru. Głupie kilka cali. Będę cię w dalszym ciągu obejmował. A potem, kiedy stanę mocno,

obiema stopami na tym schodku, sprowadzę cię na dół. Nóżka przy nóżce, stopień po stopniu. Zgoda?

*Nie!* chciała krzyknąć, ale nie mogła przecież przyznać się, że nie jest w stanie zdobyć się na coś równie łatwego. Już i tak skompromitowała się przed nim okropnie!

Przez cały czas wstrzymywała dech. Jim dotrzymał słowa, był jej wierną ostoją, a jego spokój działał na nią kojąco.

- Udało się! - powiedział, gdy Kate znalazła się na następnym schodku. - Nie było takie trudne, prawda?

- To jest ślimacze tempo, sam dobrze wiesz!

- Schodzimy dalej?

Tym razem odpowiedziała niemal szczerze:

- Schodzimy.

Schodzenie wydawało się szybsze od wchodzenia i z każdym krokiem szło im łatwiej. Do tego stopnia, że prawie pożałowała, gdy znaleźli się na dole.

Ledwie stanęli na ziemi, Jim wypuścił ją z objęć i odsunął się, jakby nie mógł znieść jej bliskości ani chwili dłużej, niż to było konieczne.

Odwrócił się do niej profilem. Blask pochodni, którą nadal trzymał w ręku, podkreślał pełną napięcia linię szczęki i zaciśnięte usta.

- Lepiej wyjdźmy stąd - powiedział.

- Nie!

Z jej winy zmarnowali pół nocy. To się nie może powtórzyć!

- Idź sam na górę. Zaczekam tu na ciebie.

Już miał się odwrócić ku schodom, ale zatrzymał się.

- Nie, najpierw cię stąd wyprowadzę.

- Chcesz mnie zostawić sam na sam z tą koszmarną fosą?!

Zdobyła się na uśmiech. Miała w tym, dzięki Bogu, dużą wprawę. Podeszedł do niej i przyjrzał się jej badawczo. Poczuła, że przylepiony do ust uśmiech zaczyna się odklejać.

- Jeszcze tu jesteś? Czyżbyś się zląkł tych okropnych pajaków, bo nie będę ci już przecierała drogi?

- Zgadłaś!

Czoło mu się wygładziło, widoczne na twarzy napięcie osłabło. Bez wątplenia cieszył się na myśl o szybkości, jaką rozwinię, pozbywszy się nieznośnego brzemienia.

- Jak będziesz dłużej zwlekał, Jim, zacznę sobie wmawiać, że nie możesz znieść rozstania ze mną!

- Robiłaś co mogłaś, Kate. - Niezręcznie połaskotał ją pod brodą, jakby była dzieckiem. - Nie ma się czego wstydzić, póki człowiek robi wszystko, co w jego mocy.

Odwrócił się żywo, zataczając pochodnią świetlisty krąg, i pomknął po schodach z szybkością pięciokrotnie (albo i więcej!) wyższą od tej, z jaką wdrapywali się, gdy ona nadawała tempo.

Kate trzymała fason do chwili, gdy ścisnęło echo mocnych, pewnych kroków Jima. Potem zaczęła się cofać w kierunku ściany. Oparła się mocno plecami o mur i skuliła się pod nim - żałosna kupka nieszczęścia.

*Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. I tylko to się liczy.*

Nawet ten wytarty banał obrócił się przeciwko niej. Ileż to razy szastała nim, pouczając swoje siostry!

Cóż to za cholerna bzdura!

## 10

Pochodnia zgasła, gdy Jim miał przed sobą jeszcze trzecią część drogi powrotnej. Na szczęście minął już wyrąbany stopień, ale to był jedyny jasny punkt w całej tej koszmarnej sprawie.

Dopiero teraz, gdy ostry blask pochodni nie raził go w oczy, Jim zorientował się, że na dole też się świeci. Ostrożnie zerknął w czeluść zionącą po tej stronie, gdzie nie było ani ściany, ani barierki. Zobaczył jednak tylko spiralne schodki, zstępujące w dół, oraz jaskrawo pomarańczowe światło, które połykiwało mniej więcej pośrodku owego „dołu”.

- Jesteś tam, Kate? - zawołał.

- Jestem!

Jej głos, czysty i pewny, uradował Jima nie mniej niż płonące na dole światło.

- Zapaliłaś drugą pochodnię? Doskonale! - powiedział. - Sam powinienem być to zrobić przed kolejną wspinaczką.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Przynajmniej odstraszy pająki!

W świetle pochodni wyglądała jeszcze piękniej: włosy miała jak roztopiony brąz, skórę z bursztynu.

- No i co? Jak wygląda następna wskazówka?

Uniósł zaciśniętą pięść i wysypał jej zawartość: garść startej niemal na proch skały i nieliczne nieco większe odłamki granitu, połyskujące ilekroć światło padło na tkwiące w nich odrobinki miki.

- Te śmiecie?!

Podeszła i spojrzała na jego dłoń, na której pozostało kilka skalnych okruszyn. Chciał ją ostrzec, żeby nie podchodziła tak blisko, bo diabli wiedzą, czym się to może skończyć. Ale nim wydobył z siebie głos, Kate już się cofnęła.

- Wiem, że robisz, co możesz, Jim, ale taka wskazówka nie na wiele się przyda. Czy organizatorom wyścigu naprawdę zależy na tym, byśmy błądzili po omacku, szukając wiatru w polu?!

- No, cóż... To w końcu dziennikarze, goniący za tanią sensacją. Niewykluczone, że byliby do tego zdolni. - Otrzepał dłonie z ostatnich skalnych drobinek. - Ale tym razem nie mieli chyba podobnych zamiarów. Bez wątplenia wskazówka była na jakimś kamieniu, może na kamiennej tabliczce... i ktoś umyślnie ją zniszczył, by nie wpadła nam w ręce.

- No, no! Od razu widać, jak wszyscy honorowo walczą o pierwszeństwo! - Kate pochyliła się nad kupką skalnych okruszków i zaczęła w nich grzebać, przyświecając sobie pochodnią. Wzięła do ręki nieco większy odłamek i przyjrzała mu się z bliska. - Na tym jest coś wyryte!

Wyprostowała się i złożyła swe znalezisko na dłoni Jima.

- Już to widziałem - odparł i odrzucił kamyk.

- Ejże! Co ty wyrabiasz?!

- To śmieć bez wartości.

- To wszystko, co udało się nam zdobyć!

Pobiegła w stronę, w którą potoczył się ciśnięty o ścianę kamyk. Z pochyłą głową dokładnie oglądała podłogę.

- Wstawaj, Kate! Widziałem, co było na tym kamyku. Nie

układamy łamigłówek, więc co nam przyjdzie z takiego okrawka?! Prędzej przepłyniesz Amazonkę wszerz i wzdłuż, niż doszukasz się jakiegoś sensu w tej garstce żwiru!

- Ale tam naprawdę był jakiś znak!

- Owszem. Widziałem go. Duże „V”, grot strzały, a może czapka krasnoludka? Możemy zgadywać do upadłego. Mam ten cholerny znaczek w pamięci, nie będę sobie obciążać nim kieszeni!

Jim wcale nie miał zamiaru tak na nią wrzeszczeć. Ale musiał jakoś wyładować swój bezsilny gniew.

Najsilniejszą stroną Bennetta było zawsze bezbłędne przygotowanie do *wyprawy* badawczej. Niczego nie pozostawiał na łaskę losu, rozważał każdą możliwość - i dzięki temu, gdy zniemaka wyskakiwało coś nieoczekiwanego (a wyskakiwało zawsze!), były to przeważnie sprawy drugorzędne, nietrudne do rozwiązania. A przynajmniej tak bywało do jego ostatniej wyprawy.

Ale co się z nim działo teraz?! Ustawicznie to się wspinał, to latał z wywieszonym językiem, to wpadał na ściany i odbijał się od nich... jak nakręcana zabawka, psiakrew! Nie do zniesienia!

Jednakże Kate, mimo swej pozornej kruchości i dziecięcych kaprysów, nie była z tych, co mdleją, gdy ktoś na nie wrzaśnie. Wzięła się pod boki i na jego wściekłe spojrzenie odpowiedziała równie morderczym wzrokiem.

- Wobec tego co mamy według ciebie robić?!

- Chyba mógłbym przyłać Hobsonowi tak, że zdradziłby nam kolejną wskazówkę.

- Może być i mógł - odparła. - Ale zaraz by cię zdyskwalifikowali.

- Zawsze musisz człowiekowi zepsuć przyjemność! - Porzucił ten pomysł z pewnym żalem, choć wiedział doskonale, że Kate ma rację. - Większość naszych rywali nie zaciera za sobą śladów. Moglibyśmy ruszyć czymś tropem i wykorzystać cudze odkrycia - mruknął kwaśno. - Bóg wie, ile razy ten cholerny major utuczył się w ten sposób moim kosztem!

- Ale...

Skoczył nagle ku niej, wyrwał jej pochodnię z ręki, okręcił dziewczyną i ukrył ją za swoimi plecami.

- Jim!

- Cicho! - ofuknął ją, wymachując przed sobą płonąca po-



chodnią. Ulotne, niesamowite, połyskliwe cienie zatańczyły na ścianach, by niemal od razu rozpułnąć się w ciemności. - Słyszałem jakiś szmer.

- Czyżby? - Oparła mu rękę na ramieniu i zerknęła ponad nim. - Ja tam nic nie słyszałam!

- Bo nie spędziłaś połowy życia, nadsłuchując, czy jakiś tygrys nie czai się za twoim namiotem i zaraz się na ciebie rzuci! - odparował szorstko. - Siedź cicho!

Oddech Kate był nadal spokojny, jakby nie zwątpiła ani na chwilę, że Jim może ochronić ją od wszelkiego złego. Jej ręka - niby to przez roztargnienie - pozostała nadal na jego ramieniu. Wyglądało na to, że ścisły kontakt, jaki utrzymywali przez cały dzień, zniweczył dzielącą ich barierę; w Kate dotknięcie Jima nie budziło już grozy; mógł jej dotykać, kiedy chciał. Nie dostrzegła prawie tego kontaktu. Ale Jima każde takie zetknięcie paliło jak ogniem.

Panowała cisza i Jim doszedł już niemal do wniosku, że nerwy i rozigrana wyobraźnia wprowadziły go w błąd, gdy nagle coś białego mignęło na tle czarnego łuku drzwi.

- Jim! - szepnęła Kate, wpijając się palcami w jego ramię.

- Widzę.

Do komnaty wpłynęła biało odziana postać. Przez sekundę Jim myślał, że któryś z bezmózgich rywali postanowił zabawić się w ducha, by ich zniechęcić do dalszego udziału w wyścigu. Rzekomy duch podpułnął jednak bliżej i znalazł się tuż za kręgiem migotliwego światła pochodni.

To był młodzieniec w białych szatach, na którego zwrócili uwagę w dniu inauguracji wyścigu na sali balowej „Grand Hotelu”.

Stał teraz nieruchomo i obserwował ich.

- Jak myślisz, czego on od nas chce? - szepnęła Kate do ucha Jima

- Skąd mam wiedzieć, u diabła?

Mięśnie jego pleców i ramion sprężyły się jak do walki.

- Myślałam, że znasz jego ojca?

- Jeśli to naprawdę syn emira, co wcale nie jest pewne, i jeśli emir uszedł z życiem, gdy został odsunięty od władzy po moim wyjeździe z jego kraju, a w dodatku jeśli pamięta, że zostałem mu przedstawiony przed dziesięciu laty, no to owszem, rzeczywiście znam jego ojca.

- To nam wiele nie da.
- Takie znajomości przeważnie niewiele dają.

Następne trzydzieści sekund minęło w milczeniu i wlokło się jak trzydzieści minut. Kate najwyraźniej miała już dość czekania.

- Hmm...

Nim zdał sobie sprawę, co jej strzeliło do głowy, wysunęła się zza jego pleców i wymachując rękami, zwróciła się do nieznanego w białych szatach.

- Hop, hop! Witaj, koleś! Liznąłeś trochę angielskiego?
- Na litość boską, Kate! Co ty wyprawiasz?!

Chwycił ją za nadgarstek i odciągnął do tyłu. Znalazła się znów na właściwym miejscu.

- Stójże, u licha, za mną!

- Na litość boską, Jim, gdyby chciał wyrządzić nam krzywdę, to by już wyrządził! A poza tym jest sam jak palec. Co on nam może zrobić?!

- Wiem, że to jest twoja naturalna reakcja na wszystko, co chodzi w portkach, ale - na miłość boską! - przynajmniej z nim nie flirtuj.

- A to dlaczego?

Spróbowała cichaczem wymknąć się z bezpiecznego schowka za plecami Jima. Miał się jednak na baczności, przytąpał ją i zagonił na dawne miejsce.

- Orientujesz się, Kate, ile emir ma żon?

- A co mnie to obchodzi?

- To może wiesz, ile z nich nie miało absolutnie nic do gadania, gdy zdecydowano o ich losie?

- O...

To ją zatkało. Na jakieś pięć sekund.

- Ależ, Jim! Spójrz tylko na niego: przecież to chłopaczek!

- Zdaje się, że emir pojął pierwszą żonę jako jedenastolatek. Odczekała chwilę i stwierdziła:

- Ten ma więcej niż jedenaście lat.

- Też tak sądzę.

Z lekko przechyloną na bok głową tajemniczy nieznanomy stał bez ruchu i wpatrywał się w nich. Nagle pochylił się, z fałd długiego rękawa wyłoniła się ręka, a z niej wypadł na podłogę jakiś zwój. Młodzieniec wyprostował się, skinął im głową i zniknął w mroku.

- No, no! Spójrz tylko, co nam przyniósł! - Kate rzuciłaby się na zwoj, gdyby Jim nie chwycił jej za rękę. - Precz z łapami!

- Inaczej śpiewałaś, kiedy cię przytrzymałem na schodach.

Przestała się wrywać.

- Punkt dla ciebie. - Miała na szczęście dość rozumu, by przyznać się do błędu. - Ale nie wierzę, żeby ten chłopak był niebezpieczny. Może to prezent dla mnie? Mam wrażenie, że poczuł do mnie sympatię.

- Nie wątpię! - warknął Jim.

- Założę się, że ma kolekcję rodzinnych klejnotów. Pomyśl tylko: jeden twarzowy naszyjnik i mogłabym wrócić do domu!

- Bardzo wątpię... - zaczął. Zaraz jednak dostrzegł iskierki wesołości w oczach Kate i jej ledwie dostrzegalny uśmieszek. - Prze stań ze mnie kpić!

- Aż się o to prosisz! Nie uważasz?

Uświadomił sobie, że nadal trzyma ją za nadgarstek. Cofnął raptownie rękę.

- Nie jestem aż tak zarozumiała na punkcie swej urody, wiesz? - Zaraz jednak dodała z groźnym błyskiem w oku: - Ale ty lepiej nie próbuj jej krytykować!

Jim miał ochotę odciąć się, lecz nie uczynił tego i ukrył mimowolny uśmiech. Wcale nie chciał tak się z nią spoufalać, ale nie potrafił oprzeć się Kate, zwłaszcza gdy wpadła w żartobliwy nastrój. No, cóż... gdyby nie była taka czarująca, taka śliczna i taka doświadczona w wodzeniu mężczyzn za nos, nie usidliłaby tak łatwo biednego doktora!

Zbliżyła się znów do zwoju, który młody człowiek zostawił na podłodze.

- Kate!

- Dobrze już, dobrze! Nie podejść bliżej. Przekonaj się sam, że to nic groźnego! - Pochyliła się jednak i przysunęła pochodnię bliżej zwoju. - Jak myślisz, co to takiego?

Podszedł do niej i przykucnął, by przyrzeć się zwojowi z bliska.

- Wygląda całkiem niewinnie - stwierdziła.

- Jak meduza z parzydełkami. A potem ani się obejrzysz, jak cię zaatakuje! - Wzdrygnął się na samo wspomnienie. - Daj mi swój pantofel!

- Po co ci pantofel? Mój pantofel?! Czemu sam... A, tam! Niech

ci będzie. - Wręczyła mu pochodnię, wsparła się na jego ramieniu, rozsunęła istną zawieruchę falbanek, koronek i halek, i zdjęła czółenko z czarnej skóry.

- Co za postęp! Uczysz się posłuszeństwa, moja droga! Ani rali nie musiałem użyć groźby.

Kate wyprostowała się, poprawiła spódnice i wręczyła Jimowi pantofel.

- Jesteś pewien, że nie wymyśliłeś tego tylko po to, by sobie obejrzeć moje pończoszki?

- Oczywiście że nie!

(Ale potraktował ten miły widok jako gratyfikację. )

- Wobec tego co... - zaczęła, ale urwała, gdy zaczął walić jej Obcasem w niewielki zwój. Bardzo dokładnie i z wyraźną wprawą. - W porządku - podjęła po chwili. - Wiem już, do czego był ci potrzebny mój pantofel, ale nadal nie pojmuję, po jakiego diabła tak nim tłukłeś!

Odrzucił jej czółenko; złapała je bez trudu.

- Z czymś takim kłopot polega na tym, że można włożyć do środka coś jeszcze mniejszego. W większości przypadków „nadmienie” stanowią niewielkie żyjątka: skorpiony, małe wężyki, jadowity pająk... - Ruchem głowy wskazał zgnieciony zwój. - Żadne z nich nie będzie już nam bruździć.

- Brrr... !

Obejrzała podejrzliwie podeszwę wypożyczonego pantofla. Nie znalazwszy na niej żadnych resztek, wzruszyła ramionami i wsunęła czółenko na nogę.

Jim mocno ścisnął brzeg papierowego zwoju kciukiem i palcem wskazującym. Papier był do tego stopnia wygnieciony, że zwój nie zaczął się automatycznie rozwijać, kiedy unióś go do góry. Kilka pospiesznych ruchów nadgarstka rozwiązało ten problem. Jim nadal jednak trzymał zwój na odległość ramienia.

- Nikt ci jeszcze nie mówił, że jesteś przesadnie ostrożny?

- Owszem, mówili - odparł, podrzucając kilkakrotnie zwój mocnym pstryknięciem. - Ale nie wierzę, że można być zbyt Ostrożnym.

- A to, co teraz wyrabiasz, to po co?

- Zabezpieczenie przed zatruciem kontaktowym.

- Naprawdę?

Ujął mocniej papier i przyciągnął go bliżej, tak, żeby padało nań światło pochodni.

- A co z tą trucizną kontaktową?

- Przychodzi taki moment, Kate, gdy wyczerpało się wszelkie środki ostrożności i metody zapobiegawcze. I wówczas, jeśli chce się do czegoś dojść, trzeba po prostu zaryzykować.

Była kobietą skomplikowaną, znacznie bardziej niż można by sądzić po jej wyglądzie. Ale teraz po raz pierwszy nie miał zielonego pojęcia, o czym ona myśli. Przechyliła główkę na bok, zmarszczyła brwi, na jej twarzy odbijało się zdziwienie i głęboki namysł.

- Tak - powiedziała wreszcie. - Chyba naprawdę trzeba zaryzykować. - Rozwiała się jej zaduma; spytała żywo, rzeczowym tonem. - A więc... co my tu mamy?

- Moim zdaniem to mapa. - Ułożył zwój pod takim kątem, by i Kate dobrze widziała. - Ale nie wykonał jej żaden fachowiec. A co gorsza, jest bardzo niewyraźna.

- Żadne dzieło sztuki, powiadasz? - oglądała mapę ze skupieniem i z uwagą.

- A czego się spodziewałaś po „Sentinelu”? Pewnie według nich tak wyglądały mapy poszukiwaczy skarbów.

- Jak myślisz, czy to autentyczna wskazówka? Czy ktoś z konkurencji chce nas wywieść w pole?

- Widzę, że i w tobie obudziła się zdrowa podejrzliwość.

- Jakże mi miło, że zyskałam twoją aprobatę! - Wyciągnęła rękę po mapę, ale w ostatniej chwili zawahała się. - Jak myślisz? Mogę to wziąć do ręki?

-Ja...

Ryzyko było minimalne. Narażała się na większe niebezpieczeństwo, jedząc jabłko, podane do kolacji. Sypał tymi anegdotkami o rozmaitych truciznach i jadowitych wężach, by się z nią podroczyć. No, nie zawsze... A teraz przez jedną absurdalną sekundę omal nie krzyknął: „Nie rusz!”

Doktor polecił mu, by się nią zaopiekował. Ale to przecież nie znaczyło, że ma ją wiecznie osłaniać od każdego potencjalnego zagrożenia! To byłoby po prostu niewykonalne.

A jednak pragnął się nią opiekować w taki właśnie sposób, co nie wróżyło najlepiej ich wyprawie... chyba że wróciłyby do pier-

wotnego planu: umieścić Kate w bezpiecznym miejscu, pod kluczem i pod dobrą strażą.

- Jasne! - odpowiedział z pośpiechem. - Masz!

- Łatwiej byłoby ją odcyfrować, gdybyś nie utłukł jej na miazgę!

- A ja myślałem, że lubisz ambitne zadania!

Papierowa mapa była rozdzielona pośrodku zębatą linią. Po prawej stronie roiło się od różnych znaków: trójkąty, kwadraty, zawijasy, esy floresy... Lewa strona była prawie pusta, widniało na niej tylko kilka falistych linii.

- Przydałoby się kilka liter, nieprawdaż? - spytała Kate.

- Czyżbyś była ekspertem od map?

- Nie brak mi ukrytych talentów.

Pochyliła głowę; miał teraz dobry widok na subtelny zarys policzka i delikatną spadzistość ramion. Nigdy dotąd nie widział nic równie pięknego!

Z wysiłkiem skierował znów wzrok na mapę, która nagle przestała go interesować.

- Spróbuj to odwrócić.

- Co takiego?

- Wszystko jest tu do góry nogami.

- Skąd wiesz?

Wziął mapę do rąk, odwrócił i wręczył ją znowu Kate. Wskazał na maleńką figurę geometryczną, która znalazła się teraz w prawym górnym rogu.

- Widzisz? Tarcza kompasu.

- Hmm... - Pochyliła się jeszcze niżej nad mapą, mrużąc oczy. Sięgnęła do kieszeni spodnicy.

- Spójrz!

Trzymała w ręku odłamek skały tak, by znajdował się obok znaczka na mapie. Maleńka strzałka wryta na kamieniu odpowiadała dokładnie jednemu z zakończeń igły kompasu.

- No, cóż... Jeden punkt na rzecz mapy.

Spojrzała na niego. Oczy jej błyszczały z ciekawości, usta miały łagodny zarys. Przez chwilę nie był w stanie myśleć o niczym prócz tego, jak łatwo mógłby ją teraz pocałować, spaść ustami na jej usta, odurzyć się nią. Ale właśnie ta łatwość przywróciła go do przytomności. To, co łatwe, było przeważnie pułapką. Z pozoru

niegroźny krok, który sprawia, że osuwasz się w dół zbocza, na które nie jesteś w stanie wdrapać się z powrotem.

- Myślisz, że została umyślnie zafałszowana? - spytała Kate.

- Do diabła! Nie mam pojęcia! - Dość już miał rozważań na ten temat. Dość wyliczania wszystkich powodów, dla których nie powinien całować Kate. - Nie mieliśmy żadnej mapy, więc chyba nie byłoby sensu dawać nam teraz fałszywej. A strzałka pasuje. Nikt - jak dotąd - nie zwrócił uwagi na takie szczegóły.

- Z nami włącznie.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Z nami włącznie.

- Ale czemu tamten chłopak oddał nam mapę? Nie przyniesie mu to żadnego pożytku. Jesteśmy przecież jego rywałami!

- Może naprawdę wpadłaś mu w oko? - Wzruszył ramionami. - Wiesz co? To byłby niezły manewr z twojej strony. Powiedziałaś, że masz ograniczony zasób talentów i jesteś przyzwyczajona do zbytku. - Zakołysał biodrami. - Kate Goodale, perła haremu!

Chciała się paskudnie wykrzywić, ale skończyło się na uśmiechu. Trudno się gniewać na kogoś takiego jak on, uświadomiła sobie Kate, kiedy tak zabawnie wygląda, wiercąc biodrami jak pijana tancerka. Takie chwile jak ta - rzadkie i bez troskie - były jedynym powodem, dla którego nie związała dotąd do Filadelfii, ubolewając głośno nad swą porażką.

- A więc to podrobka? - spytała z żalem.

- Chyba dał nam prawdziwą mapę. Musiały być po temu powody. Wszędzie pod powierzchnią kłębią się tysiączne problemy, o których nie mamy pojęcia. - Powiódł palcem po chwiejnej linii biegnącej przez środek mapy. - To jedyny z uczestników, który działa w pojedynkę. Mógł nagle dojść do wniosku, że dobrze by było, gdybyśmy mieli wobec niego dług wdzięczności.

- Hmm...

Podnóże spiralnych schodów znajdowało się w odległości zaledwie kilku stóp od nich. Gdy spojrzała na ten korkociąg, poczuła zawrót głowy na samo wspomnienie. Gdyby teraz wróciła do domu, nigdy nie oddalałaby się od pewnego gruntu; najwyżej na wysokość ułożonej na nim podłogi.

Tylko że nie było już żadnego domu, do którego mogłaby wrócić. W Filadelfii nikt na nią nie czekał. Dom nigdy do niej

nie należał, a jej siostry miały już własne życie. Jeśli nawet nie było ono takie, jakiego Kate dla nich pragnęła, to wszelka interwencja z jej strony mogła jedynie pogorszyć sprawę.

- Więc skorzystamy z tej mapy? - spytała, nie wiedząc nawet, jakiej odpowiedzi sobie życzy.

Blask pochodni zaczął gasnąć. Niewielkie i niewyraźne rysunki stawały się nieczytelne. Jim ostrożnie zwinął ją i wetknął pod pachę.

- Chciałaś być szefową, -więc decyduj. Jak według ciebie powinniśmy postąpić?

- Moim zdaniem warto z tego skorzystać.

## 11

### **Charlie Hobson, wasz korespondent specjalny, donosi z niewiedzonego zamczyska**

*Kiedy spytasz któregoś z mieszkańców Hollingport w stanie Massachusetts o Marston House, zrobi wielkie oczy. Za to do „Kukułczego Gniazda” każdy z pewnością wskaże ci drogę! I tak było zawsze, odkąd ta upiorna parodia średniowiecznego zamczyska stanęła na urwistym zboczu nad wzburzonymi fałami Atlantyku.*

*„Kukulcze Gniazdo” - własny zamek - to jedna z osobliwych zachcianek magnata stocznego Davida Marstona. (Jego dziwactwa przerodziły się ostatecznie w jawne szaleństwo. ) Nikt inny nie chciał tam oczywiście zamieszkać, tym bardziej że powszechnie uważano, iż w „Kukułczym Gnieździe” straszy. Opuszczony dom powoli zmieniał się w ruinę...*

*I oto dziś na ten nawiedzony gmach zwracają się oczy całego świata.*

*To tam uczestnicy Wyścigu Stulecia przetrząsali każdy zakurzony kąt, pilnie szukając przemyślnie ukrytych wskazówek.*

*Wszyscy zawodnicy dotarli szczęśliwie do pierwszego kamie-*



*nia milowego na trasie wyścigu. Jedni szybciej, drudzy znacznie wolniej. Mamy już dwóch niewątpliwych liderów!*

*Nie upłynęły jeszcze dwie doby od wręczenia zawodnikom pierwszej wskazówki, gdy **baron von Hussman i hrabia Nobile** wpadli na zamkowy dziedziniec „Kukułczego Gniazda”, tonący w blasku księżyca.*

*Zwycięzcy pierwszego etapu, nie zrażeni niesamowitą atmosferą zamczyska, pomknęli na wyścigi po krętych schodach na 'wieżę. I cóż tam odkryli? Zagadkową mapę, wyrytą na kamiennej tablicy!...*

Fitz Rafferty, redaktor naczelny „Sentinela”, znany z tego, że nie przebiera w słowach (gdymy zresztą przebierał, z pewnością nie zaszedłby tak wysoko!), cisnął najnowszy numer swojej gazety na zagracone biurko, ścisnął mocniej zębami nieodłączne cygare i warknął do redaktora działu miejskiego, a zarazem specja od finansów, Irvina Webba:

- Nudy na pudy! Rzygać się chce.

Irvin Webb machnął kilkakrotnie ręką, próbując odpędzić obłoki dymu, i dyplomatycznie przemógł atak kaszlu, który niezmiennie go nękał, ilekroć wszedł do gabinetu swego zwierzchnika. Rafferty zionął dymem niczym smok i zanieczyszczał środowisko w równym stopniu jak prosperująca huta żelaza.

- Według mnie to znakomita relacja - ośmielił się sprzeciwić naczelnemu Webb. - Żywa, zwięzła...

- Bicie piany! - Koniuszek cygara naczelnego redaktora zapłonął czerwienią, podobnie jak pełne wściekłości oczy Rafferty'ego. - Co sobie ten sukinsyn wyobraża?! Nie płacę mu za drętą pogadankę dla małaolatów, psiamać!

- Hobson to nasz najlepszy reporter - uspokajał wzburzonego szefa Irvin. Przywykł już do tego, że odgrywa w redakcji „Sentinela” podwójną rolę: redaktora i prywatnego anioła stróża Rafferty'ego, czuwając nad tym, by krewki naczelny w porwywie wściekłości nie ukatrupił któregoś z pracowników redakcji. - Daj mu trochę czasu, szefie, na pewno się sprawdzi.

- Masz pojęcie, ileśmy wpakowali forsę w ten zaszary wyścig?!

Wieżę głośno, że Fitz Rafferty zbliża się do pięćdziesiątki, ale jego wygląd raczej utrudniał zweryfikowanie tej opinii. Od szyi

wzwyż Fitz wyglądał na dobre siedemdziesiąt (takich obwisłych policzków i worów pod oczami nie powstydziliby się rasowy bas-set!). Jednakże od szyi w dół prezentował się znacznie lepiej dzięki zachowanej jakimś cudem sportowej sylwetce. Był to relikwiarz zamierzchłych czasów, gdy uchodził za najlepszego wioślarza z Yale.

Irvin Webb oczywiście wiedział dokładnie, ile kosztował redakcję „Sentinela” Wyścig Stulecia. Ale wiedział również, jak dalece wzrósł nakład gazety od pierwszego dnia tej imprezy.

- To wcale nie był zły pomysł - stwierdził z przekonaniem. (Rafferty prędzej czy później z pewnością sobie przypomni, że sam był jego autorem). - Nasz nakład wzrósł o prawie siedemdziesiąt procent. Pulitzera i Hearsta omal szlag nie trafił. Lada chwila rzuca się z rozpaczą do East River!

Rafferty zachichotał i nieco zmiękł.

- Cholera! Dużo bym dał, żeby to zobaczyć na własne oczy!

- Może i zobaczysz, szefie, jeśli nasza dobra passa potrwa dłużej.

Niestety, dobry humor Rafferty'ego do trwałych nie należał.

- Akurat! Nie pieprz mi tu o dobrej passie, tylko przyduś Hobsona, niech się spręży i przyśle coś lepszego zamiast tego gówna! Rany boskie, te wszystkie głupki nic tylko grają w ciuciubabkę za naszą ciężką forszę! Żeby tak chociaż jeden spadł ze skały...

- Doprawdy, wstyd i hańba, że wszyscy jeszcze żyją - zauważył cierpko Irvin Webb.

- No właśnie! - ucieszył się Rafferty, ale zaraz urwał i dziugnął redaktora miejskiego paluchem w żebra. - Ty mi się nie zgrywaj na świętoszka, Webb! Nikt z nas nie podpuszcza idiotów do tego czy tamtego. Ale jak ci się trafi prawdziwy żywy trup, to zmówisz „Wieczne odpoczywanie” i pójdiesz dalej?! My jesteśmy od pisania, może nie? Nie będzie tematu, nie będzie czytelników! A jak splajtujemy, to ilu naszych zostanie na lodzie?!

Webb zadumał się. Ileż to razy przez te wszystkie lata Fitz Rafferty wygłaszał wyświechtane sofizmaty, by usprawiedliwić kolejne draństwo? Ale w razie plajty Irvin też zostałby na lodzie. Już raz mu się to zdarzyło i wcale nie przypadło do gustu. Nie odezwał się więc ani słowem.

Jak to robił kilkadziesiąt razy na dzień, Rafferty podszedł po cichu do drzwi swego gabinetu, które zawsze zostawiał uchylone, chyba że konferował z wysłannikiem tajemniczego i wszech-

potężnego właściciela gazety „Daily Sentinel”, Josepha Kane’a. Fitz lubił spoglądać od progu na swoje królestwo. Tuzin reporterów z papierosami w zębach pochylało się nad maszyną do pisania. Ilekroć naczelny stawał w drzwiach, stukot klawiszy potęgował, a szybkość wzrastała.

- Uprościć wskazówki dla tych tumanów! - zarządził tym razem szef.

- Uprościć?! Czy nie lepiej utrudnić, żeby kilku odpadło?

- Nie. - Fitz wetknął kciuki za pasek spodni i zakołysał się na obcasach. - Im więcej się tam pęta uczestników, tym większe szanse, że Hobson natknie się wreszcie na jakąś sensację. Chcę ich mieć wszystkich razem, na tym samym miejscu. Niech się kiszą we własnym sosie: potykają jeden o drugiego, włożą sobie w paradę, zwierają się Charliemu, kto im działa na nerwy i dlaczego.

- Tak jest, szefie! Uprościć.

- Dobra. I wiesz co, Webb? - Rafferty obejrzał się przez ramię i zmierzył Irvina groźnym spojrzeniem, które nadal, po dziesięciu latach współpracy, mroziło krew w żyłach redaktora działu miejskiego.

- Słucham, panie Rafferty?

- Przekaż temu głupkowi Hobsonowi, że jego wycieczki nie warte są tej forszy, jaką z nas dobi. Więc niech się spręży na coś lepszego, bo się pożegna i z forszą, i z redakcyjnym stołkiem!

Ślęcząc nad mapą, którą Jim kupił tego samego dnia, gdy opuścili „Kukułcze Gniazdo”, odkryli, że na wybrzeżu Atlantyku pomiędzy Massachusetts a Nową Szkocją było pięć formacji skalnych, odpowiadających tym z ręcznie naszkicowanej mapy. Dwa następne tygodnie upłynęły Kate i Jimowi na przeczesywaniu pierwszych trzech miniarchipelagów. Za każdym razem były to trzy niewielkie wyspy oddalone od brzegu mniej więcej o sto jardów. Wąski, ostro zakończony cypel, podobny do strzałki zdawał się wskazywać je poszukiwaczom.

Pod koniec drugiego dnia Kate przestała wypytywać Jima, skąd wytrzasnął łódkę z wiosłami, dzięki której dotarli do wysepki; podobnie wolała nie dociekać, gdzie i jakim sposobem zaopatrzył się w niezbędną żywność i zdobył dodatkowe koce, tak im potrzebne, odkąd wkroczyli do New Hampshire. Kate czuła

przez skórę, że lepiej nie wiedzieć za wiele o metodach działania Jima-zaopatrzeniowca. Szczerze mówiąc, jedynym jasnym punktem tej męczącej i bezowocnej wyprawy były chwile, gdy mogła rozkoszować się grą imponujących mięśni na ramionach wiosłującego Jima.

Nadzieje jej wzrosły, gdy dotarli do trzeciej grupy wysepek. Na tej, która była najdalej wysunięta w morze, znaleźli ruiny zbudowanej z cegieł latarni morskiej. Ze schodów prawie nic nie zostało. Kate postanowiła tym razem nie wspinać się na wyżyny; wyrzuty sumienia niezbyt jej dokuczały, gdy ujrzała skomplikowany system linek, z pomocą którego Jim zamierzał dotrzeć na szczyt latarni. W pojedynkę. Z nieukrywaną ulgą Kate upewniła się, że jej nogom nie grozi oderwanie od stabilnego, choć wilgotnego i skalistego podłoża. Niebawem przekonała się, że czekanie na Jima i obawa o jego bezpieczeństwo są niemal równie przykre jak lęk przestrzeni. Była to zbyt wysoka cena sukcesu, choćby nawet znalazł na szczycie Bóg wie co! Kiedy się wreszcie zjawił z pustymi rękami, nie odczuła prawie rozczarowania. Znacznie silniejsza okazała się ulga na widok zdrowego i całego współnika.

Od czasu do czasu spotykali innych uczestników wyścigu. Syn emira pojawiał się tak regularnie, że Kate, nie widząc go przez dwa dni z rzędu, zaczęła się niepokoić, co rozwścieczyło Jima.

Na hrabiego Nobile natknęli się dwukrotnie, i to bynajmniej nie przez przypadek. Tak przynajmniej utrzymywał Jim. Włoski arystokrata zaprosił ich na obiad. No, niezupełnie... zaprosił samą Kate, a jej towarzysza z przyjemnością by pominął, gdyby wrokiem i wyrazem twarzy nie dała mu do zrozumienia, że bez Jima nie pójdzie. Nobile obiecywał jakieś wyjątkowe specjały z włoskiej kuchni. Nazwa tego dania nic Kate nie mówiła, ale i tak ślinka napłynęła jej do ust. Niestety, Jim odrzucił kategorycznie zaproszenie, nim ona zdążyła je przyjąć.

Majora Huddlestona-Snella spotkali tylko raz. Minęli się na drodze. Zarówno major, jak Jim zjechali na pobocze, by nie zbliżyć się do rywala bardziej, niż wymagała tego konieczność. Jak tylko major i towarzyszące mu osoby znikli z pola ich widzenia, Jim zdobył mapę i ślęczał nad nią, usiłując dociec, po kiego diabła antypatyczny współzawodnik wybrał się w odwrotnym kierunku?!

Baron von Hussman, jak głosiła fama (Kate wyciągnęła ten smakowity kęs od hrabiego Nobile, nim zjawił się Jim i odciągnął swą „asystentkę” pod idiotycznym pretekstem omówienia z nią planów na następny dzień), uzyskał taką przewagę nad resztą zawodników, że nie dopędziliby go, nawet jadąc bez przerwy przez całą dobę.

Pogoda nie szczędziła im niespodzianek. To dokuczało im zimno, to znów upał. Zdarzał się i deszcz. Pewnego pamiętnego ranka syznął grad wielkości rajszych jabłuszek. Kate znajdowała się bliżej półki skalnej, która mogła odegrać rolę dachu, toteż pierwsza schroniła się tam, by - wbrew przykazaniu miłości bliźniego, ale za to z dużą satysfakcją - obserwować, jak lodowe kulki wałęsały tego uparciucha i zrzędę (czyli Jima) po zakutej głowie.

Był naprawdę nieznośnym zrzędą i z dnia na dzień coraz trudniej było go znieść. Kate zdumiewała się, jak mogła tak pomylić się w ocenie jego charakteru. Ów heroiczny wizerunek, zrodzony z tęsknoty, ze wspomnień jednego czarownego wieczora oraz kilku listów, które trafiły jej do rąk, a także wszystkich publikacji Bennetta, jakże odbiegał od rzeczywistości!

Jim nie był wcale czarujący! Pewnie mógłby nim być, gdyby się postarał, ale w kontaktach z nią nie zadawał sobie trudu. Nie był również dobry ani troskliwy. Wymowny zapewne tak, ale do niej prawie się nie odzywał, tylko od czasu do czasu wyrzaskiwał jakieś rozkazy.

Był rzeczywiście postawny, przystojny i kompetentny. Z przyjemnością patrzyła, jak rozstawia prowizoryczny namiot albo w mgnieniu oka patroszy królika. Parzył wspaniałą kawę i w rekordowym czasie potrafił rozpalić ognisko. A jakim był wspaniałym jeźdźcem!

Z początku Kate żywiła pewne obawy, jak się między nimi ułożą stosunki w tej zmuszającej do pewnej poufałości sytuacji. Zastanawiała się, czy jej wspomnienia, świeże wdowieństwo i śmiechu warte nalegania sióstr (żeby nie wspominać już o wspaniałej kondycji fizycznej i powierzchowności Jima) nie zakłócały jej spokoju ducha i zdrowego rozsądku. Ale wredny charakter Jima okazał się skutecznym lekiem na wszelkie ciagoty. Nie uleczył jej z marzeń, ale znacznie rzadziej kusiło ją, by któreś z nich wcielić w życie.

Dziś znowu padało. Brnęli po wąskiej, kamienistej drodze wiodącej do Maine (mniej więcej pięćdziesiąt mil). Niebo było szare, morze miało barwę cyny. Deszcz nie był ulewny, gdyż wówczas nawet Jim zatrzymałby się i zaczął rozglądać za jakimś schronieniem. Kapuśniaczek ciurkał, niekiedy ustawał i przejaśniało się; w Kate budziła się nadzieja na roz pogodzenie, nigdy jednak poprawa nie trwała tak długo, by zdążyły jej wyschnąć majtki.

Nagły silniejszy poryw wiatru dmuchnął jej prosto w twarz wilgotną mgiełką. Kate pochyliła głowę i zdała się na instynkt swej klaczy; może dowiezie ją szczęśliwie do celu? Biorąc pod uwagę, jak często przemierzały tę trasę, deptając po piętach Jimowi i Wodzowi, wierzchówka powinna znać drogę na pamięć. Kate popuściła nieco cugli i przy okazji spojrzała na własne ręce. Na widok połamanych paznokci zmarszczyła brwi.

Zdumiewające, jak błyskawicznie kobieta, która przez całe życie dbała o swój wygląd, może zejść na psy! Po wielu godzinach spędzonych pod gołym niebem żaden krem nie mógł przywrócić jej cerze należyte; gładkości. Poza tym opaliła się tak, że jej matka *wolałaby* z pewnością chodzić w masce niż pokazać się publicznie w takim stanie! Wilgotne morskie powietrze podziałało tak na włosy Kate, że przypominały do złudzenia busz. A jej stroje... Nie, o tym lepiej nie myśleć! Ostatecznie postanowiła nosić bez przerwy jeden zestaw, by ocalić pozostałe. Kate była niemal pewna, że jedynie warstwa brudu utrzymuje jej ubiór w całości.

O rozmowie z Jimem nie było mowy. Unikał Kate przez większą część dnia; było to dla niej całkiem nowe doświadczenie. Układała więc w myśli kolejny list do sióstr. Nie mogła wprost uwierzyć, że dała się tak głupio nabrać na ich gładzenia o „niezależności” i „wielkiej przygodzie”. Bóg raczy wiedzieć, w jakie wpakowałaby się kłopoty, gdyby potraktowała serio namowy Emili, która dopingowała starszą siostrę, by zdecydowała się wreszcie na wielki, namiętny romans.

... A poza tym znacznie przyjemniej było wściekać się na siostry niż tęsknić za nimi.

*Droga Emily,*

*Wiem, wiem, kochana siostrzyczko, jaka z ciebie zwolenniczka spontanicznych odruchów i jaka optymistka! Muszę cię jed-*

*nak poinformować, że stanowczo przeceniasz użyteczność swoich porad. W pogoni za przygodą wpada się przede wszystkim w kłopoty. Nie znaczy to oczywiście, że narażam się na jakieś niebezpieczeństwo. Skądże znowu! Szczerze mówiąc, jeśli nie liczyć takich drobiazków jak twarde i wyboiste łóżka i niejadalne posiłki, najbardziej daje mi się we znaki zwyczajna nuda. Cze-  
muś mnie o tym nie uprzedziła? Obie wydawałyście się tak zachwycone swymi eskapadami i wspaniałymi mężczyznami, z którymi zawarłyście przy okazji znajomość, że i ja dałam się skusić. Ale albo zabrałam się do tego ze złej strony, albo wasze relacje zostały specjalnie okrojone i doprawione na mój użytek.*

*Możesz się domyślić, dokąd mnie losy zawiodły? O nie, tego ci nie zdradzę. Niech cię przynajmniej dręczy ciekawość. Katalog moich udreń jest znacznie bogatszy.*

- Coś powiedziała?

Kate podniosła na niego oczy.

- Nic nie mówiłam.

- Mamrotałaś coś pod nosem. Prawdę mówiąc, bardziej to przypominało syk żmii. - Zatrzymał konia, zczekał, aż Kate się z nim zrówna, i znów popędził Wodza. - Czy to nie mnie przypadkiem przeklinałaś?

- Nic podobnego!

Spojrzała na Jima i aż się zatchnęła: co za niesprawiedliwość losu!

Wiedziała, że wygląda jak ociekający wodą szczur, włosy zbiły się jej w kołtun, z nosa ciekło. A on, psiakrew, prezentował się coraz lepiej! Włosy przeczesał palcami, odgarnął do tyłu opadającą na czoło grzywę - i od razu jego rysy nabrały czystości i głębi klasycznej płaskorzeźby. Drobnutkie krople deszczu lśniły na jego wydatnych kościach policzkowych i błyszcząły na gęstych, ciemnych rzęsach. Przemoczona koszula lepiła się do ciała, uwydatniając każdą widoczną płaszczyznę i wypukłość...

- ... Choć, prawdę mówiąc, zasłużyłeś sobie na to!

- No to na kogo się wściekasz? - Spojrzała na nią niby to od niechcienia, ale przeczył temu ostry wyraz jego oczu. - Może na doktora, że cię zostawił w tak trudnej sytuacji?

Nie miała wcale ochoty rozmawiać o doktorze Goodale'u. Na-

leżał do tej części jej życia, która została definitywnie zamknięta. Mówiąc konkretnie: nie wyrzucała sobie tego małżeństwa, ale nie zamierzała hołubić go w pamięci. A już z pewnością nie chciała, by jej przypominano, że choć doktor dotrzymał skrupulatnie warunków ich umowy, ona się im sprzeniewierzyła. Tylko raz, ale za to z Jimem, co znacznie pogarszało sprawę.

- Jeśli już musisz wiedzieć, układałam w myśli list do siostr.

- Kochająca z was rodzinka, co? - spytał z gryzącą ironią.

Krople deszczu zapiekły ją podejrzenie w oczach. Zamrugwała, chcąc się ich pozbyć.

- Żebyś wiedział!

- Pewnie, że wiem. Od razu się pokapowałem. Ten łagodny ton głosu, i w ogóle.

- Bo to wszystko ich wina! - Deszcz się znów nasilił, lodowate krople boleśnie smagały jej policzki. - Gdyby nie to, że mi się wymknęły, dorosły i wcale mnie już nie potrzebują... (a każda wyszła za mąż na łapu-capu, żeby mi tylko udowodnić, jaka jest samodzielna!)... nigdy bym się nie wplątała w taką kabałę! Prawdę mówiąc, ja...

Pogrążeni w rozmowie minęli zakręt i przejeżdżali obok niewielkiej, ale gęstej dąbrowy, która ukazała się z lewej strony. Pod osłoną dębów ktoś rozbił obóz: niewielki, schludny, z dwoma brązowymi namiotami i ogniskiem, które wesoło trzaskało i płonęło pod osłaniającym je płóciennym daszkiem na wysokich drążkach. Jakaś wysoka postać w żółtym płaszczu nieprzemakalnym, odwrócona tyłem do nadjeżdżających, mieszała coś w wiszącym nad ogniem kociołku. To coś pachniało tak smakowicie, że nawet z odległości stu jardów Kate napłynęła ślinka do ust.

Gdy podjechali bliżej, wysoka postać odwróciła się i Kate rozpoznała panią Latimore. Podróżniczka czuła się na deszczu równie pewnie i swobodnie jak na sali balowej. Przez chwilę stała bez ruchu, przyglądając się nadjeżdżającym z doskonale obojętną miną. Potem pomachała do nich ręką.

Kate, której w tej chwili zależało tylko na tym, by ogrzać się i coś zjeść, skierowała konia w stronę obozu, nim pani Latimore zdążyła drugi raz machnąć ręką.

- Zaczekaj! - odezwał się jadący obok niej Jim.

- Na co?



- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

- O, na litość boską! - odwróciła się raptownie, wściekła na niego, bo pochwycił jej klacz za cugle, zmuszając do zatrzymania się. - Nie możemy zignorować jej zaproszenia. To byłoby grubiaństwo! Może ty nie dbasz o takie sprawy, ale ja tak!

- Wcale nie mówiłem, żebyśmy ją zignorowali. Uważam tylko, że należy to przedyskutować, nim pogalopujemy na łeb, na szyję do jej obozu.

- Puszczaj! - Było jej zimno. I kapało z nosa, który z pewnością poczerwieniał. Rozczesywanie kołtuna na głowie zajęłoby jej co najmniej godzinę. A rozgrzanie zlodowaciałej pupy potrwa znacznie dłużej. Ogień znajdował się dosłownie o kilka kroków, a Jimowi zebrało się na jakieś dyskusje! Niewiarygodny idiota. - Puszczaj, i to już!

- Nie, Kate! Posłuchaj...

- Ani myślę! - Szarpnęła z całej siły za lejce w nadziei, że Jim je puści. Ale choć klacz się roztańczyła, jego chwyt nie osłabł. - Od dwóch tygodni nic, tylko dyktujesz mi, co mam robić! Po jakiego diabła proponowałeś mi powrót do „Kukułczego Gniazda”, jeśli mogliśmy dalej... - Dostrzegła na jego twarzy przelotny wyraz skruchy. - A więc to tak! Spodziewałeś się, że odmówię, co?

Wódz - niezawodny, nieustraszony Wódz - spłoszył się nagle, jakby jeździec ścisnął go zniemacka kolanami. Jim musiał puścić uzdę jej konia, by uspokoić swego wierzchowca.

- Uważałem to za bardzo prawdopodobne - przyznał.

- Miałeś nadzieję, że dam za wygraną?! - Ani rusz nie mogła tego pojąć. To nie pasowało do Jima! Był z tych, co walczą do upadłego.

Odpowiedzią było milczenie i wyraz uporu na twarzy Jima.

- No, taaak... Myślałeś, że się mnie pozbędziesz i pojedziesz dalej sam? Jestem ci kulą u nogi, tak?

Westchnął ciężko.

- Oszczędziłbym sobie przynajmniej tej rozmowy.

W gruncie rzeczy nie powinna się temu dziwić. Od samego początku próbował się jej pozbyć. Ale odkąd przestał wymykać się po cichu, uznała, że pogodził się z jej obecnością, nawet jeśli jej nie pochwalał.

Łudziła się, że zawarli czasowy rozejm. Zabolało ją, i to bardzo, gdy odkryła, że nic się między nimi nie zmieniło.

Zawróciła konia w stronę obozu.

- Podzieliłbym się nagrodą! - zawołał za nią Jim.

Doprawdy, nic o niej nie wiedział. Nie rozumiał jej ani za grosz! Fakt, że nie rozumiał jej żaden mężczyzna, bo żadnemu na to nie pozwoliła, nie miał teraz znaczenia.

Zeskoczyła z konia, gdy tylko wjechała na teren niewielkiego, bardzo porządnego obozu, w którym panowała atmosfera sprawnego działania i nieopartej na luksusach wygody, która bardzo Kate odpowiadała. Założyłaby się o każdą sumę, że żaden z biorących udział w wyścigu mężczyzn nie wraca co wieczór do równie przytulnego gniazdka.

Pani Latimore odłożyła łyżkę, splótła ręce i czekała cierpliwie na gości. Jim zrównał się z Kate, nim zdążyła zrobić dwa kroki. Chwytał ją za łokieć - nie brutalnie, ale stanowczo - i nachylił się do jej ucha.

- Lepiej uważaj! - ostrzegł ją szeptem. - Ona jest bezwzględna. Dzięki temu umie przetrwać w najtrudniejszych warunkach. To groźna kombinacja zwłaszcza dla tych, co nie mieli dotąd do czynienia z ludźmi tego pokroju.

Kate spojrzała mu prosto w twarz.

- Wytrzymałam przez czternaście lat u boku doktora Goodale'a. Oszczędź mi głędów o braku doświadczenia z ludźmi o trudnym charakterze.

Odwróciła się od niego i po kilku spiesznym krokach, zrzęcznie wyminawszy ociekający wodą skraj płóciennej markizy, znalazła się pod nieprzemakalnym dachem.

- Jestem Kate... - Jim zdążył ją trącić w żebra, niezbyt delikatnie. Zaraz, zaraz... jakie to nazwisko dla niej wymyślił... ? A, prawda!... - Katie Riley.

- A ja Anna Latimore.

Uścisk jej ręki był mocny i krótki.

- Zauważyłam panią już w chwili rozpoczęcia wyścigu, na sali balowej „Grand Hotelu”. Myślałam, że jest pani... - Rzuciła szybkie, oskarżycielskie spojrzenie na Jima. - Nieważne zresztą, co myślałam. Ten natrętny reporter twierdzi, że jest pani asystentką lorda Bennetta.

- Po zawarciu bliższej znajomości z dziennikarzami nigdy już nie odzyskam naiwnej wiary w prawdomówność prasy. Zbyt czę-

sto płaczą się w szczegółach - odparła gładko Kate. - Prawdę mówiąc, Jim i ja jesteśmy współnikami.

- Doprawdy? Równorzędnymi współnikami?

- Hmm... - Ignorując Jima i dumając, jak łatwe byłoby życie, gdyby zdołała go zignorować na dobre, Kate nachyliła się ku pani Latimore i rzuciła konspiracyjnym szeptem: - No, cóż... bywają równi i równiejsi, nieprawdaż?

Pani Latimore wybuchnęła śmiechem niepokojąco podobnym do ryku osła.

- Może zostanie pani na obiedzie?

Stojący za Kate Bennett chrząknął znacząco. Ale mógł sobie chrząkać ile wlezie, bo Kate nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Teraz też odpowiedziała bez namysłu pani Latimore:

- Jest pani niezwykle uprzejma. Z największą przyjemnością.

- Ja też jestem zaproszony? - spytał Jim.

Pani Latimore zacisnęła usta z dezaprobatą.

- No, cóż... Chyba tak.

- Pachnie smakowicie! - wtrąciła Kate.

- Prawda? - Słynna podróżniczka uśmiechnęła się szeroko. - Ale to nie moja zasługa. Panna Dooley jest szefem kuchni w naszym obozowisku; lepszego od niej kucharza ze świecą szukać! - Wskazała gościom dwa składane krzesła stojące po drugiej stronie ogniska. - Proszę czuć się jak u siebie w domu! - Zwracała się wyłącznie do Kate, jak gdyby Jim nie stał tuż za nią, i to tak blisko, że czuła na szyi jego ciepły oddech.

Pani Latimore ruszyła w stronę dalej położonego namiotu i znikła w jego wnętrzu.

Jim opadł na krzesło i wyciągnął wielkie nogi w ciężkich buciorach w stronę ognia.

- No i co? Prawda, że urocza?

Kate z rozmysłem okrążyła ognisko, wlokąc za sobą krzesło, i usadowiła się jak najdalej od Jima. Czuła się jak w raj!

- Polubiłam ją od pierwszego wejrzenia.

Był to najprzyjemniejszy wieczór od czasu oficjalnego otwarcia wyścigu w sali balowej „Grand Hotelu”. Gorący, smakowity gulasz i złociste placuszki mile wypełniły żołądki przyzwyczajone ostatnio do niezbyt urozmaiconej diety z sucharów i pasków

suszonego mięsa. W łagodnym blasku ognia schły przemoczone ubrania; cieplejszy wiatr przegonił deszczowe chmury.

Pani Latimore okazała się interesującą, choć niekiedy kąśliwą rozmówczynią. Oboje z Jimem przez cały niemal wieczór prześcigali się w opowiadaniu historyjek o cudownych ocaleniach i zdumiewających triumfach. Rywalizujący ze sobą narratorzy zawarli w końcu coś w rodzaju zawieszenia broni, gdy Jim przyznał się uczciwie, że i jemu, podobnie jak pani Latimore, nie udało się zdobyć szczytu Cotopaxi.

Panna Dooley okazywała gościom dyskretną życzliwość, podsuwała im jedzenie i kawę, przysłuchiwała się rozmowie z wyrażonym zainteresowaniem. Ale sama odzywała się bardzo rzadko, mimo że brała udział wraz z panią Latimore w większości ekspedycji. Służący pani Latimore, Ming Ho, towarzyszył im przez cały czas, pełniąc w milczeniu swe obowiązki. Z wprawą napełniał kieliszki i uprzątał opróżnione talerze.

- No, no! Trafiła nam się gratka! - Jim z uznaniem poklepał się po brzuchu i wstał. - Nie mam pojęcia, jak zdołała pani dokonać takiego cudu, ale dzięki pani gościnności ogarnęła mnie równocześnie nostalgia za domem i tęsknota za Afryką. Teraz jednak musimy się zbierać, bo chcemy wyruszyć jutro wczesnym rankiem.

- Doprawdy? - spytała pani Latimore bez cienia uśmiechu i wyprostowała się, jakby chcąc przypomnieć Jimowi, że nie ustępuje mu wzrostem. - Panno Riley, o tak późnej porze nie warto rozbijać własnego obozu. Czy nie zechciałaby pani zostać tutaj? Ming Ho z miłą chęcią odstąpi pani swoje łóżko na tę noc, a w naszym namiocie znajdzie się na nie dość miejsca.

Kate zawahała się i spojrzała na Jima, jakby spodziewała się protestów z jego strony. Bennett jednak nie wymówił ani słowa, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

-Ja...

- Wszystko wskazuje na to, że moskity będą szczególnie dokuczliwe tej nocy - dodała pani Latimore.

*Przespąć się w prawdziwym łóżku! Pod namiotem!*

Taka perspektywa wydawała się teraz szczytem luksusu Kate, która spała niegdyś w książęcym łożu. Zdumiewające, jak szybko można przywyknąć do warunków, które niegdyś napełniłyby nas zgrozą!

- Da się pani skusić?

- A Jim... ?

- Na pewno znajdzie sobie wygodne miejsce, by rozłożyć śpiwór. - Pani Latimore rzuciła mu ostatnie, pożegnalne spojrzenie. - Wygląda na pomysłowego i obrotnego człowieka.

Czemu właściwie miałabym się zawsze liczyć z opinią Jima?! pomyślała Kate.

- To niezwykle miło z pani strony... Dziękuję i z przyjemnością skorzystam!

Pani Latimore skinęła głową na znak aprobaty.

- Tędy, bardzo proszę.

- Katie! - Jim zbliżył się do Kate i dotknął jej łokcia. - Zaczekaj chwilę!

Pani Latimore spojrzała na niego wilkiem.

- Panno Riley, nie musi pani wcale...

- W porządku. - Gdy podróżniczka uniosła brew, Kate dodała: - Naprawdę wszystko w porządku! Musimy ustalić z Jimem kilka szczegółów, nic więcej. Zaraz wrócę.

Przez chwilę wydawało się, że pani Latimore gwałtownie protestuje. W końcu jednak skinęła rzeczowo głową, rzuciła Jimowi jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie i znikła we wnętrzu swego namiotu.

- Coś mi się zdaje, że ta dama za mną nie przepada!

- To dla ciebie prawdziwa niespodzianka, nieprawdaż? - Kate zebrała wszystkie siły, nim spojrzała mu prosto w twarz. - Jim, jutro możesz mi dokuczać ile wlezie z powodu tego zaproszenia. Ale dziś chcę się raz wyspać w przyzwoitych warunkach!

- Nie o to chodzi. - Spojrzał na nią i odwrócił wzrok. Kilkakrotnie zmieniał pozycję, nim wreszcie znieruchomiał z rękami w kieszeniach. - Nie miałem zamiaru... - Zmarszczył brwi i zapatrzył się w przestrzeń. - Wiem, że zanadto przywykłem do wydawania rozkazów. W terenie jest po prostu bezpieczniej, jeśli wszyscy stanowią zgrany zespół. Tylko raz czy drugi straciłem kontrolę nad całością...

Kate czytała i słyszała niewiele na temat ostatniej, tragicznej w skutkach wyprawy podbiegunowej Bennetta. Wydarzenia te zbiegły się w czasie z ostatnią, śmiertelną chorobą doktora Goodale'a, która zaprzętała przede wszystkim uwagę jego żony.

Wystarczyło jednak spojrzeć na Jima, by przekonać się, czym była dla niego śmierć najbliższego przyjaciela. Głębokie bruzdy po obu stronach ust, usztywnienie ramion, zgarbione plecy...

- Tak... - odpowiedziała cicho. - Mnie również zarzucano, że jestem apodyktyczna, że chcę decydować o wszystkim. Aż dziw, że moje uciemnione siostry zdołały wyzwolić się spod mojej tyranii i zlekceważyć wyraźne rozkazy!

Kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu; odwrócił się do niej. Ostatnia dolewka padającego przez cały dzień dżdżu przyćmiła blask gwiazd na granatowym niebie. Regularne, surowe rysy Jima przez kontrast rzucały się jeszcze bardziej w oczy na tle tej mglistej łagodności. Nie chciało się wprost 'wierzyć, że jest to potomek zniewieściałych, rozpieszczonych angielskich arystokratów, mieszkających w pełnych zbytku i wygod wiejskich rezydencjach, o ścianach porośniętych pnączami róż. Wydawał się istotą stworzoną do życia w dzicy, do walki na śmierć i życie. Wyzbył się wszelkich próżnostek eleganckiego świata; ograniczył się do tego, co niezbędne i co wzbudza zbożny lęk, gdyż tylko w ten sposób mógł zapewnić sobie przetrwanie.

- Czyżbyś przyjęła moje przeprosiny, zanim zdążyłem je wygłosić?

- To chyba ułatwia i upraszcza sprawę? - odparła z szerokim uśmiechem.

- No, no!... Tyle ofiarności dla bliźnich?

Prawie się uśmiechnął. Uznała to za jeden ze swych triumfów.

- Wobec tego dobranoc! Wyśpij się porządnie. - Uśmiech Jima stał się jeszcze szerszy. - To ci się przyda, sam zobaczysz.

- Anioł dobroci znów się zmienił w tyrana?

- Czyżbyś się spodziewał czegoś innego?

- Spodziewałem...? Skądże znowu! Miałem może nieśmiałą nadzieję...

Odwrócił się. W blasku dogasającego ogniska wyraźnie było widać na jego plecach wielką, zielonkawą plamę, nieco podobną w kształcie do dłoni.

- Och, na litość boską! - Życie byłoby znacznie prostsze bez ingerencji sumienia. - Daj mi tę koszulę!

- Co?!

Odwrócił się raptownie; nigdy jeszcze nie widziała takiego zdumienia na jego twarzy.

- Daj mi swoją koszulę. - Wyciągnęła rękę. - Wiem, że twoje standardy życiowe są... niezbyt wysokie, ale ta koszula jest do prawdy w opłakanym stanie! Ming Ho obiecał, że rano dostarczy mi ciepłej wody. Chcę przeprać kilka swoich rzeczy. Mogę przy okazji wyprać i tę szmatę.

Jego zdumienie przekształciło się w podejrzliwość.

- Dlaczego?

- Co to znaczy „dlaczego”? - Czyżby życzliwa pomoc z jej strony wydawała mu się czymś niewiarygodnym?! - Jeśli wolisz nosić tę koszulę na grzbiecie, aż tak zeszywnieje od brudu, że będzie sama stała, to powiedz wyraźnie! Nie będę cię uszczęśliwiać przez siłę.

- Prrr! Nie zapędzaj się tak daleko! Wcale tego nie mówiłem. - Uniósł obie ręce na znak kapitulacji. - Zupełnie mi nie wyglądasz na praczkę, więc się zdziwiłem. I tyle.

- No to w porządku. - Nieco udobruchana, poleciła mu gestem, by ściągał koszulę. - Dawaj ją tu!

- W tej chwili?!

- Skromność ci nie pozwala?

- Raczej nie. - Jim nie spędził całego życia z dala od cywilizacji i nie zapomniał ze szczętem, że damy dostawały waporów, jeśli ktoś wspomniał niebacznie o czymś tak nieprzyzwoitym jak nogi. A tu Kate najwyraźniej sobie życzy, by rozbierał się na jej oczach!

No to sprawdźmy, pomyślał z zainteresowaniem, ile w tym szczerości, a ile głupiej brawury!

Musiał przyznać, że Kate spisała się na medal! Nawet się nie wzdrygnęła. Stała po prostu z jedną ręką wyciągniętą, a drugą na biodrze i spoglądała mu spokojnie w oczy.

Nie przewidywał, że będzie miał tyle kłopotu z guzikami. Tańczył kiedyś na golasa na oczach całego plemienia. Ale teraz, gdy Kate, stojąc kilka stóp od niego, przyglądała się spokojnie tej rozbierance, palce odmawiały mu posłuszeństwa.

Zdarł koszulę z ramion natychmiast, gdy zdołał odpiąć ostatni guzik.

- Masz!

- Dziękuję. - Zmięta materiał w rękę. - Zwrócę ci ją jutro.

- Nie spiesz się. Mam jeszcze jedną.

- Doprawdy? - spytała lekkim tonem. - Nigdy bym się tego nie domyśliła!

Odwróciła się, chcąc odejść, i nagle zapragnęła, by została. wzięwszy pod uwagę, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni co najmniej sto razy marzył o tym, żeby się jej pozbyć, nagła chęć zatrzymania jej przy sobie była doprawdy zaskakująca. Ale jakież mężczyzna nie pragnąłby stać obok Kate skąpanej w blasku ognia? Dobrze zresztą wiedział, choć nie chciał się do tego przyznać, że starał się jej pozbyć właśnie dlatego, że mimo najszczerzych chęci nie mógł pozostać wobec niej obojętny.

- Słowo daję, zaimponowałaś mi - powiedział. - Ani śladu rumieńca! Nie myślałem, że stać cię na coś takiego!

- Nie jestem już niewinną panienką - przypomniała mu.

- Ciekaw jestem - palnął bez zastanowienia - czym można by cię zaszokować?

Kate w tej właśnie chwili była bliska szoku. Nie dlatego, że Jim ściągnął przy niej koszulę, chociaż jego ramiona były niezwykle kształtne, a płaszczyzny i wypukłości potężnej piersi rysowały się imponująco pod obcisłym cienkim podkoszulkiem. Przyprawiła ją o szok gwałtowność własnej reakcji na jego widok. Namiętność pulsowała w całym jej ciele, silna, nieskrywana i pożądliva.

W koszuli Jima zachowało się jeszcze ciepło jego ciała. Palce Kate dotykały pieścotliwie materiału - same, bez woli i wiedzy jej umysłu. Tak samo pieściłyby Jima, gdyby miał tę koszulę na sobie.

- Chciałbyś wiedzieć, co? Ale byś się zdziwił!

## 12

Po wstawieniu trzeciego łóżka w namiocie pani Latimore zrobiło się ciasniej, ale nadal całkiem znośnie. Zwisająca z głównej podpórki namiotu latarnia oświetlała łagodnym, kojącym blaskiem niezbyt obszerne wnętrze. Postawiona na boku walizecz-



ka odgrywała rolę nocnego stolika. Kate znalazła na niej miękkie ręczniki i dzbanek z ciepłą wodą przyniesiony przez milczącego, uśmiechniętego i wszechstronnie uzdolnionego Ming Ho. Pościel była tak miękka i gładka, że dotknąwszy jej po raz pierwszy, Kate omal się nie rozpłakała. Pospiesznie odbębniła wszystkie tradycyjne przygotowania do snu, by jak najprędzej znaleźć się w łóżku i zakosztować rozkoszy cywilizacji.

- Zanim się pani położy - odezwała się pani Latimore, która podobnie jak panna Dooley była gotowa do snu, nim Kate ze wszystkim się uporała; obie damy siedziały na swoich łózkach wyprostowane jak świece i odziane w fałdziste nocne koszule z bawełny. - Chciałybyśmy z panią zamienić kilka słów, jeśli można.

- Ależ oczywiście! - Kate przysiadła na łóżku i westchnęła rozkosznie, gdy ugięło się miękko pod nią. Z wysiłkiem powstrzymała się od natychmiastowego nurknięcia pod kołdrę. - Doprawdy, nie potrafię wyrazić, jak jestem wdzięczna za pani zaproszenie. Możliwość spędzenia nocy w takich warunkach to prawdziwa gratka!

Pani Latimore zbyła podziękowania machnięciem ręki.

- To doprawdy drobnostka. Kobiety, które decydują się na udział w podobnych wyprawach, narażają się znacznie bardziej niż mężczyźni. Mamy więc święty obowiązek pomagać sobie nawzajem, o ile to w naszej mocy - dodała znacząco.

Ale zawoalowane aluzje podróżniczki były, przynajmniej w tym momencie, niezrozumiałe dla Kate.

- Oczywiście - wymamrotała wymijająco.

Pani Latimore zmarszczyła brwi. Mdłe światło latarni nie upiększyło jej kościstej twarzy; rysy wyostrzyły się i stały niemal groźne. Lata spędzone na słońcu i wicherze również pozostały swój ślad: wokół zaciśniętych ust i bystrych oczu rysowała się siatka głębokich zmarszczek. Nadal jednak podróżniczka była nieprzeciętną, imponującą kobietą.

- Gdybyśmy mogły służyć pani pomocą...

- Jestem ogromnie wdzięczna, ale byłby to doprawdy szczyt bezczelności, gdybym oczekiwała, że pani będzie nas wspomagać w imię kobiecej solidarności!

- Ależ nie! - Pani Latimore pochyliła się raptownie i mocno schwyciła Kate za ramię. - Pani mnie nie rozumiała!

- Chyba tak...

- Oswobodziła swe ramię najdelikatniej jak mogła.

- Może ja spróbuję to wyjaśnić.

Panna Dooley przysiadła na łóżku Kate; owioną! ją zapach pudru i fiołkowego mydła.

- Zdajemy sobie sprawę z... niezaprzeczalnych uroków lorda Bennetta. Rozumiemy także, że kobieta może znaleźć się w... kłopotliwym położeniu. - Zrobiła dyskretną pauzę przed frontalnym atakiem. - Dobrze wiem, jak trudno wyplątać się z takiej sytuacji. - Wymieniły z panią Latimore znaczące spojrzenia. - Aż za dobrze!

Kate szukała w myśli stosownej a niezobowiązującej odpowiedzi.

- Hmm...

- Czy pani życzy sobie naszej pomocy? - spytała łagodnie panna Dooley.

- W czym panie mogłyby mi pomóc?

- W uwolnieniu się od tego człowieka! - warknęła pani Latimore.

- Jima?!

- Oczywiście, że lorda Bennetta.

- O... ! - Kate nareszcie pojęła o co chodzi. - Jestem paniom wdzięczna, ogromnie wdzięczna za okazaną mi troskę. Ale nie dzieje mi się żadna krzywda. Słowo daję!

- Ależ, drogie dziecko, nie warto osłaniać kłamstwem kogoś takiego jak on! Przekonałyśmy się na własne oczy, jak on panią traktuje! - W głosie pani Latimore brzmiało oburzenie. - Z początku usiłował panią odwieść od wizyty w moim obozie, nieprawdaż? Widziałam, jak schwycił panią za łokieć, byle tylko powstrzymać!

Kate skryła mimowolny uśmiech; byłyby w tej chwili nie na miejscu. Troska obu kobiet o jej dobro wzruszała ją, ale Jim w roli tyrana i skończonego łajdaka po prostu śmieszył. Cóż za pomysł!

- Zapewniam panie, że nie jestem ofiarą niczyjej przemocy!

- Po tym, co ujrzałyśmy na własne oczy w tak krótkim czasie, aż strach pomyśleć, co pani grozi bez świadków! - stwierdziła pani Latimore.

- Droga pani Latimore, kochana panno Dooley, jestem ogromnie wzruszona i bezmiernie paniom wdzięczna! Ale Jim... Przyznaję, że bywa niekiedy źle wychowany i chce sam o wszystkim decydować. Ale nie jest okrutnym tyranem!

- Panno Riley - oznajmiła pani Latimore tonem ostrym i niezłomnym jak stal. - Mężczyźni mają wiele sposobów ujarzmania kobiet. Nie wiem, jakich użył metod, by podporządkować sobie panią. Może chodzi o zależność materialną, może o niewolę zmysłów... a może po prostu panią zastraszył? W każdym razie pomogę pani wyzwolić się z tych kajdan. Przysięgam!

- Ja... - Sugestia, że Jim owładnął jej zmysłami, rozbrzmiewała upartym, donośnym echem w mózgu Kate. Jej policzki płonęły. - Nie wiem, jak panie przekonać... Ale nasza znajomość z Jimem opiera się na wspólnocie interesów. Zgodnych z prawem i moralnością - dodała pospiesznie.

- Panno Riley! - zaczęła pani Latimore z wyraźnym przejęciem, ale powstrzymała ją dyskretna interwencja panny Dooley.

- Nie możemy zbyt mocno nalegać, Anno. Zniżyłybyśmy się do poziomu człowieka, którego tak krytykujemy.

Pani Latimore zastanowiła się przez chwilę i skinęła głową.

- Dajmy temu spokój... na razie. Proszę jednak pamiętać, panno Riley, że gdyby zmieniła pani zdanie, zawsze może pani liczyć na naszą pomoc.

- Wiem - zapewniła Kate i poczuła taki przypływ wdzięczności, że aż ją to zdumiało. - I dziękuję z całego serca. Był w moim życiu taki okres, kiedy przyjąłabym z radością pani pomoc, ale z lordem Bennettem poradzę sobie bez trudu.

Panna Dooley przykręciła knot lampy i wszystkie trzy kobiety zagłębiły się w pościeli. Obie doświadczone podróżniczki najwidoczniej umiały zasypiać natychmiast po przytknięciu głowy do poduszki. Już po kilku sekundach z obu łóżek doleciało dyskretne pochrapywanie.

Jednak Kate mimo wszelkich starań i mimo prawdziwej poduszki, za którą oddałaby połowę swej garderoby, mimo zapomnianej już niemal rozkoszy, z jaką złożyła głowę na wypranej i wykrochmalonej powłoczce, ani rusz nie mogła zasnąć.

Jej towarzyszki po prostu nie oddychały tak jak Jim! Przywykła do jego rytmicznego oddechu, podobnie jak dziecko tak się przyzwyczaja do kołysanki, że nie potrafi bez niej zasnąć. A choć Jim przeważnie działał jej na nerwy, chociaż pogodzenie się z jego obecnością w jej życiu nie było proste ani łatwe, śpiąc obok niego Kate czuła się całkowicie bezpieczna.

Jim wytoczył się z namiotu i zacisnął mocno powieki: miał wrażenie, że jaskrawe promienie słoneczne to ostre dłuta, które mają mu wyłupić oczy. Przycisnął palce do skroni, usiłując w ten sposób stłumić przeszywający ból.

Niech to szlag. Wszystko przez ten diabelski trunek, którym go uraczył Ming Ho, gdy tylko wszystkie trzy kobiety udały się do wspólnego namiotu. Jak się zwał ten piekielny wywar?! Matotai? Byka by tym powalił! Któż by pomyślał, że ten mikry żółtek ma taki mocny łeb? Spoił mnie tak, że wylądowałem pod stołem. No, no!

Ale myśl o tej niechlubnej porażce wywołała i miłsze wspomnienia. Leniwe wieczory przy ognisku w kompanii innych łażników takich jak on... Butelka wędrowała z rąk do rąk i wszyscy prześcigali się w niewiarygodnych opowieściach. Jakież to przygody przeżywali w zakątkach świata, o których mało kto słyszał, a prawie nikt tam nie dotarł!

To było życie w sam raz dla niego. Proste, nie uznające granic, nieskażone zdobyczami cywilizacji. Życie dla mężczyzn i wśród mężczyzn, nie licząc kilku nocy spędzonych w towarzystwie ciemnoskórych, egzotycznych kobiet, dla których taki namiętny poryw był czymś równie nieistotnym jak dla londyńskiej damy walc z tym czy innym partnerem. W życiu Jima nie było miejsca dla dam. A już z pewnością nie dla kogoś takiego jak Kate!

Kilka tygodni w „cywilizowanym” świecie było rażącym odstępstwem od reguły. Powinien był przewidzieć, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Przecież nie bez powodu unikał miejsc skażonych siecią dróg i zabudową, stronił od kobiet, których piękność stanowiła oręż równie śmiercionośny jak broń żołnierzy zaciężnych. Jego miejsce było w dżungli, gdzie nie ma perfidnych wrogów, tylko zwierzęta zabijające z głodu, ani pułapek groźniejszych niż bystrza na rwącej rzece.

A niech to wszyscy diabli! Trzeba było pomyśleć o tym kilka miesięcy temu, a nie teraz! Jak ostatni dureń łudził się, że taka odmiana pomoże mu pogodzić się ze śmiercią Matta. Że ta krótka przerwa jakimś cudem wzbudzi w nim zapał do dalszych ekspedycji, do wymarszu w nieznaną. Powinien był wiedzieć, że należało wsiąść na konia i pogonić za przygodą... No i los ukarał go za głupotę, stawiając znów na jego drodze Kate Goodale.

Ot i teraz: włożyła znów czystą bluzkę, białą, wykrochmaloną i wyprasowaną, jakby miała Bóg wie ile służby! Jak ona sobie z tym radzi?! To już trzecia bluzka (albo i czwarta!), w której paraduje. No, spódnica może się trochę przybrudziła... ale jak szymbarkownie opina bioderka, co? Z tyłu tiurniura... choć, prawdę mówiąc, wolałby naturalny kuperek. Jednak próby doszukania się prawdy pod tymi sztukówkami miały pewien urok... Może o to właśnie chodziło?

Była nadal taka piękna... niewiarygodnie piękna! I wyjątkowo powściągliwa, jakby się siliła na chłód. Był wściekły na siebie, gdyż nadal znajdował się pod jej urokiem, choć dobrze wiedział, ile jest warta. Zdradzała doktora na prawo i lewo i o mały włos nie wciągnęła w to bagno także i jego.

Ale nie wszystko było takie proste, jak się wydawało. O ileż lepiej by się czuł, gdyby mógł przypiąć jej bez wahania etykietkę „wyrachowana spryciara"! Teraz jednak musiał przyznać, że nie była ani tak prymitywna, ani na wskroś zła. Wszystkie te nagłe przebłyski świadczące o tym, że pod pozorną obojętnością kryje się poczucie humoru i zdumiewająca bezbronność, zaduma i błyskotliwa inteligencja, wywierały na nim jeszcze większe wrażenie niż jej niezwykła uroda. Być może właśnie dzięki nim tak łatwo usidliła doktora?

Dręczyło go, że nawet teraz nie ma ustalonego zdania na jej temat. Znajomość ludzkiej psychiki nie była nigdy jego mocną stroną. Potrafił ocenić morskie prądy, określić rodzaje chmur, zdefiniować nachylenie zbocza, stwierdzić, który szlak zawiedzie najpewniej na szczyt góry. Ale na ludziach się nie znał. Właśnie dlatego czuł się znacznie swobodniej w Brazylii niż w Anglii.

- Dobrze ci się spało? - zagadnął.

- O... to ty? - Zatrzymała się raptownie, rozkołysana spódnica zafalowała wokół kostek, ręce powędrowały do paska. - Czy spałam? Tak, chyba tak... Ja... - Zerknęła spieszenie przez ramię w kierunku, gdzie kończyła się polanka a zaczynał gąszcz.

- Kate... ?

- Hmm... ? - Znów spojrzała w stronę drzew. - Doskonale! Po prostu doskonale. Ja... - Zacerpnęła powietrza, wyraźnie chciała się uspokoić, ale nic z tego nie wyszło.

- Co się tam dzieje?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Jim skierował się w stronę kępy drzew.

- Nie! - Chwyciła go za obie ręce i próbowała go odciągnąć. - Nie idź tam!

Trudno mieć za złe mężczyźnie, że w takiej sytuacji nie wyrywa się natychmiast z damskich ramion.

- Wyjaśnij mi, dlaczego nie powinienem tam chodzić. Inaczej sam się przekonam.

Gryzła wargę, nie mogąc się zdecydować. Gdy postąpił znów o krok w niebezpiecznym kierunku, wybuchnęła:

- Powiem już, powiem! To ostatecznie nic takiego... Tyle że każdemu należy się trochę prywatności... a to nie twoja sprawa!

- Może pozwolisz, że sam to osądzę?

- No więc... wstałam wcześniej. A w pobliżu płynie strumyk. O kilka metrów stąd, w tamtym kierunku. Ming Ho wspomniał o tym wczoraj wieczorem, no i... poszłam tam... - Widziałam ich! - dorzuciła szeptem.

Zmrużył oczy i usiłował coś dojrzeć w gąszczu.

- Kogo?

- Panią Latimore i Ming Ho.

- No i co z tego? Widziałaś ich przecież wieczorem... A, rozumiem! Widziałaś ich, powiadasz?

- Tak. - Wykonała jakiś niewyraźny gest w okolicy pasa. - Był golusieńki jak go Pan Bóg stworzył... - Oczy jej się zamgliły. - Kto by pomyślał, że jest taki zgrabny pod spodem? Wcale nie chudzielec, jak mi się zdawało... Wiesz, zawsze sobie wyobrażałam...

- Dość tego, Kate!

To już przekracza wszelkie granice! Jak ona może w jego obecności tak się unosić nad tamtym?!

- Czego?... A, o to ci chodzi! - Uśmiechnęła się bezczelnie. - Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać. Mam takie... artystyczne zamięłowania.

- Tak byś to określiła?! - Dała najlepszy dowód swego rozpasania! Powinien być wściekły, oburzony... Ale taka przy tym była prostoduszna, taka rozbawiona, że po prostu nie mógł się na nią gniewać. Jakie to zresztą miało znaczenie? - No, no! Kto by pomyślał? Pani Latimore i Ming Ho? A ja zakładałem z góry, że to raczej żeński duet z panną Dooley.

- Ależ, Jim! - jęknęła szczerze zgorszona.

- Dajże spokój, Kate! - Połaskotał ją pod brodą, która opadła jej niemal na pierś. - Stanowczo za mało się obracasz w eleganckim świecie!

Usiłowała przybrać minę cynicznej światowej damy.

Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę z tego, jak to do niej nie pasuje? dumał Jim.

- Ale ja... ja... - wydukała w osłupieniu i zamilkła.

- A więc jest coś, co ci odbiera mowę - skostatował. - Dobrze wiedzieć!

Szybko się pozbierała.

- Wcale mi nie odebrało mowy! Tylko *prawdziwa dama* nie rozmawia na takie tematy.

- A, rozumiem: jesteś zbyt wielką damą, by rozmawiać na takie tematy, ale ci to jaśniepaństwo nie przeszkadza gapić się na golutkiego mężczyznę, jak trafi się taka gratka, co? Długo ich podglądałaś?

Teraz się dopiero najeżyła!

- Wcale ich nie podglądałam! Jak śmiesz?!

- A oni zorientowali się, że na nich patrzysz?

- Nie. Byli zanadto... zajęci sobą. A poza tym, możesz wierzyć albo nie, patrzyłam na nich tylko przez chwileczkę!

- Tym lepiej!

- Możemy już wynieść się stąd?

Zapasy zostawił obok namiotu, który dzielił z Ming Ho. Kate schyliła się, schwyciła za ramię jego plecaka i rzuciła nim w Jima. Złapał odruchowo, ale zdumiała go siła, z jaką wywinęła sporym ciężarem. Trzy tygodnie temu pewno nie zdołałaby go unieść.

- Jestem już spakowana.

- Chciałaś czmychnąć stąd, zanim skończą...

- Chciałam po prostu jak najszybciej ruszyć w drogę! - przerwała mu. - Jeszcze wczoraj podziękowałam za gościnę i pożegnałam się z obiema paniami.

- Oj, Kate, Kate!

- No to jak? Zabieramy się stąd? - nalegała.

Skinął głową.

- Pozbieraj swoje manatki, a ja pójdę po konie. Spotkamy się pod twoim namiotem. - Kiedy zaś bez protestu zastosowała się

do jego polecenia, pomyślał: „Nie minął jeszcze wiek cudów!” i głośno dorzucił: - Nawiasem mówiąc, moim zdaniem wyglądasz prześlicznie, kiedy się rumienisz!

Zaczerwieniła się jak na zawołanie; tym razem był to delikatny rumieniec i niepewny uśmiech młodziutkiej dziewczyny, która właśnie usłyszała pierwszy komplement z ust jękającego się, równie młodego wielbiciela. Przez chwilę, gdy stała tak w jasnym świetle poranka, mimo kilku zmarszczek, mimo dojrzałych kształtów i fryzury stosownej dla trzydziestolatki, a nie dla podlotka, była uderzająco podobna do dziewczyny, którą całował tamtej nocy przed wielu laty. Niewiele brakowało, by instynktownie chwycił ją w ramiona, jak czynił tylekroć we śnie.

Pochylił się nagle i zaczął grzebać w swoim plecaku. Nie dostrzegł, jak gaśnie uśmiech Kate, gdy odwrócił się od niej bez słowa.

- Pospiesz się! - polecił jej szorstko.

Spakowanie rzeczy zabrało Kate tylko parę minut; większość przygotowała zawczasu, jak się chwaliła Jimowi, ale przy pakowaniu reszty sama się zdumiała, jakiej nabrała wprawy. Kiedy po raz ostatni wybierała się do Emily, prawie dwa tygodnie trwało, nim podjęła ostateczną decyzję, co ze sobą zabierze.

Próbowała zapomnieć o grubiańskim zachowaniu Jima i prawie się jej to udało. Nie miała wszak pewności, czy Jim z rozmysłem działa jej na nerwy. Był strasznie humorzasty z natury. Nic dziwnego, że spędzał tyle czasu w dżicy. Żaden cywilizowany osobnik nie wytrzymałby z nim na dłuższą metę!

Czekała niecierpliwie, kiedy się zjawi z końmi. Czemu akurat wtedy, gdy zależało jej na szybkim wyjeździe, guzdrał się bez końca?!

W końcu nie wytrzymała. Może ma jakieś kłopoty z końmi. Bóg świadkiem, że nigdy nie prosił jej o pomoc, nawet wtedy, gdy bardzo by mu się przydała. A ona doskonale sobie już radziła z kłaczą (choć nie wypada samej się chwalić!).

Jeżeli się nie pospieszą, pani Latimore i Ming Ho gotowi wrócić! Pomknęła do Jima, przysięgając sobie, że zmusi go do pospiechu, ale na jego widok stanęła jak wryta.

Nie był gotów do drogi. Można by pomyśleć, że raczej się rozpakowywał. Klęczał koło namiotu. Wytrząsnął chyba całą zawar-



tość plecaka na ziemię, a teraz w tym nieporadnie grzebał. Na jej oczach przejrzał stosik ubrań, rozrzucając je bezładnie wokół siebie. Kłął przy tym tak, że z pewnością nie wpuszczono by go do żadnego porządnego domu w Filadelfii.

- Co ty wyprawiasz, na miłość boską?!

Przysiadł na piętach i zwrócił ku niej twarz wykrzywioną takim grymasem, że Kate mimo woli cofnęła się.

- Naszą mapę diabli wzięli!

- Co takiego?! - Podbiegła do Jima i zaczęła przerzucać koce. - Pomogę ci szukać!

- To nic nie da. Wszystko już przetrząsałem. Kamień w wodę!

- Gdzie ją trzymałeś?

- W bocznej kieszeni plecaka.

Przyciągnęła za pasek opróżniony plecak i sięgnęła do kieszeni zapinanej skórzanym rzemykiem.

- Pusta!

- A nie mówiłem?

- Gdzie ją zostawiłeś wczoraj wieczorem?

- Tu. Razem z resztą swoich rzeczy.

- Nie zabrałeś jej do namiotu?!

Nie mogła w to uwierzyć.

- No, chyba nie... - Przeszepował z nogi na nogę, wyraźnie zmieszany. Niech go diabli! - Była tu dziś rano, więc pewnie przeleżała całą noc...

- Nie pamiętasz, gdzie ją położył?!

- Oczywiście, że pamiętam! - obruszył się. (Ledwo-ledwo. I jak przez mgłę). - Zostawiłem dokładnie tutaj.

- Zostawiłeś ją?!

Zabrzmiało to tak, jakby porzucił niemowlę pośrodku ruchliwej ulicy.

- A co? Miałem się pchać do namiotu Ming Ho z całym bagażem?! To by była jawna bezczelność! I tak ledwie się pomieściliśmy. Namiocik mały, a o mnie trudno to powiedzieć.

- O, tak! Dobrze wiem, jak bardzo się starasz nikomu nie przyczynić kłopotów i nikogo nie urazić! - rzuciła cierpko.

Odrzucił niewielki skórzany woreczek, który beżmyślnie obracał w palcach, wstał i skierował się w stronę lasu.

- Dokąd się wybierasz?

- Dopadnę tego drania, co nam zabrał mapę!  
- Chwileczkę! - Przycisnęła palce do skroni. - Muszę się zastanowić...

- Nie ma na to czasu.

- A jak im wyjaśnisz, skąd wiedziałeś, gdzie są? Jeśli tam pójdziesz, domyślą się, że ich widziałam!

- I co z tego?

- Jim, jeśli to oni ukradli mapę, to nie przyznają się tylko dlatego, że ich oskarżysz! Tacy głupi nie są.

Poruszył palcami, które zwinęły się w pięść.

- Już ja ich zmuszę do gadania!

- Nie wybijesz z nich prawdy!

- A to dlaczego?

- I nawet gdyby ci się to udało...

- Uda się, jeszcze jak!

-... z punktu by cię zdyskwalifikowali.

Nie mógł zaprzeczyć, że to bardzo prawdopodobne.

- A poza tym nie wierzę, by pani Latimore ukradła nam mapę.

- Tak dobrze ją znasz? - Kopnął kłębek linki, który mu się natopoczył pod nogi, z taką energią, że przeleciał na drugą stronę polanki, rozwijając się po drodze. - Powiniennem się domyślić, że za wczorajszym zaproszeniem kryło się coś szczególnego! Pani Latimore nigdy nie słynęła z gościnności.

Na przekór wszystkiemu na ustach Kate pojawił się uśmiech.

- Jim, one nas zaprosiły, żeby mnie ocalić!

- Od czego?!

- Od ciebie, ma się rozumieć; tyrańskiego, zepsutego do szpiku kości, brutalnego kretyna, który bez żenady wykorzystuje moją słabość,

- Co takiego?! - Jim roześmiał się tak głośno, że spłoszył wronę z pobliskiego drzewa. Uleciała, skarżąc się żalonym krakaniem. - Jeśli tu ktoś żeruje na cudzej słabości, to ty, a nie ja!

- Tak, masz świętą rację. Pocieszaj się jak najczęściej tą myślą.

Z rękoma skrzyżowanymi na piersi, postukując nogą, przeczekwała jego kolejny atak śmiechu.

- Ale przy okazji mogli podwędzić mapę! - orzekł. - Ten nagły atak chrześcijańskiego miłosierdzia może być sprytnym kamuflażem.

- Nie sędzę - odparła ponuro.

- Ming Ho mógł również działać na własną rękę. Teraz już wiemy, że przejawia znacznie więcej inicjatywy, niż by się wydawało na pierwszy rzut oka.

- Tamten chłopak w powłóczystych szatach kręcił się ubiegłej nocy koło zakrętu drogi - podsunęła Kate. - Zauważyłam go, wracając z kąpieli. Działa mi na nerwy tym wiecznym pojawianiem się i znikaniem.

- Bardzo bym się zdziwił, gdyby to on zabrał mapę. Przecież sam ją nam podarował!

- Może pożałował swej szczodroblewości? To równie logiczne jak zrzucanie winy na panią Latimore!

- W gruncie rzeczy nie ma to większego znaczenia. Lepiej zabierzmy się do pakowania.

- Chcesz dać za wygraną?! - spytała Kate, a on rzucił jej spojrzenie, które większość mężczyzn wprawiłoby w popłoch. - Dobrze już, dobrze! Wiem, że to głupie pytanie - wycofała się Kate. - No to co zrobimy?

- Chyba najszybciej i najprościej będzie rąbnąć inny egzemplarz od kogo się da.

Schylił się po porozrzucane w pośpiechu części garderoby. Kate mierzyła go otwarcie wrogim i podejrzliwym spojrzeniem.

- Nie od pani Latimore! - zastrzegła.

- To byłoby najłatwiejsze rozwiązanie.

- Nie i już! Mam chyba lepszy pomysł... - powiedziała bez zwykłej pewności siebie. I właśnie ta niepewność zaintrygowała Jima. Kate była niezmiennie przekonana o własnej słuszności! Skąd taka zmiana?

- Czy masz... - Zawahała się, ale zaraz przybrała bojową postawę i ruszyła do ataku. - Czy masz jakiś papier i coś do pisania?

- Powinny gdzieś tu być.

Omiótł spojrzeniem panujący wokół chaos i dostrzegł swój notes pod przyborami do golenia. Wyciągnął go spod nich i rzucił Kate wraz z ogryzkiem ołówka, który znalazł w kieszeni marynarki.

- Dziękuję.

Złapała oba przedmioty ze zręcznością, do której już przywykł. Następnie rozejrzała się dokoła i ostatecznie przysiadła na składa-

nym krzeselku, na którym Jim spędził większość ostatniej nocy, nim zwałił się na ziemię. Przez chwilę wpatrywała się w kartkę papieru, potem szybko przeciągnęła ołówkiem przez całą długość strony.

- Kate...

- Nie przeszkadzaj! - Wykonała dwa następne pociągnięcia ołówkiem, po czym podniosła na niego oczy z wdzięcznie uniesionymi brwiami. - Weź się lepiej do pakowania. To chwilę potrwa!

Pozbieranie porozrzucanych rzeczy i upchnięcie ich do plecaka nie zabrało mu wiele czasu. Miał w tym długoletnią praktykę, a bałagan, który sam spowodował, nie był gorszy od spustoszenia, jakiego dokonało niegdyś w obozowisku stado małp. Nie mógł się jednak powstrzymać i od czasu do czasu zerkał w stronę Kate.

Głowę miała nadal spuszczoną, a szyję wdzięcznie wygiętą w łuk. Słoneczne światło opływało ją tak szcudrze, jakby cała jasność przeznaczona była dla niej. Złociło włosy Kate, znaczyło połyskliwą kreską zarys policzków i kształt pochylonej na bok główki, gdy wpatrywała się uważnie w notes.

Ołówek sunął po papierze, ruchy wiodącej go ręki były szybkie i płynne. Nagle znieruchomiały. Zaraz potem Kate, postukując nerwowo ołówkiem o notes, spojrzała na rezultat swojej pracy.

- Skończone? - spytał Jim, nie mogąc się już doczekać.

- Chyba tak - odpowiedziała bez pośpiechu.

Ponieważ się nie poruszyła, podszedł do niej. Przycisnęła notatnik do piersi, zasłaniając swoje dzieło.

- Mogę zobaczyć? - spytał, wyciągając rękę.

W pierwszej chwili miał wrażenie, że Kate odmówi. Potem Jednak skrzywiła się i podała mu notes.

Odtworzyła mapę. Jej kopia była znacznie lepsza niż oryginał. Pociągnięcia ołówka pewne i śmiałe, linie symbolizujące morskie fale bijące o brzeg dawały nawet złudzenie ruchu. W krótkim czasie zdołała odtworzyć nieprawdopodobną wprost ilość szczegółów, włącznie z umieszczoną w prawym górnym rogu mapy tarczą kompasu z igłą zakończoną dwoma szpicami.

- To niesamowite, Kate! - wymamrotał zaskoczony Jim.

- Wiem, że pominęłam mnóstwo detali w głębi ładu - usprawiedliwiła się pospiesznie; ręce jej trzepotały nerwowo w powietrzu jak skrzydełka ćmy. - Nie zwracałam na nie większej uwagi. Ale jeśli chodzi o linię brzegową...

- Myślisz, że odtworzyłaś ją wiernie?

- Bo ja wiem... no, chyba... dość wiernie... Tak mi się wydaje. - Urwała, skinęła zdecydowanie głową, jakby chciała przekonać samą siebie. - Uważam, że to bardzo dokładna kopia - odparła pewnym głosem. - A powinnam wiedzieć, bo straciłam Bóg wie ile czasu, wpatrując się w to cholerstwo! - Jim uśmiechnął się, słysząc to słowo. Po raz pierwszy Kate pozwoliła sobie na coś takiego. Miło wiedzieć, że ciągłe przebywanie w jego towarzystwie wywarło na nią jakiś wpływ! - Mam doskonałą pamięć wzrokową.

- Nie ulega wątpliwości - mruknął, podziwiając jej szkic. - Możemy jechać?

- Czy to znaczy, że ty... - zatchnęła się, jakby zarazem pragnęła i obawiała się jego odpowiedzi. -... Że postanowiłeś zaufać mojej mapie?

Zwinął szkic niemal z czcią, z jaką jubiler odnosi się do bezcennego dzieła sztuki, i ukrył starannie w kieszeni koszuli.

- Jasne, że tak!

## 13

- Co my, do cholery, zrobimy z tym fantem, Webb?!

Przez całe piętnaście lat pracy w redakcji „Sentinela” Irvin Webb, redaktor działu miejskiego, nigdy nie słyszał podobnego pytania z ust naczelnego. Najlepszy dowód, w co teraz wdepnęli.

- A co panu by najbardziej odpowiadało, szefie?

- Co mnie by odpowiadało?! - Fitz Rafferty upuścił trzymany w rękę papier na biurko i opadł na tylne oparcie fotela. Mebel poskarżył się skrzypnięciem tak rozpaczliwym, jakby lada chwila miał się rozpaść. - Najbardziej by mi odpowiadało, żeby Hobson zamiast tych pierdolów przysłał wreszcie coś na pierwszą stronę! Kapujesz? Żeby dokopał się w końcu do jakiejś sensacji! Wystarczyłby jeden porządny skandal. I Charlie miałby to z głowy, i ja też! - Rąbnął rozwartą dłońią w leżący na wierzchu ar-

kusz papieru. - Ale kto się liczy ze zdaniem naczelnego, pytam?!

- Domyśla się pan, szefie, kto podrzucił nam ten artykuł?

Fitz skrzywił się jak po occie.

- Ni cholery! Mam podobno w redakcji najostrzejsze pióra i najtęższe głowy na świecie, niech to szlag! I żaden z tych geniuszów nie zapamiętał, a nawet, psiakrew, nie zauważył, kto zostawił ten pasztet na stole w przedsionku. Duchy w biały dzień, co?! To by przynajmniej był jakiś temat! - Obłoczki dymu z jego cygara ulatywały pod sufit we wściekłym tempie.

- To, co podrzucił, nie jest takie złe...

- A co? Myślisz, że przeżywałbym moralne rozterki z powodu byle gówna?!

- No... chyba nie.

Fitz odsunął się wraz z fotelem do tyłu. Na podłodze powinny już być koleiny! zdumiewał się Irvin. Rafferty, jak nakręcana zabawka, wykonywał w kółko te same ruchy. Zaraz wstanie i zacznie krążyć po pokoju. Wyraźnie go to relaksowało. Za to Webb czuł się osaczony i zaczął planować strategiczny odwrót.

- To urąga moim najświętszym zasadom, kurka wodna! Opublikować niezamówiony artykuł?! I w dodatku nie podpisany?! Psim obowiązkiem naczelnego jest wiedzieć, co zamieszcza w swojej gazecie! Odpowiadam za każdziutkie słówko, Webb! Szanowałem zawsze tę zasadę.

- Zasady się zmieniają. Kto by dawniej organizował wyścig tylko po to, żeby było o czym pisać w gazecie? - odparł impulsywnie Irvin i w następnej sekundzie omal sobie nie odgryzł języka. Co go opętało, żeby wypowiadać na głos coś, o czym wszyscy szeptali po kątach?!

Fitz zmierzył go takim wzrokiem, że Webb skulił się w swym fotelu. Co prawda Rafferty więcej warczał i szcekał, niż gryzł, ale w szczekaniu był mistrzem na skalę światową.

Nagle Fitz zachichotał, wprawiając w zdumienie nie tylko swego rozmówcę, ale i siebie.

- Wszystko się zmienia na tym świecie. Prawda, Webb?

- Prawda, szefie - przytaknął Irvin.

- Ciekawe, jak długo... - Rafferty nie dokończył i westchnął. - Sami się przekonamy, i to niebawem. - Zapatrzył się w leżące na biurku papiery. - Znajdzie się coś na potwierdzenie tej historii?

- Na księdza nie ma co liczyć.

- Oni tak zawsze! Ile nam przypadło pierwszorzędnych tematów przez ich głupi upór, co?

- Mnóstwo, szefie. Ale chyba naczelnik policji jest na nich jeszcze bardziej cięty niż my.

Na ustach Rafferty'ego pojawiło się coś, co od biedy można by nazwać uśmiechem.

- Racja. Biedaczysko!

- Za to można by ściągnąć tych dwóch świadków z Brazylii. Co za szczęśliwy traf, że Mac jeszcze tam był i że zdążyliśmy go pchnąć na nowy trop! Powiada, że coś wyniuchał w księgach parafialnych. Są podobno przemoczone i prawie listki puszczają, cholera! To ta przeklęta dżungla! Ale Mac natknął się na jakieś nazwiska, trochę przeinaczone, ale mogą się przydać.

Fitz skinął głową. Nie były to najmocniejsze dowody, ale podejmował już nie takie ryzyko.

- No to zamieszczamy.

Irvin Webb wstał i nieprzyjemnie się zdziwił: odkąd to rzepki kolanowe skrzypiały mu przy każdym ruchu? Wszystko przez to wieczne siedzenie za biurkiem!

- Myśli pan, szefie, że Hobson się wścieknie, jak to zobaczy? Rafferty zachichotał.

- A niech się wścieka! Zasłużył sobie na to. Może z tej wściekłości ruszy wreszcie dupę i weźmie się do roboty na całego?

Z pokrytych białą pianą szarych fal oceanu, w niewielkiej odległości od wybrzeża Maine wynurzały się trzy wysepki zbyt małe, by mogły na nich osiedlić się istoty większe niż gniazdujące właśnie rybitwy. Z tych skalnych wysepek, przez całe lata uparcie atakowanych przez wichry i morskie fale, ostały się tylko poobijane głazy, równie szare jak woda, i mocno łysiejące karłowate sosny, które czepiały się skalnego podłoża z determinacją charakterystyczną dla wszystkich mieszkańców północno-wschodniego wybrzeża.

Kate drżała z zimna, stojąc na kamienistym brzegu. Za nią rozciągała się niezmiernie duża przestrzeń porośnięta lasem. Istna zawierucha jaskrawych jesiennych barw, która mniej więcej tydzień temu wtargnęła z wybrzeża w głąb lądu. U stóp Kate plus-

kały fale przyboju, a pięćdziesiąt jardów dzielących ją od celu wyprawy wypełniało wzburzone morze, pełne wielkich fal wznoszących się aż pod niebo o barwie łupku, by po chwili opaść jak pokonane smoki. Potęgowało to złudzenie znacznie rozleglejszej przestrzeni.

Na początku swych poszukiwań Kate i Jim za pomocą map znaleźli pięć odmiennie zlokalizowanych, ale podobnie ukształtowanych i przypominających szkic na mapie-wskazówce niewielkich grup wysepek przybrzeżnych. Postanowili przebadać wszystkie. Gdyby na żadnym z tych miniarchipelagów nie odnaleźli kolejnej wskazówki, musieliby wrócić do punktu wyjścia. A choć Jim nigdy o tym nie napomknął, Kate doskonale wiedziała, że taka porażka spotkałaby ich wyłącznie z jej winy. To ona albo nie zapamiętała dobrze mapy, albo niedokładnie ją odtworzyła.

- Kate!

Rozejrzała się po morskim brzegu. Jim zmierzał ku niej siedmiomilowymi krokami, ciągnąc za sobą niewielką łódź wiosłową. Nad samym morzem, a raczej oceanem, powietrze było słonawe i chłodne, jednak Jim był na bosaka i podwinąwszy spodnie do kolan, przedzierał się przez fale. Przewiesił sobie przez potężne ramię linę, na której holował łódź, i pochylał się na bok, by stworzyć przeciwwagę do wlezonego ciężaru. Wiatr odgarnął mu z twarzy długie, falujące włosy; powiewały teraz za jego plecami, połyskując zimnym blaskiem w srebrnawej szarości świtu. Po raz nie wiedzieć który na sam widok Jima Kate zaparło dech. Kolejny jego portret wrył się w jej pamięci na zawsze.

Po ich pierwszym rozstaniu musiała wybijać sobie Jima z głowy przez dobrych kilka lat. Ścisłe rzecz biorąc, wcale go sobie nie wybiła z głowy. Zdołała tylko zebrać wszystkie związane z nim wspomnienia do pudełka opatrzonego etykietką: *Słodka, Romantyczna dziecinada.*

Kate obawiała się, że tym razem operacja będzie stokroć trudniejsza i bardziej bolesna.

Pomachał do niej z wyraźną dumą, bardzo rad ze swej zdobyczy. Często znikał nagle i powracał z czymś, co było im właśnie potrzebne: wierzchowiec, łódka, obiad albo ładnie wysuszone i starannie porąbane drzewo na opał. Wkrótce przestała go wypytywać, gdzie i jak zdobył to czy tamto. Jim udzielał wymijających odpo-



wiedzi, ona zaś doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy mało ją obchodzi, skąd Jim to ma. Jej fundusze nie wyczerpywały się... choć przeczuwała, że w razie wygranej wyda lwią część swej nagrody na spłacanie honorowych (acz nie karcianych) długów wobec ludzi mieszkających nad oceanem lub w najbliższym sąsiedztwie.

Jim obrócił holowaną łódź dziobem do trzech miniwysepek; na brzegu pozostał sam koniec rufy, mniej więcej długości jednej stopy. Kate z powątpiewaniem obejrzała wysłużoną łódź. Niegdyś była pomalowana na czerwono. Teraz na poszarzałym drewnie pozostało ledwie parę smug czerwieni. Poprzeczne deski wydawały się tak kruche, jakby miały się załamać pod byle naciskiem.

- Na dnie jest trochę wody - zauważyła. - Czy ta łódź przecieka?

- Może trochę przecieka - odparł z irytującą beztróską.

- I wcale cię to nie martwi?

- Będę wiosłował jak najszybciej.

Chwyciwszy burtę obiema rękami, unieruchomił łódź.

- Płyniesz czy wolisz zostać?

Za każdym razem decyzja należała do Kate. Robiła dobrą miłą do złej gry, ale Jim dobrze wiedział, że wolałaby ostrzec się na rekruta niż wsiąść do kolejnej rozlatującej się łajby, jaką za każdym razem dla nich zdobywał.

Ale prawda przedstawiała się następująco: Kate wolała po sto-kroć telepać się w rozklekotanej, przeciekającej łodzi razem z Jimem niż pozostać na bezpiecznym, suchym, stałym lądzie bez Jima. Podkasała więc spódnicę i weszła do łodzi.

Rozpoczęli poszukiwania od najdalej wysuniętej w morze wysepki, wychodząc z założenia, że zespół redakcyjny „Sentinela” będzie chciał stworzyć sytuację obfitującą w dramatyczne efekty (wywrócona łódź, zmagania z wichrem, wielkie fale unoszące daleko w morze), które złożą się na porywającą relację. Jednak, choć przeczesali obie wysepki jak najdokładniej, wrócili znów na brzeg z pustymi rękami.

Słońce wyraźnie chyliło się ku zachodowi, gdy zabrali się do trzeciej wyspy.

- Głowa do góry! - zapewniał Jim, owijając koniec linki wokół powyginanego pnia karłowatej sosny. Przed chwilą pomógł Kate wysiąść z łódki, a teraz zabezpieczał środek transportu.

Energicznie szarpnął linką, by sprawdzić, czy węzeł mocno trzyma. - Na pewno znajdziemy, co trzeba!

W odpowiedzi Kate wykrzywiła się paskudnie. Co za ulga! pomyślała. Mogę się wykrzywiać ile dusza zamarzy, nie starając się wiecznie o to, by ładnie wyglądać!

- Nic mnie tak nie irytuje jak nieuzasadniony optymizm! - oświadczyła Jimowi. - Mam siostrę, nieuleczalną optymistkę. To, że się dotąd uchwalała, sprawił ślepy traf. No i Kocham ją na tyle, by jej wybaczyć nawet taką niewybaczalną wadę. Ale uprzedzam: *ty* nie masz co liczyć na podobne względy!

Jim roześmiał się.

-Z której strony chcesz myszkować: od lądu czy od morza?

- Od lądu - odparła.

Przynajmniej podczas poszukiwań będzie mogła od czasu do czasu zerknąć na stały ląd. A kto wie, może ta kępa karłowatych drzew na szczycie wielkiego głazu, przez grzeczność nazywanego wyspą, osłabi trochę tnące jak bicz podmuchy wiatru od morza?

Po godzinie Kate była taka zniechęcona, taka zziębnięta do kości, że natknąwszy się na poszukiwaną wskazówkę, o mały włos jej nie przeoczyła! Pod ostrym brzegiem skalnej półki, sterczącej na wprost wybrzeża, kryła się ciemna smuga, ledwie widoczna wśród gęstniejących cieni, które przemykały po powierzchni wyspy, gdy słońce osuwało się coraz niżej, ku linii horyzontu.

Wpatrywała się zmrużonymi oczyma w ciemną plamę, starając się zorientować w jej wymiarach. Nie była w stanie ocenić, czy jest to płytkie wgłębienie, w którym mogło się schronić najwyżej pisklę mewy, czy coś obszerniejszego i bardziej obiecującego.

Mogła natomiast stwierdzić, że dotarcie do tego czegoś będzie karkołomnym wyczynem. Zwłaszcza dla kogoś w gorsecie i tiurniurze!

Przebiegła jej przez głowę myśl o wezwaniu na pomoc Jima. Po cóż kobiecie krzepki i wyrośnięty anioł stróż, jeśli nie do wyścigania jej w trudnych zadaniach? Ale świadomość, że Jim widzi w niej tylko bezużyteczne cacko, pustogłową trzpiotkę, ostatnimi czasy coraz bardziej Kate dokuczała.

Udało się! Dokonała tego bez niczyjej pomocy! Opłaciła ten triumf dwiema podrapanymi dłońmi, rozdarcie spódnicy oraz

imponującą smugą brudu na samym przodzie bluzki. Stała przed wejściem do całkiem obszernej jaskini i zerkała na wodę, znajdującą się mniej więcej sześć stóp pod nią. Rozpierała ją taka dumą, że prawie nie odczuła zawrotu głowy, całkiem naturalnego na wysokiej skalnej grzędzie.

Odwróciła się, mierząc wzrokiem wewnątrz jaskini. Unosił się w niej zapach słonej morskiej wody pomieszany z odorem zgnilizny; ściany były śliskie i ciemne. Ostatnie blaski słonecznego światła nie sięgały daleko do wnętrza jaskini. Musi więc poczekać, aż jej oczy przywykną do mroku, nim zapyści się głębiej. Dostrzegła jedynie, że ściany nieoczekiwanie zbliżały się do siebie, a przestrzeń między nimi gwałtownie malała. Reszta ginęła w ciemnościach. Postąpiła naprzód z wahaniem. Kto wie, co mogło czaić się w mroku?! Nie wiedziała wiele o życiu zwierząt... może kryją się tu węże?

Po dwóch tygodniach systematycznych i bezowocnych poszukiwań nagły sukces wydawał się rażącym, niemal przykrym kontrastem. W samym środku niewielkiej jaskini, nie dalej niż dziesięć stóp od wejścia, natknęła się na stosik starannie poukładanych książek.

- Jim!

Okrzyk Kate odbił się od ścian jaskini tak gromkim echem, że omal jej bębunki nie popękały. Schwyciła jeden z niewielkich tomików i popędziła do wyjścia, by tam wrzasnąć znów na cały głos:

- Jiiim!

Wiatr uniósł jej wołanie w stronę łądu. Kate postanowiła dać Jimowi czas na odnalezienie jej, nim sama zacznie go szukać. Ostatecznie to ona dokonała odkrycia! Teraz niech on się pofatyguje.

- Kate...?

Głos Jima był stłumiony; nie miała pojęcia, skąd dochodzi.

- Tu, w dole! - odkrzyknęła.

Cofnęła się do „wrót” podwodnej groty, skąd miała najlepszy widok na urwisko i wąski kamienny występ, który ułatwił jej zsuniecie się po skalnej ścianie. Nagle aż podskoczyła i wrzasnęła ze strachu: jakaś postać zmaterializowała się przed nią w odległości zaledwie jednej stopy.

Jim wisiał przez chwilę, oświetlony od tyłu promieniami za-

chodzącego słońca i błyskami na wodzie, potem odbił się tak mocno, że rozstawszy się ze skalną półką, wpadł do wnętrza jaskini. Nie obyło się bez wypadku: stracił równowagę i zanim ją odzyskał, sprawdził na własnej skórze twardość podłoża. Wyprostował się jednak natychmiast, choć skrzywił się z bólu.

- Na litość boską! - Kate przycisnęła rękę do trzepoczącego serca. - Omal przez ciebie nie umarłam ze strachu! - Wskazała mu drogę, którą sama przebyła. - Ześlizgnąć się po zboczach byłoby znacznie łatwiej!

- Ale znacznie wolniej - odparł i omiótł ją szybkim spojrzeniem od stóp do głów. - Nic ci się nie stało? - spytał bezbarwnym tonem.

- A co mi się miało stać?! - zdziwiła się. - Ooo... bałeś się o mnie?

- Jak ktoś aż tak się drze, to przeważnie wzywa pomocy.

Kate zrobiło się ciepło na sercu, choć próbowała to zbagatelizować. Może Jim ma taki odruch, że od razu biegnie, kiedy tylko ktoś wrzeszczy... ?

- Spójrz, co znalazłam! - powiedziała, wtykając mu książeczkę.

- No, no! Cóż my tu mamy? - Odwrócił tomik i powiodł palcem po okładce. - Zajrzałeś już do środka?

- Czekałam na ciebie.

- To otwórz teraz. Należy ci się: to twoje znalezisko!

- Tu za ciemno. - Przesunęła się tam, gdzie tuż przy wejściu do jaskini połyskiwała jeszcze wąska strużka światła. Jim szedł za nią dość niepewnym krokiem. - Kulejesz?

- Nie! - zaprzeczył kategorycznie. Zmarszczyła groźnie brwi. - Chyba coś mi strzyknęło w kostce. Nie ma o czym gadać.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, potem wzruszyła ramionami i znów się zajęła swym znaleziskiem.

- Ileś tego znalazła? - spytał.

- Cały stos! - Obracała książkę w palcach, jakby się bała ją otworzyć. Był to cienki tomik; z mokrej okładki farba spłynęła nierówno i powstały plamy o różnym stężeniu czerwieni, do jasnego różu włącznie. Poza tym klej rozmókł i przekrzywiona okładka trzymała się ledwo-ledwo. Widać było, że wewnętrzne kartki obrzeżono (równie niedbale) pozłotką. - Jak już chciało im się to oprawiać, mogli to przynajmniej zrobić porządnie!

- Nie zapominaj, że to pomysł pismaków z „Sentinela”. Ich spe-

cialność to pozory i wyolbrzymianie dla większego efektu. - Zapisał płaskim, afektowanym głosem: - „Pilne poszukiwania w podwodnych pieczarach pozwoliły podróżnikom pozyskać...” Nie strój min, Kate! Aliteracja<sup>\*</sup> to szacowny i od dawna stosowany ozdobnik stylistyczny! „... bezcenny skarb w postaci zbioru zagadkowych tomów, być może spoczywających od stuleci w morskich otchłaniach. Oprawne w pąsowy safian, obrzeżone złotem olśniły oczy odkrywców blaskiem promiennej przyszłości... ”.

- O, na litość boską! - Ofuknęła go, lecz na jej ustach igrał uroczy, ciepły uśmiech. - Czyżbyś chciał zmienić profesję? Nie doradzam!

- A ja nie zamierzam. No, przekonajmy się, co my tu mamy!

Kate otworzyła książeczkę. Wszystkie jej kartki - tak cienkie, że niemal przezroczyste - były puste prócz jednej w samym środku.

*Władca odpowiada jedynie przed Bogiem, morzem i historią.*

- Hmm... - Kate zabrała się metodą prób i błędów do rozszyfrowania zagadkowego tekstu.

- Władca... władca... O jakiego władcę może tu chodzić?! Słynna postać historyczna... ? Czy *jakiś współczesny* despota? Odpowiada... „odpowiada przed...” - Powiodła palcem po tekście. - Chyba znam to powiedzenie... ale jakoś mi tego za dużo... Powinno być „przed Bogiem i historią”! Po jakiego licha... Jim!

- Hmm...?

Podszedł od tyłu i spojrzał ponad jej ramieniem na tekst, który Kate starała się podstawić pod smutne resztki promieni słonecznych. Byli tak blisko siebie, że oddech Jima poruszał delikatne włoski na jej karku.

- Ten nowy statek pasażerski, „Władca mórz”... Kiedy on wypływa w dziewiczy rejs?

- Do diabła! - Jim znieruchomiał nagle niczym lampart sprężony do skoku. - Dwudziestego... ? Dwudziestego pierwszego... ? Coś w tym rodzaju.

- Czyli mamy jeszcze... - Odwróciła się twarzą do niego. Dziełała ich tylko cienka książeczka. - Jim, wszystko mi się poplątało! Którego dzisiaj? Mamy jeszcze dość czasu... ?

<sup>\*</sup>Aliteracja, czyli całe zdanie lub dłuższy fragment zdania złożony ze słów zaczynających się na tę samą literę, była znana już w starożytnym Rzymie i wykorzystywana w prozie, poezji, dramacie - nawet w przemówieniach politycznych i mowach sądowych (przyp. tłum. ).

- Mamy - odparł beznamiętnym tonem. - Ale nie za wiele. W drogę!

Chwycił ją za nadgarstek i zrobił krok w stronę skalnej półki. Przez ten czas poszkodowana noga zdążyła mu zeszywnieć i teraz omal jej nie złamał w kostce. Skrzywił się z bólu i przerzucił ciężar ciała na drugą nogę.

- Jim! Coś z nogą... ?

- Nic, nic! - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Nie bądź głupi! - ofuknęła go. - Wiem, że wolisz udawać bohatera, ale muszę ją obejrzeć!

- Kate, nie mamy czasu...

- Nie mamy czasu na twoje kuśtykanie ani na wyławianie cię z wody, jak spadniesz z tej półki! - warknęła. - Siadaj!

Usiadł, wyciągając przed siebie uszkodzoną kończynę. Kate przyklękła przed nim i złożyła jego bolącą nogę na swym podołku.

Rany boskie! pomyślał. Gorzej ze mną, niż mi się zdawało... Znacznie gorzej.

Na widok własnej stopy wtulone; właśnie tam, w rozkoszne zagłębienie między jej brzuszkiem i udami, na widok zniszczonej czarnej skóry jego ulubionych butów w słodkiej symbiozie z fałdami jej granatowej spódnicy i białej bluzki ozdobionej koronką przy kieszonce - na ten całkiem niewinny widok Jim zgłupiał wprost z pożądania.

Jakim cudem przetrwa kilka następnych miesięcy?! Jak można poruszać się i działać, kiedy krew ustawicznie odpływa mu z mózgu w całkiem inne rejony?

Palce Kate dotarły do jego kostki i znikły pod wystrzępionym obrąbkiem nogawki. Z gardła Jima wydarł się jęk.

- Przepraszam! - usprawiedliwiła się pospiesznie. - Nie sądziłam, że cię aż tak zaboli!

- Boli? - wybełkotał z trudem. - Wcale nie!

- H m m m - zastanawiała się. - Strasznie zbladłeś. I pocisz się... Pewien jesteś, że nie uszkodziłeś sobie czegoś więcej... ?

Mówiąc to, obmacywała delikatnie jego kostkę. Palce jej sunęły po opuchniętym, nadwrażliwym ciele.

- Nie - odpowiedział, gdy zdołał zaczerpnąć tchu. - Tylko... ta kostka.

- Musimy to z ciebie ściągnąć! - Zwróciła ku niemu twarz, na

której malowały się troska i skupienie. - Byłoby znacznie łatwiej i mniej by cię bolało, gdybyś pozwolił mi rozciąć but. Masz nóż?

- Nie! - zaprotestował stanowczo.

- Nie odpowiada ci moja prostsza metoda?

- Właśnie.

- Będzie bolało! - ostrzegła.

- Masz przecież taki sposób, że nawet nie poczuje - podsunął.

- Jaki sposób?

- Najpewniejszy. Rozepnij kilka guziczków... tak z pół tuzi-  
na. Ani pisnę, zobaczysz!

Uśmiechnęła się, ale stanowczo potrząsnęła głową.

- Każdą przyjemność by zepsuła... Ponuraczka!

Uśmiech Kate w mgnieniu oka stał się zmysłowy, tajemniczy i obiecujący.

- Wcale nie każda... sam się przekonasz - wymruczała jak kotka i jednym ruchem ściągnęła mu but, zanim mózg Jima zaczął znów pracować.

- Zrobione! - stwierdziła ochoczo. - Nieźle mi poszło, co?

Ból odezwał się z nową siłą w uwolnionej od buta kostce.

- Niewiele się na tym znam - mruknęła Kate, badając obrażenie. - Ale nie sądzę, żeby to było złamanie.

- Bo nie jest - wtrącił Jim.

- Czyżby w dżungli założyli akademię medyczną... ? Kostka jest paskudnie skręcona. Musimy ją usztywnić.

Jim wzruszył ramionami.

- Jakoś sobie poradzę!

- Hmm...

Fatalnie się złożyło, dumął Jim, że każde z nas jest tym, kim jest! Jego uczucia w stosunku do Kate były od samego początku ambiwalentne: naturalny podziw dla fizycznych walorów bezsprzecznie atrakcyjnej kobiety oraz bezapelacyjne potępienie harpii, która omotała jego przyjaciela i mentora po to tylko, by zdradzać go na prawo i lewo. Teraz jednak owo rozgraniczenie stawało się coraz bardziej nieuchwytnie, a dwa przeciwstawne oblicza kobiecości zlewały się w jedno.

- Mam pewien pomysł... Wiem, że to dla ciebie szok! Przecież kobieta, zwłaszcza... dekoracyjna, nie posiada mózgu! - Powiedziała to lekkim tonem, ale Jim wyczuł w jej głosie pewną go-

rycz. - Ale ponieważ na tym świecie wszystko jest możliwe, pozwól mi spróbować... Pomyśl, ile radości da ci moja porażka!

Był okropnie rozczarowany, gdy ostrożnie zsunęła jego nogę ze swego podołka, ale znacznie się ożywił, gdy zabrała się do rozpinania górnego guzika bluzki.

- Sam cię do tego namawiałem, pamiętasz? To moim zdaniem bardzo dobry pomysł! - powiedział i przeklął w duchu własną głupotę, gdyż usłyszawszy to, zamarła z ręką na guziku.

- Chciałam cię prosić, żebyś zamknął oczy, ale wątpię, byś spełnił moją prośbę.

- Ależ zamknę, oczywiście, że zamknę! - obiecał z zapalem. - Możesz mi zaufać!

I żeby udowodnić, jaki jest wiarygodny, zacisnął powieki.

Odczekał całe trzydzieści sekund. (Był to najbardziej heroiczny postępek w całym jego życiu. ) Potem uniósł jedną powiekę o jakiś ułamek milimetra. Tylko po to, by przekonać się, że odwróciła się do niego tyłem.

Wysuwała właśnie ręce z rękawów bluzki.

Boże... O, wielki Boże! Koszulka Kate zaczynała się mniej więcej w jednej trzeciej odległości od ramion do pasa. Uszyto ją z tak cienkiej, że niemal przezroczystej bawełny i wykończono przeszliczną koronką. Jim mógł podziwiać wdzięczną linię szyi Kate, jej ramiona i zarys łopatek (częściowo ukrytych pod koszulką). Mógł również obserwować, jak cieniutki materiał fałduje się ł zbiera wokół krawędzi beżowego gorsetu. Jego ramiączka - wąziutkie, koronkowe - podobnym do tęczy łukiem obejmowały ślicznie zaokrąglone ramiona.

Jasna skóra Kate lśniła w półmroku perłowo, jakby nasycona księżycowym blaskiem. Zdejmując ostrożnie bluzkę i odkładając ją na bok, pochyliła głowę tak, że mógł podziwiać jej kark i wymyślną fryzurę.

Potem obie jej ręce znalazły się znów za plecami, szybko i zręcznie rozluźniając sznurówki gorsetu. Jim chciał nawet zaoferować swą pomoc, ale ręce mu się trzęsły, a język skołował. Nim zdołał wykrztusić słowo, Kate uporała się z gorsetem. Szczęście nie trwało jednak długo. Jak tylko Kate ściągnęła z siebie gorset, zaraz narzuciła z powrotem bluzkę. Jim jeszcze nie przyszedł całkiem do siebie po tym rozczarowaniu, gdy Kate



znów wykręciła się do niego frontem. Bluzka zwisała teraz luźno, jeden guzik od góry był niezapięty, dwa od dołu również. Idealnie wyprasowana bawełna pogniotła się w miejscu, gdzie ścisła ją do niedawna ciasny pasek spódnicy. Kate nie odzyskała swej zwykłej nieskazitelnej elegancji, była jednak ubrana. Zdecydowanie, niewątpliwie ubrana. Niestety!

Podeszła do niego z gorsetem w rękę; sznurówki sięgnęły kamiennej podłogi, gdy Kate siadła obok niego w niewielkiej jaskini.

- Przyszło mi do głowy - powiedziała niepewnie - że to nadałoby się lepiej do usztywnienia kostki niż zwykle owinięcie kawałkiem materiału. Fiszbiny są mocne, materiał wytrzymały, więc powinny stanowić należyte oparcie.

Gdyby ktoś z Klubu Podróżników zobaczył go z nogą usztywnioną damskim gorsetem, wyszydzono by go tak, że już nigdy nie miałyby odwagi się tam pojawić!

- Doskonały pomysł - pochwalił.

Kate uśmiechnęła się jak dziesięciolatka, która dostała właśnie najlepszy w klasie stopień z trudnego dyktanda.

Pochyliła się ku niemu i - o cudzie! - wzięła znów jego nogę na kolana. Mózg Jima uczeplił się kurczowo jedynej niepodważalnej prawdy: „Ona ma teraz na sobie o jedną sztukę garderoby mniej!” Nieskrępowane piersi Kate falowały lekko i niesłychanie zmysłowo.

- Gotowe!

Kate mocno pociągnęła za sznurówki i dopełniła dzieła, związując je na kokardkę. Gorset ściśle opinał jego kostkę ciepłym uściskiem, który - zdaniem Jima - był słabym odbłaskiem ciepła jej ciała.

- No i jak? Pasuje?

- Zaraz się przekonamy. - Wstał i bez większego entuzjazmu podskoczył, odbijając się od podłogi. - Nie najgorzej - przyznał.

Uśmiech Kate był olśniewający. Jakby po raz pierwszy w życiu ktoś ją pochwalił! A przecież z pewnością zasypywano ją komplementami.

Zrobił kilka niezbyt pewnych kroków w jej kierunku.

- Dziękuję, że poświęciłaś dla mnie swój gorset. Naprawdę wspaniale ją usztywnia! - powiedział i uśmiech Kate niemal go oślepił. Zamrugnął porażony jego potęgą. Dysponując taką bronią, Kate mogłaby zniweczyć całą armię, obalić monarchię, stworzyć podwaliny nowej religii.

Ale po co strumień tak potężnej mocy kierować na cynicznego włóczykija, któremu życie dobrze dało w kość - i który nie mógł, po prostu nie mógł tym razem ulec?! Bo jeśli czuł się winny przedtem, gdy całował żonę swego przyjaciela i pożył jej (co prawda, nie miał wtedy pojęcia, kim ona jest), o ileż bardziej musiałby sobą pogardzać teraz, gdyby zatracił się w miłości do niej, wiedząc dokładnie, z kim ma do czynienia: co prawda już nie z żoną doktora, ale ze zdrajczynią i kusicielką!

Pochyliła się ku niemu i szepnęła konspiratorskim szeptem:

- To nie było żadne poświęcenie!

Bennett odchrząknął.

- Lepiej wynośmy się stąd!

I odwrócił się od Kate, bo gdyby patrzył na nią choćby sekundę dłużej, nie opuściliby nigdy tej jaskini. Zapadła już noc; tylko ponad rosnącymi na wybrzeżu sosnami pozostał ostatni ślad minionego dnia: ledwo widoczna szafirowa smuga. W dole połyskiwał ocean - tafla czarnego, falującego szkła.

- Cholera jasna!

Kate pośpieszyła do jego boku.

- O Boże! Aż tak cię boli? Powinnam była wiedzieć, że to nic nie da, tylko...

- Co tam noga?! - sarknął i wychylając głowę poza krawędź, zmierzył wzrokiem urwiste zbocze po tej stronie wysepki. - Diabli wzięli łódź!

## 14

- Co takiego?! - Kay stanęła na palcach i zerknęła ponad potężnym ramieniem Jima. Z ciemnej wody wynurzały się lśniące skały, obmyte falami przypiływu. - Myślałam, żeś ją uwiązał w tej płytkiej zatoczce!

- Bo uwiązałem - potwierdził stanowczo.

- Może podryfowała wzdłuż brzegu? - podesunęła Kate z na-

dzieją w głosie. - Widać podskakiwała na wodzie i węzeł się poluzował...

- Mowy nie ma!

- Spieszyło się nam, prawda? Nie musisz zaraz się obrażać... - Rzucił jej spojrzenie pełne gniewu i świętego oburzenia. - Dobrze już, dobrze! Przywiązałeś ją jak należy. Tak tylko powiedziałam, bez namysłu. No więc, co się z nią stało? Jak myślisz?

- Nasz „przyjaciel” znów przystąpił do działania.

- Nie wierzysz, że natkniemy się zaraz za zakrętem na naszą zbuntowaną łódź?

- Nie.

- No, dobrze... Niech ci będzie. - Starła się o lekki ton i filozoficzne podejście do sprawy, ale zupełnie jej to nie wychodziło. Pod wpływem nagłego impulsu postanowiła choć raz zachować się dzielnie w obliczu katastrofy... I udowodniła tylko tyle, że nie ma ani krzty sportowego ducha. Nie nadawała się na bohaterkę, i już! - Zimno mi. Jestem głodna jak wilk. I nie powiem, żebym marzyła o noclegu na litej skale.

- Jeszcze jakieś zażalenia? - spytał cierpko.

- O, całe mnóstwo! - odparła. - Ale oszczędzę ci ich... na razie.

- Jestem ci niewymownie wdzięczny.

- Doskonale! Bardzo mi się podoba, że czujesz się do wdzięczności.

Pora zmienić temat! zdecydowała. Mimo tych wszystkich skarg nie zmartwiła się zniknięciem łódki tak bardzo, jak można by się spodziewać. Nie była wcale pewna, czy Jim zdoła odbić od wysepki i czy dotrą bezpiecznie na ląd. Chyba nie wykazała wiele rozsądku, darząc go takim zaufaniem... A może przywykła do wiecznych niepowodzeń? Przeżyli ich tak wiele!

- No to co zrobimy?

Nie odrywał oczu od morza. Wpatrywał się tak intensywnie w przestrzeń dzielącą ich od lądu, jakby się spodziewał, że skurczy się pod jego spojrzeniem.

- Popływamy sobie.

Cała jej beztroska znikła w jednej chwili.

- Nie gadaj głupstw!

- Masz lepszy pomysł?

Każdy pomysł byłby lepszy od tego wariactwa!

- Po co się aż tak narażać? Prędeż czy później ktoś się tu zjawi. Wątpię, by wszyscy dotarli tu przed nami. W grocie zostało jeszcze mnóstwo książeczek!

- Kate... - Nareszcie odwrócił się do niej twarzą, \_ To może potrwać kilka dni! Nie mamy ani żywności, ani schronienia, ani wody pitnej.

- Lepiej będzie, jak zamarzniemy w tej wodzie?

- Popłynę najszybciej jak się da - zapewnił. - A w ogóle co ma znaczyć to „my”? Myślałem, że nie umiesz pływać?

- Bo widzisz... ja...

Wzruszył tylko ramionami.

- Umiesz czy nie umiesz, to już bez znaczenia. Zamierzam płynąć w pojedynkę.

- A czy nie bezpieczniej we dwójkę? Chyba nawet wymagają tego jakieś przepisy... - Bez trudu wyobraziła sobie, że patrzy bezradnie z brzegu, jak Jim miota się rozpaczliwie i znika pod wodą. - Po co tak ryzykować?!

- Ruszże głową., Kate! Nie będę tkwił tu beczynn timer i czekaj, aż ktoś nas odnajdzie! Bardzo dobrze pływam, jestem silny i ostrożny.

- Taki znów ostrożny to ty nie jesteś! - stwierdziła.

- Doprawdy? Czy choć raz od początku wyprawy zachowałem się jak nieodpowiedzialny ryzykant?

Kate wyteżyła pamięć. Beztroskie podejście Jima do przerażających ją problemów i jego zbytnią wiarę we własne siły można było uznać za karygodne lekceważenie bezpieczeństwa osobistego. Pamiętała jednak, że Jim po trzykroć sprawdzał każdą linę i każdy węzeł, zanim nabrał do nich zaufania; zadeptywał każde ognisko co do iskierki; co wieczór czyścił broń; nigdy nie pomógł Kate wsiąść do łódki, nie upewniwszy się, że koło ratunkowe jest w zasięgu ręki.

- Byłeś taki ostrożny tylko ze względu na mnie!

- Nie! - zaprzeczył kategorycznie. - Zawsze jestem ostrożny.

*Ostrożny...* Nigdy nie przypuszczała, że można to określenie zastosować do Jima. Zrobiło jej się wstyd, że tak łatwo dała się nabrać na osnutą wokół jego osoby legendę. Cóż z tego, że w każdym artykule na temat „lorda Bennetta” przedstawiano go jako rozmiłowanego w niebezpieczeństwie ryzykanta? Jak mogła w to

uwierzyć?! Czy nie przekonała się boleśnie, że pozory zazwyczaj mylą, więc nie należy nikogo oceniać ani o niczym wyrokować na ich podstawie?

Ale podczas ostatniej wyprawy zorganizowanej przez Jima zginął w Arktyce jeden z uczestników... Może dopiero po tej tragedii ryzykant nauczył się ostrożności?

- Pewnie samo życie nauczyło cię jej, wcześniej czy później.

- Nie, nie! Zawsze byłem ostrożny. W naszej rodzinie ktoś *musiał* mieć szczyptę rozsądku!

Ogarnęła ją nagła ciekawość. Nigdy dotąd nie myślała o rodzinie Jima ani o tym, jak formował się jego charakter. Dla niej Jim wychynął nagle z nicości całkowicie ukształtowany. Wynurzył się z pachnącego kwiatami mroku pogodnej letniej nocy - unikalny okaz, chodząca doskonałość... W rzeczywistości jednak był człowiekiem kształtowanym przez setki czynników, ważniejszych i mniej ważnych, nim skryształizowała się jego osobowość.

- W twojej rodzinie? - spróbowała pociągnąć go za język, ale niewiele jej z tego przyszło. Potrząsnął tylko głową, odsuwając od siebie temat niewart rozpatrywania.

- Z pewnością nie wskoczę do wody, nie upewniwszy się, że zdołam dotrzeć do celu.

Skinęła aprobującą głową.

- Ale wstrzymaj się z tym do rana!

- Co ja słyszę? Nie chcesz stracić jedynej okazji przespania się na litej skale?!

- Czyżbyś chciał pozbawić damę drobnej przyjemności? Ja tak...

- Nie strzęp języka po próżnicy. Zaczekam na odpływ.

- Zawsze jesteś taki rozsądny?

- Trafiałś w sedno.

Kate wtuliła się - istna kupka nieszczęścia - w zagłębienie ściany skalnej, zaledwie kilka stóp od Jima. Wnętrze jaskini było mroczne; odrobina światła docierała jedynie do wejścia. Dalej panowały egipskie ciemności. Skutkiem tego Kate, kierując się wyłącznie słuchem, zlokalizowała Jima po jego równomiernym oddechu. Jedynym zaś dowodem upływu czasu było powolne przemieszczanie się wąskiej smugi księżycowego blasku po skalnej podłodze groty tuż obok wejścia. Powietrze było aż

gęste od wilgoci. Zimna mgła nad oceanu przesiąkała przez ubranie tak, że Kate równie dobrze mogłaby być naga.

- Zziębłaś? - odezwał się głęboki, ciepły głos. Ściany jaskini wchłaniały go w siebie i skupiały się wokół niego, jakby stanowił jedyne źródło ciepła w tej przeklętej lodowni.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Hećroć się zmęczysz, stajesz się uszczypliwa. Wiedziałaś o tym?

Zorientowała się, że Jim zmienia pozycję. Skrzywienie butów na kamieniach i lekkie trzeszczenie w stawach przypominające o tym, że Jim jest już za stary, by mógł porządnie wyspać się na nagiej skale.

- Słyszę, jak szczękasz zębami.

- Jakże mi przykro, że ci zakłócam sen!

Fale uderzały o skalną ścianę. Wiatr ze świstem przeleciał obok wejścia do jaskini i jęknął dla lepszego efektu. Wszystko się tu skarży, nawet ta pieczara! pomyślała Kate.

W końcu Jim znów się odezwał.

- Chodź no tu! - powiedział niechętnym tonem kogoś, kogo honor zmusza do postępowania sprzecznego z jego naturą i zasadami.

- Gdzie?

- Dobrze wiesz, gdzie.

To ją ubodło. Być może dziesiątki mężczyzn marzyły o tym, by ogrzewać ją własnym ciałem w mroku nocy, ale Kate nie ośmieliła nikogo do wyrażenia tej prośby, a o dostąpieniu podobnego zaszczytu nie było mowy. A teraz jedyny mężczyzna, który sforsował jej bariery ochronne, jedyny, któremu na to pozwoliła, zamierzał ją przytulić. Proponował to wyłącznie z uprzejmości, licząc, że ona skorzysta z tego dla wygody.

- Dobrze mi tu, gdzie jestem - syknęła przez zaciśnięte zęby. (Doszła do wniosku, że jak je zaciśnie, nie będą szczekać).

- Nie mam cierpliwości do idiotek, które z głupoty lub fałszywej dumy narażają się na hipotermię. - W głosie Jima było tyle złości, że Kate od razu sobie uprzytomniła, iż wkraczają na Zakazany teren. Gdy znów się odezwał, jego głos wydawał się znacznie bliższy. - Nie pozwolę, psiakrew, żebyś zamarzła mnie na złość! Choćbym musiał dać ci w łeb, zanim cię rozgrzeję!

Nie była przygotowana na taką determinację ze strony Jima. Zagarnął ją bez trudu jednym błyskawicznym ruchem i przyciąg-

nął do siebie. Całkiem dosłownie otulił ją swoim ciałem. Plecy Kate znalazły mocne oparcie w jego klatce piersiowej; jednym ramieniem objął ją w pasie, drugim na skos przez pierś. Jego uda przylgnęły ściśle z obu boków do jej nóg.

Ogarnęło ją rozkoszne ciepło. Nie miała pojęcia, czy pochodziło z zewnątrz, czy od wewnątrz, czy emanowało z niego, czy rozgorzało w niej. Pewnie jakoś je wykrzesali do spółki. Gorący oddech Jima muskał jej włosy na czubku głowy. Czuła bicie jego serca w klatce piersiowej, do której była przytulona plecami. Siedziała bez ruchu w obawie, że każde jej drgnienie, a nawet oddech, mogą zostać przez Jima błędnie zrozumiane.

Albo, co gorsza, bezbłędnie.

- Odpręż się - mruknął.

Roześmiała się mimo woli. Cóż za absurdalne żądanie!

- Dobrze już, dobrze... Może trochę przeholowałem z tym odprężeniem - przyznał. - Ale już ci cieplej, prawda?

Skinęła głową, bo obawiała się, że język odmówi jej posłuszeństwa. Podkaszana suknia i halki zbiły się w niewygodne gruzły na wysokości bioder. Bluzka przekrzywiła się w pasie.

- Wygodnie ci?

- Nie za bardzo.

- Więc usiądź tak, żeby ci było wygodnie.

- To raczej niewykonalne.

Uniosła biodra, poprawiła spódnicę i halki, po czym znów się na nich usadowiła. Pełniącemu rolę jej fotela Jimowi zabrakło nagle powietrza. Wciągnął je z bolesnym sykiem.

- Co się stało, Jim... ?

Zaśmiał się niewesoło.

- Byłem naiwnym optymistą, przyznaję! Nie możemy liczyć na wygodę i odprężenie w tym układzie.

- Bardzo mi przykro - odparła i chciała wstać.

- Mowy nie ma!

Jego ramiona zacisnęły się wokół niej, przyciągnęły ją jeszcze bliżej. Wewnętrzna strona przedramienia przygniótł, zapewne niechcący, jej pierś. Poczwała w niej rozkoszne pulsowanie. Od jak dawna nie doznała nic podobnego! Balansowanie na skraju przepaści... Pożądanie i nadzieja spełnienia... Ciało Kate nagle odżyło, przepełniała je witalność.

- Podejźmy do sprawy praktycznie. Nie ma żadnego powodu, który zmuszałby cię do ucieczki... Chyba że... ? - Zamilkł na chwilę. - Zasady dobrego wychowania, które wbijała mi do głowy matka, jakoś nie pasują do obecnej sytuacji, prawda? Nie jestem pewien, kiedy powinienem cię przeprosić: czy wtedy, gdy... zareaguję na twe uroki, czy wówczas, gdy nie doczekasz się żadnej reakcji?

Twarz Kate oblała się gorącym rumieńcem. Że też mógł powiedzieć jej coś równie oburzającego, i to z takim spokojem?! Zakrawało to na bezczelne wyzwanie! Jakby chciał sprawdzić, czy odpowie mu w podobnym tonie, potwierdzając ostatecznie, że jest awanturnicą z wielkiego świata, za którą i tak ją uważał? Coś w rodzaju: „Doprawdy, kochasiu, co za pytanie! Do tej pory powinieneś mnie znać na wylot! Przeprosisz, i to ładnie, jeśli się nie sprawdzisz!”. Na domiar złego, gdy o tym wspomniał, wbrew woli sama zaczęła o tym myśleć i wyraźnie wyczuła charakterystyczny, mocny ucisk na swym biodrze.

Co teraz robić?! Udawać, że nic nie zauważyła? Wyrwać się i uciec jak najdalej? A może odwrócić się do niego, przylgnąć do niego, pieścić go i kochać?

Nie była młodziutką dziewczuszką. Ani głupim niewiniątkiem! Dobrze wiedziała, czym jest fizyczna rozkosz. Ale nie przypuszczała, że poczuje znów to gwałtowne pożądanie, tę graniczącą z bólem namiętność, której *nie zaznała od* wielu, wielu lat...

- Wobec tego nie będę przepraszał - stwierdził Jim.

Mówienie o takich sprawach bez ogródek wydawało się jej raziącym grubiaństwem. Ale między nią a Jimem, podobnie jak między kochankami z długoletnim stażem, nie było miejsca na tematy tabu, których nie wypada poruszyć. Intymność łączącego ich dziwnego układu uderzyła Kate dopiero dziś - i zaszokowała ją równie mocno, jak intymność ich fizycznej pozycji.

Jim nie odsunął się od niej. Nadal trzymał ją przy sobie. Ale ta bliskość pozbawiona była wszelkiej serdeczności, a jego dotyk bezosobowy, o ile to możliwe w takiej sytuacji.

No, cóż... Jeśli on potrafił zdobyć się na szczerłość, zdobędzie się i ona!

- Niezbyt mnie lubisz, prawda? - spytała. - O, wiem, że lubisz, gdy ładnie wyglądam... ale mnie, tej prawdziwej Kate, nie lubisz oni trochę.



W jaskini zaległa cisza. Jim rozważał wszelkie aspekty sprawy: konwenanse... uprzejmość... prawda...

- Masz słuszość.

Kate nie spodziewała się innej odpowiedzi. A jednak weschnęła z lekkim rozczarowaniem.

- No, cóż... Sama się o to prosiłam, nieprawdaż?

- Jeśli ci to poprawi humor, przyznam, że nie jest to łatwe.

Jedna z jego rąk spoczywała w pozornym bezruchu na jej boku, ale niewidoczny kciuk gładził ją po plecach, zataczając półkole - tam i z powrotem, tam i z powrotem... Była to tak mechaniczna pieśczoła, że można by sądzić, że Jim głaszcze ją bezwiednie.

Kate nie miała na sobie tak mało bielizny od czasu, gdy była dwunastoletnim podlotkiem. Wiedziała, że nie powinna się pokazywać bez pełnego rynsztunku: jej talia nie była z natury aż tak cienka... Na szczęście naturę wspomagał mocny gorset; nie należało się z nim rozstawać. Ale jakie rozkoszne jest to głaskanie po gołym ciele!

- Nie jesteś wcale... No, potrafisz być świetnym kompanem, jeśli ci na tym zależy.

- Serdeczne dzięki!

Oczy ją piekły. Zamrugała kilkakrotnie. Jakie to ma w końcu znaczenie? tłumaczyła sobie w duchu. Nie należy się przejmować takimi głupstwami!

Niezręczne milczenie ciążyło im coraz bardziej. Kate liczyła uderzenia fal o skalną ścianę i próbowała zatracić się w ich bezmyślnym rytmie.

- Ciągłe ci zimno? - odezwał się Jim. - Cała drżysz!

- Nie z zimna.

- O... ? - Zamilkł na chwilę. - Kate, czemuś ty za niego wyszła? Pięć fal rozbiło się o skałę, zanim odpowiedziała:

- Dobrze wiesz, czemu.

- Chciałbym to usłyszeć od ciebie.

Była taka lekka w jego ramionach, taka ciepła i miękka... Z jej włosów unosił się delikatny zapach, tworząc czarującą kompozycję ze słoną morską bryzą. Jim czuł się tak, jakby balansował na ostrej krawędzi: zbyt bolesne, by można się było tym rozkoszować, ale zbyt podniecające, by tego zaniechać.

Tamta dziewczyna, spotkana niegdyś w ogrodzie... Żona dok-

tora. Trudno było się jej oprzeć. Ale ta... ? Prawie jej nie poznawał. Nie była tamtą uległą małżonką, bezmyślną figurką z porcelany. Doktor ożenił się z nią, ona zaś bez sprzeciwu spełniała jego rozkazy. Wydawało się, że naprawdę nie ma nic więcej do zaoferowania prócz ładnej buzi.

A ta nowa Kate? Miała cięty dowcip; lubił ich słowne pojedynki. Zadziwiała go siłą woli i opanowaniem. Nigdy by jej nie podejrzewał o takie zalety! Była w niej także dojrzała zmysłowość, przejawiająca się w każdym ruchu, w każdym oddechu.

A jednak ta właśnie nieokiełznana zmysłowość przepełniała go nienawiścią. Nie mógł się uwolnić od żrącej jak kwas prawdy: *To żona doktora. Wiarołomna żona doktora!*

Kate westchnęła.

- Wysłałam za niego dla pieniędzy. Czy to właśnie chciałeś usłyszeć?

- ... Chciałem usłyszeć... ?

Czego on właściwie chciał? Czegoś, co osłabiłoby jego pożądanie? A może czegoś, co pozwoliłoby mu pragnąć Kate, nie gardząc nią równocześnie?

- Jakie to ma teraz znaczenie?

- Nie wiem. Może żadne? Może ogromne?

... A może mogliby zostać w tej grotcie, oddaleni o setki mil od reszty świata - i myśleć tylko o tym, że trzymają się nareszcie w ramionach?

- Byliśmy... mój ojciec był bogaty. Przynajmniej tak sądziłam. Wszyscy tak sądziliśmy. Chyba rzeczywiście był bogaty... dawno temu. Ale w chwili jego śmierci nic już z tego bogactwa nie zostało. Tak dalece, że nie mogliśmy się nawet zorientować, ani ile tego było, ani na co to roztrwonił.

- Zdarza się - bąknął.

- Tak, ale na nas spadło to jak grom z jasnego nieba! - Poczuję, jak opiera się o jego pierś, nie usztywniając pleców, i wyciąga przed siebie nogi, jakby zaprzątnięta swym wyznaniem zapomniana o ostrożności wobec niego. - Nie byliśmy na to przygotowani! Nie widzieliśmy żadnego wyjścia... Mam dwie siostry. Obie młodsze ode mnie, jedna o tyle lat, że czułam się raczej jej mamą... Zresztą, opiekowałam się Emily od samego początku. Nasza matka zmarła kilka tygodni po urodzeniu trzeciej córeczki.

- Więc zrobiłaś to dla nich - powiedział bezbarwnym głosem.

- Niezupełnie... To by było naciąganie prawdy. - Nie posłużyła się wygodnym kłamstwem, które sam jej podsunął. - Martwiłam się o siostry, rzecz jasna, i pragnęłam dla nich wszystkiego co najlepsze. Ale może jakoś byśmy sobie poradziły? Anthea znalazła pracę... To ja okazałam się słaba, nie potrafiłam walczyć. Chyba to dla ciebie nie nowina? Nie uczono nas sztuki przetrwania. Wybrałam więc najprostsze rozwiązanie: po co zмагаć się z nowym życiem, jeśli można wrócić do dawnego? Wówczas wydawało mi się to najbardziej racjonalnym rozwiązaniem... Nie! - poprawiła się i zakończyła stanowczo: - To było najbardziej racjonalne rozwiązanie!

- Racjonalne rozwiązanie... - Podobnie jak u większości małżeństw, z którymi zetknął się w młodości. Zresztą, jego rodzice również zawarli małżeństwo z rozsądku. Może właśnie dlatego krew ścinała mu się w żyłach na samą myśl o takim układzie... ? - Biedny doktor!

- Biedny doktor?! - Kate wybuchnęła śmiechem. - A jak myślisz, kto wpadł na ten pomysł? Kto precyzyjnie ustalał warunki? Co do słowa, o ile dobrze pamiętam! Myślałam, że znałeś go lepiej, Jim! Jeśli doktor był w ogóle zdolny do jakichś uczuć, to wszystkie w nim definitywnie wygasły po śmierci Elaine.

- Więc... ani trochę mu na tobie nie zależało?

- Zależało, nie zależało... Czasem niełatwo to sprecyzować. Zależało mu na atrakcyjnej żonie. Lubił na mnie patrzeć. Sprawiało mu przyjemność, gdy jego koledzy i znajomi zerkali na mnie z podziwem i wiedział, że tylko on ma do mnie prawo. Był rad, że dbam o jego dom, o jego wygodę. Że uwalniam go od kłopotów i nie płaczę mu się pod nogami. Na tym mu zależało i to otrzymał.

- I nie miał pretensji... o twoje inne zainteresowania?

- Cóż go mogły obchodzić moje inne zainteresowania?!

- Większość mężów z pewnością by to obchodziło... Jeszcze jak!

- Ależ...

I nagle zrozumiała, co miał na myśli. Zesztywniała, siadła prosto, odsunęła się od niego. Nawet teraz tak mylnie ją osądzał?

Jim żałował, że nie odgryzł sobie języka, nim poruszył ten ryzykowny temat. Kate odsunęła się od niego, trudno się dziwić...

A tak błogo mu było, gdy czuł ją przy sobie... chociaż wcale za nią nie przepadał.

- Myślałeś, że ja... To, co się z nami wtedy stało, uznałeś za dowód mego... rozpasania? Sądziłeś, że robię to z każdym, kto się nawinie... ? Z pierwszym lepszym? Z byle kim?

- No, cóż... - Jim urwał, próbując zebrać myśli. Dla większości kobiet podobna sugestia byłaby straszliwą zniewagą. Ale dla niej?! Przecież dobrze wiedział, kim była! A może nie... ? - Nie byłaś najbardziej... powściągliwą z kobiet, jakie znałem.

Roześmiała się, ale nie zabrzmiało to zbyt wesoło. W śmiechu wyczuł gorycz i bezsilność istoty, która wie, że nic już nie działa, że pozostał jej tylko ten śmiech...

- Ponieważ całowałam cię tak spontanicznie, tak od razu, uznałeś mnie za... rozpustnicę?

- Ja... - Jego bratu łub ojcu nie brakło doświadczenia i bezczelności; z pewnością wywinęliby się jakimś łgarstwem. Ale nie on. - Tak - przyznał.

Kate śmiała się nadal. W dalszym ciągu siedziała w rozwidleniu między jego wyciągniętymi nogami, nawet położyła rękę na jego goleni. Aż zgięła się wpół od głuchego, graniczącego z histerią śmiechu.

Dotknął jej pleców, próbując ją uspokoić.

- Kate...

Strząsnęła z siebie jego rękę.

- Że też się tego nie domyśliłam! Ale nigdy nie przypuszczałam...

- Czego? - spytał miękko.

- Poczucie winy to bardzo skomplikowana sprawa! Tamten wieczór, spotkanie z tobą, moje pierwsze i jedyne wiarołomstwo... To one sprawiły, że stałam się dla doktora dokładnie taką żoną, jakiej sobie życzył. Nie zdobyłby jej za żadne pieniądze! Ale ja od tamtej pory nie sprzeciwiłam mu się ani razu.

- Więc ty... - Ostrożnie! upomniał się w myśli. Dobrze wiedział, że nie wolno niczego przyjmować za pewnik. A do Kate z pewnością przystawiała się połowa męskiej populacji wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Na pewno mieli większe od niego doświadczenie w sprowadzaniu mężatek z drogi cnoty. Byłby skończonym durniem, gdyby - wiedziony pychą i pobożnymi życzeniami - uwierzył, że ich niewinny romansik

był jedynym odstępstwem od żelaznej dyscypliny, którą sobie narzuciła. - Więc to zdarzyło się tylko raz? Tylko ze mną?

- Tak. - Żałował, że jej nie widzi. Nie może spojrzeć jej w oczy. Wyczytać prawdy z wyrazu twarzy... Ale czy tak nie będzie lepiej? Jej oczy były stworzone do wodzenia mężczyzn na pokuszenie. - Tylko z tobą - potwierdziła. W jej głosie było bezgraniczne znużenie. Jakby właśnie przebyła szmat drogi, wlokąc za sobą kulę ziemską. W dodatku pod górę, po stromym zboczu.

- W porządku. - Dotknął jej ramienia. - Już późno i robi się coraz chłodniej. Spróbujmy przespać się choć trochę.

Aż się zachnęła.

- Co takiego?!

- Jestem kompletnie skonany. Długie gadanie wyczerpuje mężczyznę do cna. Mamy w tym mniejszą praktykę, rozumiesz. Potrzebujemy snu, żeby dojść do siebie.

- I to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Czego byś chciała? Musisz się koniecznie dowiedzieć, że nikt mi jeszcze tak nie pochlebił, w całym moim życiu? Lepiej kładźmy się od razu, bo jak dłużej o tym pomyślę, spuchnę z dumy tak, że uwięznę w przejściu i utknę tu na amen!

... A co gorsza, jeśli od razu nie zasną, uwięznę w rozmyślaniach o całkiem nowej Kate, która mu się właśnie objawiła. Nie była tą, której nienawidził. Ani tą, której nie wierzył. Ale nowa sytuacja nie przedstawiała się dla niego korzystniej. Kate stała się kobietą godną uwielbienia, godną małżeństwa. Godną - krótko mówiąc - mnóstwa rzeczy, których on nie mógł jej ofiarować.

- Nie masz z czego być taki dumny! - powiedziała. - Może to wcale nie chodziło o ciebie? Może zjawiłeś się po prostu w odpowiednim momencie, gdy miałam chwilę słabości... ? - Zamilkła na chwilę, po czym spytała niepewnie: - Uwierzyłeś mi?

- Tak! - rzucił niedbale, lekkim tonem.

- Ale... - Najwyraźniej nie mogła w to uwierzyć. Wydawało się jej to zbyt proste. Próbowwała wstrzymać się od pochopnych wniosków, stłumić ogarniające ją ciepło, zgasić iskrzącą się i rosnącą nadzieję.

- Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego nie powinienem ci wierzyć?

- Słyszałeś na własne uszy... że nieraz mijam się z prawdą.

- Ale nie w rozmowach ze mną. I zawsze kłamałaś dla jakiejś konkretnej korzyści. Czyżbyś chciała mnie na coś naciągnąć?

Siedziała między jego nogami, fałdy jej spódnicy i falbanki ha-  
lek opadały na jego golenie. Morze i noc odgradzały ich od resz-  
ty świata. A Kate nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

- Powinniśmy już spać - rzucił, wyciągając do niej obie ręce.

Ostrożnie, powoli opadła do tyłu i umościła się w jego uścisku.  
Jim oparł brodę na czubku jej głowy, jego serce biło tuż pod jej  
plecami, jej tyłeczek znalazł przytulne miejsce w rozchyleniu je-  
go nóg.

Dobry Boże! myślała. Jesteśmy w zimnej, mokrej, śmierdzącej  
podwodnej dziurze! Utknęliśmy na głupiej bezludnej wysepce, na  
kompletnym odludziu... I właśnie tu i teraz jestem szczęśliwa. Nie  
zamieniłabym tej parszywej grotty na żadne inne miejsce na zie-  
mi! O, dobry Boże! Widzisz, jak ze mną źle?!

Po spędzeniu nocy na siedząco, pod zimną, kamienną ścianą,  
Jim czuł się dokładnie tak, jak przewidywał: bolało go dosłown-  
nie wszystko. Plecy wielkim głosem skarżyły się na jego głupotę.  
Biodra bolały jak lichy. Kolana gwałtownie zaprotestowały,  
zanim jeszcze spróbował nakłonić je do wykonania ruchu.

Liczył na to, że obudzi się z Kate w objęciach i nic poza tym nie  
będzie go obchodziło. Ale zbudził się, niestety, z pustymi rękami.

W odległości kilku stóp od niego klęczała Kate, rozczesując  
palcami rozczochrane włosy i krzywiąc się, ilekroć natrafiła na  
splątane supełki. Jej sylwetka, i rysy twarzy były zamazane jak  
u postaci ze snu. Bluzka nadal wisiała luźno, okropnie pomięta.  
Ukryte pod nią okrągłości wydawały się swobodne i miękkie.  
Ogólnie rzecz biorąc, Kate wyglądała jak kobieta, która spędzi-  
ła całą noc na niespiesznych, gorących pieszczotach, i dopiero  
przed chwilą wygramoliła się z łóżka, przyjmując niechętnie do  
wiadomości, że wstał nowy dzień.

Musiała poczuć na sobie wzrok Jima, gdyż nagle podniosła głowę  
i spojrzała mu prosto w oczy. Zaraz zresztą odwróciła twarz.

- Nie patrz tak na mnie!

- Jak?

- Wyglądam jak straszycło - odparła. - Nie chcę, żebyś... Nie  
gap się na mnie, i tyle! Zgoda?

Jim wstał, podszedł do niej, a potem ukląkł jak ona, na wprost niej. Tak blisko, że ich kolana lekko się zderzyły. Kate miała nadal spuszczoną głowę, a zwisające luzem pasma złotych włosów zasłaniały jej twarz.

- Chcesz poznać prawdę? - spytał cicho.

- Nie! Na co mi prawda?

Zachichotał,

- Ale ją usłyszysz. - Łagodnie odgarnął jej włosy do tyłu, odsłaniając połowę jej twarzy; piękno jej rysów było jeszcze bardziej widoczne niż we wczesnej młodości. - Nigdy dotąd, psia-krew, nie miałem takiej ochoty pocałować cię, jak w tej chwili!

- Co takiego?! - Raptownie podniosła głowę. Na jej twarzy malowało się wyraźnie niedowierzenie.

- Nie przesłyszałaś się.

Spojrzała mu badawczo w twarz, usiłując dotrzeć do prawdy. W końcu potrząsnęła głową.

- Ślicznie kłamiesz, ale sobie daruj!

- Wcale nie kłamię. - Jego palce musnęły krzywiznę jej policzka i zarys jej szczęki; potem zawędrowały pod brodę i skłoniły Kate do podniesienia głowy. - Zazwyczaj wyglądasz... - Urwał szukając odpowiednich słów; chciał, by wszystko stało się jasne. -... jak z igły. Niczym piękna lalka w witrynie eleganckiego sklepu, a nie kobieta z krwi i kości. Człowiek boi się ciebie przytulić, bo mógłby zburzyć ci fryzurę. Twoja piękność raduje męskie oczy, ale nie skłania do marzeń o radości, którą moglibyście przeżywać wspólnie.

Kate oniemiała, jej oczy stały się jeszcze większe i jaśniały żywym błękitem,

- Ale w tej chwili nie ma w tobie nic z lalki. Jesteś realna, żywa i kobieca w każdym calu. Brudzisz się i pocisz. Bywasz dzika w miłości, ale nie tylko oczekujesz rozkoszy, lecz ją odwzajemniasz. Jesteś kobietą, z którą pragnie się żyć, a nie wielbić z daleka.

Tak długo wpatrywała się w niego, że ogarnął go strach: wszystko spartaczył, a w dodatku znieważył ją straszliwie! Wiedział, że przywykła do mężczyzn innego typu, którzy nie żalowali pięknych słówek i pustych komplementów. Może naprawdę jest przekonana, że z lekka potargane włosy odbierają jej cały powab?

- Wobec tego - powiedziała cicho i nagłaco - może byś mnie wreszcie pocałował? Mielibyśmy to z głowy!

Potrząsnął głową, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

- Słucham...?

- Kiedy... kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy... i pierwszy raz się... - Zmarszczyła nosek, jakby nie bardzo wiedziała co powiedzieć. - Byłam strasznie młoda, ogromnie samotna i stęskniona za tym, czego musiałam się wyrzec. A mówiąc ściślej, za tym, co mnie ominęło. W tej sytuacji nietrudno stracić głowę dla przystojnego, dziarskiego młodzieńca, błędzącego w świetle księżyca. - Uśmiechnęła się do miłych wspomnień. - O czymś takim marzyłam od lat, i właśnie dlatego tych kilka chwil nabrało w moich wspomnieniach wielkiej wagi i niezwykłego uroku.

- ... nabrało uroku... we wspomnieniach?

- Ależ oczywiście! - Jej niepewność znikła. Stwierdziła bez ogródek, rzeczowo, jakby chodziło o ucieczkę interesu. - To nie mogło być aż tak cudowne! Żaden pocałunek nie ma w sobie tyle uroku.

- Doprawdy? - spytał bezbarwnym głosem.

Ale rozpedzona Kate mknęła beztrudno naprzód.

- Z całą pewnością! To po prostu śmieszne! Ot, kilka całusów naiwnych, bezkrytycznych dzieciaków. Moja wybujała wyobraźnia z biegiem lat rozdmuchała ten epizod i otoczyła go nimbem... bo po prostu nie miała innego tematu do rozmyślań.

- Bez wątpienia - przytaknął, siłąc się na obojętność.

- I właśnie dlatego, że przez tak długi czas zawracałam sobie głowę podobną błahostką, trudno mi teraz zwrócić myśli w innym kierunku. No więc, sam widzisz!

Rozpostarła ręce, jakby prawdziwość jej słów była czymś oczywistym.

Potrząsnął głową.

- Hmm... - Zaciśnęła wargi zniecierpliwiona tym, że nie od razu pojął rzecz tak oczywistą. - Nasza wspólna wyprawa byłaby



znacznie prostsza i łatwiejsza, gdyby... gdybyśmy tyle o tym nie myśleli! I wobec tego jedynym rozsądnym wyjściem jest pocałować się wreszcie i mieć to już za sobą!

- I według ciebie to rozwiąże sprawę? Jakim sposobem?!

- No cóż... Rzeczywistość z pewnością nie dorówna marzeniom. Jakże by mogła?! Jest dla mnie oczywiste, że nieustanne rozważanie tej sprawy spowodowało moją obsesję. Kiedy przekonamy się, że to był zwykły pocałunek, taki jak wszystkie inne, będziemy mogli odłożyć przeszłość do lamusa i zająć się przyszłością.

- No, cóż... Jeśli uważasz, że to poskutkuje...

- Jestem absolutnie pewna, że poskutkuje!

Założę się, że skutki będą bolesne, pomyślał Jim. I długotrwałe: co najmniej trzy dni. Tyle czasu, jego zdaniem, potrzebowała zbłąkana krew, by wrócić znów do mózgu.

- Gotowa do eksperymentu? - spytał.

- Chwileczkę! - odpowiedziała Kate. Zaczęła wygładzać spódnice i zastygła w pół ruchu. - Zamknij oczy!

- Przejmujesz inicjatywę?

- Nie, ja tylko... Po prostu zamknij oczy, dobrze?

Zastosował się do jej życzenia. Po chwili unióśł nieco powieki. Widział przez rzęsy jedynie zamazany, szarawy kontur postaci o rozbieganych rękach: wtykały bluzkę pod pasek, obciągały spódnice, poprawiały tiurniurę na biodrach, przeczesywały włosy, próbując stworzyć przynajmniej pozory fryzury. Poza tym Kate szczypała policzki, by poróżwiały, i przygryzała wargi, aż stały się znów soczyste i lśniące.

- Gotowe! Nie, nie, zaczekaj! - sięgnęła do kołnierzyka i odpięła dwa górne guziki bluzki. (Ten manewr spotkał się z gorącą aprobatą Jima.) Na koniec sama zamknęła oczy, uniosła ku niemu twarz i złożyła usta do pocałunku. - Teraz jestem gotowa!

- Na pewno?

- Ja... - Zaciśnęła powieki tak mocno, że w kąciakach oczu pojawiły się zmarszczki. - Tak - potwierdziła stanowczo, jakby chciała przekonać nie tylko jego, ale i siebie. - Całkiem gotowa!

Jim otworzył szeroko oczy. Kate stała bez ruchu. Sztwyne ramiona i nieruchome usta zdradzały napięcie. Kiedy ją pocałuje, pomyślał, może równie dobrze odskoczyć jak sprężyna jak odwzajemnić pocałunek!

Wobec tego zadowolili się na razie patrzeniem. Zachwycał się połyskiem skóry, na której jakby osiadła wilgotna mgiełka, i rumieńcem, który pojawił się na policzkach.

Ileż z nią kłopotów! dumał. Nie mógł jej już zaszufłakować, opatrzeć jednoznaczny etykietką „Występna żona”. To nieoczekiwane odkrycie nie tylko sprawiło mu ulgę, ale też skrępowało mu ręce. Kate ponownie zakwalifikowała się do kategorii dam i zasługiwała w całej pełni na szacunek. Nie mógł już liczyć na jednorazową, nie znaczącą przygodę, po której obu stronom pozostałoby miłe wspomnienie. Teraz obowiązywały znów zasady, które ongiś matka wbiła Jimowi do głowy tak skutecznie, że nawet wieloletni pobyt z dala od ojczyzny nie zatarał ich w jego pamięci.

Kate nie była jednak niewiniątkiem. Oboje się już kiedyś całowali... Nie podniesie chyba krzyku z powodu takiego głupstwa?

A poza tym nie był w stanie jej tego odmówić. Nie tylko przez ciekawość, którą zapewne i ona odczuwała. Czy będzie dokładnie tak jak zapamiętał? A może Kate nauczyła się przez te wszystkie lata czegoś nowego?

Przed wszystkim jednak nie mógł zrezygnować z tego pocałunku, gdyż tuż przed nim w pozycji klęczącej czyhała nań największa pokusa od chwili, gdy zajrzał przypadkiem do tej przekłetej altanki i po raz pierwszy zobaczył Kate.

Jej zaś najwidoczniej sprzykrzyło się już czekanie. Otworzyła szeroko oczy i wzięła się pod boki.

- Na co czekasz?

- Może na nic nie czekam, tylko nie lubię pośpiechu? - odparł z namysłem. Potem wyciągnął rękę i dotknął z boku jej szyi, głaszcząc kciukiem napięte wiązadła i zapuszczając się aż do obojczyka. - O Boże! Jaka masz jedwabistą skórę!

Żrenice jej się rozszerzyły, tęczęwki z niebieskich stały się szafirowe.

- To skutki „Miodowego kremu Atkinsona na gładką cerę” - poinformowała go automatycznie.

Wargi Jima drgnęły, ale doszedł do wniosku, że wybuch śmiechu w tym właśnie momencie byłby zgoła nie na miejscu. Ale kto by pomyślał, że Kate będzie taka rozbijająca?!

Jim zakreślał kciukiem delikatne kręgi u podstawy jej szyi.

Wdychał słodki zapach kobiecej skóry. I czekał cierpliwie, aż się Kate odpręży.

Nie ulegało wątpliwości, że była spięta. Jakby czekała na śmiertelny cios, nie na pocałunek. Ale prędzej czy później będzie musiała odetchnąć i mięśnie się rozluźnią. I rzeczywiście: szyja Kate straciła nieco ze swej sztywności, a ramiona opadły. Nie zaciskała już warg, czoło się wygładziło.

Była to jednak krótkotrwała zmiana. Gdy tylko pochylił się nad nią i ich usta znalazły się obok siebie, odezwał się w niej niepokój i usztywniła się znowu. Powinienem dać jej ostatnią szansę, możliwość ucieczki, przemknęło mu przez głowę. Ale na realizację tego szlachetnego zamiaru było za późno. Kate nieopatrznie dała mu przyzwolenie i po prostu nie mógł się już powstrzymać.. Nigdy zresztą nie potrafił oprzeć się tej kusicielce.

- Nie bój się! - szepnęła. Był tak blisko Kate, że czuł żar jej skóry, a jej wilgotny oddech muskał mu wargi.

- Pospiesz się, proszę, niechże już będzie po wszystkim!

- No, no! Taka zachęta uskrzydliłaby każdego kochanka!

- Ale...

Wykorzystał lekkie rozchylenie warg i definitywnie zamknął jej usta po pierwszym słowie. Był to bardzo subtelny, choć zdecydowany pocałunek: zetknęły się raczej ich oddechy niż wargi. Usta Jima pozostały nieruchome, chociaż ta powściągliwość wiele go kosztowała. Czuł napięcie w ramionach, ściskanie w brzuchu, ale nadal tylko wdychał jej oddech i poznawał na nowo zapach, smak, dotyk Kate.

- Och... - westchnęła cichutko i odprężyła się. Czuł wyraźnie, jak jej mięśnie rozluźniają się pod jego dotknięciem, mięknią wargi przytulone do jego warg.

I w tym momencie prysły wszystkie jego najlepsze intencje, zapomniał o planach, utracił kontrolę nad sytuacją. Wszystko roztopiło się we wszechogarniających, roziskrzonych oparach fizycznych doznań, które w tym momencie zatriumfowały nad rozsądkiem.

Usta Kate zadrzały i otworzyły się przed nim. Jej ręce znalazły drogę do pleców Jima i przywarły do nich, miętosząc koszulę i wpijając się głęboko w mięśnie.

Delikatna czułość ustąpiła miejsca zachłanności. Ta zaś omal

go nie przywiodła do obłądu: zbyt wiele słodkich krągotności do dotykania, tajemnych zakątków do zbadania, cudów do podziwiania... Nie wiedział, od czego zacząć, na czym się skoncentrować. Na ustach spragnionych pocałunków? Na plecach drżących pod dotknięciem jego rąk? Dotąd Kate jawiła mu się jako zwiewna sylwetka za zasłoną mgły, płomienna zjawa z erotycznego snu, rozkoszna wizja, skupiająca w sobie wszystkie cudowne majaki, którym nie poważył się nigdy nadać twarzy tej jedynej, niezapomnianej... A teraz znów stała się kobietą, którą mógł tulić w ramionach. Żywa i bliska - stokrotnie cenniejszą od nekających go od tak dawna wspomnień, które nagle zbladły.

- O Boże!

Oderwała się od niego, wyszarpnęła z jego objęć, odebrała mu swoje cudowne usta tak nieoczekiwanie, że miotał się półprzytomny i próbując pochwycić Kate chwytał tylko powietrze.

- Och!

Gwałtownym ruchem uniosła ręce do twarzy, jakby chciała otrzeć Izy, i przygryzła zębami kostki palców.

Słaniała się na kolanach, kusząco bliska. Płonęła gorączkowym rumieńcem, wargi jej spuchły od pocałunków. Bez namysłu, bez żadnych złych intencji Jim chciał ją znów objąć.

- Nie! - Cofnęła się raptownie. - Niech cię diabli! Niech cię wszyscy diabli!!!

- Co się stało?!

- Przez całe lata czciłam jak świętość wspomnienie tego pocałunku! - ciągnęła dalej. - Wsadziłabym go za szkło, oprawiła w ramki, taki mi się wydawał doskonały i kruchy. Śniłam o nim, tęskniłam za nim! Był dla mnie rekompensatą za wszystko, co mnie ominęło, i za wszystko, co już się nie zdarzy. Choćbym nie miała nic poza nim, myślałam, mam przynajmniej ten pocałunek i zachowam go w pamięci na wieki!... A teraz ty - dźgnęła go palcem w pierś z takim zapamiętaniem, że siła jej gniewu odrzuciła go w tył. - ... musiałeś wrócić i pozbawić mnie nawet tego!

- Przysięgam ci, że zaraz wszystko naprawię! - bożył się, usiłując dokonać właściwego wyboru. Co by się Kate najbardziej spodobało? Mógłby na przykład...

- Pozbawiłeś mnie największego skarbu! Przekonałam się, że był najzwyklejszym pocałunkiem, wyolbrzymionym przez nie-

mądrą dziewczęcą fantazję. Słodkim całuskiem, niepodobnym ani trochę do prawdziwego pocałunku... O Boże! Co ja teraz pocznę? Jeśli o tamtym nie mogłam zapomnieć przez dwanaście lat, jak długo będzie mnie prześladowało to wspomnienie?!

- Ja... - zaczął Jim i umilkł, dopóki słowa Kate nie dotarły do jego świadomości. W końcu zyskał pewność, że pojął właściwie ich treść. Nie rozczarował Kate. Przeraził ją. Była przekonana, że naznaczył ją swym pocałunkiem, związał ją ze sobą do końca życia. Niech to szlag! Ta bzdura uderzyła mu do głowy, napełniła go piorunującą mieszanką pychy i lęku. Kate również naznaczyła go niezatartą pieczęcią. Cóż za paskudna gmatwanina!

Musi wymyślić coś, co uspokoi Kate, rozproszy jej obawy. A przy okazji ułatwi mu honorowy odwrót, oczyści go z podejrzeń... i sprawi, że Kate nie zapomni spędzonych razem z nim chwil. Ani jednego szczegółu. Ani na sekundę.

- Kate...

Niech to licho! Brakło mu słów. Słów? Po diabła mu słowa?! Jim posłuchał szatańskich podszeptów i spróbował znów objąć Kate.

- O, nie! - Zerwała się z kłeczek i cofnęła w pośpiechu. Rozpuszczone włosy i fałdziste spódnice zatrzepotały jak ogon rozwścieczonej syreny. - Nie potrafię trzeźwo myśleć, kiedy mnie dotykasz!

- To nic złego, kochanie, zaufaj mi! To wspaniałe zajęcie!

- Nie! - Wyciągnęła przed siebie ramię, by zwiększyć dzielącą ich przestrzeń. Drugą rękę przyłożyła do skroni. - Wiem, że nie powinniśmy tego robić! Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć, dlaczego... ale dam głowę, że powód jest, i to ważny!

Mgliste podejrzenie, a właściwie cień podejrzenia, że Kate ma rację, zrodziło się w mózgu Jima na granicy podświadomości. Nie będzie sobie zawracał nim głowy! Nie zamierza ulegać skrupułom, które odbierają naiwnym całą radość życia.

- Nie łam sobie główki nad powodami, bo i tak ich nie znajdziesz - przekonywał, przysuwając się niepostrzeżenie coraz bliżej, aż wreszcie wyciągnięta ręka Kate dotknęła jego piersi. Nawet tak niewinny kontakt fizyczny sparzył go żywym ogniem. Serce Jima rozszalało się tak, jakby chciało wyrwać się z jego piersi.

Wzrok Kate powędrował tam, gdzie spoczywała jej ręka. Drobną, białą, drżąca rączką, rozpostarta na jego piersi, miała

w sobie tyle zmysłowości, że gdyby poczuł na sobie dotknięcie drugiej, padłby jak rażony gromem! W tej chwili zresztą nawet by tego nie zauważył. Spojrzenie Kate było teraz zamglone, jakby niewidzące; jej palce kreśliły łuki i zakola na piersi Jima; on zaś wstrzymywał dech, pragnąc wyczuć każdą, nawet najdrobniejszą zmianę rytmu.

I nagle jej spojrzenie nabrało ostrości. Gwałtownym ruchem cofnęła rękę.

- Nie! - oświadczyła tak kategorycznie, że zabrzmiało to jak podzwonne dla pięknych planów Jima.

- Tak! - podjął ostatnią, desperacką próbę ocalenia swych marzeń, choć wiedział, że jest beznadziejna.

- Nie! Jeśli dziś nie możesz znaleźć ani jednego powodu, to nie znajdziesz ich ani jutro, ani pojutrze.

W tym sęk, że powodów do zachowania powściągliwości było aż nadto. Zmarły doktor Goodale rozdzielał ich równie skutecznie jak za życia. A Jim pasował do świata, w którym żyła Kate i do jej otoczenia równie dobrze, jak ona do niekończących się wędrówek Jima - wiecznego tułacza. Czyli o wspólnej przyszłości nie było co marzyć. A poza tym mieli jeszcze wyścig do wygrania, co wymagało znacznie większego wysiłku i koncentracji; żadne z nich się do tego nie paliło.

Ale co za szkoda! Co za cholerna szkoda!

Potarła obie dłonie o siebie, a potem z roztargnieniem, jakby nie bardzo wiedziała, co robi, zaczęła poprawiać i wygładzać z przodu smutne resztki swej toalety.

- Nie należę do tych, którzy najpierw coś robią, a potem myślą, jak to odrobić - stwierdziła. - Lubię sama decydować o własnym losie. I nie na chybcika.

- Moim zdaniem to wiele wyjaśnia. A ty jak sądzisz?

Oczy jej pociemniały.

- To nie fair!

Jim miał niejasne wrażenie, że niebawem - za tydzień lub dwa - sam dojdzie do wniosku, że to naprawdę było nie fair. Ale w tej chwili, pod wpływem gwałtownego bólu i gorzkiego zniechęcenia - efektów niezaspokojonej namiętności - nie dbał zupełnie o to, czy postępuje fair, czy nie fair.

Odwrócił się tyłem do Kate i opuścił jaskinię. Zatrzymał się

jednak w pobliżu, wpatrzony we wzburzone szare fale. Rozciągający się pomiędzy nim a łodem płynny żywioł pienił się, huczał i syczał, gotów przytłoczyć go w każdej chwili swym lodowatym ogromem.

Kate podeszła i stanęła tuż za nim. Z pewnością nie podjęłaby takiego ryzyka, gdyby miała choć blade pojęcie, że charakterystyczne dla Jima opanowanie na dobrą sprawę przestało istnieć. Szepnęła miękko:

- Jim...

- Daj spokój! - ostrzegł ją głosem przypominającym cichy syk.

- Ależ, Jim...

- Nie teraz. - Lodowata topiel wydała mu się mniejszym złem. - Pora na kąpiel. - I zaczął ściągać koszulę.

- Nie zrobisz tego!

- Trzymaj! - rzucił jej koszulę i zaczął ostrożnie schodzić po zboczu do wody.

- Dzieńdoberek!

Oboje odwrócili się jak na komendę w stronę, skąd dobiegło powitanie. Charlie Hobson stał niezbyt pewnie na wąskiej skalnej półce, prowadzącej do pieczary. Zaryzykował nawet machnięcie ręką i podskok, ale zaraz cofnął się i przyłgnął plecami do ściany, nieomal wtapiając się w nią.

- Co u diabła?!

Jim znalazł się znów u boku Kate.

Charlie wskazał kciukiem w górę zbocza.

- Spotkajmy się na samej górze, dobra?

Jim chwycił koszulę i narzucił ją. Wchodzenie pod górę okazało się znacznie łatwiejsze niż schodzenie z góry. Mieli wrażenie, że upłynęło zaledwie kilka minut, nim znaleźli się na szczycie, gdzie czekał już na nich Hobson, czerwony jak burak i spocony mimo zimnej porannej mgły.

- No, no! Zjawia się pan w najbardziej nieoczekiwanych miejscach - stwierdził Jim.

- Taki już mój fach - odparł Hobson. Mówił do Jima, ale gapił się na Kate. - Ciężka noc, co?

Rzucił tę uwagę mimochodem, ale Kate nagle uświadomiła sobie, jak musi wyglądać. Jeden rzut oka na spódnicę przekonał ją, że nadaje się tylko do wyrzucenia. Uniosła rękę do włosów i po-

czuła pod palcami kołtun wielkości ptasiego gniazda. Z pewnością wyglądała staro. I wulgarnie.

Jim wklinował się pomiędzy nią a reportera, osłaniając Kate przed wścibskimi oczkami pismaka. Przez sekundę Kate była mu wdzięczna. Ale zaraz pomyślała: O, nie. Co to, to nie!

Wynurzyła się zza osłaniających ją pleców.

- Szczerze mówiąc, noc była zadziwiająco... komfortowa. - Wyczuwała zdumienie stojącego obok Jima i nie ośmieliła się spojrzeć w jego kierunku. - Rozwścieczył mnie dopiero upór tego amatora porannej kąpieli.

- I o nią tak się pożarliście? - dopytywał się Hobson.

- Pożarliśmy się... ? - wyraziła swe zdumienie Kate.

- No, cóż... Kiedy po raz pierwszy na was zerknąłem, miotały wami dość gwałtowne uczucia...

A więc na tym polega dziennikarska postawa? Komentarz na gorąco, pozornie obojętny wzrok, wymowne milczenie, skłaniające rozmówcę do zwierzeń - wszystko jedno jakich, byle tylko było o czym pisać?

- Ponura alternatywa: kąpiel w takiej lodowatej brei albo śmierć głodowa na takiej stercie kamieni podziałała mi troszkę na nerwy - wyjaśniła gładko Kate.

Charlie uśmiechnął się przymilnie.

- Trudno się dziwić.

- Zjawia się pan w samą porę - wtrącił się Jim. - I to nie pierwszy raz!

- Staram się jak mogę.

- Skąd wiedziałeś, gwiazdo „Sentinela”, gdzie nas szukać?

- Mam na oku zawodników. Każdy z nich musi tu dotrzeć, prędzej czy później.

- Każdy? - spytała Kate z miną niewiniątka. - A kto już tu był?

- No, no! - Charlie pogroził jej palcem. - Nie mogę udzielać informacji o postępach waszych rywali.

- Byłam po prostu ciekawa.

- Oczywiście, oczywiście! Tak czy owak, widziałem wczoraj, jak zmierzacie w te strony. Kiedy nie wróciliście na noc...

- Wczoraj?! Widział pan, jak tu płyniemy, i zostawił nas bez pomocy, gdy nie wróciliśmy?!

- Spokojnie! Skąd miałem wiedzieć, że zamierzacie wrócić? -



Rozłożył ręce. - Myślałem, że marzy się wam małe *tete-a-tete*. W dodatku na bezludnej wyspie, i w ogóle...

- Tak się składa, że nie mieliśmy tego w planie. Nasza łódź odpłynęła bez nas.

Hobson wzruszył ramionami.

- Bardzo mi przykro. Dziś rano pomyślałem, że jednak popłynę sprawdzic, czy wszystko w porządku. Tak na wszelki wypadek.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! - odparł Jim doskonale obojętnym tonem. - A teraz wybac, stary druhu: mile się nam gawędziło, ale pora wracać.

- Nie chcecie znaleźć się na szarym końcu, co? - zauważył reporter z umiejętnie zamaskowanym triumfem.

Doskonale się orientuje, gdzie jest każdy z zawodników, pomyślała Kate. I strasznie się puszy. Wielki wtajemniczony, psiakość!

- Idziemy!

Hobson przywiązał swoją łódź za wielkim głazem. Była tam niewidoczna prawie ze wszystkich stron wysepki. Nic dziwnego, że nie zauważyli jego przybycia. Ręka Jima zakradła się pod łokieć Kate. Był to z pozoru całkiem niewinny gest - zwykła uprzejmość dla damy potykającej się na kamieniach - ale niewidoczny dla ciekawskich kciuk Jima gładził wewnętrzną stronę ręki Kate z taką zmysłowością, że potykała się coraz częściej.

- Założę się, że widok mojej krypy to miód na wasze serca.

- Na moje z pewnością! - odparła Kate, dziwiąc się w duchu, że wcale nie czuje się uszczęśliwiona. A powinna!

## 16

*To jest to!*, triumfował w duchu Hobson. Przystojny poszukiwacz przygód o fatalnej reputacji i w niekompletnym stroju, uwięziony wraz z piękną kobietą na romantycznej wysepce, wyrzającej się z morskiej głębi i osnutej mgłą... Z pewnością spodoba się czytelnikom!

Naparł mocniej na wiosło i poczuł rwanie w barku. Co gorsza, był pewien, że będzie je czuł także jutro. Siedzący obok niego lord Bennett wiosłował rytmicznie, prawie bez wysiłku. O, to było całym w jego stylu! Los obdarzył go szlachetnym pochodzeniem, urodą i majątkiem. Pewnie nigdy w życiu nie musiał się wysilać.

Hobson dobrze wiedział, że byłoby lepiej, gdyby zaskoczył ich w bardziej kompromitującej sytuacji. Na to właśnie liczył, to sobie planował. Czytelnicy uwielbiają takie skandaliki. Choćby człowiek napisał najlepszy w świecie artykuł, choćby o powołaniu komitetu legislacyjnego (naprawdę gorący temat!), te przygłupy nawet go nie zauważą i polecą na tanią sensację. Bez wyjątku! Załapał się na dwie podwyżki w ciągu półrocza, kiedy to sobie wreszcie uświadomił i pokapował się, jak ten mechanizm działa.

Na przykład: mógł przedstawiać prawdę wybiórczo, mógł od czasu do czasu ubarwić to czy owo. W porządku! Ale *nie mógł* wyssać sobie z palca całej historii. Był akurat w Hawanie, i to w porcie, kiedy „Maine” wyleciał w powietrze. A sam Teddy Roosevelt oświadczył, że reportaż Hobsona był najlepszym sprawozdaniem ze zdobycia szczytu San Juan. Czytelnik po prostu widzi to wszystko! Tak powiedział Roosevelt i przymówił się o egzemplarz z autografem Charliego. O, tak: Hobson był urodzonym dziennikarzem, specjalistą od reportaży, a nie jakimś tam powieściopisarzem na dorobku, uchowaj Boże! Charlie nigdy o tym nie zapominał.

Ale ta parka... Już on wycisnie z nich, co się da! Nakład „Sentinela” od razu skoczy w górę. A ten anonimowy żurnalista, pożałuj Boże, którego Fitz wystraszył nie wiadomo skąd i który miał na samym wejściu tyle fartu... Niech no tylko spróbuje przeskoczyć Charliego Hobsona, a choćby dotrzymać mu kroku!

*Kochana Emily,*

*Mam zaledwie chwilę na skreślenie tych kilku słów, ale du-fam, że postarasz się wszystkie najistotniejsze sprawy przekazać Anthei. Już słyszę, jak brzęczą przewody telefoniczne, i widzę, jak telegramy fruwać między Montana a Kolorado przynajmniej przez ostatnie kilka tygodni wyścigu.*

*Wiem, że wszelkie nowiny docierają do waszej dzicy w ślimaczym tempie, ale może obito ci się o uszy, że odbywa się właś-*

nie Wyścig Stulecia, któremu patronuje „Daily Sentinel”? Radzę ci zwrócić uwagę na to sportowe wydarzenie, zwłaszcza że biore w nim udział ja.

W porządku, pośmiej się trochę! Nic nie szkodzi. Ja też chwila mi mam ochotę parsknąć śmiechem. Nie znajdziesz w prasowych sprawozdaniach z wyścigu mego nazwiska. Podróżuję incognito. Nie ma sensu tego rozgłaszać, jeśli nie jest to konieczne. Nie zdradzę ci mego pseudonimu. Domyśl się sama. To będzie moja mała zemsta za tortury, na jakie mnie skazywałaś przez cały rok.

A teraz, droga siostrzo, możesz zawołać: „A nie mówiłam?!“ (Wyobrażam sobie, ile ci to sprawi satysfakcji!) Może istotnie jest nieco prawdy w tych przesadnych zachwytach nad przygodą i poszukiwaczami przygód. Nie znaczy to bynajmniej, że zamierzam powtórnie ruszyć na szlak (broń Boże!). Doszłam jednak do wniosku, że wszelkie doświadczenie kształci, więc warto spróbować choć raz i tego miodu. Ot tak, dla zweryfikowania moich poglądów na ten temat.

Nawet sobie nie wyobrażasz, w jakich warunkach przychodziło mi nocować! Niekiedy z prawdziwą nostalgią wspominałam tę koszmarną polepę w waszej chacie. Ubiegłą noc spędziłam w wagonie kolejowym jako pasażer na gapę. Jestem prawie pewna, że był to wagon towarowy. Do przewozu bydła.

Muszę kończyć. Znów zostaliśmy w tyle, a wiesz, jak tego nie znoszę! Jeszcze tylko słówko. Przypominasz sobie waszą drugą bezcenną radę? W sprawie przeżycia co najmniej jednego szalonego romansu?

Przyznam, że całkiem serio rozważam taką możliwość.

Muszę lecieć, bo statek odpłynie beze mnie.

Bardzo cię kocham, siostrzyczko!

Kate

- Jesteś pewien, że nic się im nie stanie? - dopytywała się Kate.

- Dałem ci przecież słowo, prawda? - odparł Jim ze zdumiewającą cierpliwością, zważywszy, że w ciągu ostatnich trzydziestu godzin musiał jej udzielać identycznej odpowiedzi na to samo pytanie przeciętnie raz na godzinę. Przez cały ten czas pędzili na złamanie karku do Nowego Jorku, by zdążyć, nim „Władca mórz” wypłynie z portu. - Zadbałem o to, by temu smarkaczowi

opłaciło się wypełnić co do joty moje instrukcje. Ma odstawić oba konie do stajni w Rose Springs. Jeśli tego nie zrobi, odpowie przede mną za to niedopatrzenie. Przedstawiłem sprawę jasno, żeby nie było nieporozumień.

- To doprawdy bardzo surowa kara: stanąć przed twoim sądem! - Kate udała, że trzęsie się ze strachu. W jej oczach pojawiły się szelmowskie błyski. (Na ich widok Jim nieodmiennie przeistaczał się w onieśmiałego sztubaka. ) Szybko jednak spoważniała. - Będzie mi jej brak, i tyle!

- Wiem.

Kate niemądrze przywiązała się do swojej małej kłaczki. Dobroć dla zwierząt była oczywiście godną szacunku zaletą, ale są pewne granice...

- Kiedy wygramy wyścig, zawiozę cię tam i kupisz ją sobie, zgoda?

- Naprawdę mnie zawieszysz? - spytała z tak uszczęśliwioną miną, że gotów był zrobić wszystko, co zażąda, by zobaczyć znów ten uśmiech.

- Przysięgam! - obiecał uroczyście, po czym zajął się bieżącymi problemami. Zewsząd otaczał ich beztroski, malowniczy zamęt i gwar, charakterystyczny dla przystani nad rzeką Hudson. Nad ich głowami uśmiechało się dobrotliwie ciepłe jesienne słońce.

- No i co o tym myślisz?

Kate wpatrywała się we „Władcę mórz”. Przycumowany kołos wypełniał szczerlnie wyznaczone mu stanowisko przy moło. Jeśli rozmiary okrętów będą nadal rosły w takim tempie, pomyślała Kate, nie obejdzie się bez przebudowy portu i doków, bo w starych się nie pomieszczą!

Nieco dalej na rzece oczekiwała na ogromnego „Władcę mórz” pływająca świta: holowniki, lichtugi<sup>\*</sup>, statki pożarnicze oraz luksusowe jachty wszystkich chyba członków nowojorskiego Yacht-Klubu; na ich pokładach tłoczyli się przyszli pasażerowie „Władcy mórz” oraz odprowadzający ich krewni i przyjaciele.

„Władca” okazał się godny swego miana. Był owocem długoletnich starań Francuzów, pragnących zdobyć wreszcie nagrodę dla

<sup>\*</sup> Duże barki bez własnego napędu, przeznaczone do przewozu ładunku na niewielkiej przestrzeni z pomocą holowników (przyp. tłum. ).

najszybszego statku pasażerskiego, odbywającego stałe rejsy przez Atlantyk. Do tej pory owo pierwsze miejsce pozostawało w rękach Anglii i Niemiec, poza zasięgiem możliwości Francuzów. Dopiero „Władca mórz” spełnił ich nadzieje, zdobywając upragnioną „błękitną wstęgę” już podczas swego dziewiczego rejsu z Le Havre do Nowego Jorku. Statek był nie tylko szybki, ale i piękny, majestatyczny i wspaniały. Utrzymany w zasadzie w dwóch uroczystych (bo kojarzących się z frakiem lub smokingiem) kolorach: czerni i bieli, z niewielką domieszką rozrzuconej tu i tam soczystej czerwieni. Czuł się pewnie na wodzie, poruszał się lekko, a jego cztery kominy (był to pierwszy „czterokominowiec” na terenie Francji) pracowały pełną parą. Nie dla takiego mocarza oszustwa w rodzaju trzech kominów i atrapy! Odchyłona nieco do tyłu sylwetka *Władcy* stwarzała iluzję pędu nawet wówczas, gdy statek odpoczywał w jakimś porcie. Cały takielunek pstrzył się od proporczyków trzepoczących na tle pogodnego nieba, jakby „Władca mórz” wystroił się na przyjęcie. W pewnym sensie była to zresztą prawda.

- Hmm... Spróbuję coś załatwić... - Kate spojrzała po sobie krytycznym wzrokiem i skrzywiła się niemiłosiernie. - Ale nie tak! To byłaby klęska. - Schwyciła swą torbę i przewiesiła ją sobie przez ramię. Ten naturalny gest zdawał się sugerować, że Kate od lat pakuje sobie walizki i sama je taszczy. - Poczekasz tu?

- Na co?

- Przekonasz się!

Rozejrzała się dokoła i najkrótszą drogą, na skos, pomaszerowała do niewielkiego biura zarządu portu i weszła bez pukania. Jim czekał cierpliwie przez pięć minut, może nawet dłużej, na jej powrót, zanim ruszył na koniec molo.

Woda w ciemnym odcieniu zgaszonej zieleni, aż gęsta od gnijących wodorostów i odpadków, zrzucanych z pokładów i zmiecionych przez fale z brzegu, uderzała z pluskiem o pale. Ciemne drewno stało się oślizgłe i zielone tam, dokąd sięgała nieustępliwa fala w swym wiecznym natarciu i odwrocie. Jim wpatrywał się w nią, snując dalsze plany.

- A, tu jesteś! - odezwał się za jego plecami głos Kate, nieco zasapanej i zaniepokojonej. - Miałeś na mnie czekać!

- A nie czekam? Przecież tu stoję, nie zauważyłaś?

Odwrocił się do niej i wszystko, co miał jeszcze do powiedzenia, wyparowało mu z mózgu w jednej chwili.

Wśród tłumu oberwanych i usmolonych dokerów, uwijających się jak mrówki na nabrzeżu, Kate rzucała się od razu w oczy, jakby słońce tylko dla niej świeciło. Wszystko oprócz niej wydawało się szare i brudne. Jak bezcenny naszyjnik z brylantów na kupie tandetnych błyskotek ze zmatowiałej cyny i brudnych szklanych koralików, ona i tylko ona miała klasę.

Wytworna sylwetka spowita w połyskliwy, falujący jedwab miała barwę koralu... albo serduszek pięknych, dziko rosnących orchidei, które podziwiał niegdyś w dżungli. Fason sukni był bardzo skromny: pod szyję i z długimi rękawami. Ale z tego skromniutkiego stroju dziesiątki malusieńkich perłowych guziczków mrugały zaczepnie do Jima, jakby pytały: „Ośmielisz się nas porozpinać?”. W pasie Kate przewiązana była zwiewną szarfą, przewleczoną przez klamkę z dwóch bliźniaczych srebrnych kółek. Przyciągało to, rzecz jasna, oczy widza do smukłej talii i kuszącego zarysu bioder pod cienkim jedwabiem. Końce szarfy sięgały aż do obrąbka sukni.

Nie miała żadnego nakrycia głowy, gdyż trudno byłoby tak określić strzępki koronki i piórko, które wynurzały się kokieteryjnie z gąszczu złocistych loków. Kate upięła je pospiesznie, byle jak, ale można by przysiąc, iż wykwalifikowana panna służąca biedziłaby się wiele godzin, nim uzyskałaby efekt równie artystycznego nieładu.

- Skąd u licha wytrzasnąłaś to wszystko?!

- Ze swej czarodziejskiej torby. - Czułe poklepała ten rekwizyt, zanim postawiła go na ziemi. - Widzisz, jak dobrze się stało, że dałeś mi *carte blanche* co do zawartości mego bagażu?

- Jak... - Urwał, bo zabrakło mu tchu. Prawie już zapomniał, jaka była szykowna i piękna - istne ucieleśnienie marzeń każdego mężczyzny; na tyle realne, by śnić o nim po nocach, ale zdecydowanie poza zasięgiem zwykłych męskich rąk. „Patrz, ile chcesz, ale nie waż się tknąć!” - Ale...

- Przestań się jąkać jak speszony żółtodziób! - warknęła. - Dobrze wiesz, jak naprawdę wyglądam! - Umilkła i zarumieniła się prześlicznie. - Od tygodni widzisz mnie bez tych wszystkich ozdóbek, prawda? Więc przynajmniej ty nie powinieneś ślinić się na mój widok!

Zdumiewające! Kate nie *kryła*, że lubi być *podziwiana* i że przywykła do urzeczonych męskich spojrzeń. Aż tu nagle nie życzy sobie jego zachwyty... a przynajmniej nie w tradycyjnej formie. Bardzo, bardzo interesujące! powtarzał sobie w duchu.

- Zdumiało mnie twoje tempo. Nie mówiąc już o tym, że szlag mnie omal nie trafił, że napchałaś do walizek niepotrzebnych fałdachów zamiast czegoś użytecznego. Na przykład zwoju linki w dobrym gatunku.

- Nie będę z tobą dyskutować - odparła wyniośle. - Sam się przekonasz, co jest użyteczne, a co nie!

Trzej mężczyźni - dwóch brodatych i nad podziw barczystych dokerów i jeden wysoki i chudy frant w grafitowym garniturze, wywijający ozdobną laseczką - stanęli jak wryci na widok Kate, powodując potężny zator w ruchu pieszym na terenie portu. Kate obdarzyła każdego z nich olśniewającym uśmiechem. Pochlebiała im, przypawiła ich o rumieńce, a równocześnie (o dziwo!) utrzymała nowych wielbicieli na właściwym dystans.

- Powinni cię wcielić do korpusu dyplomatycznego. I to dawno! - mruknął Jim pod nosem. - Obeszłoby się bez tego cholernego zamieszania na Filipinach.

- Co tam mamrociesz?

- Nic takiego. - Ujął ją energicznie za łokieć i odholował od grona adoratorów, które tymczasem wzrosło do pięciu sztuk. - Musimy usunąć cię stąd, nim zaczną się krwawe zamieszki.

Kate wyglądała olśniewająco, ale Jim nie był wcale pewien, czy odpowiada mu to nowe wcielenie. *Jego* Kate uganiała się razem z nim po morskim brzegu. Tylko on oglądał ją i podziwiał. A ta elegantka? Przecież to prywatna własność doktora Goodale'a! A raczej (poprawił się w duchu Jim) ta Kate, która być może pozwoliła nielicznym łudzić się, że ją poznali i coś dla niej znaczą... ale w rzeczywistości nigdy do nich nie należała, nie ukazała im swojej prawdziwej twarzy, tylko odgrywała przed nimi perfekcyjnie opracowaną rolę.

Jego Kate... ? pomyślał oszołomiony i nie na żarty zaniepokojony. Od jak dawna zaczął ją uważać za swoją? Na szczęście uświadomił sobie w porę, że to nie była jego Kate i nigdy nią nie będzie. Ona była „swoja własna” i tylko skończony kretyn mógłby nie przyjąć tego do wiadomości.

- Nie martw się - odpowiedziała. - Już mnie tu nie ma! - Odwróciła się twarzą do przystani. - Poczekasz jeszcze chwilkę?

- Na co?

- Na mnie. Muszę załatwić to i owo.

- Nie mamy za wiele czasu. „Władca mórz” odpływa za dwie godziny.

Potrząsnęła głową i złoto jej włosów rozbłysło jak bezcenny skarb.

- To nie potrwa długo!

Trwało jednak znacznie dłużej, niż przewidywała. Wejście na statek okazało się fraszką, ale dotarcie do kapitana prawie niemożliwością. Doprawdy, czy wypada „pierwszemu po Bogu” włączyć się diabli wiedzą gdzie? Nie powinien tkwić u steru?! Przecież zaraz wypływają w morze! Wszędzie było pełno ludzi, miotali się we wszystkie strony. Na pokładach był zbity tłum pasażerów, reporterów, dygnitarzy i robotników portowych, nadal ładujących niezbędne zapasy. Nic dziwnego, że nim Kate załatwiła swoje sprawy i zbiegła po trapie, Jima już nie było.

Nie miała czasu rozglądać się za nim. Zawahała się tylko na sekundę i pospiesznie wbiegła znów na pokład.

I tak oto Kate siedziała w swojej kajucie na sofce w stylu Ludwika XIV (tak ślicznej, że można jej było wybaczyć nawet to, że jest zwykłą podróbką) i zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Rozpakować rzeczy? Odświeżyć się przed wypłynięciem w morze? Rozpocząć poszukiwania następnej wskazówki, która mogła znajdować się dosłownie wszędzie na tym monstrualnie wielkim okręcie?!

Kate tak już przywykła do tego, że Jim wiecznie nią komentuje (nieistotne, czy spełniała jego rozkazy, czy nie), że jego nieobecność zbijała ją z tropu - jakby podczas występu orkiestry któryś z instrumentów spóźnił się ciągle o jeden ton.

Nagle drzwi otworzyły się i wszedł Jim, przemoczony do nitki, w mokrym ubraniu klejącym się do jego postaci, która wydawała się jeszcze potężniejsza w ciasnej kajucie niż na wolnej przestrzeni.

- Nie kap mi tu słoną wodą na dywan! - ofuknęła go Kate. - Chcesz go zniszczyć jeszcze przed rozpoczęciem rejsu?! Co za niewybaczalne marnotrawstwo!



- No to rzuć mi jakiś ręcznik, dobrze?

Niedbale cisnął na podłogę swój plecak, równie mokry jak on, i otrząsnął się jak pies, skrapiając całe wnętrze morską wodą.

- Na litość boską! - zirytowała się Kate.

Podbiegła do ozdobnej szafki, przyśrubowanej do ściany kajuty obok porcelanowej umywalki, wyciągnęła z niej gruby biały ręcznik i cisnęła nim w Bennetta.

- Teraz już rozumiem, czemu wiecznie sypiasz w namiotach! Po prostu nie potrafisz uszanować porządnie urządzonego wnętrza!

Pospiesznie wytarł głowę ręcznikiem, po czym zawiesił go sobie na szyi. Trzymając każdy koniec w jednej ręce, spojrzął na Kate spod spadających mu na oczy ciemnych, mokrych kosmyków.

- Coś robiła tyle czasu? - spytał.

- Przede wszystkim czekałam na ciebie.

- Na mnie?!

Tak się zdziwił, że uśmiechnęła się mimo woli.

- Podejrzałam (i słusznie!), że taki drobiazg jak brak biletu nie powstrzyma cię od wejścia na pokład. - Spojrzała znacząco na kałużę wody u jego nóg. - Chociaż gdybyś miał do mnie trochę zaufania, mogłabym cię tu wprowadzić... wygodniejszą drogą.

Jim wzruszył ramionami.

- Trochę ruchu dobrze mi zrobiło.

- Jakim cudem odnalazłeś mnie tak szybko?

- Wyobraź sobie, kochanie, że wystarczyło posłuchać przez chwilę gadaniny dwóch majtków. Twoje pojawienie się na pokładzie „Władcy mórz” wywołało sporo szumu.

- Jak to miło, gdy nas ludzie dostrzegają!

- Mhm... - mruknął z wystudiowaną obojętnością i pośpiesznie omiótł wzrokiem wnętrze kajuty.

- Ładnie tu.

- Istotnie.

Była to jedna z najmniejszych kajut pierwszej klasy - kapitan Dupree ogromnie się z tego powodu sumitował - ale znakomicie wyposażona. Łóżko można było bez trudu złożyć i kajuta zamieniała się w czarujący salonik, jakby żywcem wzięty z któregoś z uroczych francuskich *chateaux*. Nie brakło też nowoczesnych wygód, jak kurki z gorącą i zimną wodą, dyskretne oświetlenie elektryczne oraz przycisk, za pomocą którego można było

natychmiast wezwać stewarda. Tak przynajmniej zapewniał ją kapitan.

- Ho, ho! Cóżes mu obiecała za te wszystkie luksusy?

- Jim! - Ta drwina przeszła ją boleśnie jak szybkie i pewne pchnięcie miecza. Jak on śmiał, po tym wszystkim...

- Przepraszam. - Postąpił o krok ku niej i wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć. Z mankietu ściekała mu woda. Skrzywił się i zatrzymał w miejscu. - O Jezu, Kate... Tak mi przykro! Naprawdę przykro! Samo mi się jakoś wyrwało. To idiotyzm, wiem! Ale wyglądałaś zupełnie jak...

- Niewierna żona doktora Goodale'a? - odpowiedziała zdławionym głosem.

- Ja...

Urwał i zacisnął szczęki.

W ciągu kilku ostatnich tygodni - zauważyła w myśli - nauczył się wreszcie zamykać w porę gębę!

- Nieważne! - zbagatelizowała sprawę, zastanawiając się, czemu aż tak ją to zabolalo. Nie powinno! Nigdy jej nie obchodziło, co myślą inni, chyba że ich opinie miały bezpośredni wpływ na jej sprawy. Ale wtedy, w pieczarze, Jim dał się tak łatwo przekonać... I miała wrażenie, że naprawdę jej uwierzył. Takim zaufaniem nie obdarzył jej dotąd nikt, oprócz siostr... To wzruszyło Kate, natchnęło nadzieją...

Mogłabyś wreszcie zmądrzeć! ofuknęła się w duchu. Facet ma po prostu szybki refleks! Nie znudziło ci się stawianie mu kapliczek?!

- Zresztą, naprawdę zawdzięczam to wszystko - wskazała okrągłym gestem wewnątrz kajuty - doktorowi Goodale'owi. Może słyszałeś o jakimś Emile Marcilu?

- A któż o nim nie słyszał?! Potentat bankowy, kolejowy, stocznioowy... Nawiasem mówiąc, właściciel tego pięknego statku.

- No właśnie! A poza tym stary znajomy doktora Goodale'a? I mój.

- Dawny wielbiciel - poprawił.

- No, może... Coś w tym rodzaju.

Dużo by dała, żeby dowiedzieć się, co kryje się za obojętną miną Jima. Niewielu mężczyzn potrafiło ukryć przed nią swe prawdziwe uczucia, zwłaszcza jeśli poświęciła nieco czasu i wysiłku na rozszyfrowanie ich. To, że Jim nadal pozostawał dla niej

zagadką, na przemian doprowadzało ją do bezsilnego gniewu i budziło w niej ogromną ciekawość.

- Marcil wybrał się oczywiście w dziewiczy rejs „Władcy mórz” i od pewnego czasu bawi w Nowym Jorku. Rad jest z rozgłosu, jaki uzyskał jego statek, odgrywając istotną rolę w Wyścigu Stulecia. I był zachwycony, że może mi zaoferować miejsce na pokładzie „Władcy”.

- I tak oto znika ze sceny moja asystentka, Katie Riley?

- Skądże znowu! Emilowi pochlebiło, że dopuściłam go do sekretu, i przyrzekł, że go nie zdradzi. Nawiasem mówiąc, podczas rejsu będziesz odgrywał rolę mego wiernego sługi. Marcil znalazł i dla ciebie kajutę. Bez takich wygód jak ta, oczywiście. Trzeciej klasy. Ale z pewnością będzie ci znacznie wygodniej, niż gdybyś bawił się w pasażera na gapę i ukrywał w jakimś zakamarku ładowni. Że już nie wspomnę o tym, że zagnaliby cię do palenia w kotłach, gdybyś został wykryty.

- Świetnie się składa, że nie będę miał takich problemów, co? Zwłaszcza że zostanę oczywiście tu, razem z tobą.

Cała pewnośc siebie Kate ulotniła się. *Łóżko... Drzwi... Jim... Nieuniknione kłopoty!*

- Co takiego?!

- Czemu się tak rzucasz? Sypiamy ze sobą od Bóg wie kiedy...

- Doskonale wiesz, że nie sypiam z tobą!

- No więc jak to określisz?

- Ja tylko...

Miłosierny przeciągły ryk syreny okrętowej rozdarł powietrze i ocalił Kate od wyjaśniania czegoś, co ani rusz nie dało się wyjaśnić.

- Coś mi się zdaje, że odpływamy - stwierdził Jim. - Chcesz wyjść na pokład?

- Chyba nie powinniśmy przepuścić takiej okazji, prawda?

A zwłaszcza nie powinniśmy zostać tu sami, na brzegu przepaści, do której należy zbliżać się bardzo ostrożnie, a najlepiej omijać z daleka! dodała w myśli.

- Właśnie!

Podał jej ramię, z którego nadal kapała woda. Kate przez chwilę zastanawiała się, czy to zdecydowane potwierdzenie Jima odnosiło się do obecności na pokładzie w chwili odjazdu.

- Nie przebierzesz się?

- W co?

- O Boże...

Chciała mimo wszystko wesprzeć się na ramieniu Jima, ale trudno się było na to zdecydować. Ostatecznie ściągnęła rękawiczki i rzuciła je na mały stolik z marmurowym blatem, po czym wsunęła dłoń pod jego ramię. Było zimne, a okrywający je materiał tak przemoczony, że nie stanowił żadnej bariery. Przełknęła z trudem ślinę.

- Gotowa? - spytał.

- Gotowa - potwierdziła.

*Gotowa... ale na co? zastanawiała się. Czyżby na wszystko... ?*

Oglądali to widowisko z lewej burty, czyli od strony portu. Był to szaleńczy, radosny festyn, zarówno na pokładzie, jak w porcie. Nieprawdopodobny ścisk, deszcz konfetti i serpentyn, podniecenie tłumu. Po chwili, ponieważ wygląd Jima mógłby wywołać komentarze nawet na balu przebierańców, dyskretnie przemknęli się w prawo, na sterburtę.

Było tu niemal pusto. Znaleźli sobie kącik na najniższym poziomie, tuż przy rufie. Spoglądali spokojnie na fale rzeki, podczas gdy reszta pasażerów tłoczyła się wpatrzona w nowojorski port.

Jim oparł łokieć na mahoniowej balustradzie i z nieodgadniwym wyrazem twarzy przyglądał się rzece.

- Początek kolejnej podróży - odezwała się Kate. - To dla ciebie chleb powszedni, nieprawdaż?

Nie odzywał się tak długo, że Kate zwątpiła, czy doczeka się odpowiedzi.

- Tak.

Ta samotna sylaba tylko zaostrzyła jej ciekawość.

- Planujesz już następną wyprawę? Zaraz po zakończeniu wyścigu?

- Nie.

Najwyraźniej nie był w nastroju do zwierzeń. Ale czy coś takiego mogło ją powstrzymać?

- Z pewnością coś ci już chodzi po głowie! Myślisz o jakimś miejscu, do którego chciałbyś wrócić, albo o jakimś, którego jeszcze nie odwiedziłeś?

Miała nadzieję, że tym sposobem sobie również wbije do gło-

wy, iż Jim zaraz po wyścigu wyruszy co sił w nogach do jakiegoś zapadłego kąta, którego sama nazwa odstraszyłaby ją niezawodnie. A kiedy skutecznie wbije to sobie do głowy, nie pozwoli, by wyobraźnia znów ją poniosła.

Po raz ostatni rozległa się syrena i na przeciwległej burcie podniósł się radosny wrzask. Z głębi kadłuba dobiegł pomruk potężnych maszyn parowych i okręt odsunął się o kilka cali od zajmowanego dotąd stanowiska.

- Powinnaś tam wrócić - Jim ruchem brody wskazał jej przez ramię przeciwległą burtę. - Szkoda tracić takie widowisko!

Kate oderwała wzrok od wody za burtą i nie spojrzawszy nawet na swego towarzysza, omiotła wzrokiem statek.

- Naprawdę imponujący, prawda? Będzie gdzie szukać następnej wskazówki!

Jim mruknął coś wymijająco.

- Chyba wezmę się od razu za poszukiwania - oznajmiła. Nie było sensu dalej ciągnąć Jima za język. - Po co zwlekać?

- Doskonale.

- Idziesz ze mną? - spytała.

- Polowa okrętu dla ciebie, reszta dla mnie. Wybierz sobie, którą chcesz.

Zirytowana Kate niecierpliwym krokiem przebiegła przez pokład. Jim starał się na nią nie patrzeć, ale mimo woli zerkał w tamtą stronę. Mój Boże! Jak ta kobieta umiała się ruszać! To zakolysała biodrami, to kiwnęła kuperkiem... Gdyby płynność i zmysłowość ruchów kobiecych poddano ocenie z zastosowaniem punktacji, Kate miałyby maksymalne notowania w skali światowej.

Tkwiał jednak nadal przy relingu, wpatrując się w wodę. Dobrze wiedział, że Kate niczym sobie nie zasłużyła na taką opryskliwość z jego strony, ale on... on po prostu nie mógł jej nic zaproponować po zakończeniu wyścigu. Czemu do kobiet nie dochodzi, kiedy mężczyzna nie ma im nic do powiedzenia? Lepiej, że Kate połapała się już teraz. Od samego początku wiedział, że się wycofa. Zawsze to robił. A jeśli tym razem wyruszy na poszukiwanie nieznanego z balastem bolesnych wspomnień, no to cóż? Będzie musiał jakoś to znieść, nieprawdaż?

Takie było jego życie. Niekończąca się tułaczka. Nie znał innego losu, nie był stworzony do czego innego. A jeśli nawet ni-

gdy nie osiągnął w pełni tego, do czego nieustannie dążył, to jeszcze nie powód, by zaniechać poszukiwań!

Wokół wielkiego statku tłoczyły się łodzie, pełne przedstawicieli władz miejskich, reporterów, poszukiwaczy wszelkich sensacji... „Władca mórz” z trudem posuwał się w tym ścisku; będzie tak płynął powoli i ostrożnie, póki rzeka i Zatoka Hudsona nie opustoszeją.

Jim położył płasko obie dłonie na gładkiej balustradzie i pochylił się ku wodzie, obserwując jej powolny, ledwie dostrzegalny ruch. Nagle ktoś zaatakował go od tyłu z taką siłą, że Bennett trzasnął klatką piersiową o balustradę i omal nie wyleciał za burtę. Uczepił się kurczowo relingu, zginając instynktownie kolaną, dzięki czemu punkt ciężkości jego ciała znacznie się obniżył, nie grożąc nieuchronnym wypadnięciem za barierkę. Wtedy jednak czyjeś ręce znów walnęły go w plecy, usiłując zmusić do wyprostowania się. Jim odruchowo dźgnął barkiem w przytłaczające go cielsko i podważyłszy je, uniósł nieco do góry. Napastnik, który włożył wszystkie swe siły w pchnięcie, które miało Bennetta przerzucić przez reling, sam stracił równowagę i wyleciał za burtę.

- Ooooo... och!

Wrzask sprawił, że Kate przybiegła cwałem Z podkasaną spódnicą. Jim nie miał pojęcia, że potrafi rozwinąć takie tempo. Zerknęła za burtę i od razu napadła na Jima.

- Tyś go wyrzucił za burtę?!

- Wręcz przeciwnie. To *on* usiłował wyrzucić mnie. Ja tylko pozwoiliłem działać siłom ciężenia.

Wzdłuż burty wisiało mnóstwo kół ratunkowych. Jim chwycił pierwsze z brzegu, ujął mocno koniec długiej linki, na której było uwiązane, zamachnął się i rzucił eksnapastnikowi.

- Ależ... ależ... - Kate znów przechyliła się przez balustradę, darząc Jima widokiem czarująco wypiętego tyłeczka; najwyraźniej chciała sprawdzić coś, w co nie mogła uwierzyć. - Przecież to major... major... No, jak mu tam, do licha?!

- Major Huddleston-Snell.

Głowa majora podskakiwała na falach. Ramiona młóciły wodę. Widać było, że porusza wargami, i Jim poczuł perwersyjną ciekawość, jakie komplementy pod jego adresem płyną z ust przeciw-

nika. Koło ratunkowe przepłynęło tuż za zasięgiem rąk nieszczęsnika, więc Jim wciągnął je z powrotem, w kilku susach znalazł się przy burcie dokładnie na wprost topielca i rzucił po raz wtóry. Kiedy major je pochwycił, Jim wypuścił z rąk koniec linki.

- Ma chłop szczęście, że statek nie ruszył jeszcze pełną parą, co? - zauważył pogodnie.

- Ależ... ależ... on może utonąć!

- Gdzie tam! Któraś z łodzi wyłowi go raz dwa! Jakiś reporter będzie miał przynajmniej o czym pisać.

Jak na potwierdzenie jego słów, najbliższa pływająca jednostka, lśniący od mahoniu spacerowy jacht, pruća już fale, zmierzając ku majorowi.

Kate spojrzała na Jima z buzią otwartą ze zdumienia; musiał się uśmiechnąć. Była zaszokowana jego postępkami.

- Jak mogłeś...?

- Coś mi się zdaje, że nie będzie więcej wyłamanych stopni, skradzionych map i złośliwie odczepionych łódek.

- Hmm... Naprawdę tak myślisz?

- Założę się o każdą sumę! Zręczny sabotaż to specjalność naszego majora. Nieraz tego doświadczyłem na własnej skórze.

*Och, Kate! Daj mi tylko szansę - wszystko w nim krzychało - a przyprawię cię o równie mocny szok... tylko znacznie, znacznie przyjemniejszy.*

Ale Kate nie da mu tej szansy. Co by jej z tego przyszło? Może wyjść za kogoś takiego... takiego jak Emile Marcil. Po co miałyby kompromitować się przelotnym romansem z podstarzałym awanturnikiem, który nie ma jej nic do zaoferowania prócz kilku zajmujących anegdot i pokrytych kurzem osobliwości? Z człowiekiem, który zniknie z jej życia równie nagle, jak się w nim pojawił?

Westchnął i skoncentrował się na jedynej sprawie, która ich łączyła.

- Wspomniałaś coś o przeszukaniu statku... ?

- Widziałaś już to?

- Co takiego?

Kate odłożyła szczotkę do włosów i odetchnęła dwukrotnie - równo, spokojnie - nim odwróciła się twarzą do Jima. Kiedy widziała go po raz ostatni, spieszył na poszukiwanie sali gimnastycznej. Kate postanowiła rozpocząć zwiedzanie statku od utrzymanej w stylu mauretańskim palarni, która na razie była jeszcze pusta. Kate nie znalazła tu nic godnego uwagi, a jeden z obsługujących *foyer* stewardów (w workowatych spodniach i fezie ze złotym chwaścikiem) nie zjawił się na posterunku. Oświadczył kategorycznie ciekawskiej pasażerce, że palarnia przeznaczona jest wyłącznie dla mężczyzn. Kobiety nie mają tu wstępu.

Kate wróciła do swej kajuty, by odświeżyć się przed obiadem. Przez cały czas spojrzenie jej przykuwał plecak Jima, brudny i wystrzępiony intruz, upchnięty byle jak pod złożone krzeselko i nie pasujący do stylowego wnętrza, podobnie jak ciągle jeszcze wilgotne ubranie, które Jim Bennett rozwiesił na oparciu.

Widok tych przedmiotów wprawiał Kate w zakłopotanie. Tak już przywykła do podróżowania w niekonwencjonalny sposób, tylko we dwoje z Jimem, że zapomniała niemal o zasadach obowiązujących w przyzwoitym towarzystwie. Ale ten statek stanowił jakby miniaturkę jej dawnego świata, który stał się dla niej taki odległy... Opuszczając swą kajutę, spoglądała niemal z lękiem na tłum otaczających ją ludzi, wścibskich i skorych do osądzania innych. Sama już nie wiedziała, do którego świata należy... do którego należą *oboje*.

Jim jednak, w odróżnieniu od niej, czuł się tu zupełnie swobodnie.

- Zobacz sama - odpowiedział na jej pytanie i cisnął na stół złożoną gazetę.



- A cóż to takiego?

- Najnowsze wydanie „Sentinela”. Mają ich pokaźny zapas w bibliotece. Poczytaj sobie!

Ujęła w dwa palce egzemplarz gazety. Była tak złożona, by zwrócić uwagę czytelnika na jeden z artykułów.

## **Każdy ma swoje sekrety**

### **Relacja anonimowego reportera**

*Wielka impreza, zwana Wyscigiem Stulecia, jest dziś na ustach wszystkich.*

*Stała się tematem niezliczonych anegdot. Obrosła legendą. Słuchamy z zapartym tchem opowieści o triumfach i rozczarowaniach zawodników, o ich żelaznej determinacji i ofiarach, jakie gotów jest ponieść każdy, kto dąży do bogactw i sławy.*

*Najbardziej jednak - naszym zdaniem -pasjonujące studium stanowią żywi ludzie, uczestnicy Wyscigu Stulecia. Biorą w nim udział wybitne indywidualności, światowa czołówka giętkich umysłów i niezłomnych charakterów. Badacze i odkrywcy, którzy widzieli i przeżyli to, o czym my, zwykli śmiertelnicy, rzadko ośmielamy się marzyć.*

*Ile niezwykłych wspomnień pozostawili w ostępach dżungli czy na szczytach niedostępnych gór? Wiemy o ich przeżyciach jedynie to, co sami zechcą nam powiedzieć. Jak bowiem szukać naocznych świadków ich triumfów i porażek w krainach tak odległych od naszej cywilizacji?*

*Ale oto trafił do naszych rąk klucz do jednej z tych pasjonujących tajemnic! Pragniemy podzielić się z Wami, drodzy Czytelnicy, nieznaną dotąd opowieścią. Jej bohaterką jest jedna z najbardziej sławnych i poważanych uczestniczek Wyscigu Stulecia.*

*Każdy lubi miłosne historie, prawda? Poznajcie zatem dzieje pewnej miłości. Niestety, miłości niekonwencjonalnej. Potężnej. Zabronionej. I dlatego właśnie okrytej tajemnicą.*

*Pani Anna Latimore od dawna uchodzi za niedościgły wzór dzielnej i niezależnej kobiety. Przed piętnastu laty owdowiała w tragicznych okolicznościach. Dżungla nad Amazonką odebrała jej na zawsze męża. Zginął podczas ekspedycji naukowej śmiercią godną podróżnika i uczonego. Wszyscy dobrze znamy tę historię.*

*Jej dalszy ciąg jest równie budujący: wdowa podejmuje dzieło małżonka i kontynuuje je w podziwu godny sposób. W trudnym, ofiarnym, samotnym życiu wspiera ją niezłomnie serdeczna przyjaciółka, panna Camelia Dooley. Drugą osobą, na którą nasza bohaterka może zawsze liczyć, jest wierny sługa, Chińczyk Ming Ho. Również i tę część historii dobrze znamy.*

*Ale na tym opowieść się nie kończy. Jest jeszcze trzecia część. Nikomu nie znana, ale chyba warto się z nią zapoznać. Bohaterowie pozostają na scenie, ale zaskakująco zmieniają swe kwestie, styl gry i maski!*

*Ming Ho debiutował w roli wiernego sługi, ale nie ograniczył się do niej.*

*Anna Latimore owdowiała, ale nie wytrzymała we wdowieństwie zbyt długo.*

*Autor niniejszego artykułu odkrył pilnie strzeżoną tajemnicę Anny Latimore: jej życie osobiste nie skończyło się ze śmiercią małżonka. Co więcej, **pani Latimore nie jest już panią Latimore.** I to od dawna!*

*Dwanaście lat temu wyszła za mąż po raz wtóry. Ceremonia ślubna odbyła się w małej kapliczce misyjnej (dziwnym trafem wzniesionej na skraju bezlitosnej dżungli, która uśmierciła jej pierwszego małżonka). Anna Latimore poślubiła w tajemnicy swego służącego. Chińczyka Ming Ho.*

*I tak oto wkroczyła na ścieżkę kłamstwa...*

- O, Boże, nie!... Jak oni śmieli?! - Kate uniosła znad gazety zatrwożone oczy i napotkała poważne spojrzenie Jima.

- Wiem, kochanie, wiem. Przeklęte pismaki! Pewnie do tej pory zdążyli już to rozplakatować na całym wschodnim wybrzeżu! Podali swoim czytelnikom na talerzu, z posmaczkami sensacji, ze wszystkimi szczegółami dla ciekawskich, najbardziej osobiste sprawy tych dwojga. A przecież nikt nie ma prawa wtykać w nie nosa, jeśli oni sobie tego nie życzą!

- Ja też nie jestem lepsza... - kajała się Kate. - Od razu poleciałam z językiem do ciebie! Nie mogłam się doczekać...

- To wcale nie to samo - pocieszał ją Jim.

- Nie to samo? - powątpiewała zatroskana.

- Oczywiście że nie! Natknęłaś się na nich przypadkiem. Nie

śledziłaś ich ani nie podpatrywałaś. I nie powiedziałaś nikomu oprócz mnie, prawda?

- Pewnie, że nie! - Zmarszczyła brwi. - Chciałeś się upewnić?!

- Nic podobnego! - Widząc, że nadal marszczy czoło, powtórzył: - Nie, Kate, naprawdę nie! Nigdy bym nie uwierzył, że to ty wypaplałaś ich tajemnicę.

Skinęła głową, przyjmując jego zapewnienie.

- Ale ona pomyśli, że to ja! - Podbiegła do drzwi i już z ręką na klamce obejrzała się na niego. - Jim... ?

- Dwa pokłady niżej. Kajuta czterdzieści trzy.

Pani Latimore znajdowała się dokładnie tam, gdzie wskazał Jim: w niewielkiej ale wygodnej kajucie drugiej klasy. Pierwszą odpowiedzią na stukanie do drzwi było stanowcze: - Proszę stąd odejść! - wygłoszone przez pannę Dooley.

- To my: Katie Riley i lord Bennett!

- Proszę odejść!

- Nie, nie, bardzo proszę! - Kate wymieniła niespokojne spojrzenia z Jimem. - Błagam, ja naprawdę muszę porozmawiać z panią Latimore!

Panna Dooley pospiesznie uchyliła drzwi i dała im znak, by nie marudzili.

- Nie grzebcie się! Szybciej!

Pani Latimore w swoim tradycyjnym uniformie w kolorze khaki siedziała wyprostowana na wąskiej koi. Tym razem jednak Ming Ho znajdował się u jej boku, obejmując ją swobodnie ramieniem w talii. Ubrany w ciemnoniebieski luźny kaftan i workowate spodnie Chińczyk był niższy od żony co najmniej o trzy cale. Ale wcale; jego postawie, w sposobie, w jaki pochylał się ku niej i osłaniał ją, było widoczne, że nie jest służącym, lecz mężem tej kobiety. Zachowywali się tak naturalnie, że Kate dziwiła się, iż od razu nie dostrzegła łączącej ich więzi.

- Czytaliście artykuł? - spytała bez ogródek pani Latimore.

-Tak.

- Podobnie jak wszyscy. - Pokiwała głową. - Takie ukrywanie się jest całkowicie sprzeczne z moim charakterem. Ale kiedy nie wiedząc o niczym chcieliśmy wejść na statek... ci reporterzy... oni po prostu...

- Rzucili się jak sępy - stwierdził Ming Ho. Nie obejmował

już żony w pasie, lecz gładził ją uspokajająco po plecach. - Musieliśmy ukryć Annę i pannę Dooley w skrzyni i przemycić je na statek jako część ładunku.

- A pan? Jak pan dostał się na pokład?

- Ming Ho jest bardzo... pomysłowy, zwłaszcza w trudnych sytuacjach - powiedziała pani Latimore z istic żoniną dumą. - Czy oni jeszcze tam są?

- Większość reporterów została wpuszczona na pokład tylko po to, by opisać ceremonię wyjścia w morze. Od dawna już ich tu nie ma. Ale widziałem, rzecz jasna, Hobsona. Może kręci się tu jeszcze dwóch albo trzech innych. I to wszystko - odparł Jim.

- Wobec tego nie powinniśmy mieć z nimi większych problemów - orzekł Ming Ho i Kate uwierzyła mu bez zastrzeżeń.

- Ale mogą być problemy z innymi pasażerami - powiedziała cicho panna Dooley. - Zdarzyło się dokładnie to, czego próbowaliście uniknąć przez te wszystkie lata. Wścibskie spojrzenia, krzywdzące sądy, głupie komentarze, wtykanie nosa w cudze sprawy!

Twarz panny Dooley przybrała zawzięty wyraz.

Kate wzdrygnęła się.

- Tak mi przykro, pani Latimore! Może to moja wina... nie przypuszczam, ale... Idąc tutaj głowiłam się, czy przypadkiem nie zdradziłam się jakimś słówkiem, wyrazem twarzy, ale...

Pani Latimore podniosła raptownie głowę i spojrzała na Kate przymrużonymi oczyma.

- Pani o nas wiedziała?

- No, tak... - przyznała Kate. - Od tamtej nocy, kiedy pani nas zaprosiła do swego obozowiska. A raczej od następnego ranka. Widziałam was oboje... - Poczerwieniała ogniście. - To znaczy... było od razu widać, że jesteście sobie bardziej bliscy, niż wszyscy sądzą. Nie wiedziałam, rzecz jasna, żeście się pobrali, ale... - Urwała. - Im bardziej chcę wszystko wyjaśnić, tym gorzej się gmatwam!

- Owszem, ale tak się przy tym ślicznie rumienisz - pocieszył ją Jim.

- Jak mi będziesz tak pomagał, zapłaczę się zupełnie! Tak czy inaczej, pani Latimore, jeśli nie daj Boże zdradziłam wasz sekret, proszę wierzyć, że nie miałam takich intencji! Przysięgam!

- Pewna jestem, że to nie pani wina - odparła Anna Latimore. -

I w gruncie rzeczy nie ma chyba większego znaczenia, kto to zrobił.

- Dla mnie to *ma* znaczenie! - stwierdziła zapalczywie panna Dooley. Kate nigdy by nie podejrzewała jej o tak gwałtowne emocje.

- Dla mnie również - oświadczył Ming Ho. - A tego pisma-ka, co spłodził ten... ten...

- Kochanie... - Pani Latimore uspokajającym gestem położyła dłoń na kolanie męża. - To naprawdę nie ma już znaczenia. Może nawet lepiej się stało, że wszystko wreszcie wyszło na jaw.

- O tym powinnaś ty zdecydować - odparł. - Brutalnie wy-darto nam tajemnicę. Ograbiono nas z prywatności!

- Zbyt długo zwlekałam z wyjawieniem prawdy - powiedzia-ła. - Byłam wielką egoistką, wymagając od ciebie wiecznego uda-wania, byle nie ucierpiała moja kariera!

- Nic mi się nie stało - powiedział miękko.

Kate pomyślała: *Mój Boże, to właśnie to!* To, czego nigdy nie przeżyła i nigdy już nie dozna. Czego wyrzekła się przed laty, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co traci. To była miłość - czysta, szczerza, chwytająca za serce... Kate ośmieliła się zerknąć ukradkiem na Jima i spostrzegła, że wpatruje się w nią z natęże-niem pociemniałymi, nieodgadnionymi oczyma. Jej ból jeszcze się wzmógł.

Tylko nie jego... ! Nie jego! Nie mogła go przecież pokochać. Nie była aż tak głupia! Pospiesznie odwróciła się w inną stronę.

- A ja uważam, że tak! - zaprotestowała pani Latimore.

- Jakie państwo macie teraz plany? - spytała Kate.

- Zamieszkamy na małej wysepce w pobliżu Borneo. Nikogo tam nie będzie obchodziło nasze małżeństwo. Tym bardziej że jesteśmy obcy, nie stanowimy dla nich żadnego zagrożenia. Bę-dziemy uprawiać cynamon i gałkę muszkatołową i cieszyć się, że jesteśmy razem.

- Pani rezygnuje z dalszej kariery? - spytała zdumiona Kate.

Uważała za niewiarygodne, by łowcy przygód zmienili tryb ży-cia. Na przykładzie zmarłego męża widziała, jak głęboka jest ta-ka więź. Dawne życie tak weszło doktorowi w krew, że nie był w stanie przywyknąć do spokojnej egzystencji w cywilizowanych warunkach i rozpaczliwie tęsknił za powrotem do dziczy i głuszy.

- Tak! - Pani Latimore uśmiechnęła się szeroko. - Jak tylko wygramy ten wyścig, ma się rozumieć!

Przez następne dwa dni Jim radził sobie całkiem nieźle z unikaniem Kate. Oczywiście, nieraz czuł pokusę, by zamiast odwrotu przystąpić do ataku. Wyrażna konsternacja Kate na wieść, że zamierza zakwaterować się w jej kajucie, równocześnie ubawiła Jima i ubodła jego dumę. Strasznie go korciło, by dokuczać współlokatorce ile wlezie.

Mówiąc jednak szczerze, Jim przede wszystkim nie ufał sobie, gdy Kate była w pobliżu. Nie był w stanie myśleć, planować, opierać się pokusom ani podejmować decyzji. W ogóle nie był zdolny do niczego, co wymagało pracy mózgu. Ten organ po prostu przestał mu funkcjonować, albo - jeśli funkcjonował - to jego polecenia były niezwłocznie anulowane wskutek sprzeciwu reszty ciała. I wówczas Jim zapominał, że nie mógł Kate nic obiecać, a zaofiarować jeszcze mniej.

Tak więc przez dwa dni jakoś sobie radził. Zaczynał dzień od nurkowania w okrętowym basenie (w stylu łaźni pompejańskich). Potem na sali gimnastycznej mocował się z każdym przyrządem, który mu się nawinał pod rękę. Spędził sześć godzin, pełzając wokół każdego z dwudziestu pięciu okrętowych bojlerów w poszukiwaniu ukrytych wskazówek. Nic nie odkrył, ale spocił się i upaśćkał sadzą za wszystkie czasy. Trafił do pokoju karcianego i spędził znaczną część wieczora i niemąłą nocy, obserwując uważnie pozostałych uczestników wyścigu. Może któryś z nich nie zdoła ukryć triumfalnego uśmiechu lub w jakiś inny sposób zdradzi, że odkrył następną informację? Jim przezwyciężył nawet osobistą odrazę do Charliego Hobsona i postawił mu whisky w nadziei, że coś wydobędzie z tego płaza.

A gdy późną nocką wracał do kajuty, zmęczony jak nieboskie stworzenie, pozwalał sobie przez jedną jedyną minutę wpatrywać się w Kate, zwiniętą w kłębek na swojej koi, z włosami rozsypanymi po poduszce, uśmiechającą się leciutko przez sen, zanim umościł sobie legowisko na dywanie (który w dotyku był znacznie mniej aksamitny niż na oko) i próbował zasnąć.

Każdego ranka oboje wymieniali kilka słów, niewyraźnych, pospiesznych i niezręcznych, choć starannie przemyślanych.

Kate również była wiecznie zajęta. Przebadała w znajdującej się na rufie szklarni wszystkie doniczki roślin ozdobnych i jarzyn hodowanych na użytek kuchni okrętowej. Nie przepuściła nawet cherubinkom, stanowiącym ozdobę kolumn w trzypoziomowej, krytej szklanym dachem, głównej sali jadalnej: poszturchiwała je bez ceremonii! Przetrzęsnęła również ozdobione złotymi chwaścikami draperie w salonie dla pań.

Tej nocy Jim postanowił zrobić sobie wolne. Do diabła z wyścigiem! Nikt z konkurencji także nie mógł się dotąd pochwalić żadnym odkryciem. Tego był pewien.

Najwyższy pokład stał się ulubionym schronieniem Jima. Jakoś prawie nikt tu nie zaglądał. Na niższych pokładach było cieplej i wygodniej: osłonięto je od wiatru, zaopatrzone w leżaki i koce. Tylko najwięksi zapaleńcy odwiedzali kort tenisowy, usytuowany między dwoma głównymi kominami, decydując się na pół godzinę szczykania zębami, by zażyć ulubionego sportu. W dodatku z najwyższego pokładu nie było dobrego widoku na morze: zasłaniały go łodzie ratunkowe, przytroczone mocno do relingu.

Z wszystkich tych względów tuż przed siódmą wieczór Jim miał górny pokład dla siebie. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Oparł się plecami o przewód wentylacyjny i obserwował, jak łupkowo szare chmury przemieszczają się po niebie. Miał wrażenie, że są pełne niepokoju, który i jego dręczył. Jim nie przepadał za morskimi podróżami. Każdy statek (nawet ten pływający pałac) wydawał mu się małym więzieniem na wielkim przestworze wód. Korzystał więc z transportu morskiego tylko wtedy, kiedy musiał, na przykład udając się na punkt startowy kolejnej wyprawy. Wtedy jednak był pochłonięty czekającym go wyzwaniem i nie miał czasu na żadne fobie.

Musiał jednak uczciwie przyznać, że jego obecny niepokój ma niewiele wspólnego z podróżą na okręcie czy z Wyścigiem Stulecia, za to bardzo dużo z Kate.

Kątem oka dostrzegł z prawej strony jakiś trzepoczący na wietrze materiał. Niech to wszyscy diabli! zaklął w duchu. Nie chciał dzielić z nikim swojej ulubionej kryjówki.

Smukła dziewczęca postać stała oparta o reling, stawiając czoła wichurze. Szaty w kolorze ciemnej czerwieni, przetykane złotą nicią, spowijały ją od stóp do głów. Fałdy trzepotały na wietrze

jak proporce zawieszono wysoko na masztach. Była to, bez wątpienia, jedna z żon azjatyckiego księcia, choć damy te widywano bardzo rzadko od chwili, gdy spędzono je wszystkie razem, szczelnie zasłonięte, na pokład „Władcy mórz” w dniu rozpoczęcia rejsu. Wieść głosiła, że owe żony spożywały posiłki w zarezerwowanych dla nich apartamentach, a wszystkich drzwi strzegli imponująco umięśnieni strażnicy, wyposażeni w równie imponujące miecze. Od czasu do czasu można było tylko przelotnie ujrzeć którąś z tych dam, prowadzoną na żądanie księcia do jego apartamentów.

Dziewczyna odwróciła się nagle twarzą do Jima, jakby coś w jego pobliżu przyciągnęło jej uwagę. Z głowy zsunął się jej cienki jedwabny szal i ukazały się rozpuszczone ciemne włosy. Była bardzo młoda, stanowczo za młoda na żonę - księcia czy nie księcia. Jej śliczna twarz rozjaśniła się uśmiechem, gdy spojrzała w kierunku schodów, jakby oczekując na przyjście kogoś z niższego pokładu.

I nagle uśmiech zamarł na jej twarzy. Na schodach zadudniły ciężko kroki jakiegoś mężczyzny, który skierował się wprost do niej. Był to bez wątpienia jeden ze strażników. Potężnie zbudowany, ciemnoskóry i łysy.

Ho, ho! pomyślał Jim. Szykują się kłopoty!

Żadne z nich nie dostrzegło chyba jego obecności. W porównaniu ze strażnikiem dziewczyna wydawała się jeszcze drobniejsza. Jego ogrom i groźna postawa miały z pewnością wzbudzać strach. Dziewczyna powiedziała coś do niego. Jim dostrzegł ruch jej warg, ale wiatr zagłuszył słowa. Olbrzym potrząsnął głową. Wówczas młoda kobieta spieszenie wyminęła go i skierowała się ku schodom, a on ruszył za nią.

Przemknęła tuż obok Jima. Przez sekundę widział jej twarz. Wydawała się uosobieniem pogodnego spokoju, słodką, prześliczną, beznamietną wizją o gładkiej skórze i miękkich wargach. Jednak oczy jej lśniły od łez.

I nagle rozdzieliła ich postać strażnika. Jim mógł już podziwiać tylko jego potężny kark i plecy, nim oboje znikli mu sprzed oczu, wszedłszy na prowadzące na dół schody.

Jim poczuł, jak prężą się jego mięśnie. Musiał sobie wytłumaczyć, że pójście za tym dwojgiem nie miałyby sensu. Cóż mógłby



zrobić? Dziewczyna zapewne nie znała angielskiego. A choćby nawet zdołali się porozumieć, nie wyznałaby przecież nieznanemu, co ją trapi, jeśli coś ją istotnie trapiło. A już zupełnie bezsensowne byłoby zaatakowanie tej niezlomnej bariery, jaką był jej strażnik. Mimo to Jim trochę żałował, że przepadła mu okazja do wyładowania na kimś bezsilnego gniewu i rozpierającej go nerwowej energii; jedno i drugie doprowadzało go do szału.

Zerwał się na równe nogi. Najchętniej popędziłby na salę gimnastyczną i pastwił się bezlitośnie nad workiem treningowym, ale zapewne nie byłby tam sam. W tym momencie zresztą nie miał ochoty niszczyć przedmiotów martwych, tylko przyłożyć porządnie istocie ludzkiej. Wszystko jedno komu, byle znalazł się pod ręką. Prawie żałował, że uniemożliwił rejs na „Władcy mórz” majorowi. Huddleston-Snell idealnie się nadawał na work treningowy!

Ostatecznie Jim doszedł do wniosku, że bieg dobrze mu zrobi. Po kilku okrążeniach górnego pokładu pozbędzie się wrażenia, że zaraz trzaśnie. Może nawet zdoła zasnąć, mimo że Kate będzie pod bokiem?

Jakieś 80-90 okrążeń całego statku powinno wystarczyć.

Zimny wiatr szczypał w policzki i mroził płuca. Jim rad był ze srogości wichury: krew szybciej pulsowała mu w żyłach. Cały ten wyścig był zbyt stabilny jak na jego gust, za mało ambitny, projektowany raczej z myślą o wścibskich reporterach niż o zawodnikach szukających prawdziwego wyzwania.

Kończył już okrążenie, wrócił niemal na dawne miejsce, gdy rzuciła mu się w oczy jakaś para stojąca przy relingu. Ponownie zaklął w duchu. Zwiedzanie górnego pokładu zaczyna wchodzić w modę, psiakrew. Niedługo będzie tu tłoczno jak w głównym salonie!

Dwoje intruzów stało blisko siebie, z pochylonymi głowami. Żadne nie zauważyło, gdy do nich podszedł.

I wówczas zobaczył, kto to taki.

Czując się wyjątkowo głupio, ukrył się za przewodem wentylacyjnym i zerkał zza tej osłony, podglądając równie bezczelnie jak każdy z tych wrednych pismaków.

Kate znowu wystroiła się w koralową suknię z jedwabiu. Zrobiła jednak coś z dekoltem, gdyż za zasłoną zwiewnej koronki

można było teraz dopatrzeć się bardzo interesujących szczegółów. Towarzyszący Kate hrabia Nobile, wyższy od niej zaledwie o parę cali, odziany był w szacowną czerń, od której jedyne odstępstwo stanowiła śnieżnobiała chustka na szyję.

Jim wpatrywał się w Kate. Śmiejąc się, odrzuciła głowę do tyłu. Hrabia ujął jej rękę i złożył na niej lekki, absolutnie poprawny pocałunek. Jim zacisnął pięści tak mocno, że krew odpłynęła z palców.

Dość tego! Ruszył ku nim, lecz spostrzegł, że Kate potrząsa głową. Hrabia złożył oficjalny ukłon i skierował się ku schodom. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, Kate obróciła się w stronę przewodu wentylacyjnego.

- Możesz już wyjść! - zawołała.

Wiatr zaatakował Jima natychmiast, gdy tylko wynurzył się ze swego schronienia. Kate stała na tym wydmuchu nie okryta nawet szalem! Jim ściągnął marynarkę i zarzucił jej na ramiona.

- Dziękuję - powiedziała. Musiał przysunąć się bardzo blisko, by dosłyszeć te słowa.

- Od jak dawna wiesz, że tu jestem?

- Czy to ważne?

Jasne, psiakrew! Nawet bardzo ważne, jeśli odprawiła tego arystokratycznego bubka tylko dlatego, że dostrzegła obecność Jima.

- Milutko wyglądaliście: główka przy główce...

Uśmiechnęła się lekko.

- Trzeba naprawdę stanąć główka przy główce, jeśli chce się cokolwiek usłyszeć. Z pewnością sam to zauważyłeś.

A jakże, zauważył niejedno. I to, że wiatr rozwichrzył jej włosy, a potem odrzucił je do tyłu, odsłaniając linię szczęki i szyję z boku. I to, że jego marynarka sięga Kate prawie do kolan. Zastanawiał się, czy ubranie zachowało w sobie ciepło jego ciała i czy Kate je wyczuła. Zauważył również, że gdyby postąpił jeszcze o krok, ich ciała by się zetknęły i resztką jego rozsądku uleciałyby z wiatrem.

- No więc... wyglądaliście jak para dobrych przyjaciół.

Przechyliła głowę na bok. Na jej ustach igrał zagadkowy uśmiezek, jakby wiedziała coś, o czym Jim nie miał pojęcia.

- Basilio snuł bardzo interesujące domysły na temat tego, gdzie zakończy się nasz wyścig. Doszłam do wniosku, że warto go posłuchać.

Zbył to nieartykułowanym pomrukiem.

- Poszukajmy jakiegoś cieplejszego miejsca - zaproponował.

- Czuję się tu wspaniale! - Jej uśmiech stał się jeszcze wyraźniejszy. Jim miał wrażenie, że żołądek podskakuje mu i opada jak statek na falach. - Lepiej niż wspaniale!

- Czyżby?

Poczuł, jak prężą mu się mięśnie ramion. Jeśli ten włoski fałszywiec miał coś wspólnego z jej wspaniałym samopoczuciem, już on mu...

- Wiesz co? - Kate zebrało się na zwierzenia. - Zdecydowałam się na udział w wyścigu częściowo z przekory. Chciałam udowodnić siostrze, że nie miały racji, namawiając mnie na spotkanie z przygodą.

Podeszła do niego bliżej. Woń jej perfum, słodka i ulotna, zmieszała się ze słonym zapachem morza. Jimowi gardło się ścisnęło, a tembr głosu nieco podwyższył.

- Naprawdę?

- Mhmmm... - odgarnęła kosmyk włosów z policzka. (Pragnął powiedzieć, by się nie fatygowała: on ją chętnie zastąpi!) - A tuż przed odjazdem Emily powiedziała mi coś jeszcze...

Wiatr wyszczypał jej kolory na policzkach. Oczy Kate jaśniały księżycowym światłem. Były pełne tajemnic...

- ... coś jeszcze?

- Tak. Przybyłam tu, by udowodnić, że są głupie, a ich zachwalanie przygody to wierutna bzdura! Ale Emily upierała się, że takie doświadczenie bardzo mi się przyda. Że powinnam zorientować się, na co mnie stać, i odkryć, czemu zamierzam poświęcić resztę życia. Byłam pewna, że jest w błędzie! Ale muszę przyznać, że miała trochę racji...

Jim stracił wątek. Jak mógł uważnie słuchać i robić sensowne uwagi, gdy Kate była tak blisko... ?

- Rozważyłam tę sprawę bardzo dokładnie. I doszłam do wniosku, że i druga sugestia Emily zasługuje w pełni na realizację.

- Doprawdy? - Jego myśli płynęły leniwie, jakby wypił co najmniej pół butelki whisky. Tylko że obył się bez alkoholu. Zupełnie wystarczyła Kate. - A co ci sugerowała?

- Zdaniem Emily - wyjaśniła Kate bez pośpiechu - powinnam przeżyć wielki romans.

## 18

- Romans? - wykrztusił.

- Właśnie.

Zabiję go! pomyślał Jim, obierając bez namysłu najprostszą drogę.

- I co ty na to, Jim... ? - spytała niepewnie.

No dobrze. Nie zabije go. Ale okaleczy... O, tak. To będzie w sam raz!

- Więc masz zamiar, z tym hrabią... ?

- Z hrabią? - potrząsnęła głową. - Z żadnym hrabią! Z tobą.

Tak był zajęty projektowaniem wszystkich krwawych zabiegów, dzięki którym Kate nie będzie miała z hrabiego Nobile większego pożytku, że nie od razu do niego dotarło, o czym ona mówi. Z tobą.

Ze mną?!

- Kate... ?

- Dajże spokój! Nie jesteś chyba aż tak zaszokowany?

Białe światła pozycyjne statku zapłonęły nagle. Ich blask oślepił ich na chwilę. Zdolność widzenia powracała stopniowo. Najpierw ujrzeli się nawzajem, a potem, gdy to najważniejsze już się ukazało ich oczom, wypłynęła z niebytu reszta świata.

- Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdybym się zdecydowała na hrabiego. Nieskomplikowany, sprawny, doświadczony... Całkiem rozsądny wybór, nieprawdaż? - Dotknęła przelotnie szczęki Jima; zapiekło żywym ogniem. - Ale coś mi się zdaje, że w takich sprawach mało kto kieruje się rozsądkiem. Cóż z tego, że mój logiczny umysł wyraźnie podsuwa mi hrabiego, kiedy cała reszta mojej istoty upiera się przy tobie?

- Przymnie... ?

A taka byłam go pewna! zdumiewała się ponuro Kate.

Tak starannie rozważyła wybór... I z pewnością nie tylko kobieta próżność podszeptowała jej, że i ona nie jest Jimowi obojętna. A jednak... Był taki nieruchomy i blady, jakby światła pozycyjne odbarwiły kompletnie jego skórę.

- Tak, ciebie - powtórzyła o wiele mniej pewnym głosem.

Nieoczekiwanie chwycił ją za nadgarstek.

- Jim... ?

- Idziemy! - Wydawał jej się wielki jak wieża, gdy pociągnął ją ku schodom i nagle się zatrzymał. - Nie, to za daleko!

- Co za daleko?

Rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie.

- Masz pojęcie, ile stąd pokładów do twojej kajuty?!

Rozejrzał się badawczo dokoła, jakby czegoś szukał, po czym ruszył w stronę relingu, wlokąc za sobą Kate jak wojenną brankę.

- Jim... ?!

Łodzie ratunkowe, starannie zablokowane, zwiisały jedna obok drugiej po zewnętrznej stronie burty. Jim odpiął rzemyk brezentowej płachty, okrywającej szczelnie jedną z nich, i odrzucił impregnowane płótno. Przelazł przez balustradę i wślizgnął się do środka szalupy.

- Właż!

- Co takiego?!

- Kate - stwierdził kategorycznie - za pięć sekund zabiorę się do ciebie na całego. Jeśli nie chcesz, żeby do tego doszło tu, na pokładzie, gdzie każdy może nas zobaczyć, rusz tę swoją zabójczą dupcię i właż do łodzi!

Z uśmiechem oparła obie ręce na relingu. I wtedy właśnie błysnęła jej morska toń. W dole. W odległości wielu pięt.

- Jim?

- Nie ma się czego bać. Wszystko idealnie zabezpieczone; inaczej szalupy łomotałyby o burtę przy każdej nowej fali.

Wyciągnął rękę do Kate, jakby jej pomagał wysiąść z powozu.

Próbowała sforsować reling, ale spódnica jej zawadzała.

- Trzy... cztery... - wyliczał bezlitośnie Jim.

- Chwileczkę!

Podkasała spódnice i halki. Ukazał się spory kawałek nózki w koronkowej pończosze.

- Czarujący widok.

Kate spróbowała spiorunować go wzrokiem, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Uniosła nogę, przełożyła przez reling... i zamarła.

- No, chodź!

Objął ją w pasie i uniosł bez wysiłku, jak piórko. Cały świat fiknął koziołka - i nagle stała znów prosto, oparta plecami o Jima, próbując zachować równowagę, gdy okręt się pochylił, a łódź ratunkowa zatrzeszczała. Żołądek podszedł Kate do gardła, ale raczej skutkiem nagłego ruchu, a nie lęku. A najpewniej z powodu bliskości Jima, który obejmował ją w talii, i z oczekiwania na to, co się tu będzie działo, gdy „zabierze się do niej na całego” za kilka sekund.

W łodzi nie było żadnych ławek, tylko pokryte deskami dno, z obu stron raptownie przechodzące w ściankę boczną; na krawędzi burty umocowano wiosła.

- No i co teraz? - spytała.

W odpowiedzi Jim położył się na wznak na dnie łodzi. Potem pociągnął Kate, tak że wylądowała na nim, w powodzi falbanek, pękając ze śmiechu. Na koniec sięgnął po brezentową płachtę i zaciągnął ją nad ich głowami. Znaleźli się nagle w ciemności, jakby wewnątrz wielkiego kokonu. Było tu ciepło, a wszystkie dźwięki (wycie wiatru, huk fal, dudnienie okrętowych maszyn) zlały się w przyciszony szmer, podobny do natarczywego szeptu.

- Jim...

- Ciii...

Jim leżał bez ruchu. Sekundy upływały i Kate poczuła, że odpręża się i wtapia w Jima. Czuła się bezpiecznie, mając pod sobą to solidne oparcie. Jej głowa spoczywała na ramieniu Jima, a gdy obróciła się ku niemu, jej nos wpasował się idealnie pomiędzy jego podbródek i szyję. Czuła zapach jego ciała: ciepły, męski, słonawy jak morze. W tym bezruchu i ciemności dominującym czynnikiem stała się fizyczna bliskość, zetknięcie ciał, najlżejszy choćby kontakt. Pierś Jima unosiła się i opadała z każdym oddechem; przyciśnięta doń plecami Kate wyczuwała najmniejszą zmianę. Jego uda stykały się z jej udami; były twarde jak stal, czuła to przez wszystkie warstwy halek i spódnicy.

Wyczuwała również coś pod swoją pupą... Może to tylko złudzenie rozigranej wyobraźni?

Jim nadal się nie poruszał, nie licząc nieznaczących przesunięć,

spowodowanych kołysaniem się statku. Jego bezruch stanowił kontrast z otaczającym ich nieprzerwanym rytmem i budził w Kate rosnące napięcie. To przedłużające się oczekiwanie doprowadzało ją niemal do szaleństwa.

- Jim?

Odgarnął jej włosy z szyi. Jego lodowato zimne palce przyprawiły ją o dreszcz. Kiedy zamiast nich dotknęły szyi jego gorące, rozchylone usta, zimny dreszcz zmienił się w dreszcz podniecenia.

Czas przestał dla niej istnieć. Ciemność otaczała ją bez względu na to, czy miała oczy otwarte, czy zamknięte. Jim rozkoszował się jej szyjką; gładził ją, lizał, ścisnął wargami i drażnił zębami delikatną skórę.

Obejmujące Kate w talii ręce cał po calu sunęły w górę, ku piersiom; zapierało jej dech, czuła zawrót głowy. Kiedy zaś objął obie rękoma, wyrwało jej się mimo -woli przeciągłe -westchnienie. Pod dotykiem jego rąk całe jej ciało rozgrzewało się i płonęło.

Ściągnął jej z szyi koronkowy szal, którym owinęła się, zakrywając zapięte na guziczki rozcięcia stanika sukni. Jego ręka wśliznęła się pod materiał, zakradła pod koszulkę, utrwaliła w jej pamięci.

Palce Jima rozgrzały się już, a ich szorstki dotyk sprawiał, że skóra ją rozkosznie mrowiła. Otwartą dłońią zataczał raz po raz kręgi wokół jej sutka, aż wyprężył się pod jego dotykiem.

Te ruchy sprawiły, że Kate przycisnęła mocniej siedzenie do bioder Jima; odruchowo uniosły się ku górze. Pospiesznie położył jej na brzuszku wolną rękę, dając znak, by się nie ruszała.

Ręce Kate leżały nieruchomo przy jej bokach. Teraz jednak przycisnęła je do bioder Jima. Dotknęła ich palcami. Ciało, na którym leżała, było sztywne jak deska, a muskuły równie twarde, jak miękkie było dotknięcie jego rąk. Jakby sprężył się cały, byle zachować delikatność dotyku.

Cofnął rękę leżącą na brzuchu Kate i przesunął nią po jej udzie, najdalej jak mógł. Powolotku podciągał do góry jej spódnice, cał po calu - ozdobiony koronką brzeg halki musnął kostki nóg, przesunął się po goleniach, pozostawił za sobą kolana, aż wreszcie fałdy delikatnego materiału zebrały się wokół jej talii. Kate poczuła nagle, że ubranie jej zawadza; stanowi przeszkodę, znienawidzoną barierę... miała jednak taki zamęt w myślach, że nie domyśliła się, co powinna zrobić z tym fantem.

- Kate... - szepnął Jim z ustami wtulonymi w jej szyję.

Myśli Kate rozwiewały się, ulatywały jak rzadniejąca mgła. Jim sunął ręką w górę jej uda. Czuła jego palący dotyk przez cienką bawełnę pantalonów.

Gdy dotarł do zbiegu ud i nakrył dłonią wzgórek łonowy, szarpnęła się pod tym dotknięciem. Ten gwałtowny ruch spowodował dziwne doznanie: przeszył ją ostry a jednak rozkoszny ból.

- Jeszcze nie teraz - powiedział Jim. Zaczekał, aż się uspokoiła; jej ciało stało się znów rozluźnione i uległe. Wówczas zaczął zataczać; kciukiem drażniące kręgi wokół najwrażliwszego punktu jej ciała: dostatecznie blisko, by podniecać, na tyle daleko, by nie zaspokoić.

Cały świat zmalał nagle dla Kate do rozmiarów pieszczącej ją ręki.

Potem - nareszcie! - Jim zaczął gładzić intensywniej jej obrzmiałe, wilgotne ciało. Wygięła się w łuk i uniosła ku niemu, z jej gardła wydobył się cichy jęk.

- Ciii... - Druga ręka Jima oderwała się od piersi Kate, by zasłonić jej usta. - Ktoś tu jest!

Kate zamilkła. Była jak odurzona. Docierały do niej jak przez mgłę nie powiązane ze sobą dźwięki: stukot butów, gwar męskich głosów.

- Kto to? - wymamrotała, choć ręka Jima zasłaniała jej usta; czuła na wargach szorstki dotyk stwardniałego palca.

- Nie wiem - szepnął jej do ucha.

Nawet powiew wilgotnego oddechu Jima wydał się jej podniecający. Wszystko, co miało z nim jakiś związek - najlżejsze dotknięcie, najmniejsza uwaga, stanowiło kolejną podniecie dla jej wyostrzonych do ostateczności zmysłów.

Rozległ się czyjś niski śmiech; dotarł do nich dym z papierosa.

- Załoga ma wolne - mruknął Jim.

Oboje znieruchomieli. Ręce Jima pozostały tam, gdzie były: jedna na ustach Kate, druga w najwrażliwszym zakątku jej ciała. Po chwili znów poruszył nią i Kate omal nie jęknęła.

- Ciii... - ostrzegł ją znowu Jim. - Jeszcze tu są.

Nie zaprzestał jednak rytmicznych dotknięć. W ciele Kate wzmagało się mrowienie. Jej biodra podjęły rytm.

- Ciii...



Otworzyła usta i dotknęła językiem zakrywającej je dłoni. Aż syknął.

Spokojnie! upominała Kate samą siebie. Spokojnie!

I wówczas dręcząca pieszczota jego palców nasiliła się jeszcze i Kate z trudem zdławiła narastający w niej krzyk.

Odwrociła głowę i chwyciła mocno wargami palec Jima. Poczwała, jak zeszytywniał na całym ciele. Musnęła swą zdobycz językiem i wciągnęła głębiej do ust.

W rewanżu druga ręka Jima zaczęła poruszać się coraz szybciej, coraz gwałtowniej.

Wytrzymaj! mówiła sobie Kate. Zaczekaj, aż oni sobie pójdą! Ale pomruk rozmów osób oddalonych od nich zaledwie o kilka stóp i lęk przed odkryciem miały tyle grzesznego uroku... przewyższyły wszystkie jej doznania. Nie myślała, że jest zdolna do takich emocji!

Jim ugryzł ją w ucho; poczuła lekki ból i miara się przebrała. Smak palca Jima w ustach, jego intymne wniknięcie w głąb jej ciała, kołysanie statku, dotyk zębów Jima, przymusowe milczenie... I Jim, zawsze Jim, tylko Jim - dawniej i teraz, we wspomnieniach i w rzeczywistości. Wszystko to narastało w niej, rozżarzone do białości, grożące wybuchem...

Uspokajała się powoli, od czasu do czasu przebiegało ją lekkie drżenie. Dotknięcie Jima stało się kojące, tak delikatnie całował ją w ucho... Kate czuła, że jakieś ciepłe fale unoszą ją w morze... Odprężyła się - zaspokojona, bezpieczna obok Jima. Nie miała nic do powiedzenia, nie decydowała o niczym. Po prostu dotarła tam, gdzie było jej miejsce.

Jakież to łóżko twarde... I nierówne: same góry i doły!

Kate niechętnie rozchyliła powieki. Nad samym nosem miała coś w rodzaju białej mgły... przeświecało przez nią jakieś światło... na białym tle pojawiły się czarne smugi...

I nagle wszystko jej się przypomniało.

*O, Boże... Dobry Boże!...*

Leżała na materacu, Jima. Jedna pierś całkiem jej wykypiała z dekoltu. Pod wpływem chłodnego powietrza sutek stwardniał. Spódnicę miała podkasaną do pasa, nogi rozrzucone, a ręka Jima... Ręka Jima nadal była tam, gdzie nie powinna. Jak tylko Kate sobie to uprzytomniła, ciało zaczęło ją palić i poczuła mrowienie.

Zaszokowana wciągnęła gwałtownie oddech.

- A, obudziłaś się! - wymamrotał Jim.

Wspomnienia paliły ją żywym ogniem. Spróbowała usiąść, chciała wyrwać się stąd, ale brezentowa płachta uniemożliwiła ucieczkę. Jim objął ją mocniej ramieniem w pasie i stanowczym ruchem przyciągnął znów do siebie. Jego druga ręka pozostała na dawnym miejscu: widoma oznaka ich intymności, jakby byli od lat kochankami i miał prawo dotykać jej, gdzie chciał i kiedy chciał. Ogarnęło ją upokorzenie, w dziwny, niejasny sposób zespolone z kolejną falą namiętności.

Jęknęła i znów spróbowała się podnieść.

- Zaczekaj, pomogę ci!

Okazał się bardzo sprawny: ukrył jej pierś wewnątrz stanika, wygładził koronkę przy dekolcie, obciągnął jej spódnice. Była już przynajmniej przyzwoicie okryta, choć nadal znajdowała się w kompromitującej pozycji.

- Która godzina? - spytała szeptem.

- Nie wiem. Wczesnie rano. Bardzo wczesnie. - Odchylił płachtę z jednej strony. - Zerknij no i sprawdź, czy nikt się tu nie płacze!

Kate usiadła (na ile to było możliwe w ograniczonej przestrzeni), naciskając przy tym mocniej pupą na jego miednicę. Jak to wspaniale brzmiało: „namiętny romans"! Jakoś nigdy nie pomyślała o tym, jakie krępujące może być zakończenie upojnych chwil! Rozczochrane włosy, wymięte ubranie, ciała splecione w najdziwniejszych pozach... Ale mimo tych wszystkich niesmacznych szczegółów było to dziwnie podniecające...

Następnym razem - powiedziała sobie stanowczo - dam się ponieść namiętności w dużym, wygodnym łóżku!

- Chyba droga wolna - orzekła z pewnym wahaniem i czym prędzej wygramoliła się z szalupy ratunkowej. - Przepraszam! - rzuciła w odpowiedzi na bolesne „ojjj!”. Woląta nie dociekać, z jaką częścią ciała Jima zderzyła się w rym momencie.

Słońce właśnie wschodziło: wąski skrawek złotej tarczy rozświetlił szarozielone wody, nim zniknął znowu pod ołowianymi chmurami.

Kate rzuciła okiem na swoje ubranie, powiodła ręką po włosach i jęknęła.

- Muszę już iść! - stwierdziła, kierując się pospiesznie ku schodom.

- Wolnego! - Chwyć ją za łokieć. - Koniecznie chcesz na kogoś wpaść?

- Och! Nie, nie! Oczywiście!

Pociągnął ją i obrócił twarzą ku sobie. Nie podniosła na niego oczu. Nie mogła. Spódnicę miała wymiętą, spod spodu zwiisała odpruta widać od halki koronka.

- Przestań! - powiedział.

- O co ci chodzi... ?

Zdołała podnieść wzrok na wysokość jego piersi. Też był wygnieciony, koszulę miał całkiem zmiętą, a mimo to prezentował się znacznie lepiej niż ona. Trzy rozpięte guziki pozwalały dojrzeć szeroki klin muskularnej piersi. Kate zapragnęła nagle przytulić się do niej twarzą... albo jeszcze lepiej, schwytać ustami...

- Właśnie o to. - Uniósł jej podbródek i zmusił Kate, by spojrzała mu w oczy. - Przestań się wstydzić i zamartwiać! Tym razem nie robisz nic złego.

Włosy mu tak zabawnie sterczały... Na brodzie czerniała szczecinka zarostu. Miał podkrążone oczy i rozchełstany kołnierzyk.

Wyglądał cudownie!

- Zdrzemnąłeś się chociaż? - spytała.

- Na chwilę.

- O Boże! Drogo cię kosztowała ta przyjemność.

Zamknęła oczy.

- Zapłaciłbym znacznie więcej. Każda sekunda była tego warta.

Ręka Jima przeniosła się spod jej podbródka na policzek. Musnął kciukiem jej szczękę. Tak niedawno ta sama ręka, te palce... Wydało jej się, że czuje na nich zapach swego ciała. Kolana się pod nią ugięły.

- Muszę...

- Kate! - Nie zdołała mu się wymknąć. - Wyglądasz prześlicznie! Tutaj... - dotknął jej szyi - zadrapałem cię brodą. Twoje włosy - pogładził jej kołtun - spletały się, gdy miotając głową podczas orgazmu. A to wszystko... - Zadrżała, gdy powoli sunął palcem po jej szyi i niżej, aż do wycięcia stanika - jest w takim nieładzie, bo całkiem się zatraciłaś w moich pieściznach.

Głos Jima był cichy, gorący, jego słowa spływały jak krople roztopionego miodu.

- Ale ty nawet nie...

Wolała tego nie precyzować. Co też jej strzeliło do głowy, że liczyła na gładki, cywilizowany romans bez zobowiązań?! Ależ jej się dostał pasztet!

- Skąd wiesz?

- Co takiego?!

Podniosła raptownie głowę. Nie była co prawda... ekspertem w tych sprawach, ale mogłaby przysiąc, że coś takiego nie umknęłoby jej uwagi!

Jim roześmiał się.

- Dobrze już, dobrze! Masz rację. - Nie odcepił się od garderoby Kate i wygładzał bluzkę na jej piersi. Jego ręka wydawała się jeszcze ciemniejsza i bardziej męska w zestawieniu z jej kobiecymi okrągłościami. Taka męska, że zaparło jej wprost dech. - Mam nadzieję, że mi to wynagrodzisz.

- Wy... wynagrodzę... ? - wydukała.

- Sprawiedliwość tego wymaga - odparł z niesłychaną powagą.

Wydawał się niezwykle zadowolony z siebie. Niepokój Kate nieco zmalał.

- Zrobiłeś to naumyślnie?

- Kochanie, takich rzeczy nie robi się przypadkiem!

- Nie o to mi chodzi! - Policzki jej pałały, ale brnęła dalej, zdecydowana mówić o tym równie swobodnie jak on. - Z premedytacją powstrzymałeś się... żebym miała wobec ciebie dług wdzięczności! Żebym musiała... - Mimo najlepszych intencji nie mogła określić tego jasno i dobitnie. Taka wyrafinowana swoboda wymaga najwidoczniej dłuższej praktyki.

- Chcesz powiedzieć, że ja z całym rozmysłem... hm... odmówiłem sobie przyjemności, żebys nie mogła dziś rano strząsnąć z siebie wszystkich wspomnień i udawać, że nic się nie stało? Podejrzewasz, że umyślnie postawiłem cię w takiej sytuacji, byś czuła się zobligowana do wyrównania rachunku - i tym sposobem zapewniłem sobie jeszcze jedną wspólną nockę w najbliższej przyszłości?

Brzmiało to nieprawdopodobnie. A jednak...

- Tak.

- Myślisz, że mógłbym zrobić ci takie świństwo?

Nie bardzo jej to pasowało... zwłaszcza myśl, że znał ją aż tak dobrze, iż mógł z góry przewidzieć jej reakcje i oprzeć na nich

swoje plany... A ona, patrząc mu prosto w oczy (tak jak teraz), niczego by się nie domyślała?

- Kate...

Pochylił się ku niej i ich usta znalazły się niebezpiecznie blisko siebie. Wiedziała, że gdy tylko Jim ją pocałuje, wszystkie jej dobre intencje wezmą w łeb i na jego pierwsze kiwnięcie palcem wskoczy do łódki - bezwolna i bezbronna.

Wyślizgnęła się z jego uścisku i podeszła do burty, nadal zdumiewając się, jak zdołał skłonić ją, by weszła do łodzi bez słowa protestu. To było takie do niej niepodobne!

Łódź ratunkowa wydawała się z zewnątrz znacznie większa niż od środka. Brezentowa płachta była odchylona, widać było deski dna i...

- Jim... ? - Kate pochyliła się i zaczęła spieszenie odpinać pozostałe rzemyki, które przytrzymywały impregnowane płótno. Odwijająca brezent, wpatrując się w jego wewnętrzną stronę. Smugi, które dostrzegła na płótnie zaraz po przebudzeniu, okazały się liniami, grubymi, falistymi, tworzącymi rozpoznawalne gołym okiem kontury. - I co ty na to?!

Pochylił się i spojrzał jej przez ramię, wyciągając szyję, by objąć wzrokiem wszystko, do samego końca.

- Sądzę, że nic już nie stoi na przeszkodzie, byśmy przez resztę rejsu nie ruszali się z łódka.

## 19

Jim był jak najbardziej za tym, by szybko, acz starannie sporządzić kopię mapy, po czym udać się do kajuty Kate i przekonać się, co można osiągnąć, bazując na jej współczuciu i wyrzutach sumienia. Jednakowoż, gdy dotarli na paluszkach pod drzwi Kate, uchyliła je, przecisnęła się do wnętrza i oświadczyła, że musi doprowadzić się do porządku. Obiecała spotkać się z nim w „jadalni pod palmami” przy śniadaniu... i zostawiła go na lodzie, nim zdążył zaprotestować.

W tej sytuacji Jim dał szybkiego nurka do basenu, włożył czystą koszulę i pomaszzerował do „sali pod palmami”, by czekać tam na Kate.

W dalszym ciągu było tak wcześnie, że w jadalni panowały pustki. Sala tonęła w bladym świetle poranka, które wlewało się przez umieszczony wysoko świetlik. Zgodnie z nazwą jadalni, stały w niej w połączonych donicach dorodne palmy, których gałęzie sięgały niemal sufitu. Pod nimi rozstawiono dziesiątki stolików. Ściany pokrywały draperie z lśniącego różowego jedwabiu, rozsunięte tu i ówdzie, by można było podziwiać freski przedstawiające tropikalne ogrody. Ponieważ malowidła ujęto w rzeźbione złote ramy, patrzący miał wrażenie, że spogląda przez okna luksusowej willi do egzotycznego ogrodu. Posadzkę ułożono z płyt połyskliwego marmuru w złote żyłki.

Jim wybrał ustronny stolik w odległym kącie sali. Opadł na jedno krzesło, nogi oparł na drugim i przygotował się na dłuższe oczekiwanie. Każda kostka w jego ciele skarżyła się na udręki ostatniej nocy, w skroniach mu dudniło z braku snu - i czuł się tak wspaniale jak nigdy dotąd! Kate zdecydowała się zostać jego kochanką. Natknęli się przypadkiem na kolejną wskazówkę. Jeśli szczęście nadal im będzie dopisywać, nie wystawią nosa z kabiny przynajmniej przez cztery dni! Nie powetuje mu to, oczywiście, wszystkich tygodni (żeby nie wspomnieć o latach!) sfrustrowanej namiętności - ale zawsze była to cholernie miła perspektywa!

Kto wie, może jeszcze przytrafi się sztorm? Zatrzyma ich na morzu i opóźni lądowanie przynajmniej o jeden dzień. Jim zamierzał wykorzystać tę zwłokę w całej pełni.

Splótł ręce na brzuchu i rozsiadł się wygodnie. Śniadanie nie zawadzi! dumął. A potem...

- Cóż za ranny ptaszek!

Jasna cholera! Powinien był wiedzieć, że takie szczęście długo nie potrwa!

Hobson zatrzymał się z rozmysłem obok krzesła, które Jim wykorzystał w charakterze podnóżka. Ponieważ jego użytkownik ani drgnął, Hobson zagarnął krzesło stojące przy innym stoliku, postawił obok Bennetta i opadł na nie.

- Dwa ranne ptaszki - stwierdził z niesmakiem Jim.

- Cóż, takie jest życie reportera. „Kto rano wstaje... ” - Rozsiadł się wygodnie. - Rany boskie! Ależ pan złachany, milordzie!

- Dzięki za informację. Jak to miło, że zechciał mi jej pan udzielić.

- Zawsze do usług: informacje to nasza specjalność! - Jim zaczął snuć plany ucieczki. Bez większego trudu mógłby czmychnąć, ale gdyby minęli się z Kate, uwięzłaby tu z tym śmierdzącym pismakiem. - Nic dziwnego, że pan taki skonany. Udział w naszym wyścigu to bardzo ambitne wyzwanie!

- Istotnie. Prawie jak zdobycie Kilimandżaro.

- No, to już stare dzieje, nieprawdaż? - Hobson wyszczerzył się w przymilnym, fałszywym uśmiešku. Każdy z odrobiną oleju w głowie od razu mógł po nim poznać, z jaką gnidą ma do czynienia. - Może to i lepiej, że przechodzi pan na zasłużony wypoczynek.

Myślałby kto, że ten wredny dupek jest od niego choćby o dzień młodszy!

- Kto tu mówi o zasłużonym wypoczynku?

- Jak to, kto? - Twarz Charliego wyrażała współczucie, ale oczka płonęły mu wredną radością. - Wszyscy zakładamy z góry, że... Jakież wyrzuty sumienia musiały cię dręczyć, milordzie, po śmierci nieszczęsnego pana Wheelera!... Nie mówiąc już o tym, że trudno znaleźć sponsorów dla nowej wyprawy, gdy poprzednia zakończyła się taką katastrofą! No i, rzecz jasna, minął już rok, odkąd...

- Panie Hobson! - Kate biegła niemal ku nim, wymachując rękoma. - To bezczelność!

- Moje uszanowanie pani. Jaka znów bezczelność?

- Jak pan śmie oskarżać lorda Bennetta o spowodowanie tej tragedii?! Zaręczam panu...

Reporter zareagował niezwłocznie.

- Bardzo przepraszam, pani uczestniczyła w tamtej wyprawie? Zakładałem...

- Nie uczestniczyłam.

- Wobec tego, z całym szacunkiem, jak może pani za coś ręczyć? A tak się ciekawie składa, że inni uczestnicy tej wyprawy nie mogą czy też nie chcą wypowiedzieć się na temat tego, co się wówczas zdarzyło - dodał słodko. - Oczywiście, w moim zawo-

dzie często spotykam się z podobną reakcją. Z różnych względów naoczni świadkowie nie chcą się wywnętrzać. Choć jestem pewien...

- Panie Hobson! - przerwała mu Kate. - Do tego stopnia cierpi pan na brak tematu, że znów chce pan odgrzewać tę starą historię?!

W tej chwili dotarła do ich stolika; obaj panowie wstali. Kate zmierzyła Hobsona tak nienawistnym wzrokiem, że aż się cofnął i omal nie przewrócił krzesła.

- Wykonuję po prostu swoje obowiązki, panno Riley.

- Doprawdy? Myślałam, że zrobił pan sobie wakacje, jeśli jakiś anonimowy reporter zagarnął pańskie miejsce na tytułowej stronie „Sentinela!”

Kiedy jest wściekła, wygląda jeszcze piękniej, skonstatował Jim. Te rumieńce, te oczy ciskające błyskawice! A Hobson ma taką minę, jakby równocześnie chciał ją zaskarżyć o zniewagę i paść przed nią na kolana.

- W okrętowej bibliotece jest mnóstwo egzemplarzy, nie zauważył pan? Przyznam, że przeczytałam artykuł jednym tchem. Co jak co, ale pisać to on potrafi!

- Do każdego szczęście może się raz uśmiechnąć - odparł ponuro Charlie. - Ale stałe publikacje na równie wysokim poziomie to cecha reportera z klasą.

- W takim razie musi pan mieć pełne ręce roboty, panie Hobson - odcięła się Kate. - Nie będziemy zajmować panu cennego czasu, tym bardziej że chcę pomówić z lordem Bennetem. Bez świadków, pojmuje pan?

- Jak najbardziej. - Złożył oficjalny ukłon. - Zegnam państwa.

Skoro tylko Hobson po lśniącej posadzce dotarł do podwójnych drzwi jadalni i zniknął za nimi, Kate odwróciła się do Jima i spostrzegła, że obserwuje ją z dziwnym półuśmiechem.

- Zawsze tak reagujesz? - spytał.

- Jak reaguję?

- Jak lwica broniąca młodych. Skakałaś do oczu każdemu, kto spojrzał na twoje siostry?

Wygięła usta w żalonym uśmiechu.

- Chyba tak... A stare zwyczaje trudno wykorzenieć.

- Wspomniałaś chyba, że któraś z nich wyszła za mąż?



- Obie.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się szeroko. - Zdumiewające, że jakiś mężczyzna zdołał się zbliżyć do nich na odległość głosu!

- Zawsze potrafiły się wymknąć! - Westchnęła. - A ja wyraźnie tracę formę. Jeszcze miesiąc temu wystarczyłoby kilka miłych słów, jeden uśmiech i Hobson bez oporu ruszyłby w swoją drogę - i to w doskonałym humorze; nie miałyby pojęcia, że w ogóle coś było nie tak!

- Może nie tracisz formy, tylko cierpliwość?

- Całkiem możliwe. Wystarczy, że spojrzę na tego faceta, a diabli mnie biorą!

- Nie tylko ciebie. Doceniam twoją troskę, Kate, ale nie potrzebuję twojej pomocy.

- Naprawdę? - Przechyliła głowę tak, że dotknęła policzkiem jego dłoni. - Czy każdemu z nas od czasu do czasu nie przydałyby się czyjaś pomoc?

A ty, biedactwo, na czyją pomoc mogłaś liczyć? zadumał się Jim. Bardzo wątpił, czy doktor zawracał sobie głowę czymś takim.

- Ludzie zarzucali mnie pytaniami na temat śmierci Matta od mego powrotu z tamtej wyprawy - wyjaśnił. - Jestem znacznie wytrzymalszy, niż myślisz, i wścibstwo Hobsona nie skłoni mnie do zwierzeń.

- Ten pismak nie da za wygraną - ostrzegła go Kate. - Zwietrzył ciekawy temat.

- No, cóż... bo to naprawdę ciekawy temat. Tyle że nie w guście Charliego.

- Naprawdę? A co... - Urwała i zacisnęła wargi. - Przepraszam!

- On by nie mógł skłonić mnie do zwierzeń... ale ty chyba tak - powiedział, przysuwając się bliżej i obejmując ją w pasie.

Jak łatwo byłoby zatracić się w jego ramionach. Wmówić sobie, że spędzili razem tych dwanaście pustych lat... A może istotnie Jim towarzyszył jej przez cały ten czas? Nie w sensie fizycznym, ale zawsze!

- Chcesz się przekonać? - w głosie Jima brzmiała wyraźna zachęta.

- Czy to ma sens? - Kusiło ją ogromnie, i to z wielu względów... - Nie powinnam wtykać nosa w cudze sprawy.

- Więc moje sprawy są dla ciebie cudze?

Pozornie ton jego głosu był lekki, żartobliwy, nieco uwodzicielski... Wyczuła jednak kryjącą się za tym powagę. Jakby oboje badali grunt, sprawdzali, jak dalece do siebie pasują.

- A nie są? - spytała ostrożnie.

Ich spojrzenia spotkały się i zwały ze sobą. Oczy Jima były pełne napięcia, złotobrazowe, podobne do oczu lwa, którego ujrziała kiedyś w zoo. Kate dałaby wiele, by odkryć, co kryje się za tym spojrzeniem. Nie chciała jednak wyciągać Jima na spytki marnymi sztuczkami ani uwodzeniem. Jeśli zechce podzielić się z nią swymi wspomnieniami, niech zrobi to z własnej nieprzymuszonej woli. Ich związek nie mógł trwać długo. Zrozumiała to od pierwszej chwili. Jim nie lepiej pasował do jej wygodnego, wielkomięskiego życia niż ona do jego tułaczki po całym świecie.

Teraz jednak, gdy spoglądała na sprawę z perspektywy minionych dziesięciu lat, chciała mieć pewność, że cokolwiek ich połączy, cokolwiek się z nimi stanie, tym razem będzie oparte na szczerości i prawdzie.

- Zetknąłem się z Mattem w Brazylii wkrótce po tym, jak doktor musiał na dobre powrócić do kraju. Wyłowiłem chłopaka z rzeki, choć zawsze utrzymywał, że toczył właśnie pojedynek z krokodylem i wyraźnie brał nad nim górę, gdy wtrąciłem się bez potrzeby w ich sprawę - wspominał Jim z ciepłym uśmiechem. - Byłem akurat w drodze do Manaus. Matt nie miał nic oprócz pociągu do przygód i mnóstwa entuzjazmu. Kiedyś doktor podał mi rękę i wziął pod swoje skrzydła. Pomyślałem, że powinienem zrobić tyle samo dla tego chłopaka.

Zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt nad głową Kate. Pomyślała, że wrócił w przeszłość i przeżywa znów dni, gdy obaj z Mattem byli młodzi, nieulekli i mieli cały świat u stóp.

- Jaki on był?

Jim uśmiechnął się.

- Zabawny. Może ci się wydaje, że to niewielka pochwała, ale kiedy przebywa się z kimś bez przerwy kilka miesięcy, nieraz w paskudnych warunkach, czyjaś wesoła mina ma olbrzymie znaczenie.

- Wyobrażam sobie!

- Byłem... Byłem wtedy o wiele za poważny. A Matt niczego

nie traktował serio. Impulsywny jak diabli! Uważał, że ryzyko jest po to, żeby je podejmować, a życie po to, żeby go używać, a nie zamartwiać się nim.

Kate odchyliła się do tyłu i poczuła, że ramię Jima obejmuje ją w pasie, powstrzymując od upadku. Żałowała, że w tej pozycji nie może obserwować wyrazu jego twarzy: coraz gorętszego spojrzenia oczu, drżenia ust. Był zbyt wysoki, stal zbyt blisko. Do jej świadomości docierały tylko nie powiązane ze sobą ułamki obrazów: skurcz przebiegający przez szyję Jima, gdy z trudem przełykał ślinę... nagłe zaciśnięcie szczęk, nim znów się odezwał...

- Do wszystkiego podchodził w ten sposób. Z May też ożenił się na łapu-capu, dwa tygodnie po tym, jak się poznali. A nim minął miesiąc, ona była w ciąży, a on wybierał się do Konga. Wrócił do domu, jak mówił, w samą porę: cztery godziny przed tym, jak zaczęła rodzić.

- Jego żona nie miała mu za złe, że tak ją opuścił? - Kate nie mogła wprost w to uwierzyć. Próbowała sobie wyobrazić ich oboje z Jimem w takiej sytuacji: są tuż po ślubie (to akurat wyobraziła sobie bez trudu). I nagle on macha jej na pożegnanie i wyjeżdża do jakiegoś egzotycznego, niebezpiecznego kraju...

Prędzej by go przykuła łańcuchem do nogi łóżka, niż puściła za próg!

- Pewnie niezbyt ją to ucieszyło... Ale co mogła na to poradzić? Matt nigdy jej nie obiecywał, że się zmieni. Pomyślała widać, że lepiej mieć Matta od czasu do czasu niż wcale. Od początku wiedziała, w co się pakuje.

Serce się jej ścisnęło z bólu i współczucia.

- Zawsze lepiej wiedzieć, co nas czeka.

Ale pogodzić się z tym? Pojęła nagle, że to musi być o wiele cięższe.

- W ten sposób przeżyli dziesięć lat; z tego razem spędzili najwyżej dwa i dochowali się dwojga dzieciaków. A z Matta był nadal taki raptus i ryzykant jak dawniej. Ciągłe mi wytykał, że za dużo główkuję. - Objął ją mocniej ramieniem i przycisnął do piersi. Druga ręka zakradła się na tył głowy Kate i pozostała tam. Pod samym uchem miała serce Jima i czuła jego pewne, miarowe bicie.

Przygarnął ją jeszcze mocniej. Kate miała wrażenie, że jest dla Jima ostatnią deską ratunku, której chwyta się kurczowo. Zabrakło jej tchu. A niech tam! Komu zależy na oddychaniu?!

- Mówiłem mu, cholera jasna, że ta lodowa powłoka wygląda mi nie dość solidnie. W każdej chwili może pod nami trzasnąć. Nie powinniśmy spieszyć się bez potrzeby ani głupio ryzykować. Ale Matt nie mógł się doczekać, żeby mi udowodnić, że nie mam racji.

Głos mu drżał. Tak lekko, że chyba nikt prócz Kate nie zauważyłby tego.

- Dlaczego nikomu o tym nie wspomniałeś? Po co było robić z tego tajemnicę?

Potarł brodą o czubek jej głowy.

- A cóż by to dało? Po co rodzina Matta miała się dowiedzieć, że ten lekkoduch nawet się nie zastanowił, co się z nimi stanie, jeśli nie będzie ostrożny?

A jeśli cały świat uzna, że wszystkiemu był winien Jim, to w porządku? pomyślała Kate. O ileż byłoby łatwiej, gdyby nie dowiedziała się, ile w nim dobroci! Tak ją to ujęło za serce, tak skomplikowało plany... No cóż, wiedziała, że ich związek nie ma przyszłości. A jeśli jej serce nie chce w to uwierzyć, tym gorzej dla serca!

- Jim... ?

- Hmm?

- Twoje pieniądze... te z funduszu ekspedycyjnego i te z wydawnictwa, za twoją książkę... Oddałeś wszystko rodzinie Matta, prawda?

Długa chwila, która upłynęła, nim odpowiedział na jej pytanie, była bardziej wymowna od słów Jima.

- One mu się należały. Byliśmy współnikami.

Kate objęła go jeszcze mocniej.

- Nie przywiązuj do tego za wiele wagi - ostrzegł ją. - Powiniennem być wziąć go bardziej za łeb i powstrzymać. Wiedziałem, jaki on jest... i dopuściłem do nieszczęścia, skończony idiota!

Obróciła głowę tak, że mogła dotknąć go ustami. Wyczuwała rozchyłonymi wargami szorstkość jego koszuli, żar okrytego nią ciała, uderzenia pulsującego w jego wnętrzu serca.

- Oni mieli dzieci, Kate.

- Hmm...

Ocierała się o niego nosem, wdychając zapach Jima. Potem wspięła się na palce, by ugryźć go w szyję. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

Kate!

Ogromnie się jej spodobał sposób, w jaki wymówił jej imię: jakby to był sekret, który mu wydarła... Jakby to było wino burzące się w nim, przepełniające go, tryskające z niego...

- Tak... ? - wyszeptła, tuląc usta do jego skóry.

- Chodź...

Nieoczekiwanie odsunął ją na odległość ramion.

- Co... ?

Przycisnął palec do jej ust, nakazując milczenie. Równocześnie zmrużonymi oczyma wpatrywał się w coś ponad jej ramieniem.

Kate odwróciła się, ale nie zobaczyła nic oprócz fresków udatnie naśladowujących okna oraz lśniących draperii. I nagle Jim odsunął ją na bok i zaatakował zasłony. Rozsunął je i wywłókł bez ceremonii drobną postać w powłóczystych białych szatach.

Syn emira wrywał się z więzących go rąk. Zapłatał się niestety w swe fałdziste szaty, co utrudniało jego wysiłki, ale mimo to wywijał się i wykręcał; spod fałdzistej szaty wystrzeliła nawet noga w ciężkim bucie i omal nie kopnęła Jima w goleń. W końcu Bennett wziął po prostu oponenta za kark i cisnął na najbliższe krzesło.

Młokos nadal wierzgał nogami spod swego całunu, wymachiwał rękoma i najwyraźniej zamierzał wyprysnąć z krzesła.

- Nie radzę - ostrzegł go Jim. - Jestem od ciebie większy i szybszy. Choćbyś nawet jakimś cudem zdołał przemknąć obok mnie, i tak cię dopadnę. Więc jeśli nie jesteś gotów wyskoczyć za burtę, żeby się ode mnie odczepić, nawet się nie fatyguj.

Chłopak skulił się w krzesle. Luźne fałdy zawoju całkiem przesłoniły mu twarz. Mimo obszernych szat widać było, jak wąskie ma ramiona. Wydawał się taki mały i taki młody...

- Jim, po co te kazania? - odezwała się Kate. - On pewnie nie rozumie ani słowa!

- Moim zdaniem rozumie aż za dobrze.

Błyskawicznym ruchem - jak uderzenie atakującej kobry - Jim ściągnął z głowy chłopca fałdzisty zawój.

Gęste kasztanowate włosy, wilgotne od potu i przyklepane pod wiecznie noszonym zawojem, przylegały ściśle do głowy. Miał kościstą twarz i niezgrabną postać młodzieniaszka, który dopiero co wyrósł z dzieciństwa. Szerokie czoło, spiczasta bro-

da, sterczące kości policzkowe. Nie ocienione zawojem oczy wydawały się teraz znacznie jaśniejsze, gdy spoglądały spod gęstych, nisko osadzonych brwi.

- Coś ty za jeden? - spytał srogo Jim.

Chłopak usiłował groźnie się zmarszczyć, ale tylko nadał się po dziecinnemu. Nie ulegało wątpliwości, że jest porządnie wystraszony.

Jim dał mu trzy sekundy na odpowiedź. Potem chwycił go za szatę pod brodą i wywłókł go z krzesła.

Młodzieniaszek miał na nogach czarne sznurowane bury, podobiane na noskach do białości i z obcasami zdartymi do imentu. Zgoła nieodpowiednie obuwie dla syna emira, stwierdziła Kate.

- Coś ty za jeden?

Chłopak próbował wytrzymać groźne spojrzenie Jima, ale mu się to kompletnie nie udało. Zwiśł bezwładnie w krzepkim uścisku przeciwnika, ledwie dotykając stopami ziemi.

- Słyszałeś, jak się rozprawiłem z majorem?

Chłopak uniósł raptownie głowę. Oczy miał wielkie jak talerze.

- To by była mokra robota, może nie?

- A jakże - przytaknął niemal serdecznie Jim. - Moje gratulacje: błyskawicznie opanowałeś angielski.

- Przestań się nad nim pastwić! - Kate ciągnęła Jima za muskularne ramiona, w których bez trudu trzymał chłopca. - Wystraszysz go śmiertelnie!

- Mam nadzieję.

- Postaw natychmiast to biedne dziecko na ziemi! Po co nim tak dyndasz? No, Jim!

Jim cisnął znów chłopaka na siedzenie krzesła. Kate wyforsowała się do przodu, rzuciwszy Jimowi ostrzegawcze spojrzenie przez ramię, i zwróciła się do opornego jeńca.

- Mnie też nie powiesz, dzieciaku?

Chłopak spojrzał groźnie spod nawisłych brwi. Poprawił się w krześle i nieco odprężył.

- Nie jestem dzieckiem!

- O! Stokrotnie przepraszam! Ile pan ma lat?

- Dziewiętnaście.

Kate uniosła tylko brew.

- No... siedemnaście.

Nagrodziła go uśmiechem za prawdomówność. Oczy mu się zaszkliły, a pociągła twarz poczerwieniała.

- Nie przeholuj, Kate! Co innego nawiązać zyczliwe stosunki, a co innego ogłupić młokosa do szcztetu!

- Siedźże cicho! - rzuciła mu przez ramię, zanim znów zwróciła się do młodzieńca. - No a teraz, kiedy już zawarliśmy znajomość, jak się pan nazywa?

- Ja...

Zacisnął mocno wargi i potrząsnął głową. Miał przy tym bardzo nieszczęśliwą minę.

Kate zorientowała się, że stojący za nią Jim robi krok do przodu. Schowała jedną rękę za plecami i pomachała mu groźnie, by się nie ruszał. Jim potrafił tylko grozić temu dzieciakowi. *Ona* znała o wiele skuteczniejsze metody!

- Drogi młodzieńcze! - powiedziała. - Wcale nie wyglądasz na syna emira, chyba że w jego rodzie z ojca na syna było w zwyczaju porywanie europejskich branek. Szczerze mówiąc, nikt nie uwierzy w to pokrewieństwo.

Poruszył się niespokojnie na krześle.

- Wcale nie mówiłem, że jestem synem emira.

Nowojorczyk! pomyślała. W piekle bym poznała te wymawiane całą gębą samogłoski.

Położyła mu delikatnie rękę na kolanie.

- Jak ci na imię?

Z trudem przełknął ślinę.

- Johnny. To znaczy... Jonathan. Jonathan Duffy.

- Dzięki, Jonathanie! Miło mi cię poznać.

Wyciągnęła do niego rękę. Johnny gapił się na nią przez chwilę, nim wyciągnął swoją. Po zastanowieniu otarł ją pospiesznie o front swej fałdzistej szaty, po czym ujął rękę Kate i ochoczo nią potrząsnął.

- Więc zwinąłeś zaproszenie dla emira, by wygrać Wyścig Stulecia?

- Ja...

Rzucił niespokojne spojrzenie na Jima.

- Nie masz się czego bać - zapewniła go Kate. - Nie jesteśmy szpiczlami z „Sentinela"! Ja też przywłaszczyłam sobie cudze zaproszenie.

- Nawet mi się nie śniło wygranie wyścigu. Nie jestem głupi! Wiem, że nie przeskoczę kogoś takiego jak on. - Ruchem spiczastej brody wskazał na Jima.

- No to o co ci chodziło? I gdzie podwędziłeś zaproszenie?

- Sprzedawałem gazety... ale zawsze wiedziałem, że potrafię pisać, rozumie pani? Wiedziałem i już! Ale gdzie by tam oni dali szansę takiemu jak ja? Zatrudniają tylko elegancików z college'u. Skąd taki maminsynek pod kloszem chowany ma znać mój Nowy Jork?! A już na pewno żaden z nich nie ma takiego drygu do pisania jak ja! Na głowie stawałem, ręce sobie urabiałem, żeby mnie zauważyli w tej zasranej redakcji... bardzo panią przepraszam! Żeby mi dali szansę. Ale żaden nawet nie słuchał, najwyżej się zachnął na bezczelnego gazeciarza!

- Rozumiem, co czujesz! - Kate ogarnęło nagłe współczucie. - Większość ludzi dostrzeżyła tylko to, co chce widzieć.

- Jasne! - Znalazszy pokrewną duszę, Johnny poczuł się pewniej i usiadł prosto. - Więc pomyślałem: pokażę sukinsynom, na co mnie stać! W całej redakcji nic tylko gadali o tym wyścigu. O grubych rybach, co w nim wezmą udział. I o tym, ile forsy gazeta wkłada w ten interes. I kiedy będzie się wysyłać zaproszenia. No to pomyślałem: czemu nie? Jak znajdę temat pierwsza klasa, od razu stanę na nogi! A jak nie, to co mam do stracenia? Gorzej już być nie może! - Wzruszył ramionami. - Nawet nie wiem, czyje zaproszenie podwędziłem. Leżała tego cała sarta, gotowa do wysłania. Umówiłem się z moją siostrą, że jak coś napiszę, to jej prześlę, a ona już podrzuci na taki stół z listami do redakcji. Wystarałem się o ciuchy, przebrałem, no i jestem.

- Więc to twój artykuł - stwierdził chłodno Jim.

Johnny zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

- Jaki artykuł?

- Te brudy o pani Latimore.

Johnny wzdrygnął się. Po chwili jednak zdobył się na odwagę i odpowiedział wyzywającym tonem:

- Nikt prócz mnie nie wyniuchał tego sekretu!

- A ty nie miałeś prawa go rozgłaszać - odparł Jim nie tylko ostrym, ale groźnym tonem.

Ale tym razem Johnny czuł się na pewnym gruncie. Co prawda lekko przybladł, ale wyprostował się i spoglądał Jimowi prosto w oczy.



- Taki już mam fach!

- Ładny mi fach: wyciąganie najbardziej osobistych spraw, żeby byle kto mógł w nich grzebać i wydawać wyroki tam, gdzie nikt go o to nie prosił?!

- Czytelnicy mają prawo wiedzieć o takich sprawach.

- Mają prawo wtykać nos, w co im się podoba, i niszczyć cudze życie?

Johnny zerwał się z krzesła.

- A pańscy czytelnicy, którzy kupują pana książki, łążą na pana wykłady i wierzą w każde pańskie słowo? Oni też nie mają o nic pytać, tylko sypać groszem na pańskie ekspedycje?! Takich sobie pan życzy czytelników?!

- Jest duża różnica między rzetelną informacją a zwykłą brudną plotką.

- O, przepraszam, tego już...

- Johnny - upomniała go łagodnie Kate - naprawdę nie można podawać za fakty pogłosek zasłyszanych od Bóg wie kogo!

Chłopak sępnął.

- Bardzo mi przykro, ale się z panią nie zgadzam. Wielka szkoda, ale...

- Nie wolno tego robić, rozumiesz? - powtórzyła. Przynęła się bliżej i położyła mu rękę na ramieniu. - Znasz całą historię z trzeciej ręki, prawda? Tak się *nie robi*, Johnny!

- Liczy się tylko chwytliwy temat. A ten chwycił, dam za to głowę!

- A ludzka krzywda się nie liczy?

Chłopiec potrząsnął głową.

- Tylko kłamstwa mogą wyrządzić krzywdę. Ja je demaskuję!

- Johnny...

- Nie martw się, Kate! - Jim wepchnął się pomiędzy nich. Strząsnął rękę Kate z ramienia chłopca. Wznosił się jak góra nad młodym reporterem, a w jego przyciszonym głosie brzmiała groźba. - Nie będzie już dalszego „demaskowania”. A wiesz dlaczego? Bo jak chłopak chce pisać, to mu się przydadzą dwie zdrowe ręce. No i głowa. Mam rację, Duffy?

Jonathan miał pewne trudności z oddychaniem, ale nie poddawał się.

- Pan mnie nie może zabić - odparł, zacinając się tylko przy ostatnim słowie.

- Nie mogę? Taki jesteś pewien? Pamiętasz, co się przytrafiło majorowi?

Johnny z pewnym trudem skinał głową.

- Wcale go pan nie chciał zabić. Wpadł do wody głupie pięćdziesiąt stóp od brzegu, wokoło było Bóg wie ile łodzi, a pan mu jeszcze rzucił koło ratunkowe, milordzie!

- Jesteś doskonale poinformowany. O tym też zamierzasz napisać?

- Zamierzam być taki dobry w swoim fachu jak pan w swoim, lordzie Bennett.

- I jesteś pewien, że nie mylisz się co do mnie? Tym razem nie chodzi o jeden spaprany artykuł. Jeśli się przeliczył, toś trup.

- Nie jest pan mordercą, i już! - Johnny z każdym słowem nabierał większej pewności. - Powiniennem być poznać to od razu, ale pan mnie całkiem zaskoczył...

- Jesteś pewien?

Jim przysunął się jeszcze bliżej. Johnny nosem sięgał mu do kołnierzyka. Zaczął nerwowo mrugać lewym okiem, ale nie ustępował z pola.

- Jestem pewien - zaskrzeczał.

Jim odetchnął głęboko.

- No, niech ci będzie! Masz rację.

- Naprawdę?

- Nie zabiję cię. - Oczy mu się zwęziły. - Ale potrafię tak ci zatruć życie, że w każdej sekundzie będziesz tego żałował; jakbyś wyleciał za burtę, długo byś się nie męczył.

Kate przysunęła się bliżej, gotowa w razie czego do interwencji. Choć - prawdę mówiąc, na widok tak groźnego, a zarazem tak opiekuńczego i tak pewnego siebie Jima serce jej się rozrzuotało jak u pensjonarki. W tym momencie wydawał się jej pociągający jak nigdy dotąd... a Bóg świadkiem, że i przedtem był nieprzyzwoicie atrakcyjny!

Cierpliwości! mówiła sobie w duchu. Potem będzie dość czasu, by rozważyć dogłębnie tę kwestię.

- To nie jest właściwa metoda! - oświadczyła.

- Jeszcze się przekonasz - odparł Jim.

- Nie zamierzam! - ucięła dyskusję.

Nie miała wątpliwości, że Jim potrafi zastraszyć Johnny'ego.

Ale wszystkie te pogróżki skutkowały tylko wówczas, gdy zabukujący reporter był w zasięgu jego pięści. A temat, który zdobył, był zbyt obiecujący, żeby z niego zrezygnować. Jak tylko przybiła do lądu, Johnny postara się uciec jak najdalej od Jima i będzie dalej pisał do „Sentinela”.

- Johnny, dewiza prawdziwego reportera brzmi: „Opieraj się na wiarygodnych źródłach i nie wprowadzaj w błąd swoich czytelników!”, prawda? Inaczej nikt nie będzie miał do ciebie zaufania i nie powierzy ci żadnej istotnej wiadomości.

- No... tak - zgodził się dość opornie Johnny.

- I wobec tego, jeśli coś obiecasz - ciągnęła dalej Kate - będziesz zobowiązany dotrzymać słowa, nieprawdaż? Inaczej twój honor reportera będzie zaszargany raz na zawsze.

Johnny miał minę dzikiego zwierzęcia wciągane w pułapkę. Czuł, że coś mu zagraża, ale nie mógł tego dostrzec.

- Tak, chyba tak...

- W takim razie może zgodzisz się na korzystną wymianę? Jeśli zapewnię ci inny chwytliwy temat z prawem wyłączności, który będziesz mógł spokojnie publikować bez obawy przed lordem Bennettem, dasz spokój tym wątpliwym rewelacjom?

- Zamknij się, Kate! - wtrącił Jim.

- Idę na to - oświadczył Johnny.

- No to interes ubity! - wyciągnęła rękę do chłopca.

- Kate, zamknij się!

- Pozwoli pan, panie Duffy, że i ja się przedstawię: jestem Kathryn Goodale.

- Kathryn Good... - Chłopak zrobił wielkie oczy i spoglądał to na jedno, to na drugie z nich. - O rany!!!

Ujął rękę Kate, ale był tak zatopiony w myślach, że zapomniał nią potrząsnąć.

Już ma tytuł na czołówkę! domyśliła się.

- Niech to wszyscy diabli! - Jim uwolnił rękę Kate z uścisku roztargnionego reportera i odciągnął dziewczynę do tyłu. - Jeśli ośmielisz się o niej pisać, Duffy, to nie licz na to że „będziesz mógł spokojnie publikować bez obawy przede mną”! Przygotuj się na najgorsze!

- On nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie - wtrąciła żywo Kate. - Przecież ci obiecałam wyłączność! I nie cofnę, jeśli

obiecasz trzymać język za zębami na temat Matta Wheelera i wszystkiego, co wiąże się z polarną ekspedycją.

Johnny obserwował ją bacznie.

- Wyglądacie na całkiem zaprzyjaźnionych... ?

- Bo jesteśmy. Prawdę mówiąc...

- Na litość boską, Kate, jeśli nie zamkniesz się wreszcie, to ty wylądujesz za burtą!

Johnny cofnął się o krok. Widać było z twarzy, że o czymś intensywnie myśli.

- Jest chyba jeszcze jedna możliwość...

- Jasne! - przerwał mu Jim - Mogę ci...

- Och, zamknij się wreszcie! - ofuknęła go Kate. - Mamy już dość twoich pustych pogrózek! Proszę mówić, panie Duffy!

Johnny klepnął się w udo, a potem skinął głową, jakby podjął właśnie niezwykle ważną decyzję.

- Jest... pewna dziewczyna.

- Ej, synu... - westchnął Jim. - Zawsze jest jakaś dziewczyna. I w tym sęk!

## 20

Pół godziny później zmierzali wąskim korytarzem do kajuty Kate. Ręka Jima dotykała lekko jej talii; wyglądało to na nic nie znaczący, kurtuazyjny gest, ale dla nich obojga było zapowiedzią tego, co niebawem miało się wydarzyć.

Kate westchnęła przeciągle i tęsknie.

- Co cię tak rozczuliło?

- Ten chłopak jest taki zakochany!

- Ależ, Kate! On ma dopiero siedemnaście lat, spotkał ją trzy dni temu! Trudno nazwać taką dziecinadę miłością.

- Wiem, ale... - Przypadkiem otarli się o siebie. Było to zaledwie muśnięcie, ale tak podziałało na Jima, że omal nie przerzucił sobie

Kate przez ramię i pocałował do jej kajuty. - To takie... urocze. Nie uważasz?

Coś w jej głosie sprawiło, że się zatrzymał. Te zamglone oczy, ta łagodna linia ust...

- Kate...?

- Twarz mu się zmieniała, kiedy o niej mówił... - ciągnęła dalej marzycielskim tonem.

Ależ oczywiście! pomyślał Jim w nagłym olśnieniu. Jako nastolatka wychowywała siostry, jako dwudziestolatka była żoną doktora Goodale'a...

- Zaczekaj na mnie w kajucie! - oznajmił nieoczekiwanie.

- Co takiego? - zdumiała się. - Myślałam, że...

- Wrócę za pół godziny.

- Ale...

Pochylił się i pospiesznie, mocno pocałował ją w usta.

- Za pół godziny! - powtórzył i już go nie było.

Dwadzieścia pięć minut później Jim stał znowu przed drzwiami Kate. Ręce mu się pociły. Serce nie mogło się zdecydować, czy ma bić na alarm, czy w ogóle dać sobie z tym spokój; w rezultacie przerzucało się z jednej ostateczności w drugą, niezdecydowane i niespokojne.

Sterczał już pod tymi drzwiami dłuższą chwilę, starając się zapanować nad oddechem i nerwowym drżeniem rąk.

Ciągle sobie powtarzał, że to nie będzie takie trudne. Znał przecież Kate. Wiedział, jak sprawić jej przyjemność, czym doprowadzić do westchnień i drżenia. To naprawdę będzie romans bez komplikacji, mieszczący się w bezpiecznych ramach dzięki temu, że każde z nich prowadziło tak odmienne życie. Ot, obustronna satysfakcja bez żadnych obciążeń.

Mimo to zapragnął nagle, by romans z nim stał się dla Kate ucieleśnieniem marzeń. Być może nieraz jeszcze znajdzie szczęście z kim innym... ale Jim chciał być tym pierwszym, o którym się nie zapomina. Jeśli Kate tak długo wspominała czule tamten wieczór w altance, to dzisiejsza noc powinna odcisnąć się niezatartym, ognistym piętnem w jej pamięci. Bo jeśli chodzi o niego, to obraz Kate utrwalił mu się już w duszy (niech to szlag!) na wieki wieków amen.

Unióś rękę, by zastukać do drzwi, lecz zastygła w pół drogi: ani rusz nie mógł zdobyć się na odwagę. I nagle drzwi otworzyły się na roścież. Same.

- O, jesteś wreszcie - powiedziała Kate z leniwym uśmiechem. - Już się stęskniłam!

Mózg Jima zmienił się w bryłkę lodu. Stracił mowę i zdolność logicznego myślenia.

Kate.

Rozpuszczone włosy otaczały złocistą chmurą jej ramiona. Aż się prosiły, by zanurzyć w nich dłonie... a potem mocno zacisnąć je w garści, by unieruchomić głowę i całować do upadłego! Jej twarz, szyja, ramiona jaśniały jak posypane gwiezdny pyłem.

Miała na sobie arcydzieło sztuki bieliźniarskiej: nocną koszulkę, którą wyjęła z walizki tamtej pierwszej nocy. Nawet w jej ręku wyglądała uwodzicielsko, a co dopiero gdy włożyła ją na siebie! Sama myśl o Kate w takim opakowaniu była. zabójcza dla powściągliwości, którą usiłował sobie narzucić.

Najśmielsze marzenia Jima - a było ich niemało! - nawet się nie umywały do rzeczywistości. To była niebiańska wizja, cudowny sen, ucieleśnienie piękności opiewanej w legendach. Gdyby podczas którejś z wypraw przy wieczornym ognisku jeden z towarzyszy opisał mu taką kobietę, Jim nawymyślałby mu od skończonych idiotów i bezczelnych łgarzy.

Lśniący jedwab w najjaśniejszym odcieniu błękitu przylegał do wszystkich uroczych okrągłości. Był tak przejrzysty, że Jim bez trudu dostrzegł wgłębienie pępka. Ramiona miała nagie, jeśli nie liczyć koronkowych ramiączek, które zerwałby jednym palcem, górną część klatki piersiowej również. Trudno byłoby powiedzieć, że koszulka osłania biust. Szerokie wstawki z jeszcze bardziej przezroczystej koronki przebiegały ukośnie przez całą długość koszuli, pozwalając podziwiać śliczną karnację Kate. Dekolt był przepastny, koronki też poskapyano. Skutkiem tego można było dostać zawrotu głowy, gdy coraz to wyzierał to jeden, to drugi ciemnoróżowy sutek.

- Nie wejdiesz?

W głosie Kate brzmiała nuta, której nigdy dotąd nie słyszała. Bywała z rozmysłem kusicielska, ma się rozumieć. Ale to jawne zaproszenie... Gdyby tak mówiła i tak wyglądała tamtej nocy

w altance, nigdy by jej nie pozwolił odejść! Do diabła z Goodalem!

- O, byłbym zapomniał... Proszę. - Wyciągnął ku niej pęk orchidei zrabowanych ze szklarni. Drżały w jego ręku. Mięiste płatki były równie białe jak skóra Kate. Mimo zawrotu głowy Jim przypominał sobie pewne szczegóły starannie opracowanego planu. - To dla pani, panno Bright.

- Panno Bright? - Zamrugała oczyma ze zdumienia, ale szybko się opanowała. Sunęła ku niemu z wężową gracją, kołysząc biodrami okrytymi jedwabiem. - To dla mnie? Jakie śliczne! Ale nie mam w co ich wstawić!

- Proszę! - podał jej ukryty dotąd za plecami smukły srebrny wazon, który sobie wypożyczył z jadalni.

- Jak zawsze niezawodny!

- Staram się.

A pewnie, jeszcze jak! Zaplanował wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Tylko że Kate była nieprzewidywalna, on zaś, ilekroć znalazł się z nią w jednym pokoju, stawał się niepo czytalny.

Podchodząc do kranu, by napełnić wazon, odwróciła się plecami do Jima; miał teraz na nią znakomity widok od tyłu. Błękitny jedwab powiewał przy każdym ruchu i przylegał do okrągłości poniżej pleców. Spojrzenie Jima przywarło do pośladków Kate równie mocno jak lepiały się do nich materiały.

To, co sobie zaplanował, okazało się tysiąc razy trudniejsze, niż sądził. A wiedział z góry, że nie będzie lekko!

Na sekundę wybiegł z kajuty. Potrząsnął głową, próbując uporządkować myśli. Dwa głębokie wdechy, szybka powtórka dalszych punktów programu... Od razu lepiej! No... może troszkę.

Zagrzechotały kółka srebrnego wózka, gdy wtaczał go do kajuty.

Kate odwróciła się na ten dźwięk z wazonem orchidei w ręku.

- Co to ma być?

- Kolacja we dwoje.

Machnął serwetką, naśladując kelnera, i wskazał lśniąca srebrne pokrywy półmisków.

- Ależ, Jim! Jest dopiero południe!

- Od czego wyobraźnia?

Zabrał się do roboty, przesuając na środek pokoju niewiel-

ki stolik i ustawiając po obu jego stronach dwa krzeszka o cienkich wygiętych nóżkach, obite kremowym adamaszkiem. Nakrył stół śnieżnobiałym obrusem i uniósł pokrywę osłaniającą pierwszy półmisek.

- Ostrygi - obwieścił. - Nie wiedziałem, czy je lubisz, więc...

- Lubię - mruknęła. Ustawiła kwiaty pośrodku stołu i przysunęła się do Jima tak blisko, że różowe paluszki jej bosych stóp znalazły się pomiędzy jego lśniącymi czarnymi lakierkami. Powiodła palcem wzdłuż kłapy jego wieczorowego żakietu. - Eleganckie ubranie! Skąd je wytrzasnąłeś?

Jim poluzował sztywny kołnierzyk. Czarny żakiet był za wąski w ramionach. Grafitowe spodnie w cieniutkie prążki trzymały się w pasie na trzech agrafkach, a nogawki nie sięgały do kostek.

- No cóż... Major wypadł za burtę, ale jego rzeczy zostały na pokładzie.

- Hmm... - Kate pocierała palcami kłapę żakietu, jakby sprawdzała jakość materiału. - A konkretnie gdzie?

- W jego kajucie.

- W jego kajucie? Przez cały czas wiedziałeś, że jest na statku wolna komfortowa kajuta i bezczelnie mnie okłamywałeś, że-bym ci pozwoliła zostać w mojej?!

- Ja...

Przyłapany na gorącym uczynku Jim w mgnieniu oka rozważył kilka wygodnych półprawd, którymi mógł omamić Kate: niepokoiłby się o jej bezpieczeństwo, gdyby nie mógł w każdej chwili skoczyć jej na ratunek; mimo nieobecności majora nie chciał ryzykować włamania do jego kajuty; wolał być zawsze pod ręką, by bronić jej przed zakusami hrabiego lub innych namolnych samców, których zauroczyła.

Albo wyznać po prostu, że nie wytrzymałby z dala od niej.

-Tak.

Miętosząca jego ubranie ręka zastygła bez ruchu na jego piersi, a Jimowi zaćmiło się w oczach. Ujął Kate delikatnie za ramiona i odsunął ją od siebie z taką dżentelmenerią, na jaką było go w tej chwili stać.

- Panno Bright... - odsunął krzesło i wskazał je z lekkim ukłoniem. - Zechce pani spocząć?

Zaskoczona i zaintrygowana Kate zajęła miejsce przy stole.



Jim postawił wokół wazonu z orchideami sześć świec i zapalił je. Potem zaczął zdejmować z wózka danie po daniu, na półmiskach z cieniutkiej chińskiej porcelany, ile tylko pomieściło się na niewielkim stole. Co najmniej sześć pozostało na wózku.

- Nie wiedziałem, co przypadnie pani do gustu... - zaczął.

- Ależ, Jim! - przerwała mu. - Polędwica wołowa, turbot z wody, sałatka z cykorii.. No i ten cudowny deser! Pomyślałeś o wszystkim.

- Starałem się jak mogłem. - On również zajął miejsce; długie nożyiska nie mieściły się pod stołem. Rozłożył serwetkę na kolanach. - Jeszcze chwilę!

Podskoczył do bulaja i zasłonił go grubą kotarą z błękitnego aksamitu. Do kajuty wpadała już tylko wąska smużka dziennego światła. Potem wrócił do stołu. - No! Znacznie lepiej.

- To wszystko jest cudowne, Jim... ale co ci strzeliło do głowy?!

- Panno Bright - wyrecytował zgodnie z rolą. - Jestem taki szczęśliwy, że zgodziła się pani zjeść ze mną kolację.

Kate zmarszczyła brwi. Potem jednak postanowiła widocznie wziąć udział w tej komedii, gdyż odparła:

- Jak mogłabym odmówić komuś, kto tak pięknie prosi?

Pochyliła się ku niemu. Przy tym ruchu dekolt jeszcze się pogłębił. Jim miał teraz doskonały widok na nagie ramiona i górną część klatki piersiowej oraz krągłe piersi.

- Przyznam, że chciałbym dowiedzieć się jak najwięcej o pani. - Podał jej porcję ryby, ale na własnym talerzu położył tylko skrawek wołowiny, a i to raczej na pokaz. - Nie był w stanie przełknąć ani kęsa... chyba że przesiedziałyby do końca kolacji z zamkniętymi oczyma. - Wiem, że ma pani dwie siostry. Proszę mi coś o nich powiedzieć!

- Anthea jest tylko o parę lat młodsza ode mnie. A Emily... no cóż, wystarczy powiedzieć, że jest znacznie młodsza. - Zlekceważyła rybę i wyciągnęła czekoladkę ze złotej bombonierki. Oczy jej sypały iskry, gdy delectowała się przysmakiem, wargi czule obejmowały czekoladkę, zęby wpijały się w nią. Te jej usta... Jimowi wystąpił na czoło kroplisty pot.

Spojrzał na swój talerz i zaczął piłować wołowinę. Po chwili jego rozszalałe serce uspokoiło się. Doszedł do wniosku, że może znów spojrzeć na Kate bez obawy, że rzuci się na nią przez stół.

*Mylił się. Cholernie się mylił!*

Kate zsunęła ramiączka, nocna koszula opadła jej do pasa. Przepiękne piersi były teraz zupełnie nagie. Jimowi zaschło w ustach i krew zaczęła walić w skroniach.

- Ja... - Sięgnął po karafkę i drżącą ręką chlapnął sobie wina do kieliszka. - Napije się pani?

Między brwiami Kate zarysowała się podwójna zmarszczka.

- Dziękuję, bardzo chętnie - odparła i podsunęła mu swój kieliszek. Ten ruch sprawił, że jej piersi uniosły się i zakołysały kuszaco. Szyjka karafki szczęknęła o brzeg kieliszka. Było to podzwonne dla najlepszych intencji Jima. Usiłował skoncentrować spojrzenie na blacie stołu zastawionego porcelaną, srebrem i kryształem, ale wszystko rozpływało mu się przed oczami.

- Jim?

- Co... ?

- Co to wszystko ma znaczyć?

- Co to znaczy?

- O to właśnie pytam. - Lekkie stuknięcie odstawianego kieliszka. - Czemu nie chcesz na mnie spojrzeć, Jim?

- Nie mogę.

- Nie możesz?! - Szelest jedwabiu. Skrzypnięcie krzesła. Tupot bosych stóp wokół stołu. - Proszę cię, Jim, popatrz na mnie!

Nadal spoglądał w podłogę, ale unióś wzrok o jakieś milimetry. W polu widzenia znalazły się palce nóg wystające spod nocnej koszuli. A potem - szu-szu... - i błękitny jedwab wylądował na podłodze.

- O Boże, Kate! - Zamknął oczy, a głowa opadła mu do tyłu, gdy zmagął się ze sobą, by pozostać na krześle. Usztywnił się całkowicie. Gdyby się poruszył, gdyby bodaj odetchnął, natychmiast by zaciągnął Kate na koję i wszystkie szlachetne zamiary wzięłyby w łeb. - Powiniennem był wiedzieć, że mi nie pomożesz!

- Może okazałabym się chętniejsza do pomocy, gdybym wiedziała, o co ci chodzi, u licha!

Jej nieco suchy, melodyjny głos przypominał szelest jedwabiu. Jedwabiu, który niczego już nie zakrywał. Jim zrozumiał, że przepadł z kretelem.

- Próbuję się do ciebie zalecać.

- Zalecać?! Nie uważasz, że trochę za późno na zalecanki?

Usłyszał, że Kate poruszyła się; potem dotarł do niego jakiś szelest - i na jego oczach i ustach wylądował jedwab, przepojo-

ny ciepłem i zapachem jej ciała. Gdy ściągał koszulkę z twarzy, łaskotała jak motyle skrzydła.

Potem wyślizgnęła mu się z palców i sfrunęła na podłogę.

- Dostrzegłem wyraz twojej twarzy... - wyjaśnił. Powieki nadal miał zaciśnięte, bo gdyby na nią spojrzął, niczego by nie zdołał wykrztusić. -... Kiedy mówiłaś o Johnnym i tej dziewczynie. Tęskniłaś za pensjonarską miłością, której nigdy nie przeżyłaś. Za romantycznymi zalotami, które cię ominęły. Postanowiłem, że ci to wynagrodzę.

Roześmiała się cicho. Jej musujący jak szampan śmiech do reszty zaćmił mu umysł i zniweczył plany.

- Popatrz na mnie, Jim!

Potrząsnął głową.

- Mówiłem ci, że nie mogę.

- No, popatrz! - nalegała wytrwale.

Miała tę ogromną przewagę, że przecież i on tego pragnął, nawet jeśli przysparzało mu to tylko bólu. Podniósł więc głowę.

To, co ujrzał, zaparło mu dech. Wszystkie cuda świata, jakie podziwiał - wodospady, szczyty gór, bajeczne klejnoty i dzieła sztuki ukryte w głębi ziemi przez tysiące lat - okazały się wyblakłe i nie warte wzmianki w porównaniu z Kate.

Uosobienie kobiecości o cudownej, mlecznej karnacji. Sama miękkość. Nic kościstego, niezręcznego, nie na miejscu. Całe pole widzenia szczerze wypełnione cudownymi, falującymi okrągłościami. I te rozpuszczone włosy, gęste, złote loki opadające na plecy. Pełne piersi, wznoszące się i opadające z każdym oddechem. Twarde, sterczące, ciemnoróżowe sutki.

- Ja... - Zaschło mu w ustach. Przełknął z trudem i spróbował jeszcze raz. - Pozwól mi...

- To ty pozwól coś sobie wytłumaczyć, Jim! - Przesunęła dłoń po swym ciele. Leciutko, bez pośpiechu: szyja, pierś, talia, brzuch... Oczy Jima śledziły każde poruszenie. Nie mógłby ich odwrócić nawet pod groźbą pistoletu. - Szkoda mi czasu na próżne żale. Przekonałam się, że to nic nie daje. Ale to oczywiście nie znaczy, że czasem - bardzo rzadko - zatęsknię przez chwilę za czymś, co mnie ominęło. - Nadal nie spiesząc się i każdym płynnym ruchem potęgując męki Jima, usiadła mu okraciem na kolanach, twarzą w twarz, i objęła ramionami jego szyję.

- Kate...

- Cicho! Jeszcze nie skończyłam! - Czuł na udzie ciepło i wilgotność jej ciała. Usiłował skupić uwagę na słowach Kate, pojąć przynajmniej ogólny sens. - Ale jeśli mam być szczerą, gdybym mogła zacząć życie od nowa, postąpiłabym dokładnie tak samo. Moje siostry wyrosły zdrowo, miewają się dobrze. Byłam świadoma tego, czego się wyrzekam, i uważam, że warto było zdobyć się na to poświęcenie. A jakaś tam chwilka głupiego rozczulenia wcale nie oznacza, że czegoś żałuję! - Pochyliła się ku niemu i poczuł na klatce piersiowej palące muśnięcie jej sutków. Z całej siły uchwycił się krzesła, wbijając paznokcie w drewno tak, że omal go nie porysował. - Zapomnij o zalotach. Zapomnij o dziewczęcych marzeniach! Czy wiesz, czego jeszcze musiałam się wyrzec, Jim? Czego mi brakowało znacznie bardziej niż niemądrej adoracji jakiegoś żółtodzioba?

Wiedząc, że nie wydobędzie z siebie ani słowa, Jim potrząsnął głową.

- Tego!

Ucałowała go prosto w usta, mocno i zachłannie. Nagle olśniło go niczym słońce, jakiego dostąpił cudu. Oto miał na swoich kolanach, w swych ramionach tę nagą, namiętą kobietę. Wplątała mu ręce we włosy, przybliżyła usta do jego ust i wtargnęła do nich językiem.

W jakimś odległym zakątku mózgu Jima odezwał się sygnał ostrzegawczy. Stłumiony, prawie nie rozpoznawalny: Powoli! Ostrożnie! Ale jeszcze bliżej była Kate: żywy dynamit, nieodparcie zmysłowa pokusa. Krew tętniła w nim coraz szybciej, zbyt szybko, ale nie potrafił jej uspokoić.

Przesunął rękoma po plecach Kate, rozkoszując się zarówno dotykiem sprężystych i jedwabistych kędziorów, jak aksamitnej nagości pleców. Przechodziły nagle w zaskakująco szczupłą talię, by potem rozszerzyć się znowu. Ważył w dłoniach sprężystą gładkość pośladków. Koniec palca zawędrował do rozdzielającej je szczelinki.

Kate odrzuciła głowę do tyłu i jęknęła. Opadające włosy przesłoniły ręce Jima. Pochylił się i przytknął usta do wygiętej szyi. Wyczuł wargami i językiem bijący mocno puls.

Kate szarpnęła go za włosy, by podniósł głowę. Poróżowiała

nie tylko na twarzy: rumieniec ogarnął szyję, ramiona, dotarł do krągłych piersi. Oczy Kate płonęły błękitnym ogniem. Usta miała rozchylone, oddech przerywany. Jim pragnął wyryc sobie ten obraz w pamięci na zawsze. Wiedział, że tylko to wspomnienie przetrwa w nim do końca, że nawet na łożu śmierci będzie powracał do tego jedyne go dowodu, że jego życie miało sens.

Uniosła się, podając mu na dłoni swą pierś, a Jim pochylił głowę i wziął ją do ust niczym owoc.

Jaka ona słodka... Aksamitna miękkość skóry, twardy guziczek brodawki... Dreszcze i pojękiwania Kate, gdy drażnił sutek językiem albo ostrożnie ujmował w zęby... Palce Kate wplecione w jego włosy, jej rosnące podniecenie, gdy ocierała się o niego całym ciałem...

Zaparło mu dech. Cofnął się raptownie, usiłując zaczerpnąć powietrza i oprzytomnieć. Ale Kate nie zamierzała zmniejszyć tempa; zaatakowała jego pierś, zdzierając z niej koszulę z uśmiechem triumfu.

Jej usta i ręce, wilgotne i rozpalone, pozostawiały na nim niezatarte ślady. Tego właśnie pragnął: jeśli pozostaną mu po Kate szramy, jeśli oznakuje go jako swoją własność, będą to dla niego cenne pamiątki.

Wgryzła się w jego sutek, aż cofnął się odruchowo; zaraz potem ukołła zadany ból rozkoszną, leniwą pieszczotą języka.

Jej ręce, zwinne i pełne wdzięku, sunęły wzdłuż jego boku, wspinały się po drabince żeber. Chciał jej powiedzieć, by się tak nie spieszyła, ale nie dawała mu nic powiedzieć. Ilekroć otworzył usta, zaskakiwała go czymś takim, że z ust zamiast słów wyrwał mu się jęk.

- Co to było? - wymruczała wodząc palcem po czterech równoległych bliznach przecinających jego brzuch - białych smugach na ciemnym tle opalenizny.

- Tygrys - wykrztusił. - W Nepalu.

- Hmm...

Pochyliła głowę i powiodła językiem po szramach, jakby kołła ból otwartej rany. Mięśnie brzucha Jima sprężyły się tak, że omal nie wyprysnęły z krzesła.

- A tu? - spytała znowu, dotykając niewielkiej trójkątnej blizny na jego ramieniu.

- Strzała dzikich. Nie zatruta. Miałem cholerne szczęście!

- Szczęście... ?

Ucałowała i tę szramę rozchylonymi ustami. Były tak wilgotne i gorące, że Jim z przyjemnością powitałby jeszcze jedną strzałę, by znów poczuć na sobie jej wargi.

- Jeszcze jakieś blizny? - wymamrotała z ustami przy jego skórze.

- Straciłem w Arktyce dwa palce u nóg. Odmrożenia.

Zaśmiała się cicho.

- To sobie na razie daruję.

Nieoczekiwanie zsunęła się z jego kolan, prześlizgnęła mu się przez palce równie łatwo jak jedwab i jak on wylądowała na podłodze. Między jego kolanami. Jej palce zaczęły bawić się paskiem spodni: to znikwały pod nim, to znów się wynurzały. Te igraszki sprawiły, że krew znów rozszalała się w żyłach Jima.

- Kate...

- Cicho! - ofuknęła go. - Teraz moja kolej. Obiecałeś!

Zwolniła tempo, rozpinając każdy guzik z niesłychaną dokładnością, jakby rozkoszowała się każdą sekundą. Czuł rosnące w nim podniecenie; coraz ciaśniej mu było w spodniach. Rozkoszny palący ból potęgował się z każdą sekundą. Jim miał wrażenie, że dał nurka prosto w słońce.

Czego jak czego, ale pewności siebie Kate nie brakło! Swobodna, zręczna, ani cienia nieporadności. A gdy uśmiechnęła się do niego z jawnym triumfem, pojął, że żadne jego marzenie erotyczne ani rozkoszny sen nie umywały się do takiej rzeczywistości.

Umieram, pomyślał. Będę pierwszym mężczyzną, który naprawdę umarł z rozkoszy!

Nie był w stanie oderwać oczu od Kate. Smukła, biała, pieszcząca go ręka... Pełna skupienia twarz... Metaliczny połysk włosów, nawet w tak słabym świetle... Mikroskopijne kropelki potu na skórze...

Omal nie stracił przytomności.

- Kate!

- Cicho! - powtórzyła. - Przecież obiecałeś! Zdaje się, że odkryłam jeszcze jedną bliznę.

- Nie, ja...

- Widocznie zapomniałeś.

Nachyliła się. Poczul miękkie dotyk piersi na wewnętrznej stro-

nie uda, jedwabistość włosów spływających na jego nogę i brzuch...

Polizała go delikatnie. Jęknął, schwycił Kate za ramiona i podciągnął do góry. Jej twarz przylegała teraz do jego twarzy, naga pierś do piersi.

Całował ją mocno i długo, rozkoszując się jej dotykiem i smakiem. Całując Kate, był w stanie myśleć. Ledwo-ledwo, ale mógł.

- Później... - szepnął głosem tak schrypniętym, jakby od wielu dni błądził po pustyni bez wody. - Później ile zechcesz... przysięgam! Ale nie teraz, bo w dwie sekundy będzie po wszystkim!

- Hmm... - Z kokieteryjnym dąsem zawodu, ale z oczyma skrzącymi się od śmiechu jak klejnoty przyznała: - Dwie sekundy... to byłoby stanowczo zbyt krótko!

- Właśnie! - potwierdził.

Teraz, marzył, mogę przejąć prowadzenie, zwolnić tempo, nadać rytm, który pozwoli nam rozkoszować się każdą chwilą... Będę zabiegał o jej względy przynajmniej w łóżku, jeśli nie życzy sobie zalotów poza łóżkiem... Chcę dać jej rozkosz, której nigdy nie zapomni.

Ale wówczas Kate znowu uniosła się, ocierając o niego całym ciałem, i przyjęła go w siebie z taką naturalnością, jakby robili to setki razy. A może tak było? Może kochali się setki razy - w jego snach, i w jej?

A jednak była to rozkosz niepowtarzalna, niewyobrażalna, przekraczająca ich siły. Kate - rozpalona jak słońce, a jednak wilgotna - obejmowała go swym ciałem tak ściśle, jakby oboje byli stworzeni tylko dla siebie. Odrzuciła głowę do tyłu i jęknęła. Poczuł, jak rozkosz zagarnia go jak wezbrana rzeka, porywa, zatapia... Był coraz bliżej szczytu.

- Tak... - wyszeptał. Objął plecy Kate jedną ręką, drugą położył pod jej pośladki i wstał wraz z nią. Zwarli się ze sobą jeszcze ciaśniej, Kate jęknęła i objęła nogami jego biodra.

- Przygotowałam łóżko - szepnęła mu do ucha i ugryzła je przy okazji.

- Tu też dobrze - odparł i zdążył położyć ją na podłodze, nim załamały się pod nim kolana.

Ręce Kate zaczęły błądzić po jego ciele. Unieruchomił jedną ręką oba jej nadgarstki.

- O co chodzi, Jim? - wymruczała uwodzicielsko. - Nie lubisz, jak kobieta nadaje tempo?

- Ubóstwiam, jak nadajesz tempo - odparł. - Ale jak trochę nie przyhamujesz, nie zdołam wycofać się na czas. Nie za pierwszym razem.

- Wycofać? Po cóż miałbyś się... A, o to chodzi! - Oczy jej nagle spochmumiały. Jim chętnie strzeliłby sobie w łeb: to on ją zasmucił! Ale Kate zaraz uśmiechnęła się i cienie znikły. - Nie musisz tego robić. Ja... nie mogę mieć dzieci.

Poczuł ogarniającą go nagle czułość, równie głęboką i silną jak namiętność.

- Żałujesz tego?

Przełknęła z trudem ślinę.

- Tak - przyznała. - Bardzo tego żałuję.

- W takim razie ja też. - Okrywał jej twarz delikatnymi pocałunkami: policzki, brwi, powieki... Całował ją wszędzie, dokąd mógł sięgnąć ustami, byle tylko rozproszyc jej smutek. - To znaczy, będę tego żałował, ile zechcesz... Ale teraz, Kate, mam ochotę skakać z radości! Nie musimy się rozstawać w najważniejszej chwili!

Śmiech znów wytrysnął z niej jak szampan. Z każdym radosnym chichotem ciało Kate przywierało do niego mocniej.

Jim, choć o krok od orgazmu, starał się nie spieszyć. Nie wiedział, jak daleka od szczytowania jest Kate. Ani jak długo on zachowa samokontrolę.

Ale Kate bynajmniej nie zostawała w tyle. Gdy wniknął w nią po raz drugi, jęknęła i zakołysała biodrami. Po dwóch następnych pchnięciach wykrztusiła bez tchu: „Szybciej!”, napierając na niego uniesioną miednicą i obejmując go jeszcze mocniej nogami.

Jim przestał się pilnować i poddał się namiętności. Poddał się jej. Bez trudu wpadli w rytm. Nie jego, nie jej. Wspólny.

Nie mieli pojęcia, czy trwało to chwilę, czy całą wieczność, nim nastąpiła eksplozja. Kate zaczęła dygotać, krzyczeć, trząść się. Całe jej ciało zwarło się wokół Jima. Ze wszystkich słów na jej ustach pozostało tylko jego imię.

*Jestem u celu...* pojął w najbardziej zdumiewającym ułamku sekundy, gdy balansował na krawędzi świadomości, a wszystko - świat, przyszłość i przeszłość - należało do niego.

*Tak, osiągnął cel. Doskonałe spełnienie. Kate.*



## 21

„Władca mórz” miał zawinąć do portu Le Havre nazajutrz rano. Oby jak najwcześniej! myślał Jim. Im mniej zostanie im czasu na przeszukiwanie całego okrętu, tym lepiej!

- Gdzie ona się podziewa?! - dopytywał się nagłym szeptem Johnny.

Wszyscy trzej - Jim (odziany raczej oszczędnie, ale na czarno), Johnny (blady i tak zdenerwowany, że nie mógł ustać spokojnie ani przez chwilę) oraz Ming Ho (który zgodził się pomóc im w ambitnym zadaniu) - czaili się w wąskim pasażu drugiego (licząc od góry) pokładu „Władcy mórz”.

- Damska toaleta wymaga czasu - odparł Jim.

- Ale...

- Zobaczysz, że ta zwłoka się opłaci. Zawiązką.

Johnny ciągle wychylał się zza zakrętu korytarza, aż Jim musiał go wreszcie odciągnąć.

- Tak ci pilno, żeby cię odkryli?

- Skąd! Ja tylko... - Zaczął podskakiwać na palcach nóg i wyłamywać sobie palce u rąk, a Jima brała chętka uszkodzić mu je na dobre. - Ciągle nie rozumiem, czemu musieliśmy z tym zwlekać aż do dziś. Przecież ona jest stale na statku!

- Nie rozumiesz, że to musiała być ostatnia noc na okręcie? Gdybyśmy ją porwali wcześniej, księżę zdążyłby ją odnaleźć - odparł Jim, potrząsając głową na samą myśl o niewiarygodnej sprawie, w jaką się 'wplątali. Pomyśleć tylko: nowojorski gazeciarz, a zarazem początkujący reporter zakochuje się na zabój w żonie tajemniczego księcia! Wyglądało to na kiepski melodramat i z dala pachniało dużymi kłopotami. Jim wcale by się nie spieszył z popieraniem przyszłej gwiazdy nowojorskiego dziennikarstwa, gdyby nie to, że wybranką Johnny'ego okazała się biedulka, którą dostrzegł kiedyś na górnym pokładzie. Odbывała

tam spacer pod strażą, jak więźniarka. No i Jim, oczywiście, nic wycofał się z ryzykownego przedsięwzięcia.

Oboje z Kate przeprowadzili wstępne rozeznanie terenu. Małżonek smutnej dziewczuszki był rzeczywiście księciem. Urodził się pod szczęśliwą gwiazdą jako następca tronu, a potem absolutny władca Balthelay, wysepki prawie niedostrzegalnej u wybrzeży Cejlonu. Szczęście dopisało księciu powtórnie, j to jeszcze bardziej. Mniej więcej piętnaście lat temu okazało się, że niepozorna wyspa jest dosłownie naszpikowana ogromnymi rubinami najwyższej jakości.

- A zatem - upewnił się Jim - ilu tam jest strażników?

Apartamenty księcia były tak rozległe, że zajmowały cały korytarz. Uwzględnienie tego życzenia spragnionego prywatności władcy pociągnęło za sobą konieczność wyeksmitowania Z zarezerwowanych już kajut mniej dostojnych pasażerów. Okazało się to tak kosztowne, że - jak głosiła plotka - przedsiębiorstwo okrętowe musiało wybulić kwotę wyższą od głównej nagrody w Wyścigu Stulecia.

- Ośmiu, zdaje się - odparł Johnny.

- Po jednym przy drzwiach każdej z żon i dwóch przed apartamentem księcia - mruknął Jim. - Co o tym myślisz, Ming Ho?

Chińczyk uśmiechnął się z wyrazem miłego oczekiwania.

- Nie ma sprawy.

- Po prostu przejdziecie od drzwi do drzwi, zaglądając wszędzie, póki nie traficie na nią? - dopytywał się Johnny.

- Tak się to przedstawia w ogólnym zarysie.

- Ale ci wszyscy strażnicy...

- Strażników zostaw nam, dobra?

Dzieciak jest na najlepszej drodze do załamania! pomyślał Jim. Psiakrew, tego nam tylko brakowało!

- A jeśli akurat będzie u księcia? Co wtedy?

- Wtedy wkroczy na scenę Kate.

- Ale... czy on w ogóle ją wpuści, jeśli jest już z...

W tym momencie Johnny stracił mowę. Ujrzał za plecami Jim'a coś takiego, że szczęka mu opadła.

Przez korytarz tanecznym krokiem zmierzała ku nim Kate. Miała na sobie toaletę z czegoś połyskliwego w kolorze intensywnej czerwieni. Tkanina przylegała do wszystkich uroczych okrągłości,

a rozmiary dekoltu mogły przyprawić stróżów moralności o apopleksję. Nie włożyła żadnej biżuterii, toteż nic nie odrywało wzroku obserwatora od cudownej mlecznej karnacji (zwłaszcza że można ją było podziwiać na niemałej powierzchni) oraz włosów Kate, spływających fałdami na jej ramiona i plecy. W jednej ręce trzymała butelkę szampana, w drugiej dwa kryształowe kieliszki.

Jim przesunął ręką przed nieprzytomnymi, szklistymi oczyma Johnny'ego.

- Jedyna prawdziwa miłość, mówi ci to coś? Romantyczne porwanie? „I żyli długo i szczęśliwie”, nieprawdaż?

- Co? Och! A, tak... - Opanował się z trudem. - W porządku. Doszło do mnie.

- No i co, chłopcy? - odezwała się Kate, podchodząc do nich. - Gotowi?

Jim wyjął jej na chwilę butelkę z ręki, by ucałować dłoń.

- O, czarodziejko! Przeszłaś samą siebie!

- Zbyt pan łaskaw dla mnie, cny kawalerze!

Dygnęła wdzięcznie, po czym zażądała zwrotu butelki.

- Jakim cudem zdobyłaś tę suknię? Jest doprawdy... rewelacyjna! - dodał uświadamiając sobie, że żadne słowa nie oddadzą należyście zakresu i głębi tych rewelacji.

- Mam swoje sposoby!

- O, tak - odpowiedział ściszym głosem Jim. - Dobrze o tym wiem!

Staliby tak przez całą noc, uśmiechając się do siebie, odgroźdzeni od reszty świata, gdyby Ming Ho nie przypomniał im:

- Już czas!

- Racja - odparł Jim. - Jeszcze tylko jedno. - Spojrzał na Kate, zmarszczył brwi, zrobił (jak to określała) „minę starszego sierżanta” i oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu: - Piętnaście minut, nie więcej. Sekunda opóźnienia i wkraczam na scenę. Gdybyś nas potrzebowała wcześniej, wrzeszcz!

- Obejdzie się bez wrzasków - oświadczyła z ogromną pewnością siebie. - A w każdym razie nie na samym wstępie. Może później, kto wie... ?

Przerwał jej szybkim, mocnym pocałunkiem.

*Pilnuj się, uważaj na siebie! A do tego „później” z pewnością wrócimy.*

Obróciła się na pięcie. Jej włosy uniosły się w powietrze i opadły splątana złota przędzą na ramiona Kate. Kołysząc biodrami i gotując się do czekającej ją bitwy, znikła za zakrętem korytarza.

- Piętnaście minut! - przypomniał jej najbardziej donośnym szeptem, na jaki pozwalała ostrożność. Nie warto martwić się o taką spryciarę jak Kate! powtarzał sobie, ale nic to nie pomagało na bolesny skurcz w brzuchu. Dobrze chociaż, że Kate grasuje po znanym terenie.

- A teraz do roboty! - zakomenderował, zwracając się do swej armii.

Ming Ho odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

- Więc pan i panna Riley... ? No, no... - Skinął głową. - Cudownie!

- Właśnie, ja i panna Riley. - W duchu zaś dodał: Masz absolutną rację: jest cudownie. Może aż za cudownie? - Zajmij się prawą stroną korytarza. Ja obsłużę lewą.

- A ja co mam robić? - spytał Johnny, tak pełen zapału do pracy, że aż mdliło.

- Ty? Nie płacz się pod nogami!

Strażnicy z bliska wydawali się jeszcze wyżsi. Zdumiewające, że na wysepce tak małej jak Balthelay udało się wyprodukować równie dorodne okazy! Wszyscy mieli bary szerokości podwoi, których strzegli. I 'wszyscy, jak na komendę, zwrócili głowy w stronę Kate, która zmierzała ku nim spacerowym krokiem. Fałszywy ruch jej bioder przyciągał bez reszty ich uwagę.

Chyba to jednak nie kastraci, rozważał Jim, podchodząc bezgłośnie od tyłu do pierwszego strażnika. Poklepał go po ramieniu, a gdy olbrzym odwrócił się, zaprawił go w szczękę, zanim do rozanielonego strażnika dotarło, że jest tu ktoś jeszcze. Jim podtrzymał padające ciało.

Zerknął na Chińczyka, by sprawdzić, jak sobie radzi Ming Ho. Podkradał się 'właśnie do swego drugiego przeciwnika. Pierwszy stał oparty o ścianę jak kukła z opadniętą szczęką i zwieszoną głową, całkowicie zamroczony. Jedno błyskawiczne uderzenie grzbietem ręki w szyję - i drugi strażnik został również wycofany z obiegu.

Kate była już przy końcu korytarza. Obejrzała się przez ramię, pomachała paluszkami i następny strażnik zrobił krok w jej kierunku. Dalej nie dotarł.

Ci faceci może nieźle machają mieczem, dumął Jim, ale o walce wręcz chyba nawet nie słyszeli! Ale ciężki, psiakrew! dodał w myśli, gdy kolejny wartownik zwał się na niego całym ciężarem. Jim aż się zatoczył, nie mógł jednak strząsnąć z siebie masywnego brzemienia na posadzkę. Zbyt wiele hałasu!

Pospiesznie zerknął w stronę Kate, by sprawdzić, jak sobie radzi. Trzymała się ściśle harmonogramu: dokładnie w ustalonym momencie uśmiechnęła się olśniewająco do dwóch strażników pełniących wartę przed następnym apartamentem i błyskawicznie znikła w jego wnętrzu.

Jasna, siarczysta cholera! Było to posunięcie zgodne z planem i Jim z konieczności je zaaprobował, ale zachwycać się nim nie miał zamiaru!

Dotychczasowe szczęście nagle opuściło szlachetnych zamachowców. Zapewne jakiś odgłos, a może szósty zmysł ostrzegł pozostałych strażników o grożącym niebezpieczeństwie. Na widok Jima zrobili wielkie oczy, jakby ujrzeli upiora. Mimo to dwóch rzuciło się w jego stronę, wyciągając ramiona, których by się goryl nie powstydział, i tupiąc wielkimi nożyskami. Trzeci zaatakował Ming Ho.

Jim zacisnął pięści, stanął mocno na rozstawionych nogach i czekał, co będzie dalej. Minęło już sporo czasu (prawdę mówiąc, dobrych parę lat), odkąd brał czynny udział w porządnej rozróbie. Miał nadzieję, że nie wyszedł całkiem z wprawy.

Szli na niego razem, ramię w ramię, choć wąski korytarz nie stwarzał najlepszych warunków do zbiorowego ataku. Jim odczekał sekundę, po czym ugiął nogi w kolanach i skoczył, zadając pięściami ciosy obu napastnikom równocześnie.

Zatoczyli się do tyłu. Wówczas jeden oberwał kopniaka w pierś, drugiego Jim wyrznął łokciem w podbródek. Na deser przyłożył im znów parę razy pięścią i obaj przeciwnicy osunęli się na podłogę.

Obszedł dokoła potężną kupę spleątanych mięśniakich kończyn.

Rany julek! Ostatni strażnik pędził prosto na niego. Nogi pracowały mu jak tłoki, gęba poczerwieniała jak burak. On jeden pomyślał o wydobyciu miecza i teraz trzymając go oburącz odchylił do tyłu, w pozie wytrawnego gracza w baseball, spodziewającego się łatwej piłki.

W momencie natarcia Jim uskoczył do tyłu i ostrze przecięło

ze świstem powietrze w odległości cala od jego brzucha. Cofając się, zapomniał jednak o leżących tuż za nim dwu bezwładnych ciałach, potknął się i upadł.

Strażnik uzbrojony w miecz zamachnął się nim zbyt mocno, jakby zamierzał przeciąć Jima na pół. Skutkiem przesadnego rozmachu strażnik wykonał pół obrotu, dzięki czemu Jim ujrzał przed sobą znakomity cel w postaci rozłożystego zadka. Kopnął z całej siły jedną nogą, poprawił drugą i strażnik omal się nie wywalił na nos. Miecz wyleciał mu z ręki.

Jim wygrzebał się ze stosu splecionych muskułów. Z przyspieszonym oddechem, z rozrzuconą krwią w żyłach, z powalonym strażnikiem u nóg, odwrócił się błyskawicznie, by sprawdzić, czy Ming Ho nie potrzebuje pomocy. Ale Chińczyk stał pod przeciwną ścianą, wygodnie o nią oparty, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Ukołysłani przez niego strażnicy leżeli na ziemi w równym szeregu.

- Czemuś się tak długo patyczkował ze swoimi? - zagadnął lekkim tonem Jima.

Ten otarł zakrwawione kłykcie rogiem koszuli i odciął się:

- Dzięki za pomoc!

- Jak mogłem ci przeszkadzać? Aleś miał frajdę!

Jim musiał przyznać, że to była rzeczywiście frajda. Niemal już zapomniał, co to znaczy żyć z chwili na chwilę, wytężać wszystkie zmysły i cały umysł, koncentrować się na jedynej istotnej sprawie: jak przetrwać, jak utrzymać się przy życiu choćby o sekundę dłużej.

Podbiegł do nich Johnny w najwyższym podnieceniu; rozpie-rał go entuzjazm.

- To było nadzwyczajne! Fantastyczne! - Zaczął młócić powietrze pięściami. - Nauczycie tego i mnie, prawda?

- Nie.

- O... ! - Wyraźnie zrzędała mu mina, ale zaraz się rozpogodził. Ta niesamowita odporność młodości! - Aż dziw, że nie zleciało się więcej strażników, jak narobiliście hałasu! Ich wartownia musi być gdzieś w pobliżu. - Przeciął powietrze grzbietem dłoni; podpatrzył ten gest u Ming Ho, gdy rozprawiał się ze strażnikami. - Jeśli się zjawia, będą mieli ze mną do czynienia!

- Wszyscy śpią - poinformował go Jim.

- Śpią... ?

- Jak niemowlaki! - uzupełnił Ming Ho z szerokim uśmiechem. - Te osiłki mają strasznie słabe głowy, nawet do koniak. Zdumiewające!

- Ale...

- Dość gadania! - Jim chwycił Johnny'ego za ramię i popchnął go niezbyt mocno w stronę najbliższych drzwi. - Pora na stukanie!

- Ale w pokoju księcia jest z pewnością więcej wartowników! - Dzieciak najwyraźniej nie kapował, w czym rzecz.

Od chwili gdy Kate weszła do kajuty księcia, Jim musiał nieustannie walczyć z rozgorączkowaną wyobraźnią. Obrazy, które stawiała mu przed oczyma, przeżerały mózg niczym kwas pruski: Kate wyrrywająca się z uścisków roznamiętnionego księcia i otaczający ich krąg bezdusznych strażników z mieczami w pogotowiu.

- Pewnie nie wolno im opuszczać apartamentów księcia, gdy w nich przebywa - odezwał się Ming Ho, spoglądając ze współczuciem na Jima. - No, stukamy!

Jim zaczął od jednego końca korytarza, podczas gdy Ming Ho uplasował się na drugim. Zastukał energicznie. Brak odpowiedzi. Zaczął się dobijać. W dalszym ciągu nic.

Drzwi nie były zamknięte. Wetknął głowę do środka. Pomieszczenie dwa razy większe od kajuty Kate, w barwach delikatnego różu i żółci, wypełnione walizkami niemal pod sufit. Ani żywej duszy! Zamknął drzwi i ruszył dalej.

Drzwi następnej kajuty otworzyła jakaś kobieta, zanim odjął rękę od drzwi. Jim domyślił się, że miała mniej więcej tyle lat co on, choć niełatwo było to ocenić. Turkusowe szaty osłaniały ją od stóp do głów; zerknęła tylko raz, jęknęła i zatrzasnęła Jimowi drzwi przed nosem.

Dalej szczęście też mu nie dopisywało, póki nie stanął u drzwi, w których znikła Kate przed stanowczo zbyt wieloma minutami! Wpatrywał się w drewnianą taflę, jakby mógł przez nią dostrzec, co się dzieje w środku. Złapały go skurcze. Uwważaj, kochanie!

Klamka poruszyła się. Odkoczył i niemal wtopił się w ścianę. Serce mu waliło jak młotem. Kto to? Strażnik? A może Kate?

Ani jedno, ani drugie. Drobna postać w powłóczystych szkarłatach wyszła na korytarz. Odwróciła się z lekkim zdziwieniem, gdy drzwi zamknęły się za nią.

Misja dobiegła końca. To była ta żona, której szukali! Teraz trzeba ją tylko zabrać stąd w bezpieczne miejsce, nim ockną się strażnicy.

- Panienko... - zaczął Jim.

Spojrzała na niego i jęknęła z przestachu.

- Wszystko w porządku - uspokajał ją. - Przybyliśmy panią uwolnić!

Cofała się nadal, potrząsając głową i rzucając przerażone spojrzenia na prawo i lewo.

- Naprawdę, nie ma się czego bać!

Wybełkotała coś w niezrozumiałym języku.

Masz ci los! Nie miała pojęcia o angielskim. Skąd, u diabła, ten gówniarz wiedział, że ona marzy o wybawcy, jeśli nie zamienili ze sobą ani słowa?! Niech ja go tylko dopadnę... ! pienił się w duchu Jim.

Nagle dziewczyna przestała się cofać w popłochu. Dostrzegła coś za plecami Jima. Wyprostowała się, oczy zaszyły jej mgiełką i uśmiechnęła się promiennie.

Johnny biegł ku niej z otwartymi ramionami. Bez wahania rzuciła się w nie.

- Ach... - westchnął Ming Ho, opuściwszy swe stanowisko przy końcu korytarza. - Pierwsza miłość! Jakie to urocze!

- A jakże, urocze!

Beznadziejnie głupie i kruche jak szkło. Tysiąc razy wołał to, co łączyło go teraz z Kate - nieważne, jak to zwać!... nie miał zresztą ochoty nijak tego nazywać! - od tego, co im się przydarzyło dwanaście lat temu. No, dzieciaki, życzę szczęścia. Bardzo go będziecie potrzebowali!

- Lepiej zbierajmy się stąd!

Popędzili młodych kochanków przed sobą. Za zakrętem korytarza czekały na nich pani Latimore i panna Dooley.

- Nareszcie! - odezwała się ta ostatnia. - Nie mogłam sobie poradzić z Anną: rwała się do walki. Koniecznie chciała wam biec z pomocą!

- To jest zapewne ta młoda dama? - Pani Latimore zbliżyła się do dziewczyny, która cofnęła się i przytuliła mocniej do chudej piersi Johnny'ego.

- Johnny nie wspomniał o drobnym szczególe: ona nie umie ani słowa po angielsku.



Brwi pani Latimore uniosły się aż po linię włosów.

- Ani słowa?

- Rozumiemy się bez słów.

Johnny objął ukochaną ramionami: dwoje przeciw całemu światu.

- Doprawdy? - spytała chłodno pani Latimore.

- I w dalszym ciągu nie pojmuję, czemu ona ma dziś nocować u pani, a nie u mnie! - dorzucił Johnny i nadał się tak dziecinnie, że od razu mu ubyło lat.

- Dlatego, że księżę z pewnością nie będzie jej szukał w kajucie pani Latimore - odparł Jim, usiłując zachować cierpliwość. Oni już się uwinęli ze wszystkim, a Kate wciąż nie wracała. Nadal była z tym capem! - A Ming Ho podobno wymyślił sposób, w jaki może zejść na ląd nie rozpoznana. Tak będzie o wiele bezpieczniejsze, Johnny. Na razie wszystko idzie jak z płatka, zgodnie z planem. Więc trzymajmy się go nadal, zgoda?

Przez chwilę bunt wisiał w powietrzu. Potem Johnny westchnął tak rozpaczliwie, że Jimowi zrobiło się żal smarkacza: naprawdę zakochał się po uszy w tej swojej dziewczusce.

- Zgoda...

Podprowadził ją tak ostrożnie, jakby była ze szkła, do pani Latimore i włożył jej rączkę w mocną dłoń podróżniczki. Gdy pani Latimore pociągnęła stanowczo za sobą zbłąkaną żonę księcia, ta obejrzała się przez ramię nowej opiekunki tęsknym wzrokiem na Johnny'ego. Skinieniem głowy uspokoił ją, że wszystko jest w porządku. Gdy obie znikły z pola widzenia, zamrugał pospiesznie oczyma, żeby się nie rozpłakać.

- Chyba i ja wrócę do siebie - powiedział zdławionym głosem.

- Jasne! - poparł go Jim i poklepał niezręcznie po ramieniu. - Uszy do góry, wszystko będzie dobrze.

A teraz zamierzał dopilnować osobiście, by i jego sprawy dobrze się ułożyły. Skierował się więc ku sypialni księcia.

- Dałeś jej piętnaście minut - przypomniał mu Ming Ho.

- Minęło co najmniej dwadzieścia!

- Najwyżej dziesięć.

- To i tak za dużo!

Skoro tylko strażnicy zostali wyłączeni z akcji i Jim miał czas na myślenie, myślał wyłącznie o tym, co robi teraz księżę. I Kate.

- Nic jej nie będzie.

Możliwe. Ale jego z pewnością trafi szlag, jeśli nie upewni się natychmiast, że z nią wszystko w porządku!

Jednak w tym właśnie momencie zjawiła się Kate. Bez butelki i kieliszków, lecz - sądząc na oko - poza tym nie poniosła żadnych strat. Włosy nie potargane, lśniące. Suknia nie wymięta i nie podarta. Uroczy uśmiech i bardzo zadowolona z siebie mina.

- A nie mówiłem? - rzucił Ming Ho i zniknął, zanim któreś z nich zauważyło jego nieobecność. Jim stał jak wryty, idiotycznie gapiąc się na Kate. Jego serce uspokajało się powoli, strach zelżał.

- No i co? - przemógł wreszcie dławienie w gardle. - Były jakieś kłopoty?

- Żadnych - odparła pogodnie. - A co z dziewczyną, która była u niego? Jej właśnie szukaliście?

- Tak.

Kate skinęła głową.

- Od razu tak pomyślałam.

- Trudno ci się było jej pozbyć?

- Skądże znowu! Książę bardzo chętnie zgodził się porozmawiać ze mną bez świadków.

- Bez świadków?! - Jim omal się nie udławił tym krótkim zwrotem.

Zaśmiała się cicho, wzięła go za rękę i przytuliła się do jego boku.

- No, może to lekka przesada. W pokoju było czterech strażników. Ale oni się widać nie liczą.

- Rozumiał, co do niego mówisz?

- O, tak! Doskonale zna angielski; studiował w Anglii przed wstąpieniem na tron. I obejrzał kawał świata. Prawdziwy dżentelmen, można powiedzieć.

Światowiec. Multimilioner. I, sądząc z tonu Kate, prawdziwy czaruś!

- Nie próbował...?

- Cóż... w pewnym sensie tak. Prawdę mówiąc... - Urwała w połowie zdania. - Czy nie powinniśmy wrócić do naszej kajuty, nim ocknie się ten i ów ze strażników, co leżą pokotem na korytarzu? Albo książę postanowi wezwać do siebie inną żonę i odkryje, co się stało?

- Chyba tak...

Ale to będzie cholernie trudny spacer pomyślał. Kolana się pod nim uginały i pewnie nie przestaną, póki nie dowie się całej prawdy o tym, co zaszło w sypialni księcia.

Wracali spacerkiem jakby nigdy nic: ot, zwykła para na miłej przechadzce wieczorową porą.

- O czym to ja mówiłam... ?

Czy ona umyślnie tak się nade mną znęca? zastanawiał się Jim. Ależ oczywiście'.

- A, prawda! Pytałeś, czy księżę chciał... zapoznać się ze mną bliżej. Chyba tak, ale, wyobraź sobie, na Balthelay panują do-prawdy osobliwe obyczaje! Uważa się, na przykład, że ani jedna kropla królewskiej krwi nie powinna być zmarnowana na poza-mażeńskie stosunki. U nich po prostu nie wypada komuś z ro-dziny panującej płodzić nieślubnych dzieci!

- Naprawdę? - Jimowi wyraźnie ulżyło.

- Naprawdę. Więc kiedy dotarło do niego, że ani się specjal-nie nie nadaje, ani nie palę się do tego, by zostać jego trzydziestą drugą żoną, przedłużanie naszej konwersacji nie miało sensu.

Jim stanął jak wryty.

- On ci się oświadczył?'

- Niby tak... Ale podchodził do tej sprawy tak... rzeczowo, że to wcale nie wyglądało na oświadczyzny!

- Chciał się z tobą ożenić?

Jim niby to zdawał sobie sprawę, że Kate ciągnie go za ramię, próbuje skłonić do dalszego spaceru, ale jego zbuntowane nogi ani drgnęły!

- Kiedy ma się tyle żon, cóż znaczy jedna mniej czy więcej? - Kate wzruszyła ramionami. - Zawsze to dość pochlebne wyróż-nienie, ale całkiem co innego niż propozycja monogamicznego małżeństwa. A ponieważ księżę ani myślał zrezygnować z resz-ty żon, nie było o czym dalej mówić, prawda?

- Zażądałaś, by pozbył się dla ciebie całego haremu?!

Ta myśl utkwiła mu w mózgu - zdumiewająca, oburzająca, niemożliwa do usunięcia.

- Tak jakoś... samo wynikło z rozmowy. - Uniosła głowę i roze-śmiała mu się prosto w nwarz. Oczy jej błyszczały. Potem znów przytuliła się do jego ramienia. - W gruncie rzeczy nie jest wcale w moim stylu!

„Władca mórz” dotarł do francuskiego portu przed czasem: niebo ledwie się przyoblekło w gołąbkową szarość świtu. Rejs powrotny z Nowego Jorku, z pełnym ładunkiem, trwał o dwadzieścia osiem godzin dłużej niż poprzedni, dziewiczy. Mimo to „Władca mórz” był nadal znacznie szybszy od pozostałych statków przemierzających Atlantyk.

Mimo wczesnej pory na przystani panował tłok. Tłumy Francuzów pragnęły powitać „Władcę” w macierzystym porcie. Ciżba na pokładzie była równie imponująca. Pasażerowie nie kwapili się do opuszczenia „pływającego pałacu”. Chętnie ustępowali drogi uczestnikom Wyścigu Stulecia: niech sobie schodzą na ląd jako pierwsi!

Kate i Jim znajdowali się na końcu kolejki. W tym momencie kilka minut przewagi nad konkurencją nie miało dla nich znaczenia; oboje byli co do tego zgodni. Sposób zaś, w jaki reszta zawodników przepychała się do trapu i ścigała na nim, zapowiadał, że bez przymusowej kąpieli się nie obejdzie.

Ubranie Kate wyglądało tak, jakby je pożyczyła od pani Latimore: biała koszulowa bluzka, prosta w kroju spódnica koloru khaki (Kate ostatecznie pożegnała się z tiurniurą!), włosy splecione w warkocz, zwisający na plecy.

- Ładnie wyglądasz - pochwalił Jim.

Spojrzała na niego spod rzęs, niepewna, czy to kpiny, czy też mówi serio.

- Naprawdę! - Pociągnął ją delikatnie za warkocz. - Co się stało Z tą czerwoną suknią?

Uśmiechnęła się ironicznie.

- Wróciła tam, skąd przyszła. Mała szkoda, krótki żal.

- Mnie tam będzie jej brakować.

- Nie wątpię!

Kolejka posunęła się do przodu. Jim chwycił swój plecak i jedną z walizek Kate, zostawiając jej tylko neseser.

- Nie masz chyba nic przeciwko temu, że cię wyręczę? - spytał od niechcenia.

- Jak już mi porwałś walizkę, to się z nią męcz! - odparła z lekką urazą, że zaliczył ją do kategorii istot słabych. No tak, to był odruch uprzejmości; mężczyźni wyręczali ją w noszeniu ciężarów przez całe życie. Ale Jim powinien znać ją lepiej!

Neseser objął się o kolano Kate, gdy szła po trapie, z Jimem deptającym jej po piętach. Teoretycznie powinno jej zależeć na tym, by jak najprędzej znaleźć się na lądzie. Dalsze przygody, następna wskazówka, i tak dalej. Ale stukot jej obcasów po deskach trapu brzmiał dziwnie głucho, a nogom wcale się nie spieszyło.

Znalazłszy się na przystani, odsunęli się jak najdalej od wartkiego strumienia ludzi.

- No cóż... - powiedziała Kate. - Pora na Pireneje, nieprawdaż?

- Na to wygląda.

Dotknął lekko dłonią jej pleców. Przez ostatnie trzy dni prawie nie odrywał od niej rąk i przeważnie był to dotyk bardzo intymny. Powinno jej to do tej pory spowszednieć. A tymczasem wystarczyło lekkie, pozbawione wszelkiego erotyzmu klepięcie po plecach, by serce się w niej rozszalało, a w ustach zaschło. Widocznie im częściej Jim jej dotykał, tym bardziej jej ciało za tym tęskniło, świadome cudów, jakie sprawia jego dotyk.

- Rozchmurz się! - powiedział. - Doskonale dasz sobie radę!

- Pewnie, że tak - odparła bez przekonania. Nie obawiała się, że spotka ją coś złego. Wiedziała, że Jim do tego nie dopuści. Ale wcale sobie nie życzyła, by nieustannie nad nią czuwał! Mógł znacznie produktywniej wykorzystać ten czas, zapewniając im wygraną.

- Słowo daję! - zapewnił, dotykając policzka Kate ciepłymi, dobrze jej znanymi palcami. - Teren jest nierówny, trudniejszy niż dotąd, ale nauczyłaś się mnóstwa rzeczy.

Owszem, wiedziała już znacznie więcej. Ale zdawała sobie sprawę z własnych ograniczonych możliwości. Wspinanie się na wyżyny nie było jej mocną stroną. Ta część podróży uświadomi obojgu w pełni, jak odmienne wiodą życie i jak bardzo Kate nie pasuje do świata Jima.

Nic jednak nie mogła na to poradzić. Mapa mówiła wyraźnie: Pireneje! Wobec tego musieli udać się w Pireneje.

- Jak tam dotrzemy?

- Pociągiem. Przez większość drogi.

Westchnęła.

- Myślisz, że uda nam się znaleźć wagon, w którym nie będzie śmierdziało?

- O, tym razem pojedziemy z fasonem. Nie tylko kupimy bilet, ale zarezerwujemy osobny przedział.

Łypnął na nią lubieżnie z taką przesadą, że musiała się roześmiać.

- Cudowny pomysł, Jim, ale wątpię, by moja kasa wytrzymała takie zbytki!

- No, cóż...

- Hmm... - Postawiła walizkę na ziemi i popatrzyła mu prosto w twarz. - Czemu masz taką skruszoną minę, co?

- Ja? Skruszoną minę?! - Sięgnął po jej walizkę. - Im wcześniej ruszymy w drogę, tym lepiej. Nie uważasz?

- Jim... ?

- Pomówimy o tym później.

- Pomówimy teraz.

Uprzedzając Jima, chwyciła swą walizkę i cały jej bagaż znalazł się poza zasięgiem jego rąk.

- Kate...

Spojrzała na niego wyczekująco.

- A niech ci będzie! - Rzucił na ziemię własny bagaż. - Widzisz... nie jestem tak całkiem... bez grosza, jak ci się zdaje.

- Nie jesteś bez grosza - powtórzyła z namysłem. - Więc *ile* ostatecznie masz tego grosza?

- Niewiele - uspokoił ją pospiesznie. - Ledwie wiązę koniec z końcem.

- Doprawdy... ?

- Jak najbardziej! - zapewniał z idiotycznym entuzjazmem. - Prawdę mówiąc, z pewnością do tej pory przepuściłbym wszystko, gdybyśmy się nie spiknęli.

Spojrzała na niego spode łba.

- Konie... Żywność... I wszystkie inne rzeczy, które zdobywałeś jakimś cudem! Po prostu je kupowałeś, prawda?

- Klacz wynająłem.

- Wynająłeś! I uważasz, że to wszystko zmienia, co? - Potrząsnęła głową. - A ja myślałam, że kradniesz!

- Kradnę?! - Ryknął takim śmiechem, że większość schodzących naład pasażerów popatrzyła na niego z niepokojem.

- Jim!

Gdy jej nie odpowiadał, tylko nadal się zaśmiewał, stawiała mu czoła sztywno wyprostowana, ze śmiertelnie poważną miną.

Uspokoił się wreszcie i przycisnął rękę do brzucha, który go rozbolał od śmiechu.

- Czemu zawarłeś tę umowę ze mną, jeśli nie potrzebowałeś na gwałt pieniędzy?

Dopiero teraz brzuch rozbolał go solidnie, i to wcale nie ze śmiechu.

- Pieniądze naprawdę były mi potrzebne - powiedział wymijająco. - Nie zostałem całkiem bez grosza, ale o zorganizowaniu następnej ekspedycji mogłem tylko marzyć. A gdybym nie wyruszył w świat, nie starczyłoby tej forsy na długo, nawet na samo utrzymanie.

- Jim! - powtórzyła raz jeszcze i czekała, kiedy wreszcie Jim zdobędzie się na prawdę.

On zaś nie miał pojęcia, jak Kate na to zareaguje. Powinien był jej o tym powiedzieć dawno temu, gdy tylko stała się dla niego kimś znacznie bliższym niż żona starego przyjaciela. Ale sprawy układały się tak pomyślnie, że Jim wolał nie wywoływać wilka z lasu, nie pisał Kate ani słowa i niemal wyrzucił z pamięci niemiłe wspomnienie.

A tymczasem Kate nie dała się nabrać na wszystkie jego wykręty!

- Bo przyrzekłem coś w tym rodzaju doktorowi.

- Co takiego?!

Ujrzał w jej oczach zaskoczenie, niedowierzenie i podejrzliwość.

- Dawno temu. Zanim... zanim się spotkaliśmy. Mam na myśli ten pierwszy raz. Może rok po tym, jak Elaine umarła, a on wrócił na dobre do kraju ze względu na dzieci, dostałem od niego list. Zaraz po waszym ślubie.

- Co ci napisał o mnie? - spytała.

- No... - zawahał się.

- Bez obawy, Jim! 2 pewnością się nie obrażę. Jestem po prostu ciekawa.

- Szczerze mówiąc, niewiele. Że ożenił się powtórnie z kobietą, która zaopiekuje się dziećmi. I poprosił, żebym udzielił ci pomocy w razie potrzeby, gdyby jemu coś się stało.

- I to wszystko?

Nie powinno jej to zdziwić. Jednak nie od razu w gmatwaniu różnorodnych uczuć odkryła prawdziwą przyczynę swego zdumienia.

- Bardzo mi przykro - wymamrotał Jim.

- Całkiem niepotrzebnie. - Przerzuciła warkocz przez ramię i spojrzała mu prosto w twarz. - Szczerze mówiąc, zdziwiło mnie tylko to, że w ogóle zatroszczył się o mnie.

- A powinien, psiakrew!

Jim poczuł, że wzbiera w nim nieoczekiwany gniew na Goodale'a. Kate była przecież, do cholery, jego żoną! Dbała o jego dzieci. Należało jej się od męża coś więcej niż kilka nagryzmołonych od niechcenia słów w liście do starego przyjaciela!

Potrząsnęła głową.

- Zapewnił Emily dom i wykształcenie. Dotrzymał wszystkich warunków naszej umowy. - Głos Kate złagodniał. - Najbardziej mnie zdumiewa, że zapamiętałeś i spełniłeś tę rzuconą mimochodem prośbę!

Jim wzruszył ramionami.

- Kiedy dawno temu porzuciłem Anglię, nie miałem dosłownie nic. Nie wiedziałem, gdzie się obrócić. Wsiadłem na frachtowiec i dotarłem do Belem. Ale i tam nie było dla mnie miejsca. Dopiero doktor pozwolił mi przyłączyć się do ekspedycji. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile nauczyłem się od niego przez następnych pięć lat! Ja... byłem mu bardzo wdzięczny - zakończył nieporadnie, przestępując z nogi na nogę. Czuł się głupio, gdyż - choć mówił prawdę - była to zaledwie cząstka skomplikowanej prawdy, której nawet on nie zgłębił do dna. W dodatku jeden z elementów tej kompozycji stanowiło poczucie winy, które zdołał zanalizować i powiązać z przymusowym powrotem Goodale'a do ojczyzny. I z konkretnym przykazaniem: „nie pożądaj żony bliźniego swego” (a dokładniej: żony doktora Goodale'a). To prawda, że wpłynął się w to bezwiednie, ale na tym się nie skończyło. Pożądał jej



przez te wszystkie lata. Pragnął Kate wówczas, gdy uciekła od niego. Tęsknił za nią, włóczęc się po całym świecie, choć starał się zapomnieć. Palił się do niej, gdy ni stąd, ni zowąd wparowała do jego apartamentu w hotelu „Waldorf-Astoria”.

Obserwowała go bacznie i uniósłszy jedną brew, oczekiwała na rozwinięcie tematu. Na to jednak Jim nie mógł się zdobyć; wystarczająco trudno było mu przyznać się do tego przed samym sobą.

Potem, nieoczekiwanie, stanęła na palcach i ucałowała go prosto w usta, pospiesznie i mocno. I odsunęła się z uśmiechem.

- O Boże!

Rozejrzał się po kłębiących się wokół nich tłumach; ze wszystkich stron rzucano im pełne zrozumienia uśmiechy.

- Nie przejmuj się - uspokoiła go Kate. - Jesteśmy przecież we Francji. Nie takie rzeczy tu widzieli!

- Wobec tego... - Uśmiechnął się od ucha do ucha i przyciągnął ją do siebie. - Pokażmy im coś takiego, czego jeszcze...

- Hop, hop! Pani Kate! Jim!

Oboje jęknęli i odwrócili się bez większego entuzjazmu. Czekające ich spotkanie będzie z pewnością mniej przyjemne od zająca, które im właśnie przerwano.

Johnny podbiegł do nich żywo niczym psiak spodziewający się jakiejś gratki: smakołyku czy spacerku.

- Gdzie ona jest?

- Ona? Właściwie to...

- Już jej tu nie ma - powiedziała Kate łagodnym tonem, próbując osłabić cios.

- Nie ma?! - Johnny miał taką minę, jakby przemówiła do niego po turecku. - Jak to? Co to ma znaczyć?

- Dokładnie to, co powiedziałam.

- Przecież... - W jego głosie zabrzmiała panika. - On ją znalazł?! Jim, zbieraj się, musimy ją odbić!

- Johnny! - zareagowała błyskawicznie Kate, nim chłopak zdążył wbiec znów na trap. - To nie był książę!

W głębi duszy żywiła przekonanie, że książę nie zadałby sobie tyle fatygi, by ścigać uciekinierkę. Jej wybryk zapewne zadrasnął nieco książęcą dumę, ale z krótkiej konwersacji w jego sypialni Kate wywnioskowała, że władca Balthelay nie znajdo-

wal się pod urokiem swej najmłodszej żony. Poślubił ją, by okazać szczególne względy jej arystokratycznej rodzinie. Podchodził bardzo serio do powinności władcy, z małżeńskimi obowiązkami włącznie, ale najmłodszą z żon traktował raczej jak nie całkiem dorosłą kuzyneczkę.

- Więc kto... ?

- Jest całkiem bezpieczna, możesz mi wierzyć.

Chłopak z zaciśniętymi pięściami przyskoczył do Jima.

- Coś ty z nią zrobisz?!

- Wolnego, koleś. - Jim uniósł ręce w uspokajającym geście. - Pomogłem ci w porwaniu nieznajomej dziewczyny z czystej męskiej solidarności, bo wiedziałem, że sam to spartolisz. Nic więc nie mam na sumieniu.

- Jim! - szepnęła Kate, zaciskając wargi i potrząsając głową. Miała nadzieję, że odczyta właściwie jej przesłanie: „Serce młodego chłopca to bardzo wrażliwy organ! Ja się na tym lepiej znam i taktowniej rozwiążę problem!”

- Posłuchaj, Johnny! - Wzięła go za rękę i zmusiła, by spojrział na nią. - Ona jest naprawdę bezpieczna, daję ci słowo. Pani Latimore zna taki... no, powiedzmy... pensjonat, którym kieruje jej dawna przyjaciółka, gdzie młoda dziewczyna może odpocząć po ciężkich przeżyciach, zastanowić się nad sobą i podjąć decyzję co do swej przyszłości. Będzie tam spokojna, bezpieczna, poza zasięgiem wpływów księcia.

- Ale... ale... - Ręka Johnny'ego drżała w jej uścisku. - Ja nie rozumiem! Czemu... ?

- Jesteście oboje bardzo młodzi, niedoświadczeni - wyjaśniała taktownie, wiedząc, że młodzież nigdy nie wierzy starszym, kiedy ich o tym przekonują. (Ale głupota młodych nie zmienia faktu, że dorośli mają rację!) - I właśnie dlatego postanowiliśmy...

- My?! - wrzasnął. - A któż to taki? Dlaczego ci *my*, co decydują o naszym losie, to ktoś inny, nie ja i ona?!

- Przecież się prawie nie znacie.

- A co to ma do rzeczy?! Ja ją kocham!

Zaczął mrugać oczami, a w Kate stopniało serce. Wiedziała, że podjęła słuszną decyzję, ale pojmowała też ból tego dzieciaka.

- Johnny... - zaczęła. Pewnie nie miał już do niej zaufania. Mimo to dobierała słowa z najwyższym staraniem. Może dotrą do

niego później, po zastanowieniu? - Wiem, że ją kochasz, drogi chłopcze. Ale ona była w wyjątkowo trudnym położeniu. Prawie bez wyjścia. A tak bardzo chciała się stamtąd wyrwać!

Johnny zeszywniał.

- Chce pani powiedzieć, że się mną posłużyła?

- Nie ujęłabym tego tak brutalnie, Johnny! I nie twierdzę, że tak było. A choćby nawet kierowały nią takie pobudki, mogła ich sobie nie uświadamiać. Tłumaczę ci tylko, że nie można wykluczyć takiej ewentualności. I że podejmowanie nieodwracalnych decyzji w oparciu o tak krótką i dramatyczną znajomość byłoby wielkim błędem.

Przez chwilę obawiała się, że chłopak wybuchnie płaczem, a ona nie wytrzyma i wyśpiewa mu wszystko ze szczegółami.

- Nie rozstajecie się na wieki - powiedziała. - Jeśli łączy was prawdziwa miłość, to nie wygaśnie z powodu rozłąki. I wówczas będziecie mogli planować wspólną przyszłość bez obawy, wiedząc, że łączy was wypróbowane uczucie, a nie przypadkowy zbieg okoliczności.

Johnny wyrwał rękę z jej uścisku. Kate westchnęła. Kilka tygodni, kilka miesięcy... To przecież cała wieczność, gdy ma się siedemnaście lat!

- Pani Latimore... - powiedział w zadumie. - Przed chwilą widziałem, jak wszyscy razem schodzą na ląd: pani Latimore, panna Dooley i Ming Ho. Ale nie miałem pojęcia... - Urwał nagle na widok Ming Ho, który właśnie schodził sam po trapie, machając wesoło ręką. - Przecież on... ?!

Fortel był tak prosty, że Kate nie uwierzyłaby w jego skuteczność, gdyby nie przekonała się na własne oczy. W ciemnych workowatych spodniach Ming Ho i w jego luźnym kaftanie, z włosami ukrytymi pod wielkim słomianym kapeluszem, smukła młoda kobieta mogła opuścić statek na oczach wszystkich (zwłaszcza w towarzystwie obu dam), nie budząc najmniejszych podejrzeń.

Johnny uświadomił sobie prawdę. W ślad za tym pojawił się gniew, który ostatecznie wyrwał go z osłupienia. Z całej siły chwycił Kate za ramiona i niemal uniósł do góry.

- *Gdzie ona jest?!*

- Hej tam, wolnego! - Jim zręcznie uwolnił Kate z bolesnego

uścisku i stanął pomiędzy nimi. - Nie czepiaj się jej, bo nie masz powodu!

- Zabronisz mi?! - Johnny zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, ale przez maskę jego brawury przebijał niepokój. Wyprostował się jednak i uniósł zaciśnięte pięści. - Wal, ile chcesz, nawet mnie okalecz, zniosę wszystko! - Po czym dodał w przystępie szczerości: -... albo prawie wszystko. Ale musisz mi powiedzieć, gdzie ona jest!

Z rękoma skrzyżowanymi na piersi, w postawie na „spocznij!”, Jim spoglądał z góry na wywijającego pięściami chłopaka i uśmiechał się w duchu.

- Taki z ciebie podobno łebski reporter! Zależy ci na tej dziewczynie? To nie pytaj innych, tylko sam ją znajdź!

## 23

Na stronie tytułowej „Daily Sentinel” w ciągu następnych dziesięciu tygodni regularnie pojawiały się sprawozdania z trasy Wyścigu Stulecia. Oto niektóre z nich.

### **OŚWIADCZENIE REDAKTORA NACZELNEGO**

#### **Żadnych niewiarygodnych tekstów na naszych łamach!**

*Wielu Czytelników zwróciło się do nas ze swymi pytaniami i zastrzeżeniami co do zamieszczonego na łamach „Daily Sentinel” nie podpisanego artykułu i jego autora.*

*Po gruntownym rozważeniu problemu dyrekcja oraz zespół redakcyjny podjęły ostateczną, niepodważalną decyzję: żadnych dalszych odstępstw od słusznej zasady: Nie publikujemy materiałów nie zamówionych i nie podpisanych. Autorzy zamieszczanych na naszych łamach tekstów muszą być w pełni wiarygodni!*

*Jesteśmy pewni, że nasi wierni Czytelnicy będą nadal z zainteresowaniem śledzić losy uczestników Wyścigu Stulecia i roz-*

czytywać się w barwnych sprawozdaniach, przekazywanych nam regularnie przez nieustrudzonego Charliego Hobsona, który dzielnie dotrzymuje kroku naszym zawodnikom!...

## **GORĄCE POWITANIE NA GRANICY ANDORY**

**Uczestnicy Wyścigu Stulecia biorą się za łby!**

Większość kibiców utrzymywała, że major Huddleston-Snell wypadł na dobre z wyścigu po swym nieoczekiwanym (i dość mokrym!) rozstaniu z „Władcą mórz” tuż przed rozpoczęciem rejsu. Jednak major po raz chyba setny dowiódł, że nigdy nie wolno stawiać na nim krzyżyka! Zrobił wszystkim niespodziankę, przyłączając się do grupy naszych zawodników u podnóża gór.

Na powitaniu się jednak nie skończyło. Choć Wasz specjalny wysłannik, Drodzy Czytelnicy, nie oglądał na własne oczy bulwersujących wydarzeń, o których będzie zaraz mowa, oparł się na relacjach wielu - naocznych i wiarygodnych - świadków. Zapewniają oni, że... aż trudno uwierzyć!... doszło do rękoczynów pomiędzy niezłomnym majorem a jego arystokratycznym ziomkiem, lordem Jamesem Bennettem. Bójka (a może należałoby to nazwać pojedyńkiem?) została szybko i sprawnie przerwana przez piękną i zagadkową (jak zawsze) asystentkę lorda Bennetta, nim doszło do poważniejszych obrażeń. Pojawienie się następnej grupy uczestników wyścigu - pani Ladmore i jej orszaku - jeszcze bardziej ostudziło wzburzone umysły. Nie mogę jednak oprzeć się refleksji, że od dawna przyjęte opinie coraz częściej zawodzą. Nie wszyscy Anglicy są chłodni i powściągliwi. Nie wszyscy rodacy na obczyźnie miłują się jak bracia. Czyżby nie wszyscy arystokraci byli dżen... Cyt!...

Chyba sama Opatrzność ostrzegła słynnego inżyniera Eifela, by w trzecim tygodniu października nie przebywał w swoim podniebnym apartamencie! Znajduje się on na szczycie genialnie skonstruowanej przez niego wieży, zwanej, oczywiście, wieżą Eiffla.

Dla pragnących zwiedzić tę unikalną budowlę turystów było to siedem pechowych dni! Dowożąca zwiedzających na sam szczyt winda (dotąd niezawodna) z jakiejś zagadkowej przyczyny

odmówiła posłuszeństwa. Naprawa tego urządzenia - widocznie skomplikowana - trwała nadspodziewanie długo.

Najbardziej ucierpieli skutkiem tego uczestnicy Wyścigu Stulecia, których większość przybyła do Paryża w tym właśnie tygodniu w poszukiwaniu kolejnej wskazówki co do dalszej trasy wyścigu. Wyraźny trop wiódł na szczyt wieży Eiffla. Pozbawionej windy. Ale czyż jedna oporna winda może odstraszyć naszych nieugiętych zawodników?!

Trzy zmiażdżone palce u nóg, jedno złamane przedramię oraz mnóstwo siniaków w dolnych partiach ciała (nie wdawajmy się w szczegóły anatomiczne!)... oto krwawy plon nieoczekiwanej corridy - inaczej mówiąc, kolejnej próby zdobycia sekretnej wskazówki w Wyścigu Stulecia.

Tym razem spora grupa naszych zawodników poszukiwała tych cennych informacji w Walencji. Czekwały one na śmiałków pośrodku areny, na której odbywają się tradycyjne walki byków. Zadanie wydawało się łatwe, gdyż nie było tam akurat rozentuzjowanych widzów, nieustraszonych toreadorów, matadorów, pikadorów ani w ogóle nikogo. Prócz naszych dzielnych zawodników, oczywiście!

Niczego jednak nie można być pewnym. Oto na arenę wtargnęły niespodzianie trzy rozwścieczone byki z rogami długimi i ostrymi niczym szpady ich pogromców...

Któż z Was, Drodzy Czytelnicy, nie słyszał o soukach? Te egzotyczne bazary Tangeru zachwycają przepychem jaskrawych barw. Słyną też z panującego na nich ustawicznie zgiełku i zamętu. Ale tradycyjne walory souków zbladły, zszarzały i poszły w kął wobec piekielnego wrzasku, ogólnego popłochu i kompletnego chaosu, jaki zapanował tam w bieżącym tygodniu, gdy wkroczyli do akcji nasi absolutnie niezrównani zawodnicy!...

Zimowy sen całej przyrody przypomina nam o ustawicznym przemijaniu... Niebawem odejdzie na zawsze Stary Rok... Wszystko ma swój kres...

Dziwicie się pewnie, Drodzy Czytelnicy, skąd u Waszego specjalnego korespondenta ta filozoficzna zaduma?

### ***Do końca Wyścigu Stulecia już tylko dziesięć dni!***

*Uczestnikom pozostało niewiele ponad tydzień na dotarcie do celu i zdobycie nagrody. Jeśli żaden z nich nie zdoła tego dokonać, nagroda zostanie wycofana. Można by rzec: rozplynie się w mroźnym powietrzu.*

*Są dzielni, wytrwali, nieugięci... Przebyli już tyle mil... Wszyscy - a przynajmniej większość - maszerują równo. Raz jeden ma kilka godzin przewagi, to znów drugi prześcignie go o pół dnia. Najwyżej o dzień. I to wszystko miałyby pójść na marne? Nie-możliwe!*

*Nadciągają mrozy. Rok dobiega końca. Dobrze nam już znana grupa, zmęczona, ale pełna determinacji, zbliża się do wybrzeży Anglii...*

Niewielka łódź rybacka rwała dziarsko przez kanał La Manche. Dwie godziny po zachodzie słońca, dwa dni po Bożym Narodzeniu, temperatura ciągle spadała, a wilgotny, lodowaty wiatr marszczył powierzchnię wody.

Kate zadrżała. Jim natychmiast objął ją ramieniem, by ogrzać ciepłem własnego ciała. Przytuliła się do niego, napawając się jego bliskością, starając się utrwalić w pamięci każdy szczegół - zapach skóry, dotyki ręki...

*To już prawie koniec.* Nie da się ukryć: zbliżał się kres ich podróży. Na wprost Kate, w księżycowym blasku połyskiwał białą półkolistą brzeg zatoki. Nieco dalej widniało faliste pasmo wzgórz. Tu i ówdzie można było dojrzeć świetliste plamki - okna domów - rozsiane rzadko na stoku, zgrupowane obficie w dole, gdzie nad samą zatoką przycupnęło miasteczko.

Kate zerknęła na Jima. Podniósł kołnierz płaszcza i skulił się z zimna. Skóra mu poczerwieniała. Z jego ostrych rysów nie można było nic wyczytać, gdy wpatrywał się w coraz bliższy brzeg. I nagle prawda, której Kate z uporem nie dopuszczała do siebie przez ostatnie tygodnie, poraziła ją niczym grom. Tego bezlitosnego ciosu nie sposób było uniknąć. Lodowate zimno przejęło ją do kości.

*To już prawie koniec!* pomyślała znowu. Podniecenie, jakie ogarniało ją niegdyś na myśl o zakończeniu wyścigu, wygasło od dawna. Czy zwyciężą, czy zostaną pokonani, ona przegra i tak.

Zakończy się ten krótki, ale jakże barwny i wspaniały epizod w jej szarym życiu. To było nieuchronne.

Jak mogłaby tego uniknąć? Pospieszyć za Jimem na kraj świata? Ta myśl nieraz ją kusiła. Zaopiekował się nią, tak jak obiecał. Czowała się przy nim bezpiecznie. A wygodnie? No cóż, z wygodami było gorzej, przyznała uczciwie. Ale czy częściowa utrata komfortu stanowiła zbyt wysoką cenę za radość ustawicznego przebywania z Jimem? Z pewnością nie! Przecież z nim nie ulękła się nawet gór!... Wiedziała, oczywiście, że Pirenejom daleko do himalajskich szczytów, a kilkutygodniowa eskapada to nie ekspedycja naukowa, która trwa długie miesiące, czasem nawet lata.

Porywisty wiatr obryzgiwał twarz Kate morską pianą. Sól piekła ją w oczy i szczypała w język, a gorzki żal przepełniał jej serce.

Co tu ukrywać? Była dla Jima kulą u nogi! Mimo najlepszych chęci przeszkadzała mu, a nie pomagała. Musiał się o nią nieustannie troszczyć, omijać zbyt trudne odcinki trasy, co spowalniało tempo marszu, dbać, by nie zmarzła, nie przemokła i czuła się bezpiecznie. A przecież teren, który przemierzali, nie był tak odludny i dziki jak miejsca, gdzie Jim zwykle przeprowadzał swoje badania. Postanowiła, że nie będzie mu ciężarem. Zwłaszcza że podejrzewała, iż Jim chce powtórnie zmierzyć się z biegunem północnym. Nie należał do tych, co godzą się z porażką. Ona zaś nie mogła sobie wyobrazić rozłąki z siostrami na wiele miesięcy, może nawet lat?

Jaki zatem byłby jej los? Czekałaby na Jima bez końca, niepokojąc się o niego, modląc za niego i marząc o jego powrocie i o kilku bezcennych miesiącach szczęścia, zanim znów ją opuści... Przepełniona straszliwą obawą w każdej sekundzie jego nieobecności podejrzewałaby, że tym razem ukochany już nie wróci... Nie! Nie mogła sobie wyobrazić życia w nieustannej samotności i wiecznym strachu. Znała siebie zbyt dobrze: na pewno próbowałaby zatrzymać go przy sobie, grając na jego uczuciach i niszcząc ich wspólne szczęście. Odnosiłaby gorzkie triumfy, odciągając go od ukochanej pracy to na miesiąc, to na dwa... W końcu przebywałby z nią raczej z obowiązku niż z wyboru. Zaczęliby oskarżać się nawzajem o rozmyślne kłamstwo, o to, że ukrywali swe prawdziwe oblicze.

A jak przedstawiała się alternatywa? Powtórne zamażpójście?



rozważała Kate. Tym razem nie po to, by zapewnić sobie utrzymanie i dach nad głową. Może uda jej się znaleźć miłego towarzysza życia, serdecznego przyjaciela? Może i on - jak jej pierwszy mąż - będzie miał dzieci, tylko młodsze i mniej zapiekle w nienawiści do macochy niż pociechy doktora Goodale'a?

Ogarnęła ją przytłaczająca depresja, mroczna jak zbierające się nad jej głową chmury.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - wymamrotała. - Jeśli prawidłowo odczytałeś treść wskazówki.

- Z całą pewnością - odparł Jim.

To *Anglia*, powtarzał sobie w myśli; imię ojczyzny wydawało mu się pustym, obcym dźwiękiem. *Anglia*.

- *Pyszałek, chcąc zawładnąć i lądem i głębią, kazał wzniesć na wyżynach swą Baszłę Jastrzębią...* rozumiesz? - zacytował.

- *Lecz Czas, wieczny prześmiewca podłej ludzkiej pychy, mniemaną wielkość zmienił w pustkę i proch lichey. Ostał się jeno widok spod chmur aż na ziemię...* Okropne wierszydło! - wzdrygnęła się.

- Ale łatwe do zapamiętania - odparł. - I nie zapomnij o zakończeniu: *I skarb bezcenny, który pod nią ponoć drzemie. O to przecież chodzi.*

Po ucieczce z rodzinnego domu, po wszystkich latach spędzonych jak najdalej od Harrington, po wyplenieniu z mózgu wszelkich wspomnień i myśli o nim do tego stopnia, że Jim niekiedy sam zapominał, skąd pochodzi... powrócił pod ojcowski dach! No, nie całkiem.

Ledwie Jim rzucił okiem na kolejną wskazówkę, wiedział już, o czym w niej mowa. Że też ze wszystkich zakątków świata organizatorzy wyścigu musieli wybrać tę właśnie dziurę! Cóż za nieprawdopodobny zbieg okoliczności, jaki absurdalny przypadek! Powinien być zaskoczony, rozdrażniony... A jednak, nie wiedząc czemu, ogarnął go niepojęty wewnętrzny spokój. Choć starał się zgłębić swe uczucia do dna, nie odkrył burzy emocji, których należało się spodziewać. Prawdę mówiąc, nie czuł nic, oprócz lekkiego rozbawienia: oto leniwe Fatum wzięło go wreszcie za łeb i zmusiło do powrotu! A może od początku wiedział, że tak się skończy? Że - choćby uciekał co sił w nogach, nigdy naprawdę nie zerwie tych więzów... ?

- Jak daleko do tej baszty? - spytała Kate.

- Całkiem blisko. Jakieś sześć, siedem mil.

Znów zadrżała i przytuliła się do niego. Biedactwo! pomyślał i przygarnął ją mocniej. Tak przywykł do nieustannej obecności Kate, do jej dotknięć, uścisków, do pełnego zespolenia ich ciał, że robiło mu się nieswojo, ilekroć nie było jej w pobliżu. Czul wówczas podobny ból jak pacjent po amputacji, któremu dokuca ucięta kończyna.

Jeśli Kate tak marzyła w Anglii, to pod biegunem nie wytrzymałaby pięciu minut! Z nieba spadło kilka płatków śniegu, które tak błyskawicznie stopniały na jego twarzy, że w pierwszej chwili wziął je za krople deszczu. Ale potem ujrzał je w smudze światła: maleńkie lodowate gwiazdeczki unoszone przez wiatr. Zapowiadał się śnieg z deszczem.

- Jak myślisz, zostaliśmy znowu w tyle?

Potrząsnął głową.

- Oni pewnie płyną jakimś utartym szlakiem i wylądują w Portsmouth albo w Brighton. A ja dałem w łapę staremu Nedowi, żeby nas zabrał prosto do Shorehampton. I stąd wyruszymy w drogę.

- Nie mógł podwieźć nas jeszcze bliżej?

Tak dawno opuścił te strony, że powinien zapomnieć całkowicie, jak wyglądają. Jak pachnie tu morze... jak łagodne wzgórza sięgają niemal brzegu... Ale pamiętał wszystko tak wyraźnie, jakby wyjechał stąd kilka dni temu. Każdy zakręt drogi, każdą górkę i dołek. Tu przecież się urodził, tu biegał jako mały chłopiec. Wszystkie ówczesne spostrzeżenia i przeżycia złączyły się, tworząc wypukłą mapę krainy dzieciństwa, której nic nie mogło zatrzeć w jego pamięci.

- Nie - odparł. - Tamten odcinek wybrzeża jest bardzo niebezpieczny. Same niespodzianki: płycizny, ruchome piaski, przybrzeżne skały, prądy odpływowe... Tu będzie znacznie bezpieczniej. I wcale nie tak daleko.

Popełniłem straszliwy błąd! dumał posępnie Jim. Powiniennem się domyślić, że kiedy Fatum wzięło mnie wreszcie w obroty, to nie dopuści, by niebaczny przyjazd w rodzinne strony uszedł mi na sucho!

Dobili wreszcie do brzegu. Kiedy zaś udało im się wynajść

w Shorehampton niewielki otwarty powozik i konia, opuścili miasteczko najkrótszą drogą. Kate zauważyła, że Jim nie musi przystawać, rozglądać się, zastanawiać, w którą stronę skręcić. Pojedyncze płatki śniegu zmieniły się w zadymkę. Przy ścianach domów i obok żywopłotów rosły coraz wyższe zasy.

- Chyba powinniśmy zatrzymać się gdzieś na noc - podsunęła Kate. Spoglądała na kołujące w powietrzu wielkie białe płatki - spadające znikąd, wyłaniające się z ciemności - i myślała z utęsknieniem o jakiejś gospodzie, trzaskającym ogniu, wygodnym łożku i nagim Jimie, leżącym obok niej.

- Im dalej dziś zajedziemy, tym bliżej będzie do końca - perswadował Jim. - To nie jest długa droga.

*Do końca.* On nie miał na myśli naszego rozstania! powtarzała sobie w duchu Kate nawet wówczas, gdy przejmujące zimno osiedliło się na dobre w jej brzuchu i zastygło w ciężką, sprawiacząc ból bryłę.

- Niech będzie po twojemu - powiedziała.

Droga pokryta była warstwą śniegu o grubości pół cala. Jim musiał bardzo zachęcać niewielką, lecz krzepką klacz, by wjechała na nią, ale gdy ruszyli na dobre, kobyłka nieźle sobie radziła. Głębokie i wyraźne ślady jej podków na białym puchu niemal natychmiast znikają, wypełnione padającym wciąż śniegiem.

Rodziny dom Jima musi być gdzieś w pobliżu, dumiała Kate. Jechał na pamięć, z oczyma wbitymi w przestrzeń. Nie rozglądał się dokoła; widać i bez tego znał tu każdy kąt. Zaciekawiona Kate, usiłując dojrzeć coś za zasłoną wirującego śniegu, wycęzała oczy, ale wszystko było zamazane i tylko od czasu do czasu mignął jej to strzelisty pień jakiegoś drzewa, to ciemna bryła domu z jasnym prostokątem oświetlonego okna. Kate miała zresztą wrażenie, że przynajmniej połowa tych zimowych obrazków to płody jej wyobraźni.

Cały świat wokół niej tonął w ciszy, jakby padający śnieg pozabawił ją nie tylko wzroku, ale i słuchu. Morze, jak wyjaśnił Jim, znajdowało się po prawej stronie, w odległości zaledwie pół mili stąd. Nie słyszała jednak jego szumu, jakby śnieżna zamieć wchłonęła także i ten odgłos.

Śniegu ciągle przybywało, i w powietrzu, i na ziemi. Klacz z coraz większym trudem przedzierała się przez zasy.

Kate położyła rękę na ramieniu Jima, by przyciągnąć jego uwagę.

- Chyba powinniśmy się zatrzymać?

Tym razem jej przytaknął.

- W pobliżu jest... Prawie już dojechaliśmy do... Ja...

Trafili na lód, niewidoczny pod warstwą śniegu. Świat nagle zawirował w szaleńczym czarno-białym tańcu. Koła powozu zakrzypiały przeraźliwie na śliskiej powierzchni i zanim Kate uświadomiła sobie w pełni, co się stało, powozik przechylił się pod dziwnym kątem i ugrzązł do połowy w rowie.

Kate przycisnęła dłoń do piersi, chcąc uspokoić trzepoczące dziko serce. Zapewne wyrażało w ten sposób swą dezaprobatę.

- Nic ci się nie stało? - Ręce Jima dotknęły jej twarzy, uniosły podbródek. Ujrzał na tle migotliwej bieli wyostrzone rysy i pociemniałe oczy swej towarzyszki. - Rany boskie, Kate...

- Absolutnie nic! - zapewniła go spiesznie i zanim zdążył wydukać przeprosiny, dodała z uśmiechem: - Zawsze lubiłam fikać koziołki!

- Naprawdę nic ci nie dolega?

Ścisnął ją mocno za ramiona, przesunął dłonią po jej rękach, jakby chciał osobiście upewnić się, że Kate jest zdrowa i cała.

- Naprawdę. - Potwierdziła to jeszcze skinieniem głowy. - A co z koniem?

Jim wyskoczył z powoziku i podbiegłszy do klaczy, wyprzągł ją. Potem wrócił pędem do Kate, by pomóc jej przy wysiadaniu. Gruba warstwa lodowatego śniegu ugięła się pod nią i Kate zapadła się niemal po kolana.

- Kobyłka miewa się doskonale - odparł Jim. - Ale powóz diabli wzięli.

- I co teraz zrobimy?

- Pójdziemy na piechotę.

No i poszli. Jim kroczył na czele, wytupując dróżkę w śniegu. Kate człapała za nim, prowadząc klacz za uzdę.

- Daleko jeszcze?

- Paręset kroków - rzucił przez ramię, nie przerywając marszu. Szedł równym krokiem, bez śladu wahania czy zmęczenia.

Wzięli ostry zakręt. Kate przyspieszyła kroku w nadziei, że zaraz ujrzy jakąś chatę... a może stajnię... Zamiast tego ujrzeli dwa

kamienne słupy wynurzające się ze śniegu i sterczące pod niebo. Przypominały dwóch mrocznych, złowieszczych strażników. Przeszli pomiędzy nimi. Wąska droga skręcała *to* w prawo, *to* w lewo. Po obu jej stronach rosły drzewa, ich korony stykały się, a gałęzie spletały, tworząc żywe sklepienie wysoko nad głowami Jima i Kate. W dole zarośla stawały się coraz gęściejsze - czarny kołtun przysypany pudrem śniegu.

Spoglądając ponad ramieniem Jima, Kate dostrzegła jakąś ciemną bryłę. Na tle wirującego śniegu pojawił się ogromny cień. W pierwszej chwili Kate wzięła go za niewielki wzgórek. Po chwili jednak zamazany kontur wyostrizył się. Była to jakaś dziwna kompozycja prostopadłościanów połączonych na chybił-trafił. Gmach wzniesiony z ciemnego kamienia wydał się Kate masywniejszy od wszystkich budowli, jakie oglądała. Dach jeżył się wprost od kominów, za to okien nie było wcale. Gdy podeszli bliżej, Kate przekonała się, że jednak były: puste czworokątne otwory wykute byle jak w czarno-szarych murach. Ani śladu szyb, żadnego światła.

Jim zatrzymał się u podnóża schodów wiodących do drzwi frontowych. Na jego uniesioną ku górze twarz padały płatki śniegu, topniejąc od razu na policzkach, czepiając się rzęs.

- Witaj w Harrington, Kate! - powiedziała. - W porównaniu z czymś takim nawet „Kukułcze Gniazdo” wygląda na prawdziwy pałac, nieprawdaż?

- Może to nie jest takie okropne, jak się wydaje na pierwszy rzut oka? - powiedziała Kate. Dwie kamienne urny runęły ze swych postumentów i zablokowały drzwi - a raczej połowę drzwi, bo jedno ze skrzydeł gdzieś przepadło. Puste miejsce po nim przypominało szczerbę po wyrwanym zębie. - Chciałam powiedzieć...

- Zapewniam cię, że *jest* okropne, na pierwszy rzut oka czy na setny! - odparł, wchodząc na schody. - Uważaj, większość stopni jest uszkodzona.

- Ale co będzie z kłaczą?

- Wprowadzimy ją do wnętrza domu. Nic mu już nie zaszkodzi.

*Harrington...* Czym jest to miejsce dla Jima? zastanawiała się Kate, gdy wchodzili do wnętrza. Niewiele było tu do oglądania. Wielka pusta sala, a pośrodku podstawa szerokich schodów, które biegły w górę. Ciemne korytarze, prowadzące zapewne do in-

nych części tego... Co to właściwie było? Ziemiański dwór, zwykły duży dom, a może zamek...? Frontowy hall został dosłownie ogołocoony ze wszystkiego: ani jednego krzesła, ani jednego dywanika na wilgotnej podłodze, ani strzępka zasłony na pozbawionych szyb oknach. Wpadał przez nie wiatr, a z nim i śnieg. Zaścielał podłogę, gromadził się po ciemnych kątach.

- Tędy! - zakomenderował Jim i poprowadził ją korytarzem o sklepieniu tak wysokim, że całkowicie ginęło w mroku. Zaglądał do każdego pomieszczenia, które mijali (żadne z nich nie miało drzwi), potrząsał głową i siedł dalej. - Dachy prawie tu nie ma. Równie dobrze mogliśmy zostać pod gołym niebem. - Pośpiesznie zawrócił do frontowego hallu. Przemarznięta i zdeorientowana Kate dreptała za nim, a tuż za jej plecami stukały o kamienną posadzkę kopyta zamykającej pochód klaczy. - Tu będzie nam najlepiej! - powiedział, zlustrowawszy pośpiesznie kolejne pomieszczenie. - Kiedyś to była biblioteka. Jest w nieco lepszym stanie niż reszta pokoi. A przede wszystkim to pokój wewnętrzny. Bez okien.

Kate weszła w ślad za nim. Niewiele mogła dostrzec w panującym tu mroku. Trzy ściany pokryte boazerią, zmatowiała i poszczerbiona. Na czwartej poczerniały kominek, wyższy od Kate.

- Wybacz, że cię opuszczę na chwilkę. Muszę 'wprowadzić naszą klaczkę do sali balowej. - Uśmiechnął się cierpko. - Z pewnością zachowa się znacznie kulturalniej niż większość gości, których zwykle zapraszano do Harrington.

- Jim - spytała pod wpływem strasznego podejrzenia. - Co to za dom? Co cię z nim łączy?

- Nie domyśliłaś się jeszcze? - spytał z gorzkim uśmiechem. - To dom, w którym się wychowałem.

A potem znikł i tylko z korytarza dolatywał coraz to cichszy tupot końskich kopyt. Stojąca pośrodku pokoju Kate próbowała rozeznąć się w tym wszystkim.

Niegdyś Harrington musiało być imponującą rezydencją. Harmonijne proporcje poszczególnych pomieszczeń, ogrom całej budowli, długość krętego podjazdu - wszystko to świadczyło o minioniej świetności. Ale wspaniała przeszłość odeszła nieodwołalnie, pozostawiając Harrington zrujnowane, spustoszone, w stanie kompletnego upadku.

Usłyszała ciche kroki powracającego Jima. Przygotowała się na chwilę, gdy staną twarzą w twarz. Przyglądała fałdy ubrania, przybrała beznamiętny wyraz twarzy, splotła przed sobą drżące ręce.

- Wybacz - usprawiedliwiał się już od drzwi. - Wiedziałem, że będzie źle, ale nie przypuszczałem, że do tego stopnia! Ja...

- To twój dom, prawda? - spytała prosto z mostu, nie mogąc dłużej znieść niepewności.

Pytanie Kate zmroziło go. Zastygł na ułamek sekundy, w pół kroku, po raz pierwszy nie zdołał ukryć swoich emocji.

*Och, Jim!... Nie miałam pojęcia...*

- Mój dom? - powtórzył powoli, jakby wypróbując na języku smak tych dwu słów. - Nie. Oczywiście, że nie! Od wielu lat. - Potrząsnął lekko głową. - Nawet już nie pamiętam, kiedy po raz ostatni myślałem o domu!

*To tak jak ja!* O mały włos nie wypowiedziała głośno tych słów. Przecież to nieprawda! stwierdziła ze zdumieniem. Istotnie, nie miała nigdy... a przynajmniej od wielu lat... domu w sensie dosłownym: czterech ścian pokrytych dachem, który by należał do niej. Miała jednak rodzinę i tam, gdzie jej rodzina przebywała, był również jej dom. Ale Jim? Odkąd go znała, nigdy nie zabawił w jednym miejscu dłużej niż kilka tygodni. Co się zaś tyczy jego rodziny, Kate po prostu nic na ten temat nie wiedziała. I bardzo ją to dręczyło. Jim nigdy nie mówił o swojej rodzinie, nie wspominał o niej nawet słówkiem! Poczwała, jak wzbiera w niej bezmierne współczucie.

- Och, nie patrz na mnie w ten sposób!

W kilku susach był przy niej i tulił ją w ramionach. Poczwała mieszaninę woni: zapach śniegu, konia, Jima...

- Tak - powiedział. - Tu właśnie urodziłem się. W rodowej siedzibie Harringtonów. To bardzo stary ród. Imponująco długa linia hrabiów... a co jeden to gorszy! Podli, rozpustni, zdemoralizowani do cna. Mój ojciec zakasował wszystkich! Niezrównany ekspert w dziedzinie występku; praktyk, nie teoretyk. Dotarli jednak do mnie wieści, że mój brat robi co może, by prześcignąć papę. Sądząc z wyglądu Harrington, chyba mu się to udało.

Kate objęła mocno osiłka, na którym nauczyła się polegać. Był jej miły i bliski, ale nigdy, absolutnie nigdy nie uważała go za stały element swego życia, a tym bardziej za swoją własność. Od

samego początku wiedziała, że ich romans, który dawał obojgu tyle radości, nie potrwa długo.

- Wiem, cholera jasna, że powinienem wyznać ci to wszystko dobrych kilka tygodni temu. I zrobiłbym to z wyskokiem, gdybym wiedział, że przytulisz się tak rozkosznie do skruszonego grzesznika - rzucił lekkim tonem.

- No to mów dalej! - wymamrotała, ocierając się policzkiem o szorstką wełnę jego płaszcza. Kupili to okrycie razem, we Francji.

- Dalej?

- Właśnie: dalej!

Westchnął.

- Nie będzie wiele tego „dalej”. Wdałem się nie w Harringtonów, tylko w matkę. Podobnie jak ona zrobiłbym wszystko, żeby ich powstrzymać od unicestwienia Harrington. Po prostu nie mogłem beczynn timer przyglądać się, jak ojciec i brat doprowadzają je do kompletnej ruiny. Matka również nie mogła tego znieść... - urwał nagle i zaczerpnął powietrza -... tylko znalazła sobie inne wyjście niż ja. Po jej śmierci czym prędzej dałem stąd drapak. Ojca i brata niewiele to obeszło. Nie chciałem bawić się razem z nimi w powolne uśmiercanie Harrington, więc po co miałbym się tu pętać?

- Gdzie oni teraz są? Jak ci się zdaje?

Wicher świstał, wdzierając się przez którąś z dziur do wnętrza zrujnowanego dworu.

- Po wyjeździe z Harrington położyłem na nich krzyżyk. Od czasu do czasu, gdy komuś udawało się wyniuchać mój kolejny adres, otrzymywałem listy od doradcy prawnego naszej rodziny, ale żadnego z nich nie otworzyłem. Wiem, że mniej więcej cztery lata temu mój ojciec zmarł. Napisali mi to z wierzchu, na kopercie. - Wiatr świstał coraz ostrzej, donośniej, bardziej przenikliwie. - A mój brat? Pewnie jest w Londynie. Nigdy nie przepadał za wsią. Jeśli przyjeżdżał do Harrington, to po to, żeby coś stąd zabrać i sprzedać. Całkiem możliwe, że odkąd zwałem stąd, nikt nie mieszkał we dworze na stałe, a nawet go nie odwiedzał.

- Dlaczego żaden z nich nie sprzedał twojego... - Urwała, nie wiedząc, jakiego ma użyć określenia. Z pewnością nie „twój dom”! - tej rezydencji?

- Bo nie mógł - odparł tak zwięźle i dobitnie, jakby w ten sposób bronił się przed emocjami. - To majorat.



Kate znów zadrżała.

- Niech to wszyscy diabli! Jeszcze ci zimno? - odsunął się od niej i zaczął niecierpliwie rozglądać się po pokoju. - Rozpalę ogień na kominku.

- Jim...

Udał, że nie słyszy, i miotał się po bibliotece, wyglądał na korytarz, zerkał to na sufit, to na pozbawione balustrady schody.

- Nic, cholera jasna! Nawet ramy od obrazu!

- Całkiem dobrze się czuję... - przekonywała go.

Jej słowa nie docierały do Jima. Rozglądał się na wszystkie strony i ostatecznie skoncentrował się na przeciwległej ścianie. Ruszył w tamtą stronę ostrym kłusem, nabierając po drodze szybkości. Kate obawiała się, że Jim całym ciałem wyrżnie w ścianę i dozna poważnych obrażeń. W ostatniej sekundzie podniósł nogę i rąbnął nią niczym taranem w starą rzeźbioną boazerię. Ściana zatrzęsała się, rozległ się potężny trzask, a stopa Jima uwięzła w wybitej dziurze aż po kostkę.

- Jim!

Wyrwał stopę z pułapki i nachylił się, by zedrzeć kawał połamanej boazerii - ozdobną niegdyś listwę o szerokości jednej stopy z jakiegoś cennego, egzotycznego drewna.

- Udało się! - sapnął. - Mamy opa!

## 24

Śnieg sypał przez całą noc i większość następnego dnia; w niektórych zaspach można było ugrzęznąć po pas. Śnieg był ciężki i mokry. Zawierał mnóstwo wody. Kate wcale to nie przeszkadzało. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie żyła w ciągłym pośpiechu. Matka Natura okazała się silniejsza niż regulamin wyścigu. Nie było rady, musieli przeczekać jej kaprysy. Tak więc Kate przez dwadzieścia cztery godziny mogła troszczyć się wyłącznie o to, by Jim ze swego pobytu w Harrington wyniósł choć kilka

cudownych wspomnień, dzięki którym zatarłyby się może poprzednie mroczne przeżycia.

Gdy śnieg przestał wreszcie sypać, zza chmur wyłoniło się w mgnieniu oka czyste niebo i słońce. Blask jego promieni odbijających się od nieskalanej bieli śniegu dosłownie oślepiął. Nawet wewnątrz dworu Harringtonów tak pojaśniało, jakby zapłonęło tam naraz tysiąc świec.

- W pełnym świetle ta rudera wygląda jeszcze gorzej - skomentował Jim lekkim tonem, jakby mówił o cudzym domu, z którym nic go nie łączyło.

W pozbawionej okien bibliotece nadal było ciemnawo, ale przez drzwi (a raczej dziurę po drzwiach) wtargnęło i tam dość światła, by można było ujrzeć szczegóły niedostrzegalne wczoraj w ciemności. Jim leżał na podłodze przed kominkiem, obejmując leżącą na nim Kate, i wpatrywał się w sufit. Cały tynk popękany, w każdym rogu obfite draperie pajęczyn, a pośrodku, tam, gdzie wisiał niegdyś żyrandol, dziura na przestrzał do pierwszego piętra.

Z przyjemnością przeniósł wzrok na Kate, otulającą go jak kołderka. Jakże lubił czuć na sobie ciężar jej ciała i lekkie łaskotanie włosów Kate na swojej twarzy! Wdychać jej zapach, wsłuchiwać się w miarowy rytm jej oddechu. Mógł zapomnieć, gdzie się znajduje, a nawet kim jest... ale zapomnieć Kate? Niemożliwe! Jediną skazę rajskiego bytowania w Harrington stanowiła konieczność racjonowania opału. Było po prostu cholernie zimno - i z tego tylko powodu oboje nie chodzili bez przerwy na golasa, lecz wskakiwali w jakieś części garderoby.

- Musimy stąd wyjeżdżać... ? - wymruczała sennie i tak zmysłowo, że każda głoska przeniknęła do szpiku i do krwi Jima.

*Nie musimy i nie wyjedziemy, chciał krzyknąć. Zostaniemy tu na zawsze, w śnieżnej kryjówce. A resztę świata niech diabli wezmą!*

- Jeszcze nie teraz - powiedział na głos. - Dam głowę, że drogi są nieprzejezdne. Po co się wysilać nadaremnie?

Kate milczała przez chwilę.

- Jak długo tu zostaniemy?

- Do jutra. Może do pojutrze. Zależy, jak szybko się ociepli. - Jednym ramieniem obejmował ją w pasie, pod okryciem. Druga ręka gładziła jej plecy i zataczała kręgi poniżej talii. Kate przeży-

ła się pod jego dotknięciem jak kotka. - Ale jutro czeka mnie mały spacer. Muszę zdobyć trochę żywności, paszy i drewna opałowego. Choćby ze względu na naszą kobyłkę.

- Trzeba po to daleko iść? - spytała.

- Sam nie wiem - odpowiedział. - W pobliżu stoi kilka chat. Ale czy ktoś w nich mieszka i czy zechce podzielić się zapasami? Nie mam pojęcia.

Pocałował ją w czubek głowy i poczuł, że Kate przeciąga się rozkosznie. Znow ogarnęło go zdumienie, że coś tak prostego, tak naturalnego może pobudzić go do tego stopnia. Zastanawiał się, czy przyjdzie kiedyś chwila - choćby po wielu, wielu szczęśliwych latach wspólnego życia z Kate (na co się zresztą wcale nie zanosilo) - gdy przestanie reagować tak gwałtownie na jej bliskość?

Kate uniosła się, ocierając o niego całym ciałem i doprowadzając jego krew do wrzenia.

- Całusek dla dzidziusia? Stać cię na coś lepszego! - mruknęła, dotykając ustami jego ust.

Jednym szarpnięciem wyrwał jej bluzkę zza paska spódnicy i wsunął pod nią obie ręce. Kate nie włożyła koszulki po wcześniejszych igraszkach. Jej skóra była ciepła i jedwabista.

- Kate, ja...

Jim zawahał się. Kate, ja... i co dalej? Jakie słowa omal mu się nie wyrwały z ust? Niewypowiedziane zdanie unosiło się nad jego skołataną głową jak opary kadzidła, odorzały bardziej niż opium. Zdawał sobie jednak sprawę z obecnej sytuacji, a najlepiej wiedział, na co absolutnie nie mogą sobie pozwolić.

I wówczas Kate (ta wcielona pokusa!) otarła się o niego biodrami, objęła go nogami i zacisnęła je aż do bólu. Jim zapomniał o wszystkim. Jego ręce sunęły w górę, szukając...

- Hop, hop! Jest tam kto?

To wołanie zaskoczyło ich kompletnie, tym bardziej że odbiło się gromkim echem od ścian frontowego hallu. Zerwali się na równe nogi i w dzikim popłochu zapinali guziki i wtykali za pas koszulę (Jim) czy bluzkę (Kate). To mógł być któryś z zawodników albo ktoś z prasy.

- Kogo diabli przynieśli?!

- Zaraz sprawdzę - oświadczył Jim i ruszył bez zwłoki do głównego hallu. - A ty się przez ten czas... trochę ogarnij.

E tam! pomyślała Kate. Z pewnością nie odwiedzi nas żadna gruba ryba! Nawet jeśli wyglądam trochę nieporządnie... a choćby i bardzo niechlujnie, to wyłącznie moja sprawa!

Tuż za frontowymi drzwiami (a raczej ich zdezelowaną połówką) stał jakiś mężczyzna. Zapewne zasługiwał dawniej na miano „tęgiego chłopca”: świadczyły o tym szerokie bary, wielkie ręce i stopy. Teraz jednak był wymizerowany i obdarty. Wklęsnięte policzki, wpadnięte oczy, do cna wytarty płaszcz z podniesionym, zasłaniającym chudą szyję kołnierzem - zupełnie niestosowne okrycie na taką pogodę - i postrzępiona wełniana czapka, nasunięta tak nisko na czoło, że było widać tylko część jego twarzy, zaczerwienionej i odmrożonej.

- Jak żem zobaczył dym... - wyjaśnił, tupiąc butami, by strząsnąć z nich śnieg -... bo mieszkamy kapkę dalej - odgiętym kciukiem wskazał coś za swoimi plecami - o, tam! to od razu pomyślałem, że to ktoś z daleka. Pewnie śnieżycą go tu zagnała. - Pokiwał głową. - Coś mi się widzi, że wyszło na moje! Przyniosłem to i owo, pewnie wam się...

- To ty, Will? - Jim zrobił krok w jego stronę; był opanowany, ale czujny.

- Skąd... ? - Urwał i zmrużył oczy. - James?!

- Jakbyś zgadł!

Jim pospieszył ku niemu z wyciągniętą ręką i z takim ożywieniem, jakiego Kate nigdy nie widziała na jego twarzy.

Will rozpromienił się, błysnął nierównymi zębami w szerokim uśmiechu i skoczył na spotkanie przyjaciela. W ostatniej chwili zatrzymał się, ściągnął czapkę z głowy i stał tak, miętoszając ją sv spracowanych rękach.

- Pan hrabia wrócił! To dla nas wielka radość, milordzie.

- Dajże spokój, Will! Nie musisz mi czapkować ani lordować!

*Hrabia...* Will nazwał go panem hrabią! Wyciągnięta na powitanie ręka opadła do boku i zwisała bezwładnie z rozczapierzonymi palcami.

- A Francis... ?

- Nie dopadły cię te prawniki, James?

- Jakoś im się nie udało.

- O! - Will spuścił oczy i dwukrotnie obrócił czapkę w palcach, zanim znów się odezwał. Wyraźnie nie miał ochoty prze-

kazywać wiadomości, zwłaszcza złych. To był obowiązek tego tam... mecenasa. Za to mu płacili. - Twojemu bratu też się zmarło. Trzy miesiące temu, w Londynie.

- Chorował na coś? Miał wypadek?

- Ja tam... - Zerknął na Kate i poczerwieniał jeszcze bardziej. - Ja tam nie wiem nic pewnego. Nie przy nas umarł, w Londynie.

- Mniejsza z tym - odparł świeżo upieczony hrabia.

Jaki sens miało dalsze wypytywanie? Francis najwyraźniej źle skończył. Musiała to być jakaś śmierzcząca sprawa, jeśli Will krępował się mówić o niej przy Kate! Nic dziwnego. Albo oberwał nożem w burdelu, albo złapał tam jakieś choróbko. A może pojedynkował się o byle co: przegraną w karty, niespłacony dług, o jakąś dziwkę. Może wpadł do Tamizy tak spity, że zapomniał pływać. Możliwe nawet, że zadał się z rozkoszną śmiercią i umarł na własne życzenie w palarni opium...

Mój brat nie żyje, powtarzał sobie w duchu Jim, jakby chciał zbadać własną reakcję na tę wieść. Czy słowa te zabrzmią w jego mózgu szczerym żalem, czy poczuje autentyczny ból? Ale od tak dawna nie myślał o Francisie, o tym, że miał niegdyś rodzinę... Wieść o jego zgonie była mu równie obojętna jak wzmianka prasowa o tragedii, która przydarzyła się nieznanym ludziom w obcym kraju. Albo jak smutna historyjka, którą uraczył go ktoś przy kieliszku. Odrobina współczucia, niewielki smutek z powodu czyjegoś zmarnowanego życia... Nic więcej.

- Nie miał syna?

Jeszcze jedno pospieszne, ostrożne zerknięcie na nieznaną kobietę... i Will potrząsnął głową.

- Syna... ? Nie miał... nie zadbał o spadkobiercę.

- Ach, tak...

No cóż? Zapewne było... Prawie na pewno było jedno czy dwoje dzieci. Może nawet więcej? Ale Izba Lordów nigdy nie uznałaby bękarta za spadkobiercę tytułu i rodowych włości. I właśnie dlatego on - James Bennett, młodszy, wyrodny syn i uciekinier - został hrabią Harrington.

Brzmiało to fałszywie, nieprawdopodobnie. Nigdy mu się nie śniło, że odziedziczy hrabiowski tytuł. Wszyscy jego przodkowie, choć rozpasani i nieodpowiedzialni, zatroszczyli się o syna i spadkobiercę (czasem o dwóch, na wszelki wypadek). Za każdym ra-

zem dzieciak był wypisz-wymaluj jak jego papa, który w dodatku modelował go po swojemu, według odwiecznej (i paskudnej) tradycji Harringtonów, zanim sam kopnął w kalendarz.

Jim miał pustkę w żołądku i zawrót głowy. Był tak dezorientowany i tak mu się zbierało na mdłości jak przed laty, kiedy nad Amazonką przyczepiła się do niego wyjątkowo złośliwa febra.

Will mierzył Kate domyślnym wzrokiem, nawet się z tym nie kryjąc. Była chyba w *jego* spojrzeniu odrobina podziwu. Potem uniósł brew, spojrzał znacząco na Jima i wyraźnie na coś czekał.

- O, najmocniej przepraszam: jeszcze was sobie nie przedstawiłem. To jest... - Utknął, nie mogąc znaleźć właściwego słowa na określenie Kate. Urzekająca, zdumiewająca, niezwykła... Moja kochanka, moja przyjaciółka, moja... Kate. Właśnie - moja Kate!

Z właściwym sobie taktem Kate wzięła sprawę w swoje ręce.

- Mam na imię Kate - powiedziała z prostotą, ujmując rękę Willa. Ucisnęła ją dwukrotnie bez najmniejszego skrępowania i uśmiechnęła się do niego serdecznie. - Chciałam powiedzieć, że jesteśmy z Jimem. starymi przyjaciółmi, ale podejrzewam, że wy obaj znacie się znacznie dłużej!

- Ojciec Willa był... a może nadal jest?

Jim obejrzał się na przyjaciela.

- Był.

- Strasznie mi przykro...

Will skinieniem głowy podziękował za kondolencje.

- Ojciec Willa był u nas rządcą jeszcze za mego dzieciństwa - wyjaśnił Kate Jim. - A ponieważ obu naszym ojcom brakowało czasu, by mieć nas stale na oku, wiecznie pakowaliśmy się z Willem w jakieś kłopoty.

Will zachichotał.

- Jeszcze by nie!

- Naprawdę? - zdziwiła się Kate. Dałaby głowę, że Will jest co najmniej o dziesięć, może nawet piętnaście lat starszy od Jima.

- A jakże! - Skinieniem głowy wskazał niewielki worek pozostawiony przy drzwiach. - Przyniosłem wam coś do jedzenia. Niewiele tego. Kilka jajek na twardo, kawałek chleba... Wiem, żeście przywykli do czego innego, ale...

- To będzie prawdziwa uczta! - zawołała Kate z takim entuzjazmem, że nie mógł wątpić w jej szczerość. - Jaki pan dobry,

Will! Zwłaszcza że nie miał pan pojęcia, kto się tu zagnieździł.

- To nic takiego... - Zaczerwienił się i spuścił głowę jak zażenowany uczeń. - Przyszły na nas ciężkie czasy. Ludziska wtedy pomagają jeden drugiemu. - Skierował się ku drzwiom. - Obiecałem mojej żonie i maluszkom, że zaraz wrócę.

- Macie państwo dzieci? - spytała Kate.

- Troje! - obwieścił rozpromieniony i dumny. Biedak przemienił się nagle w godnego zazdrości bogacza.

- Chłopców czy dziewczynki?

- Same dziewczuszki. Śliczne jak z obrazka, po mamusce, a jakie wesolutkie! Nasze kochane promyczki.

- Gratuluję! - szepnęła miękko.

- Zrobisz dla nas jeszcze coś? - spytał Jim.

Will stanął niemal na baczność i skinął głową, gotów na rozkazy hrabiego.

- Co tylko trzeba! Jakby tu państwu nie było wygodnie... i nie dziwota! to nasza chata mała, ale gościnna. Serdecznie zapraszamy.

- Nie, nie! Całkiem nam tu dobrze, chociaż jedzenie bardzo się przyda. Podziękuj w naszym imieniu swojej żonie.

Jim marszczył czoło, był wyraźnie nieswój. Pewnie mu głupio, kiedy stary przyjaciel ni stąd, ni zowąd mu czapkuje! domyśliła się Kate.

- ... Ale mamy ze sobą klacz, a paszy już nam brakuje. Gdybyś mógł nam trochę użyzyć...

- Gdzież się ta kobyłka podziewa?

- Zaprowadziłem ją do sali balowej.

Zdumiony Will zamrugał oczyma, a potem ryknął śmiechem.

- No, no! To z ciebie prawdziwy Harrington!... milordzie.

- Więc lepiej o tym nie zapominaj... stary byku - odwzajemnił się Jim, uśmiechając się od ucha do ucha.

Kate podejrzewała, że Will będzie się starał zachować należyty dystans wobec nowego dziedzica, ale łącząca ich od dzieciństwa przyjaźń wkrótce okaże się silniejsza niż wszelkie różnice społeczne.

Zanim jeszcze Will w towarzystwie klaczy poczłapał przez zasnieżony podjazd, Kate przygotowała sobie listę pytań (mniej więcej dwa tuziny) wymagających natychmiastowej odpowiedzi. Już miała je zadać, gdy tylko Will znalazł się poza zasięgiem gło-

su, ale Jim położył jej palec na ustach, nakazując milczenie, nim wymówiła pierwsze słowo.

- Ostrzegam cię - oświadczył - że za każde pytanie, które mi zadasz, odwzajemnię się pytaniem zwróconym do ciebie. Nie wiem, jakie niejasności pragniesz wyświecić, ale pamiętaj, że oddam wet za wet!

- Ależ, Jim...

- Jeszcze nie sprecyzowałem należycie swoich pytań - oświadczył z całym spokojem. - Pozwólmy im się trochę odleżeć, potem możesz mnie pytać o co chcesz.

- To znaczy, że mi odpowiesz? - spytała.

Od tak dawna dusił w sobie wszystkie swoje sekrety... A Kate pragnęła dowiedzieć się o nim wszystkiego, co tylko zdoła, przez ten krótki czas, który im jeszcze został. Miał tyle pilnie strzeżonych sekretów, tyle mrocznych zakamarków pamięci, których nawet sam nie ośmielał się zgłębiać...

Musi to rozważyć.

- Odpowiem.

Zręcznie obrócił dziewczynę we właściwym kierunku i doholował ją do biblioteki.

- Trochę za wcześnie, by kłaść się do łóżka, nie uważasz?

- Nie.

Uśmiechnęła się i przytuliła do niego. Aż poróżnowiała z miłego oczekiwania. Jedno małe słówko, głupie trzy litery, a ona już się do niego pali - bezzwłocznie, całkowicie, jakby jej ciało było posłuszne Jimowi, a nie jej!

Siła własnego pożądanego niepokoiła Kate, a jeszcze bardziej przerażała ją myśl o tym, co się z nią stanie po odejściu Jima. Może powinna powolutku przyzwyczajać się do radzenia sobie bez niego, tak jak nałogowiec próbuje obywać się bez alkoholu czy narkotyku? Wstrzymać się, zwlekać przez chwilę, a nie rzucać się Jimowi w ramiona, ilekroć jej tknie? Szukała więc pretekstu do opóźnienia swej bezwarunkowej kapitulacji. Musiało to być coś, co zainteresuje ich oboje i skłoni do zajęcia się czymś innym, choćby na krótko. Szanse na to, by zainteresowanie potrwowało trochę dłużej, były znikome.

- No więc, o co chciałbyś mnie spytać?

Zatrzymał się tuż za progiem. Jak delikatnie... (Och, czemuż był



taki delikatny, taki słodki, taki dobry... ? Będzie jej brakowało tej jego troskliwości tak samo jak namiętych porywów. Pamięć o dobroci Jima była jak przepełniająca ją ciepło, łagodniejsze od pozoru namiętności, lecz równie odurzające). Jak delikatnie odgarnął jej kosmyk włosów z twarzy. Nie uśmiechał się przy tym, był skupiony, jakby uczył się na pamięć jej twarzy, chciał wyryć ją w swojej duszy. (Tak samo jak ona!)

- Nie pamiętam.

Cmoknęła językiem, pozornie bagatelizując sprawę.

- Wiecznie w pędzie! Gdzie się podziała twoja powściągliwość?! Kazałeś mi czekać, zanim pocałowałeś mnie w jaskini, nie pamiętasz?

- Nie miałem racji. Powściągliwość jest cnotą, ale gdy ją odrzucimy, znajdujemy coś lepszego. Znacznie lepszego! - Masował jej kark, aż odchyliła głowę do tyłu, jej oczy stały się senne, wszelkie opory znikły. - Czy zawsze robi ci się tak smutno, kiedy ktoś wspomni o dzieciach?

- Skądże znowu? Też coś! - ofuknęła go, podnosząc głowę. - Ja...

O, nie! powiedziała sobie w duchu. Jeśli chcesz, żeby był z tobą szczerzy, to musisz sama zdobyć się na szczerłość!

- Nie zawsze - odpowiedziała. - Przeważnie nie czuję smutku. Łudziłam się, że uporałam się z tym problemem dawno temu... Ale pewnie wystrzegałam się rozważań na ten temat, i tyle! A teraz, kiedy nie mam już dziecka pod opieką, bo Emily dorosła, dawne rozgoryczenie wróciło, rozpanoszyło się w moim mózgu i wielkim głosem domaga się uwagi. - Wzruszyła ramionami i siłą woli zmusiła je do posłuszeństwa. Rozprostowała plecy przygarbione tak, jakby dźwigały przytłaczające brzemie. - Przejdzie mi to! - powiedziała stanowczo, przysięgając w duchu, że tego dokona. Cóż innego mogłaby zresztą uczynić?

- Co za dziwny zbieg okoliczności! Doktor, który też nie mógł mieć dzieci, trafił akurat na ciebie...

Kate zeszytniała. Była równocześnie twarda i krucha, jak cienkie szkło.

- On też... ?

Odsunęła się od Jima, od jego dotknięć, które nie pozwalały jej skoncentrować się na niczym innym. Musi teraz skupić całą uwagę na każdym jego słowie, każdym przelotnym wyrazie twarzy.

- Tak, oczywiście. Ja... - zmarszczył czoło. - Byłem pewien, że ci o tym powiedział.

- O czym konkretnie miałyby mi opowiadać? - spytała, nadal wymawiając każde słowo niezwykle dobitnie i starannie.

- Pewnego razu, kiedy byliśmy w dżungli, dostał strasznej gorączki. Choroba zaatakowała... hm... dolne rejony jego ciała. Jaja spuchły mu jak melony. Sam wtedy zawyrokował, że nie ma się co łudzić: nie nadaje się już do płodzenia dzieci, i tyle.

- Nawet mi o tym nie wspomniał. - Zaczęła splatać i rozplatać palce, sztywne jak u stuletniej staruszki. - Nigdy nie rozmawiał ze mną o istotnych sprawach.

- No, cóż... Tak dumnemu jak on mężczyźnie trudno przyznać się do podobnej ułomności. A ponieważ w waszym związku nie to było najistotniejsze... - Coś w wyrazie twarzy Kate zaniepokoiło go. Cofnął się, jego głos stał się bezbarwny. - Zbadał cię sam? Czy to on ci wmówił, że nie możesz...

- Niczego mi nie wmówił! - Głos Kate nabrał ostrych tonów. - Nikt inny mnie również nie badał i nie stawiał diagnozy.

- Wobec tego, skąd... ?

- Sama doszłam do takiego wniosku! To ja postawiłam na sobie krzyżyk! - Rozczarowanie towarzyszyło jej niezmiennie przez te wszystkie lata. Było głębokie i przesycone lękiem, ale nie przekraczało granic jej wytrzymałości. Każdego miesiąca rana się otwierała, przypominając Kate, że jej niedola będzie trwała wiecznie. Ale to, co się wydarzyło dzisiaj, przypominało błyskawiczny, brutalny cios w brzuch. - Byłam pewna, że winę ponoszę ja. Nie mógł to przecież być mój mąż. On już miał dzieci!

Ogarnął ją gniew, gwałtowny i destrukcyjny jak żrący kwas. Nigdy przedtem nie była taka wściekła.

- Obrabował mnie! Pozbawił mnie prawa decydowania o własnym losie! Odebrał mi życiową szansę! - Poczowała, że wzbiera w niej koszmarny śmiech, graniczący z histerią. - I pomyśleć tylko, że czułam się taka winna z powodu kilku pocałunków, które wymieniliśmy... gdy tymczasem on... Boże, zmiłuj się! Żałuję z całego serca, że go wtedy z tobą nie zdradziłam!

- Rany boskie! Tak mi przykro, Kate... Nigdy mi nie przyszło do głowy, że o tym nie wiesz! Inaczej dawno bym ci o tym powiedział. Ale może...

Może co? zastanawiał się Jim. Co, u wszystkich diabłów, chciał jej zaproponować?! Nieprzemyślane, nieodwołalne działania z jego strony nie naprawią straszliwej krzywdy, jakiej doznała. Słowa uwięzły mu w gardle.

- Teraz już za późno - stwierdziła; jej oczy płonęły niesamowitym błękitnym ogniem, a na policzkach pojawiły się gorączkowe rumieńce.

- Może jeszcze nie?

- Może nie? Ileż to razy parzyliśmy się... - Mózg Kate uczepił się tego określenia. Parzyli się. - Jak często spaliśmy ze sobą? Dziesiątki razy, nieprawdaż? Gdybym była jeszcze do tego zdolna, z pewnością zaszłabym w ciążę! Ale nic z tego. Sam najlepiej wiesz!

- Jesteśmy razem dopiero od trzech miesięcy - powiedział ostrożnie, choć połowa jego mózgu darła się wniebogłoso: *Prze-stań! Daj temu spokój! Ruszże głową!*

- Na litość boską! Nie dręcz mnie tak! - Ból i żal pogrubily jej głos. - Nie pozwolę, żebyś mnie zranił! Nie poddam się złudnej nadziei tylko po to, by ją utracić! Nie zniósłabym tego, rozumiesz?!

- Ale...

- Nie! - wykonała raptowny obrót i omiotła cały pokój półprzymotnym wzrokiem. - Niech to diabli! W tej przeklętej ruinie nie ma nic, na czym mogłabym się wyładować! Porąbać! Połamać! Co za idiotyczna, bezużyteczna rudera!

- Wyładuj się na mnie.

- Co takiego?! - zachnęła się Kate.

- Wyładuj swój gniew na mnie. - Rozpostarł poły swojego płaszcza, ukazując pierś i brzuch, okryte tylko cienką warstwą szarej wełnianej dzianiny. - Wyobraź sobie, że przed tobą stoi doktor Godale. Albo okrutny los. Albo każdy, kto wyrządził ci krzywdę.

- Nie bądź śmieszny!

- Za późno: nie da się tego odrobić.

Pewnie, że był śmieszny, idiotycznie zadurzony w niej. Ze każdy ból Kate czuł we własnym sercu. To było koszmarnie! Do tego stopnia, że chętnie by pozwolił Kate znęcać się nad nim, gdyby sprawiło jej to ulgę.

- No, uderz mnie!

- Nie prowokuj, bo to zrobię! - ostrzegła go, mrużąc oczy.

- No to rób! Na co czekasz?

Choć sam ją do tego namawiał, zdołała go jednak zaskoczyć. Jej pięść śmignęła w powietrzu i trafiła go w sam środek brzucha. Zdławił bolesne stęknienie, oblókł twarz w obojętną maskę. Gdyby dostrzegła choćby najmniejszą oznakę bólu, zrezygnowałaby natychmiast z tej odprężającej terapii i miałaby wyrzuty sumienia, że uderzyła przyjaciela.

- Na nic więcej cię nie stać? Ależ z ciebie baba!

Nabrała do ust powietrza i wydmuchnęła je z siłą huraganu. Potem wzięła rozmach, odciągając ramię do tyłu niczym kurek pistoletu i ustawiając pod odpowiednim kątem jak strzałę z łuku, nim wypuści się ją w powietrze. Jim przezornie naprężył mięśnie brzucha i przyjął na siebie jej cios, tak jak pragnął wziąć na siebie jej cierpienie.

- No, dalej!

Wysunęła dolną wargę, skoncentrowała się, wzięła jeszcze większy zamach i ramię wystrzeliło do przodu.

W odległości zaledwie jednego cala od celu znieruchomiało. Piąstka Kate zawisła w powietrzu, jej oddech przypominał miech kowalski. A potem powoli, bardzo powoli, pięść rozwarła się i palce rozpostarły. Ręka Kate przebyła ostatni cal zamierzonej drogi i wylądowała miękko na brzuchu Jima.

- Mam lepszy pomysł - powiedziała Kate, leniwie zataczając dłońią koła na jego brzuchu. - Pomóż mi zapamiętać!

## 25

Nieznajomi mężczyźni schodzili się do dworu przez cały wieczór, niekiedy pojedynczo, czasem po dwóch, trzech... Byli wychudzeni i zgarbieni, jakby na ich barkach spoczywał olbrzymi ciężar. Tak przecież jest w istocie, pomyślała Kate. Wszystkim brakowało porządnej, grubej zimowej odzieży. To, co na sobie mieli, było cienkie, wytarte i postrzępione. Na dobitkę przemoczyli sobie nogi po kolana, grzęznąc w zaspach. Przybywali do dworu ze zwieszonymi

głowami, z zaczerwienionymi, odmrożonymi twarzami. W ich oczach tliła się lękliwa nadzieja. Żaden z nich nie zjawił się z pustymi rękoma. Ich dary były skromne: kawałek placka czy owocowej strucli, słoik galaretki. Czasem tylko kilka szczap na opał, ale każdy z nich chciał czymś obdarzyć Jamesa po jego powrocie.

Kate usunęła się na dalszy plan, wiedząc, że goście zupełnie się nie interesują jej osobą. Przyszli do hrabiego Harringtona. Koniec i kropka. Wobec tego zabrała się do zwiedzania zrujnowanego dworu, zaglądając do niezliczonych, kompletnie zdewastowanych pomieszczeń. Usiłowała sobie wyobrazić, jak ten gmach wyglądał w dniach swej świetności, i ani rusz nie mogła. Wyobrażenia zawiodła ją również, gdy starała się stworzyć portret dawnego Jima - młodziutkiego, upartego, roześmianego chłopaka, który biegał po całej okolicy i ciągle wpadał w tarapaty.

Od czasu do czasu nie mogła oprzeć się pokusie i zerkała na Jima, wokół którego zebrała się dyskutująca z przejściem gromada. Więcej słuchał, niż mówił, ale kiwał potakująco głową i zachęcał ich do mówienia. Widać było z twarzy, że słucha pilnie. Do Kate docierały tylko strzępki rozmowy. Pochwyciła kilka takich wyrażení, jak ziarno siewne, melioracja, bydło rozplodowe, niezbędne naprawy.

Pod koniec dnia, gdy słońce stało już nisko na niebie, a śnieg zbłękitniał o zmierzchu, Kate, zszedłszy po schodach na dół, zastała Jima we frontowym hallu koło wysokiego, łukowatego i, oczywiście, pozbawionego szyb okna. Nie zwracając uwagi na mroźne powietrze, wpadające przez tę dziurę do wnętrza domu, wpatrywał się w długi ośnieżony podjazd, po którym jeden z ostatnich gości z trudem brnął przez kopny śnieg do domu.

- Jim... ?

- Hmm? - wymamrotał pogrążony w myślach.

- Co z drogami? - spytała, stanąwszy obok niego.

- Nic dobrego. - Po raz pierwszy od wielu tygodni, mając Kate pod bokiem, nie przygarnął jej do siebie. Wyręczyła go więc, tuląc się do niego i obejmując go ramieniem w pasie. - Ale i tak musimy wyruszyć jutro rano, bez względu na pogodę. Mamy coraz mniej czasu.

- Wiem. - Ciężkie ramię uniosło się i spoczęło na jej barkach. Jim westchnął. Poczowała, że odprężył się trochę. Doskonale! - Uda nam się, zobaczysz!

- Musi się udać! - powiedział z nowym zapałem.

- Kim byli ci wszyscy ludzie?

- To dzierżawcy. - Zimno przenikało przez ubranie Kate, zakradło się nawet pod jej spódnicę. Nie zwracała na nie uwagi. - Wprost niewiarygodne, że tylu z nich zostało... co prawda, nie bardzo mieli dokąd iść. Lepszy spłachetek wyjąłowanej ziemi i cztery zmurszałe ściany niż nic!

A teraz wszyscy zbiegli się do dworu. Zbudziła się w nich złudna nadzieja. Mimo kilkuset lat smutnych doświadczeń z Harringtonami uwierzyli, że mają wreszcie dziedzica jak się patrzy: ani pazerny, ani głupi. Nie poderżnie gardła kurze znoszącej złote jajka, którą był niegdyś i mógł stać się znowu ten majątek, a swoich dzierżawców nie pozostawi na pastwę losu.

- Zostaniesz tu, prawda?

Od dnia, w którym skierowali się ku brzegom Anglii, Jima nie opuszczało wrażenie, że opieszałe Fatum ni stąd, ni zowąd postanowiło pokierować jego życiem. Zdumiewało go nie to, jak sprawy się potoczyły, ale całkowity brak oporu z jego strony. Powinien przecież protestować, złorzeczyć, ratować się ucieczką!

- Tak - odparł ze spokojem.

Może od samego początku tego właśnie pragnął: szansy naprawienia wyrządzonych krzywd? Może włączył się tak daleko i uciekał co sił w nogach tylko dlatego, że nie wierzył w podobne dobrodziejstwo losu? Nie zdołał co prawda ocalić matki, ale może dokona tego, o czym marzyli oboje: zaleczy rany zadane przez Harringtonów? Jakże by się ucieszyła!

Kate westchnęła i przytuliła się do niego, pogodnie godząc się z nową sytuacją. Jakim skarbem była dla niego Kate i wszystkie spędzone z nią chwile!

- Nie wiem, czy podołam - zwierzył się jej. - Oni wszyscy, psiakrew, widzą we mnie zbawcę. A kto wie, czy już nie za późno? Harrington niemal zrównane z ziemią. Żadnych narzędzi rolniczych. Przyjdzie nam chyba orać, siać i zbierać gołymi rękami!

- W takim razie - orzekła Kate - musimy wygrać ten wyścig!

Ruszyli w drogę wczesnym rankiem. Oboje obudzili się przede dniem. Egipskie ciemności i cisza działały im na nerwy. Uzgodnili, że zostawiają prawie wszystko w Harrington. Teraz

każda minuta była na wagę złota. A kto chce podróżować szybko, musi podróżować lekko.

W nocy się ociepliło i śnieg stopniał w gęstą, zimną, błotnistą breję, po wierzchu której pływały kawałki lodu, roztopiając się błyskawicznie. Pierwszy odcinek drogi odbyli w ślimaczym tempie. Minęło prawie pół godziny, zanim dotarli krętą drogą przez zagajnik i na skos przez orne pole do domu Willa... a raczej do szopy, w której wegetował.

Kate nie mogła wprost uwierzyć, że spora rodzina z małymi dziećmi może mieszkać w takiej ruderze! Co prawda, po odwiedzinach u młodszej siostry i dokładnym obejrzeniu żalostnej budy, w której mieszkała Emily ze swym mężem, Kate powinna być odporna na podobne widoki. Tu jednak były dzieci! Dwie cichutkie, nieśmiałe dziewczynki z włoskami ciemnoblond, chowające się za maminią spódnicą, i łyse niemowlę, które leżąc w ramionach matki uśmiechało się do każdego bez różnicy. Cała trójka była szczupłutka, ale przyjazna dla wszystkich, grzeczna i tak się nawzajem kochająca, że każda dziewczuszka dosłownie promieniała, spoglądając na starszą czy młodszą siostrzyczkę.

- Zabierasz się stąd? - warknął nastroszony Will i już otwierał usta, by powiedzieć, co o tym myśli. Jeśli Jim - hrabia czy nie hrabia - zasłużył na to, żeby ktoś go skłął od ostatnich, to on - Will - nie będzie się ociągał ze spełnieniem braterskiego obowiązku.

- Tylko na dzień czy dwa - uspokoił go Jim.

- Dobra. - Will skinął głową. - Znaczy się, w porządku!

Obaj mężczyźni udali się do stajni, by osiodłać konia. Kate zauważyła już po drodze tę niezdarnie skleconą budę, prawie bez dachu.

Jane, żona Willa, stała bardzo zmieszana obok maleńkiego kominika, trzymając niemowlaka na biodrze.

- Może pani głodna? - odezwała się wreszcie. - Zaraz zaparzę herbaty.

- Głodna? Skądże znowu! Objedliśmy się wczoraj wieczorem jak baki! Od wielu tygodni nie mieliśmy takiej uczyty.

Jane uśmiechnęła się nieśmiało. Na rozjaśnionej, wypogodzonej twarzy można było dostrzec ślady dawnej urody. Musiała być prześliczną dziewczuszką!

- To dla nas wielka radość, że pan hrabia wrócił w rodzinne strony.

- Znała go pani, Jane, gdy był jeszcze chłopcem?

- Ojej, kto by go nie znał! - zachichotała. - Wszędzie go było pełno! Strasznie kręcicki: to tu, to tam... Po mojemu, wolał być z nami niż we dworze.

Nareszcie jakieś źródło informacji! (Nie licząc tych skąpych danych, które wydusiła z Jima).

- Może usiądziemy? - zaproponowała Kate.

- Ależ oczywiście! - Jane natychmiast podsunęła jej krzesło, stojące dotąd przy niewielkim, porysowanym stole.

- Musi pani usiąść obok mnie, Jane! - Na widok zdumionej, może nawet zgorzonej miny gospodyni, Kate wyjaśniła: - Jim może sobie być hrabią, czy chce tego, czy nie, ale *ja* jestem najzwyczajszą panią Goodale, wdową po doktorze. No, Jane, proszę usiąść obok mnie!

Żona Willa przycupnęła na brzegu krzesła.

- Miło czasem przysiąść... Nieraz nogi tak mi się zmęczą, ojej! - przyznała.

Za jej plecami dwie starsze córki szczękały garnkami w kącie, który pełnił obowiązki kuchni. Bardzo z siebie zadowolone niemowlę siedziało na kolanach mamy, wpychając piąstkę do buzi.

- Mogę ją wziąć na ręce? - spytała Kate. Miała tylko dwie ewentualności: albo omijać szerokim łukiem wszystkich szczęśliwych rodziców, albo pogodzić się z losem i wyładowywać macierzyńskie instynkty na cudzych pociechach. Wybrała tę drugą. Czemu nie zacząć od razu?

Zaskoczona Jane aż zamrugła oczami.

- Pewnie, jeśli pani ma takie życzenie...

Niemowlę było leciutkie jak piórko. Z ciekawością oglądało świat z wyżyn swej nowej grzędę. Skóra malutkiej była cudownie gładka, na łysej główce można było dostrzec z bliska kilka jasnych, niemal białych kosmyków.

- Umie pani radzić sobie z dzieckiem - stwierdziła Jane.

- Mam kilku siostrzeńców i jedną siostrzenicę. - A sądząc z krzepkiego wyglądu nowego szwagra, w niedalekiej przyszłości Emily również obdarzy ją podobnym prezentem. Może nawet dwoma? Kate przysięgła sobie w duchu, że od tej chwili będzie poświęcać swym siostrzeńcom znacznie więcej czasu niż dotąd.



A jej siostry muszą się z tym pogodzić! - No więc, jakim dzieckiem był Jim?

Jane uśmiechnęła się domyślnie. A, tak się sprawy mają!

- Był z niego poważny chłopczyk... chociaż ciągiem wpadał w jakieś tarapaty. A jaki miły!

Kate zdradzała się każdym słówkiem, ale nic na to nie mogła poradzić.

- A jego matka?

- Ona to dopiero była cichutka! Czasem się nawet zapomniało, że jest w pokoju... A przecie to pani całą gębą, hrabina!

- A jaki był hrabia? Pobrali się z miłości?

Jane zachmurzyła się. Na czole pojawiły się zmarszczki, brwi zbiegły się nad nosem.

- Co ja tam wiem o hrabskich miłościach? Ona miała pieniądze, on tytuł. Obie rodziny chciały, żeby się pobrali, to się pobrali. Tak to bywa u wielkich państwa, może nie?

Kate wiedziała aż za wiele o małżeństwach, które były raczej spółką handlową niż związkiem dwóch serc. Czemu więc to, co teraz usłyszała, sprawiło jej taką przykrość? Żeby uśmierzyć ból w piersi, przytuliła mocniej niemowlę.

- Więc hrabina nie kochała męża?

- A kto by takiego kochał! Przecie to był... - Potrząsnęła głową. - O zmarłych się źle nie mówi.

- Proszę cię, Jane! - zaklinała ją Kate, nie ukrywając już, że coś znacznie poważniejszego od zwykłej ciekawości skłania ją do natarczywych pytań.

Jane przyjrzała się bacznie swemu gościowi. Potem skinęła głową.

- Niech i tak będzie! „Podlec” to za słabe słowo dla niego. Wszystkie Harringtony były takie, co do jednego! Ale jak ten się zabił, to ludzie tylko mówili: „Ma za swoje!” albo „Wreszcie się doigrał!”. Prawie cały łeb sobie rozwalił, bo taki był pijaniusieńki, że z własnej dubeltówki nie poradził wystrzelić, gdzie trza!

- A jego żona, hrabina... jak umarła? - spytała Kate i złąka się nagle odpowiedzi. Czy ojciec Jima był zdolny do popełnienia zbrodni? Ze wszystkiego, co o nim słyszała, wynikało, że jak najbardziej. Z prawdziwą satysfakcją przywołałaby go znów do życia i sama wypaliła, gdzie trzeba, z tej jego przeklętej strzelby!

- O, wtedy tośmy się naprawdę smucili! Byłam jeszcze mała, ale dzieci dobrze słyszą, co starzy szepczą po kątach, no nie? - Twarz jej się ściągnęła. - Chwyciła ją nagle straszna gorączka! W kilka dni było po naszej pani. Ale moja matula wbiła sobie do głowy, że hrabina nie miała już sił, żeby przemóc to choróbsko. Tak jak zbrakło jej w końcu sił do wiecznej szarpaniny z mężem.

- A jego...

Drzwi domku otwarły się z wielkim trzaskiem. Obie kobiety przestraszyły się, a niemowlę zaprotestowało głośnym piskiem.

Will wpadł do izby z Jimem zwisającym bezwładnie, głową w dół z jego ramienia. Will taszczył go jak worek mąki.

- Co się stało? - Kate zerwała się na równe nogi, zapominając w pośpiechu o dziecku, które tuliła w ramionach. Malutka rozryczała się na całego i ucichła dopiero wówczas, gdy Jane wzięła ją na ręce.

- Pająk go ugryzł - wyjaśnił Will i zwałił swe brzemię na własne łóżko. Jim leżał z rozrzuconymi ramionami, bezwładny i nieprzytomny.

- Ale... - Kate podbiegła do jego boku. Nie mogła złapać tchu, więc i mowę jej odjęło. Otwierała i zamykała usta, ale nie była w stanie zaczerpnąć powietrza. Wreszcie zdołała tego dokonać i wykrztusiła: - W Anglii... nie ma... jadowitych pajaków!...

- Innemu nic by się nie stało. Ale James nigdy nie był taki jak wszyscy - odparł Will.

Tymczasem Jane objęła komendę. Wręczyła mężowi niemowlę i pochyliła się nad Jimem. Dotknęła jego czoła i pulsu na szyi.

- Z nim tak zawsze bywa, jak... - ciągnął dalej Will.

- Siedźże cicho, Will, i nie strasz biednej dziewczyny. - Jane wyprostowała się, wzięła się pod boki i skarciła wzrokiem męża. - Nic Jamesowi nie będzie. Puls trochę za szybki i trudno mu oddychać. Pewnie ma skurcze brzucha. Coś mu na to dam, jak się obudzi. Parę godzin snu i zaraz mu się poprawi. Do jutra rana będzie zdrow jak rydz... Ale chyba tak długo nie wytrzyma w łóżku.

- Ja... - Kate sama sprawdziła Jimowi puls. Po prostu musiała poczuć pod palcami tętniącą w nim krew. Dokładnie tak jak mówiła Jane, puls był silny i równomierny, choć trochę przyspieszony. Skóra nie rozpalona ani lodowata. Krótko mówiąc, żył i był w niezłym stanie. Ale sposób, w jaki wznosiła się i opada-

la jego klatka piersiowa... I ten kaszel, tak silny, że zgiął się wpół, choć nadal był nieprzytomny... Spojrzała na Jane wzrokiem, który domagał się prawdy.

- Jesteś pewna, że nic mu nie będzie?

Jane z powagą skinęła głową.

- Jestem pewna.

Kate marzyła o tym, by przysiąść na brzegu łóżka i czuwać nad Jimem, licząc każdy jego oddech. Gdyby coś mu się stało... Aż serce jej się ścisnęło. Nie będzie o tym myśleć. To niemożliwe, i już!

- Hmm...

*Kilka godzin... Kilka godzin... ?!*

Rozejrzała się po małej izdebce. Dziurawe ściany połatane jak się dało, okna zasłonięte wystrzępionymi kocami... Przypomniała się jej rezydencja Harringtonów, ruina, którą dopiero co opuścili, i wszyscy ci ludzie, którzy przyszli, by powitać Jima w rodzinnych stronach. *Kilka godzin.*

Na koniec pomyślała o Jimie i o tym, co by jej teraz poradził, gdyby mógł mówić.

- Will - odezwała się stanowczym tonem. - Gdzie jest plecak Jima?

Jastrzębia Baszta, jak wyjaśnił jej Jim, została wzniesiona w najwyższym punkcie całego wybrzeża hrabstwa Sussex na życzenie dawno zmarłego markiza Hawksbury<sup>1</sup>, który lubił spoglądać z góry na wszystkich swych bliźnich.

Poza tym, że sprawiała satysfakcję pewnemu megalomanowi, smukła kamienna kolumna wzniesiona na szczycie klifu była kompletnie bezużyteczna. Wyglądała na skalnych wyżynach tak, jakby bile powiew wiatru mógł zdmuchnąć ją stamtąd w każdej chwili do morza, ale stała tam niewzruszenie od prawie trzystu lat.

Niepozorna klacz okazała się dzielna i człapała wytrwale po grząskim błocie. Na szczęście dla Kate tego ranka po raz ostatni omówili z Jimem plan wyprawy. Baszta znajdowała się dokładnie w tym miejscu, które opisał szczegółowo Jim. Jej wysoka, smukła, ostro zakończona sylwetka zarysowała się wyraźnie nad koronami drzew na długi przedtem, nim Kate dotarła do celu.

<sup>1</sup>Polskim odpowiednikiem tego nazwiska byłoby „Jastrzębski”, stąd nazwa baszty (przyp. tłum. ).

Nie była pierwsza. Na prawo od *wieży* przytupywała niecierpliwie spora gromadka koni, po lewej był tylko jeden, uwiązany do drzewa. Szybciej, szybciej! Kate przerzuciła nogę przez siodło i ześlizgnęła się z grzbietu swego wierzchowca, zrzucając płaszcz, który wydawał się jej przyjemnie ciepłutki na początku drogi, ale stawał się coraz cięższy i grubszy, w miarę jak rosło zmęczenie Kate a słońce coraz bardziej przygrzewało.

Ci zawodnicy, którzy zjawili się przed nią, przekopali starannie całą ziemię u podnóża. Kate kilkakrotnie poślizgnęła się na błocie, a raz omal nie upadła, choć starała się stąpać ostrożnie. Serce bilo jej coraz szybciej, gdyż bez względu na to, jak się spieszyła, ciągle miała wrażenie, że wlecze się jak żółw.

Z bliska baszta wydawała się jeszcze wyższa. Patrząc na nią, Kate musiała podnieść głowę jak najwyżej, a potem odchylić ją do tyłu, skutkiem czego rozboleła ją szyja. Dzięki Bogu, że nie musi włączyć na tę basztę... „Skarb bezcenny” był ukryty pod nią!

Nikt nie kręcił się w pobliżu, gdy Kate pospiesznie przesuwała grunt u podstawy baszty. Wykończyła przy tym swoje biedne buty. Błoto wlewało się do środka przez przetarte szwy. Czy inni znaleźli już niezbędną wskazówkę? Wewnątrz baszty zamiast podłogi była ubita polepa, a na niej żadnych śladów. I nic nie wskazywało na to, by pod uklepanym błockiem coś się kryło.

Niech to szlag! Ale nikt nie obiecywał, że będzie łatwo, prawda? Jasne, że nie!

Ostrożnie podkradła się na sam brzeg urwiska. Stanowczo za wiele morza i za wiele nieba jak na jej gust! No i zbyt łatwo runąć stąd w przepaść.

Zrobiła kilka wdechów (ciekawe, czemu to miało niby uspokajać?) i zerknęła w dół. Bardzo głęboki dół!

W odległości kilku cali od jej stóp kredowobiały klif kończył się przeraźliwie ostrą krawędzią. Dwie linki, owiązane wokół pni drzew rosnących na skraju przepaści, opadały w głąb. Gdzieś tam, w dole, znajdował się półkolisty brzeg zatoki; z obu stron dwa długie skalne cyple wybiegały w morze.

Po plaży czołgali się jacyś ludzie. Co najmniej pół tuzina. Od brzegu odbiła łódka. Dwie siedzące w niej osoby wiosłowały z całych sił. W chwili gdy Kate spoglądała w tym kierunku, prąd po-

rwał ich i wyniósł w morze, choć obaj pechowi wioślarze mówili 'wodę jak szaleni.

Do uszu Kate doleciał jakiś wrzask. Znajdujący się w dole pod nią ludzie puścili się pędem i zbiegli w jednym punkcie tuż przy brzegu.

Stało się! Znaleźli ukryty „skarb”. Wobec tego nie musi już przejawiać inicjatywy ani podejmować żadnych decyzji.

Przez krótką chwilę wahała się, czy nie wykorzystać którejs z zwisających lin. Były już wypróbowane: ktoś zjechał przecież po nich na dół; utrzymają także jej ciężar. Ale ich właściciele wkrótce zechcą wspiąć się po nich na górę. Gdyby podciągnęli linki, zanim zdołałaby wrócić tą samą drogą, uwięzłaby na dole bez możliwości powrotu.

Rosnące w pobliżu drzewa wydały się Kate nie dość stabilne, toteż owiązała linę wydobytą z plecaka Jima wokół samej baszty. Dwukrotnie, gdyż Jim powtarzał jej w kółko, że ostrożność nie jest oznaką tchórzostwa, lecz rozsądku. Potem biedziła się z węzłem (tego też ją nauczył), dopóki nie usłyszała dalekiego tętentu kopyt na drodze. Nie mogła pozwolić, by ktoś jeszcze wyforsował się przed nią! Już i tak zbyt wielu ją prześcignęło.

Nie patrzyła w dół. Prawdę mówiąc, nie widziała nic z wyjątkiem bezcennej liny; zaciśnięte na niej kurczowo ręce zlodowaciały.

Słońce właśnie zachodziło, gdy powolutku zsuwała się w dół po skalnej ścianie, opierając o nią stopy zgodnie z instrukcjami Jima. Spódnicę i halki podkasała aż po biodra. Zjeżdżanie trwało bez końca. A jednak - ku własnemu zdumieniu - wreszcie wylądowała! Co prawda boleśnie i na tyłku, bo nie sprawdziła, jak daleko ma jeszcze do ziemi. Jęknęła i podniosła się z trudem. Otarte dłonie piekły, mięśnie ramion dygotały.

Zrobiła w tył zwrot i zderzyła się z czyjaś klatką piersiową. Masywną jak opoka.

- Jim?! - zamrugała oczyma; przez głowę przebiegła jej myśl, że widać oprócz halucynacji wzrokowych zdarzają się także halucynacje dotykowe. Ta była niezmiernie realistyczna. - Miałeś przecież leżeć w łożku!

Był trochę bledszy niż zwykle; spod opalenizny przezierała kredowa biel, mniej więcej w tym samym odcieniu co klify. Ale stał pewnie na nogach i uśmiechał się do niej.

- Bez ciebie to żadna przyjemność.

- Naprawdę dobrze się czujesz?

- Jestem w szczytowej formie.

- Znakomicie! Wobec tego zwymyślam cię od ostatnich, kiedy się już uporamy z tym fantem. Zamierzam to Zrobić bez pośpiechu i solidnie. - Gdyby nie obawa, że mimo swych zapewnień Jim może stracić równowagę lub przytomność, wyróżnęłaby go od ręki. - Gapiłeś się na mnie, kiedy dyndałam na sznurku?

- Zerkałem od czasu do czasu. Akurat i ja wtedy zjeżdżałem. A poza tym nie chciałem ci przeszkadzać.

- Zjeżdżałeś tuż obok mnie?!

- No... tak.

Usiłowała wykrzywić się jak najpaskudniej. Zasłużył sobie na to! Ale groźna mina jakoś jej nie wychodziła i mimo woli uśmiechnęła się do niego.

- Chyba weźmiemy się do szukania wskazówki?

Uniósł w górę zwitek papieru.

- Już ją mam!

Czyżby jej kretyński zjazd po linie trwał aż tak długo... ?

- Dokąd jedziemy?

- Do Londynu.

Dzięki Ci, Boże! westchnęła w duchu. W Londynie nie ma klifów.

- A konkretnie co będziemy zwiedzać?

- Big Bena.

- Chyba nic z tego - stwierdziła kilka minut później, stojąc z ręką zaciśniętą na linie u podnóża ogromnego ostro zakończonego klifu. - Ręce nadal mi się trzęsą.

- Właśnie dlatego będę wspinał się zaraz za tobą.

- Żeby lina się zerwała?! Przyjemniej spadać w towarzystwie, co?

- Bez obawy: utrzyma nas śpiewajaco. Sprawdziłem ten twój węzeł, nim ześlizgnąłem się po innej. Nawiasem mówiąc, bardzo porządnie ją zabezpieczyłaś.

- Ale...

- No, rusz się, Kate! - Klepnął ją po zadku. - I żadnych brewerii, bo nie ma na to czasu.

Wspinaczka okazała się łatwiejsza od zjeżdżania. Ale czy mogło być inaczej, gdy miała tuż za sobą Jima, który szeptem dodawał jej odwagi i złapałby ją natychmiast, gdyby traciła równowa-

gę? Zasapana podciągnęła się na brzeg urwiska, pokonała krawędź i zaraz za nią przeleżała cudowną minutkę na ziemi, póki Jim nie stanął jej nad głową i nie wyciągnął ręki, by pomóc jej wstać.

- Jeszcze żyję - stwierdziła z lekkim zdziwieniem. Na silniejsze uczucia w tej chwili nie było jej stać.

- I to jak! - potwierdził.

Z jego pomocą podniosła się na nogi.

- A to kto?! - Ruszyła w stronę kłęczącej postaci, która mignęła jej na występie skalnym. Rozpoznawszy, kto to taki, Kate przeszła z truchcika w galop.

- Co pan tu wyprawia, do wszystkich diabłów?!

Zbity z tropu Hobson, któremu przeszkadzono w pracy (zdołał już przeciąć do połowy jedną z lin), spojrział na nią i uznał, że najlepszą obroną będzie atak.

- Panna Riley?! Nigdy bym nie poznał! Prezentuje się pani zgoła inaczej niż zwykle.

Ale tym razem Kate nie przejmowała się swym wyglądem. Jeśli nawet jest rozczochrana jak Meduza i na sam jej widok można dostać apopleksji, no to co?!

- Co pan tu robi?! - nie dawała za wygraną.

Ton jej głosu sprawił, że reporter nerwowo potrząsnął głową, potem zaś wzruszył ramionami.

- No, cóż... Na dole pozostało jeszcze dwóch zawodników. I dwie liny. Gdyby była tylko jedna, akcja nabrałaby tempa. Proszę się nie obawiać! - Uniósł rękę uspokajającym gestem i zrobił rozbijającą minę niewiniątka. - W tej chwili z żadnej z lin nikt nie korzysta. Sprawdziłem, oczywiście!

- To doprawdy ładnie z pana strony! - sarknęła Kate.

- Kiedy spotkaliśmy się z majorem we Francji - odezwał się stojący za nią Jim - zapewniał mnie, że nie wszystkie irytujące figle były jego dziełem. Wtedy mu nie uwierzyłem. Ale niektóre z tych żarcików to pańska robota, nieprawdaż?

- Skądże znowu... - zaczął się zapierać Charlie, ale na widok ich min skapitulował z uroczo nieśmiałym uśmiechem. - Przyśięgam, że nie naraziłem nikogo na niebezpieczeństwo! I nie wspierałem jednego zawodnika kosztem innego! To były tylko niewinne psoty. Wszystkie naprawdę groźne dla otoczenia nie-

spodzianki to sprawka majora. Ja starałem się tylko ożywić nieco akcję... dla dobra naszych czytelników.

- Naszą łódź też złożył pan w ofierze czytelnikom?

- No, cóż... - Jego nieśmiały uśmiech stał się paskudnie obleśny i obraźliwie domyślny. - Chyba powinien mi pan raczej podziękować, milordzie! Ja...

Strzeliła go w pysk. Z całej siły, fachowo, prosto w nos. Hobson zawył, zakrył twarz rękami i zacisnął powieki z bólu. Kate pochyliła się ku niemu, by nikt inny nie usłyszał jej słów.

- Serdeczne dzięki, Charlie! - szepnęła, po czym wyprostowała się i zwróciła do Jima: - Masz konia?

- Mam - odparł zwięźle Jim, powstrzymując się od uśmiechu. Bóg raczy wiedzieć, jak zareagowałaby Kate, gdyby się teraz do niej uśmiechnął! Wskazał jej pięknego, długonogiego deresza.

- Skąd go... A zresztą, wszystko mi jedno! - Chwyciła Jima za ramię i pociągnęła go w stronę koni. - Pośpieszmy się lepiej, żeby nam i ten zegar nie umknął!

## 26

Kłopoty się zaczęły dziesięć mil od Londynu. Drogi nadal były pokryte lodowatym błockiem, więc mokre i śliskie. Nikogo to jednak nie zatrzymało w domu. Na drogach panował tłok i ścisk: konni jeźdźcy, piesi, powozy pełne wychylających się z okien hulaków. Widać było również wielkopańskie karety z zaprzęgiem jednej maści. Stangreci we wspaniałych liberiach gromko domagali się wolnej drogi dla podróżujących tą właśnie kareta znakomitości, a mimo to nie mogli przedrzeć się przez tłum, podobnie jak grupki rozbawionych młodzieńców, mocno podpitych, którzy już w przeddzień sylwestra świętowali nadejście nowego roku.

Kate i Jim torowali sobie drogę przez tłum, starając się pozostać na obrzeżach ciżby; nadkładali drogi, kluczili, wreszcie



utknęli na amen. Ujrzeni przed sobą wielki wywrócony powóz, wokół którego tłoczyli się ciekawscy gapie, chcąc przekonać się na własne oczy, co się stało.

W tych warunkach Kate i Jim posuwali się znacznie wolniej niż powinni. Byli u kresu wytrzymałości i każda przeszkoda coraz bardziej ich irytowała. Nie mogli jednak w tej sytuacji przyspieszyć kroku. Wszystko wskazywało na to, że bliżej Londynu będzie jeszcze gorzej.

- Nie ma rady, musimy zjechać na pole - orzekł Jim.

Bliźniacze żywopłoty biegnące po obu stronach drogi były tak gęste, że chyba tylko królik mógłby się przez nie przecisnąć, a tak wysokie, że kończyły się mniej więcej na wysokości głowy Kate. Coraz to zerkała na długonogiego deresza, którego Jim zdobył jakimś cudem, i podziwiała, jak sprawnie jej towarzysz powoduje koniem.

- Jedź naprzód, nie czekaj na mnie. I ja, i moja kłaczką utkniemy na pierwszej przeszkodzie.

- Nie mogę zostawić cię samej!

- Właśnie, że możesz! - odparła i machnęła mu przed nosem piąstką, demonstrując z dumą kłykcie, które ucierpiały w brutalnym zderzeniu z twarzą Hobsona. Był to niepodważalny dowód jej zwycięstwa nad tym pismakiem. - Niech ktoś spróbuje mnie zaczepić! Jestem już całkiem niezła w walce wręcz, prawda?

- Drugiej takiej nie ma na świecie - odpowiedział takim tonem, że aż mu się przyjrzała bliżej, usiłując wyczytać coś z jego oczu. Jim tymczasem mierzył wzrokiem otaczający ich tłum i rozważał, jak ominąć najgorszą cizbę. Szanse były znikome. - Jedź ze mną - poprosił. - Mój koń udźwignie nas oboje.

- Beze mnie dotrzesz do celu szybciej i bezpieczniej. Dobrze o tym wiesz!

Wiedziała, że nigdy nie zapomni widoku Jima w momencie rozstania: z gołą głową, z włosami rozwianymi przez wiatr, w kurtce jeździeckiej z rozpiętym kołnierzem. Był taki wysoki i tak wsporniale trzymał się w siodle. Jego silne ręce powodowały koniem z taką samą zręcznością i znanstwem, z jakim pieścił kochankę. Kate zgromadziła mnóstwo cudownych wspomnień, przy których całkiem zbladł ich młodzieńczy pocałunek w świetle księżyca. To, co przeżyli ostatnio, było znacznie bardziej krwiste, bardziej realne.

Najnowsze wspomnienia, pozbawione mgiełki niewinności, będą zawsze żyły w jej sercu i w jej ciele, a nie w świecie jej wyobraźni.

- To nie w porządku! - protestował. - Zaczęliśmy razem, to i finiszować powinniśmy razem.

- Nie będziesz finiszować beze mnie. Masz wygrać w imieniu nas obojga.

Nareszcie przekonany o słuszności jej decyzji, skinął głową. Potem wychylił się z siodła, by pocałować Kate w usta. Konie poruszyły się niespokojnie, więc pocałunek jakby odrobinę zбочzył z toru. Jim jednak nie pogodził się z porażką i całował ją dalej, póki nie osiągnął zamierzonego efektu. Pocałunek był namiętny, długi i niewiarygodnie słodki. Kate czuła płonący dotyk jego ust na swoich wargach, oczach, sercu... Nic więc dziwnego, że kiedy Jim oderwał się w końcu od niej, musiała mocno przygryźć wargę, by powstrzymać łzy.

- Jim, ja...

- Wiem - powiedział miękko. - Ja też!

Cofnął deresza o parę kroków i zawrócił nim tak, że zdołał wykorzystać niewielką przestrzeń pomiędzy sprzedawcą słodyczy, który rozłożył swój kramik na poboczu drogi, i ślepym (być może!) żebrakiem, który przysiadł na jej skraju na prawo od Bennetta i potrząsał cynowym kubkiem, do którego rzucano mu datki.

- Nie zapomnij, Kate! - zawałał Jim na odjezdnym. - Hotel „Pod Herbem Królowej Anny”, przy Regent's Street!

Trącił obcasami boki deresza, poszybowali razem nad żywopłotem... i już ich nie było.

Wygrali! Kate wyczytała o tym w gazecie, którą kupiła od gaziarza wczesnym rankiem, gdy po nieprzespanej nocy wyslizgnęła się ze skromnej gospody w poszukiwaniu jakiejś herbaciarni.

Na wieść o zwycięstwie Kate nie odczuła ani triumfu, ani tym bardziej zdziwienia. Wiedziała przecież, że Jim nie da się pokonać.

Teraz zaś, pięć minut przed północą, skulona Kate siedziała na wąskiej kamiennej ławce nad Tamizą. Rozbawiony tłum zajmował całą chodnik. Defilowały przed nią ruchliwe gromady londyńczyków, rozradowanych, roześmianych i rozgadanych. Po rzece płynęło mnóstwo łodzi. Wioślarze pokrzykiwali do siebie wesoło, równocześnie walcząc zażarcie o zdobycie miejsca, z którego roz-

tacza się najlepszy widok. Gdzieś w oddali grała orkiestra, dźwięki muzyki to nasilały się, to znów słabły. Urok melodii potęgował jeszcze jej żwawy, żołnierski rytm. Na przeciwległym brzegu rzeki ktoś rozwiesił elektryczne lampki w ten sposób, że powstał świetlisty kontur piaskowej klepsydry. Co kilka sekund gasło jedno światełko z górnej połówki nad przewężeniem, a zaraz potem rozbłyskiwała jeszcze jedna lampka na samym dole. Migoczące, jakby zamazane światełka odbijały się na powierzchni rzeki.

Kate było coraz zimniej, bynajmniej nie z winy pogody.

Jutro! mówiła sobie w duchu. Jutro wsiądzie na statek i popłynie... nie do domu, bo gdzież był jej dom? Ale wróci z powrotem do Ameryki i zacznie rozglądać się za czymś, co mogłoby stać się jej domem.

Tylko żelazna samokontrola i najwyższy wysiłek woli powstrzymywały Kate od popędzenia co sił w nogach do hotelu „Pod Herbem Królowej Anny”. Dopiero po południu, gdy z nieba ciemnoszarego jak jej myśli siał jedynie kapuśniaczek, przełamała bariery samokontroli i udała się na Regent's Street - po to tylko, by z przeciwległego chodnika wpatrywać się zgłodniałym wzrokiem w fasadę hoteliku. O, w tamtym oknie świeci się tak jasno i pogodnie... może to jego pokój? Albo tamten, ciemny, z zasuniętymi kotarami? Jim pewnie leży w łóżku, odpoczywa po trudach i czeka na nią...

Mogłoby się wydawać, że Kate robi z igły widły. Jakie znaczenie ma jedna noc mniej czy więcej? Spała z Jimem niezliczoną ilość razy. Czemu nie mieliby się przespać jeszcze raz? Tylko że nie skończyłoby się na jednym pożegnalnym razie. Czuła w kościach, że gdyby się znów spotkali, nie zdołałaby wyrzec się Jima.

Nie miała pojęcia, jak długo stała na ulicy jak urzeczona. Dopiero gdy rzeźnik w zakrwawionym fartuchu, okrywającym jego potężne brzuszysko, wyszedł ze swego sklepu, zbliżył się do niej i spytał, czy się aby źle nie czuje, Kate opuściła swój posterunek i odeszła, potrząsając smętnie głową nad własną głupotą. Pomyśleć tylko! Ona, Kathryn Bright Goodale, chora z miłości wystaje godzinami na ulicy, wpatrując się w okno Jima... Diabli zresztą wiedzą, czy to naprawdę okno jego pokoju! Może takie miłosne otumanienie to choroba, która dopadnie każdego wcześniej czy później? A ponieważ ona ociagała się z tym tak długo,

otrzymała podwójną porcję tego specjału? Kate przywołała dorózkę i udała się prosto do biura okrętowego, by kupić bilet na rejs do Ameryki.

Na przeciwległym brzegu rzeki jakaś iskierka wystrzeliła w niebo, wzbijając się ze świstem coraz wyżej, wypalając się całkowicie. Tak przynajmniej można było mniemać, ale nieoczekiwanie znikoma reszteczka pękła i posypał się z wyżyn deszcz połyskliwych, zielononiebieskich gwiazdek - prosto do rzeki. Tłumy zareagowały właściwie: rozległy się ochy i achy. Odbicie fajerwerku zachowało się na siatkówce obojga oczu Kate. Gdy zamrugała nimi, ujrzała znów barwne gwiazdy, spadające roziskrzonym deszczem.

Tłum czekał w milczeniu na dalszy ciąg widowiska, ale niebo pozostało mroczne. Być może ktoś się pomylił i wystrzelił jedną z rac zbyt wcześnie. Miało się wrażenie, że cały świat z zapartym tchem czeka na nowy rok i początek nowego stulecia.

Jakie to niesprawiedliwe, myślała Kate, że Fatum żąda ode mnie takiego poświęcenia! I co za ironia losu: przecież ten sam przypadek mógł połączyć nas z Jimem na zawsze! Odziedziczone nieoczekiwanie Harrington przykuło tego obieżyświata do jednego miejsca, zapewniło mu dom... a równocześnie rozłączyło go z Kate. Jego dalsze losy, podobnie jak ciężące na nim obowiązki, rysowały się bardzo wyraźnie. Musi pojąć żonę z dużym posagiem, za który można by odrestaurować hrabiowską rezydencję. Powinna być również młoda i zdrowa, by rodzic Jimowi synów, którzy przejmą po nim rodzinne dobra i będą nimi zarządzać roztropnie i odpowiedzialnie. Ona, Kate, nie mogła go obdarzyć ani jednym, ani drugim.

Przymknęła oczy. Miała w nich nadal obraz przedwcześnie wystrzelonego fajerwerku.

Nagle poczuła jakiś ciężar na kolanach. Paczka średniej wielkości, mniejsza niż pudło na kapelusze, za to o wiele cięższa. Owinięta w zwykły szary papier, omotana sznurkiem, na którym było chyba z tuzin węzełków.

- Zapomniałaś o czymś!

Nie patrz na niego! mówiła sobie w duchu. Wystarczy jedno spojrzenie i nie będzie już odwrotu! Bezmyślnie bawiła się sznurkiem. Jim widać dopiero co owiązał nim paczkę; pewnie biedził się przy tym i klął ile wlezie?

- O niczym nie zapomniałam! Twój dzierżawca... i te wszystkie niezbędne naprawy... Na to trzeba pieniędzy, a mnie na nich nie zależy. Weź, nie są mi potrzebne!

- No, no! Postaraj się lepiej, to może ci uwierzę.

- Nie są mi potrzebne... tak bardzo jak tobie. - Jeden z węzłów dał widać za wygraną i uległ naciskowi jej palców. Rozsupłała go. - Byłam pewna, że dojdziemy do jakiegoś kompromisu. Domyślałam się, że uprzesz się przy odesłaniu mi części pieniędzy. Ale z całą pewnością nie wzięłabym ich wiele. *Nie chcę ich!* Potraktuj to jako zwykłą lokatę kapitału w przewidywane przedsięwzięcie, jeśli honor ci nie pozwala przyjąć ich w darze. Po prostu chcę zainwestować swój niewielki kapitał w Harrington. Wierzę, że niebawem przeistoczy się w znakomicie prosperujące gospodarstwo rolno-hodowlane. A wtedy zwrócisz mi te pieniądze.

- A jakże! Za jakieś pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat.

*Odejdź wreszcie! Nie dręcz mnie tak! Nie zmuszaj do grania tej komedii. Nie mam na to siły!*

- Ale procentów mi chyba nie poskąpisz, co?

Usiadł obok niej. Zbyt blisko. Ich ramiona ocierały się o siebie. Lewe biodro Jima przylegało do prawego biodra Kate. Oboje byli boleśnie świadomi siły tego kontaktu. Punkty styku jaśniały zapewne, rozżarzone do białości, widoczne dla przypadkowych przechodniów.

- Wcale nie to miałem na myśli - stwierdził Jim - kiedy mówiłem, że o czymś zapomniałaś.

Rozległ się świst i szkarłatna iskra przeleciała łukiem po nim. Na tym się skończyło. Kompletny niewypał,

- Zapomniałaś o mnie.

O mój Boże!

- Wcale nie zapominałam!

*I nigdy nie zapomnę.*

- Kate... - szepnął.

A potem, po upływie całej minuty, gdy zawiedziony tłum wydawał niespokojne pomruki, a ona siedziała bez ruchu i bez słowa, powtórzył raz jeszcze:

- Kate...

On ją naprawdę do tego zmusi! Pokona swoją wytrwałością i ciepłem swego ciała, jeśli nie wstanie wreszcie z tej zimnej ka-

miennej ławeczki. I swoją niezastąpioną, bezcenną obecnością... Kate odwróciła powoli głowę w jego stronę. Nie mogła powstrzymać się od tego, podobnie jak nie mogłaby siłą woli powstrzymać bicia swego serca.

Ubrany był na czarno. W surową, niczym nie ożywioną czerń. Nie miał żadnego nakrycia głowy. (A można by przypuszczać, że uczestnik wyprawy podbiegunowej wie, jak istotne jest osłanianie głowy przed zimnem!) Włosy rozczochrane, jakby nie miał ani chwili na to, by je przygładzić. Oczy podkrążone, ołowiano-szare jak niebo przed burzą.

Z pewnością wystrzelono mnóstwo fajerwerków. Kate nie słyszała ich syku ani trzasków; widziała tylko odbłask sztucznych ogni na twarzy Jima: migotliwe światełka czerwone, niebieskie, złote...

- Nie zamierzałem ci o tym mówić - zwierzył się jej. - Tłumaczyłem sobie, że tak będzie lepiej... dla ciebie.

Tłum wiwatował. Dotarło to do Kate ledwo-ledwo, jakby z bezkresnej dali. Zamknijcie się! chciała krzyknąć do hałaśliwych gapiów. Nie wrzeszczcie! Przecież ja słucham Jima! *Muszę* usłyszeć, wchłonąć w siebie, zapamiętać na zawsze każde jego słowo, każde ciche westchnienie, każdą zmianę głosu!

- ... Ale potem pomyślałem sobie: jakie ja mam prawo decydować za nią, co będzie dla niej dobre, a co złe?! - Uśmiechnął się ciepło. - Pewien jestem, że i mnie rozkwasiłabyś nos, gdybym uzurpował sobie takie prawa w stosunku do ciebie!

Snop iskier, olśniewających swym blaskiem, szafirowych jak nocne niebo, odbił się w oczach Jima.

- I wobec tego zrobię teraz to, co należało zrobić dawno temu. Wtedy na łodzi, w Maine, albo wtedy, gdy stanęłaś w drzwiach mego hotelowego pokoju. Kocham cię, Kate. Wyjdź za mnie!

- Jim...

Nagły aplauz tłumu zagłuszył słowa Kate.

- Nie, nie! Nie śpiesz się z odpowiedzią. Musisz mieć pełny obraz sytuacji. Pieniądze z naszej wygranej starczą ledwie na początek. Tyle jest do zrobienia, że nasz dom trzeba będzie zostawić na koniec. Tak *musi* być. Przecież moi ludzie czekają od bardzo dawna! Może upłynąć nawet parę lat, nim zabierzemy się do remontowania dworu. Psiakrew, może w ogóle do tego nie doj-

dzie? Będę harował jak dziki osioł i żył jak prosty chłop, a nie jakiś tam hrabia! Zasługujesz na coś lepszego, Kate.

To, co mogła mu powiedzieć o własnych oporach, brzmiałoby bardzo podobnie. Głędziłaby o arystokratycznych tytułach i posażnych pannach, o obowiązkach hrabiowskiej pary i o rodzeniu dzieci... Ale przecież Jim znał to już na pamięć, orientował się w tym wszystkim lepiej niż ona! Jeśli on doszedł do wniosku, że Kate wie najlepiej, co ma w sercu i w głowie, to jak mogła nie odwzajemnić mu się tym samym?

- Naprawdę? - zamruczała.

Cały świat wokół nich wybuchnął radosnym zgiełkiem, dźwięki dzwonów rozbrzmiewały w całym Londynie, witając nowy rok. Ludzie wiwatowali, wrzeszczeli, śmiali się i całowali. Ostatnie elektryczne ziarnko piasku opadło na dno świetlistej klepsydry. Ognie sztuczne rozkwitły na całym niebie, odpalano równocześnie tuzin rac, dwa tuziny... Jeden kolor przelewał się w drugi, póki fajerwerki nie wypaliły się i nie spadły na ziemię milionem różnobarwnych gwiazd. Bezmiar tej szaleńczej radości, przepełniającej całe miasto, nie, cały świat na progu nowego roku i nowego stulecia, był niczym w porównaniu z bezbrzeżnym szczęściem, które ogarnęło Kate, gdy Jim powiedział: Kocham cię.

- Tak, zasługuję na to, co najlepsze - odparła. - I tego właśnie pragnę: ciebie.

## 27

Harrington mogło się poszczycić własną kaplicą, zbudowaną jeszcze wcześniej niż dwór. Niewielka kamienna budowla kryła się w cieniu wyjątkowo rozrośniętego kasztana na samym końcu dawnego ogrodu kwiatowego. Znajdowała się w nie lepszym stanie niż reszta posiadłości: powybijane okna, po ołtarzu i ławkach ani śladu, połowa dachówek przepadła. Mimo to było na-

dal wiele uroku w jej ścianach z bloków płowego piaskowca, w wysokim sklepieniu, w wijącym się wokół głównego wejścia bluszczu.

Jim sugerował, by ślub odbył się w kościele parafialnym. Był przecież luty i w kaplicy można będzie zamarznąć! Ale Kate uparła się. Jeśli ma zostać hrabiną Harrington - nadal nie mogła w to uwierzyć - musi wziąć ślub w kaplicy Harringtonów!

Jednakowoż nie była to ceremonia ślubna, która zadowoliła-by każdą hrabinę. Pierwsze małżeństwo Kate, zawarte przed sędzią pokoju, okazało się pospieszną, suchą formalnością, choć panna młoda miała na sobie prześliczną suknię, a klejnotów też jej nie brakowało. Kate przyrzekła sobie, że gdyby zdecydowała się na powtórne małżeństwo, będzie to imponująca ceremonia, planowana i przygotowywana przez wiele miesięcy - mnóstwo jedwabnych draperii i kościół tonący w kwiatach.

A w końcu zdecydowała się na ślub odpowiedni raczej dla córki dzierżawcy niż dla wybranki hrabiego.

Na szczęście jak na luty dzień był ciepły. Wiał łagodny, niemal wiosenny wietrzyk. Ośmieleni tym goście weselni, przeważnie dzierżawcy, przywdziali odświętne ubrania. Postronny obserwator z pewnością nie domyśliłby się, jak wielka to była gala. I nie dziwota: główna zmiana w ich wyglądzie polegała na odrzuceniu noszonych na co dzień koców czy przerażająco złachanych płaszczy na rzecz odrobinkę mniej sfatygowanej, lżejszej garderoby. W pustej kaplicy poustawiano przyniesione z pobliskich chat drewniane krzesła, stołki i ławy. We dworze w dalszym ciągu nie było żadnych mebli, z wyjątkiem imponującego łoża, które dziedziec uznał za nieodzowny sprzęt pierwszej potrzeby.

W kaplicy nie było kwiatów. Ani festonów z karbowanej wstążki, ani powłóczyстых jedwabnych draperii, ani ozdobnych naczyń kościelnych z lśniącego srebra.

Były za to świece, dziesiątki niekształtnych świec domowej roboty, wyższych i niższych, niemal ogarków. Przynosili je wszyscy. Pełgały migotliwym światłem na każdym parapecie, pełniły wartość po obu stronach głównej nawy, tłoczyły się na drewnianym stoliku, pełniącym obowiązki ołtarza. Całe wnętrze niewielkiej świątynki jaśniało ciepłym blaskiem, który przemieniał płowy-piaskowiec ścian w szczerę złoto.



Wszystkie te świece sprawiały mnóstwo kłopotu matkom, które zjawiły się w kaplicy razem ze swymi pociechami. Niełatwo było utrzymać z dala od kuszących płomyczków dzieciaki, które wierciły się, szeptały i chichotały, a czasem nawet pełzały po całej kaplicy. Ale ich beztroskie głosiki nadawały uroczystości prawdziwie weselny charakter w znacznie większym stopniu niż dźwięki fisharmonii.

Nie było również nowiutkiej ślubnej sukni dla oblubienicy. Ani klejnotów. Ani kunsztownej fryzury. Kate w ciągu niespełna dwóch tygodni sama przygotowała sobie weselny strój. Miała na to mnóstwo czasu, gdyż Jim - zgodnie z zapowiedzią - harował jak wół. Rzadko widywała go w ciągu dnia, wieczorem zaś zjawiał się tak późno i taki był śmiertelnie zmęczony, że walił się z nog, a dotarwszy z trudem do łóżka, natychmiast zasypiał. Kate nie miała o to do niego pretensji. Po pierwsze, dlatego że widziała zasadność takiej harówki, a po drugie, że ilekroć Jim miał wolną chwilę, starał się jej wynagrodzić długie godziny samotności.

Kate odarła więc swą jedwabną koralową suknię z koronek, popruła i z nienowego materiału stworzyła całkiem nową kreację o prostej, wytwornej linii. Ramiona były odkryte, a dekolt imponujący: brak wszelkich ozdób podkreślał jeszcze piękno olśniewającej karnacji Kate. Długie, wąskie rękawy zachodziły klinem na grzbiet dłoni. Stanik sukni opinał ciasno jędrne okrągłości. Fałdzista spódnica, nieco dłuższa z tyłu, sięgała posadzki. Jedynym luksusem, na jaki pozwoliła sobie Kate, były srebrne nici; robiła z nich dobry użytek, upiększając kreację wyhaftowanymi na koralowym jedwabiu srebrnymi pętlami i zawijasami, które skrzyły się w blasku świec. Z fryzurą uporała się dosłownie w trzy minuty: zaciesała włosy do tyłu i upięła w prosty węzeł.

Wszyscy zgodnie orzekli, że nigdy jeszcze nie widzieli tak pięknej panny młodej.

Pan młody miał wystąpić w czarnym ubraniu i w temblaku. Ten niezwykle dodatek do ślubnego stroju okazał się niezbędny po kontuzji ramienia, której Jim doznał dwa dni wcześniej. W trakcie naprawiania dachu jednego z dzierżawców potknął się na śliskiej powierzchni i spadł.

Miał więc wystąpić w temblaku... ale jakoś zwlekał z tym wystąpieniem.

Jane pochyliła się do ucha Kate, która stała przed głównym wejściem do kaplicy.

- Mam posłać Willa, żeby go pogonił?

- Jim zaraz tu będzie - odparła beztrudnie Kate.

Lepiej, żeby się pośpieszył dodała w myśli bo gorzko tego pożałuje! Już ja wymyślę coś, co dopiekłoby każdemu mężczyźnie.

Ale w tejże chwili zjawił się oblubieniec. Zgoła niestosownym w takich okolicznościach galopem pędził wzdłuż głównej nawy z olbrzymim pękiem róż w zdrowej ręce.

- Masz! - wysapał, dotarłszy do Kate, i wcisnął jej bukiet. Co najmniej dwa tuziny szklarniowych róż we wszystkich możliwych barwach: herbaciane, różowe, czerwone, żółte... Kolory powinny się gryźć jak licho, a jednak tworzyły niezwykle piękną kompozycję; ich delikatne płatki dopiero co się rozwinęły. Nagle w całej kaplicy zapachniało różami. Łodyżki były nierówne, starannie obrane z kolców i związane (krzywo) cienką białą wstążeczką.

- Nie powinieneś... - zaczęła Kate, ale urwała i zanurzyła nos w kwiatach. - Skądś je... Wiem, wiem: masz swoje sposoby!

- Właśnie!

Pochylił się i pocałował ją, bez pośpiechu, gorąco, jakby nigdy prócz nich tu nie było.

Proboszcz kaszlnął znacząco i postukał pana młodego po ramieniu;

- Na ten punkt ceremonii ślubnej musicie trochę poczekać!

Państwo młodzi posłusznie przestali się całować, ale nadal stali naprzeciw siebie i z czułym uśmiechem spoglądali sobie w oczy. Rozdzielał ich jedynie bukiet.

- Sprzeciwiamy się kategorycznie!

W ułamku sekundy Kate pospiesznie oddała bukiet Jimowi i popędziła główną nawą. Fałdzisty, cieniutki jedwab powiewał za nią niczym skrzydła.

- Na wyrażenie sprzeciwu też przyjdzie pora nieco później - wyjaśnił cierpliwie duchowny.

Kate rzuciła się w objęcia dwóch kobiet, które właśnie weszły do kaplicy. Przygarnęła obie do siebie (jedną prawym, drugą lewym ramieniem) i ścisnęła z całej siły. Jim pospieszył za nią.

Od razu bym się domyślił, że to jej siostry, stwierdził w duchu. Choćby Kate nie zareagowała tak gwałtownie na ich widok.

Ta szatynka to pewnie Anthea... Niepozorna kruszyna! Ale z charakterkiem, stwierdził, gdy drobna kobietka ponad ramieniem starszej siostry posłała mu mordercze spojrzenie.

Druga była wyższa, smuklejsza. Włosy miała... takie pośrednie: ani całkiem jasne jak u Kate, ani ciemne jak u Anthei. Była najmłodsza z nich i odznaczała się niewątpliwą, acz dość banalną urodą. Gdzie jej tam do Kate?! To z pewnością Emily! Jak przyjrzeć się uważniej, to widać, że obie mają coś z Kate: osadzenie oczu, kontur ust... Każdy by poznał, że to siostry.

Cała trójka przestała się w końcu obejmować, ale trzymały się za rączki. Wszystkie trzy twarze zwróciły się ku niemu. Emily uśmiechnęła się do Jima przyjaźnie. Od razu było widać, że jest prostolinijna i szczerą. Za to Anthea wzięła się pod bok (tylko jeden, bo drugą rękę miała zajęta) i zmierzyła go spojrzeniem nauczycielki, która zaraz rozprawi się z krnąbrnym uczniem.

- Wnosimy kategorię sprzeciw - oznajmiła - gdyż nie życzymy sobie jeszcze jednego ślubu Brightówny, na którym nasza trójka nie byłaby w komplecie!

- Święte słowa! - poparła ją Emily. - Nie mogliście odłożyć tego ślubu, żebyśmy nie musiały gnać tu z wywieszonym językiem?!

- No, cóż... - Kate uśmiechnęła się od ucha do ucha i spojrzała na Jima. Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć w ten cud, choć od trzech tygodni wymiotowała każdym śniadaniem. - Tak się składa, że o odłożeniu ślubu nie ma mowy.

- Dzięki Ci, Boże! - zapiszczała radośnie Emily i rzuciła się Jimowi na szyję z takim impetem, że mimo woli cofnął się. Zaraz jednak objął ją ramieniem. Bukiet znalazł się za plecami Emily, a uszkodzone ramię zabołało jak diabli. Nad głową jednej szwagierki spojrzął na drugą. Był pewny, że Anthea wykrzywi się do niego, dając wyraz swej dezaprobaty. Jednak - o dziwo! - uśmiechnęła się serdecznie. Uśmiech przeistoczył jej twarz i uwi-doczniło się podobieństwo do Kate.

- Wobec tego musimy was czym prędzej zawlec do ołtarza! - oświadczyła i jak owczarek zapędziła całe stadko na poprzednie miejsce. I tak oto Kate złożyła przysięgę małżeńską nie tylko w asyście, ale wręcz pod eskortą obu siostr. Wzruszona Emily popłakiwała, Anthea zrećcznie pochwyciła spadający bukiet, gdy Kate tak silnie zaczęły drżeć ręce, że Jim musiał je uwięzić w swoich.

Mniej więcej w połowie ceremonii ślubnej średnia córeczka Willa i Jane, trzyletnia Gwen, która wyraźnie upodobała sobie Jima, uczepliła się jego nogi i nie ruszyła się z miejsca aż do końca obrzędu. Skutkiem tego pan młody, który dotąd zachowywał się nienagannie, zająknął się przy ostatnich słowach przysięgi małżeńskiej i proboszcz musiał odczytać je po trzykroć, nim oblubieniec przysiągł wreszcie co trzeba. I nawet jeśli młoda para równocześnie popłakiwała i chichotała przed ołtarzem, nikt z obecnych nie wziął im tego za złe, tym bardziej że wielu gości miało również mokre oczy. Postanowiono puścić ten drobny incydent w niepamięć. Wszyscy, włącznie z nowożeńcami, przyznali, że tak będzie najlepiej.

Tak więc wesele hrabiowskiej pary, a potem całe ich małżeństwo, przetrwało w ludzkiej pamięci jako wzór doskonałości.

## **Epilog**

W październiku 1900 roku nowojorska oficyna wydawnicza Wilcox & Son opublikowała po raz pierwszy wspólne dzieło Mahsi i Jonathana Duffych. Ukazało się pod tytułem „Bezcenny klejnot Balthelay: Blaski, cienie i sekrety książęcego haremu. Relacja naocznego świadka”. Cały nakład rozprzedano w trzy tygodnie. Książka okazała się bestsellerem i doczekała się siedmiu dalszych wydań.

## **Od autorki**

Pierwszym człowiekiem, który wspiął się na zbocze Chimborazo i zdobył ten szczyt w 1879 roku, był Edward Wimper. W niniejszej powieści pozwoliłam sobie przypisać ten wyczyn baronowi von Hussman.

Wyspa Balthelay, jej władca i mieszkańcy oraz miasta Shorehampton i Hollingport nie istnieją i nigdy nie istniały w rzeczywistości. Są tworam wyobraźni autorki.